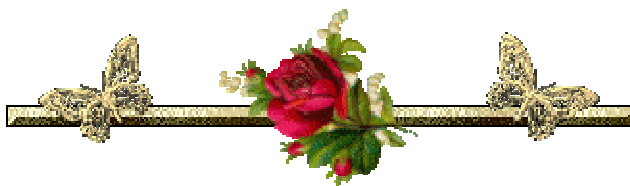




Pamela Wallace



BŁĘKITNA PEŁNIA

PROLOG

„Co się dzieje, kiedy masz wszystko, czego kiedykolwiek chciałaś? Żyjesz długo i szczęśliwie”.

Słowa matki, ulubiony refren z dzieciństwa, zabrzmiały w uszach Zoey Donovan, gdy patrzyła na zbity tłum stylowo ubranych ludzi, zgromadzonych w eleganckiej, ekskluzywnej Roget Gallery. W ten bajeczny, pełen czaru wieczór, kiedy to fetowano ją w gronie najlepszych nowojorskich fotografów, wydawało się, że ma już wszystko, czego zawsze chciała. Spełniło się marzenie o uznaniu i sukcesie. Jej olśniewające zdjęcia, razem z najlepszymi pracami wybranych artystów, pokrywały bielutkie ściany wielkiej galerii. Groźni krytycy i zamożni mecenasowi sztuki podziwiali jej odważne czarno-białe ujęcia ulic Nowego Jorku, ukazujące śmieci - te zwykłe i te ludzkie. A co najważniejsze, inni fotografowie, przeważnie starsi od niej mężczyźni, uznali Zoey za równą sobie.

Jedynym brakującym elementem był jej przyjaciel, Brian. Miał jej towarzyszyć na tym eleganckim przyjęciu, ale - jak zwykle - zadzwonił w ostatniej chwili. Powiedział, że ma kryzys w pracy i nie będzie mógł przyjechać. Zoey wmawiała sobie, że rozumie. Jego praca wymaga poświęceń. Tak naprawdę nie ma znaczenia, że jest tu sama. Liczy się to, że uznano jej dokonania. Ten monolog wewnętrzny nie brzmiał jednak szczerze. Byłoby tak cudownie, gdyby Brian dzielił z nią tę chwilę.

Właściciel galerii, Emile, niezbyt ciekawy lizus z Europy, któremu wszyscy mówili po imieniu, zaklaskał, by zwrócić na siebie uwagę zebranych. Gdy już wszyscy bogaci i sławni patrzyli na niego wyczekująco, pogratulował fotografom ich pracy. Wznosząc kieliszek szampana, nazwał ich najlepszymi z najlepszych. Następnie, nie mogąc zapomnieć o interesach, obwieścił, że w przyszłym miesiącu odbędzie się w tej galerii indywidualny wernisaż utalentowanej artystki, Zoey Donovan.

Patrząc na Emile'a, niemal widziała w jego oczach tańczące symbole dolara. Po latach zmagañ, jakie miała za sobą, pierwsza wystawa w jego galerii była wielkim osiągnięciem. Zaowocowała reportażem w czasopiśmie „New York” i przyniosła więcej pieniędzy, niż udało jej się zarobić w poprzednich latach, kiedy pracowała jako wolny

strzelec. Według oczekiwań Emile'a druga wystawa miała być jeszcze większym sukcesem.

W końcu jej się udało. Stała na szczycie gmachu sławy i fortuny. Jeśli to nie równało się szczęściu, to co nim było?

Dlaczego więc nie czuła się szczęśliwa? Skąd brało się to okropne, bolesne poczucie pustki?

„Co się z tobą dzieje? - spytała ostro samą siebie. - Teraz, kiedy zdobyłaś wszystko, czego zawsze chciałaś, nie masz na tyle rozsądku, żeby odpocząć i napawać się sukcesem”.

Jednak gdzieś w środku usłyszała cichy głos, podejrzenie podobny do głosu ukochanej babci Eileen, który wyszeptał ze śpiewnym irlandzkim akcentem: „Czy rzeczywiście masz wszystko, czego zawsze chciałaś?”

Pytanie wstrząsnęło Zoey. Nagle poczuła, że nie wytrzyma ani chwili dłużej w tej klaustrofobicznej atmosferze pretensjonalności i samozadowolenia. Odstawiwszy nietknięty kieliszek szampana, który trzymała tylko po to, żeby zająć czymś ręce, rzuciła zdumionemu Emile'owi krótkie „do widzenia” i przedarła się przez gęsty tłum.

Kiedy wyszła z galerii, nad Nowym Jorkiem zapadła ciemność. Gorąca, wilgotna czerwcową noc, godzina dziewiąta, wejścia do sklepów zasłonięto już stalowymi żaluzjami. Brukowane ulice Soho były ciche i niemal wyludnione.

Zamiast łapać taksówkę, postanowiła iść do domu pieszo. Ruszyła więc na skróty przez Washington Square Park - szczupła postać w eleganckiej jedwabnej sukni koloru kości słoniowej. Jej złotorude włosy opadały lokami wokół twarzy w kształcie serca, a zamyślane szare oczy ukrywały się za zabarwionymi na turkusowo lennonkami. Przeszła pod masywnym łukiem triumfalnym, stojącym dumnie na pięknych starych piaskowcach na skraju parku.

Spojrzała w niebo i ujrzała wielką pomarańczową bańkę księżyca, wiszącą nad miastem. Uśmiechnęła się do siebie, ponieważ zrozumiała, dlaczego wcześniej myślała o kochanej babci Eileen. To dzięki niej wiedziała, że nie jest to zwykła pełnia. Była to druga pełnia w tym samym miesiącu, zwana błękitną.

- Jeśli wypowiesz jakieś życzenie w czasie błękitnej pełni - mówiła babcia Eileen, kiedy Zoey była bardzo małą dziewczynką - to na pewno się spełni, zwłaszcza jeśli dotyczy miłości.

Na dowód tego opowiedziała wnuczce swoją własną romantyczną historię. Opuściła zielone wzgórza Connemary jako dwudziestoletnia panna i wyruszyła szukać nowego życia w Ameryce. Na pokładzie tego samego statku podróżował, również trzecią klasą, młody człowiek, Michael Donovan. Nigdy ze sobą nie rozmawiali, wymieniali jedynie nieśmiałe, zaciekawione spojrzenia.

Ostatniej nocy rejsu Eileen opuściła zatłoczone, duszne pomieszczenie dla pasażerów trzeciej klasy i wyszła na pokład. Tej nocy była błękitna pełnia, więc dziewczyna wypowiedziała życzenie - by w Ameryce znaleźć miłość.

Następnego dnia zdenerwowana, podekscytowana i załęczniona spędziła wiele godzin w kolejce na Ellis Island. Ku jej przerażeniu niesympatyczny, gburowaty urzędnik imigracyjny oznajmił, że skoro jest kobietą niezamężną, bez narzeczonego czy rodziny, która mogłaby jej zapewnić Utrzymanie, nie może zostać wpuszczona na terytorium Stanów Zjednoczonych. Eileen zaniemówiła z wrażenia. Stała tam roztrzęsiona, łykając łzy.

I wtedy, ku jej zdumieniu, Michael Donovan, który słyszał całą rozmowę, podszedł do nich i powiedział urzędnikowi, że ożeni się z tą dziewczyną - jeśli ona go zechce. Eileen spojrzała mu w oczy, a to, co w nich zobaczyła, zaparło jej dech w piersi. Bez słowa skinęła głową. Pobrali się natychmiast.

Ich małżeństwo było długie i szczęśliwe - stworzyli dużą, kochającą się rodzinę.

Przypominając sobie tę historię, Zoey uśmiechnęła się melancholijnie. Może jeśli wypowie życzenie przy tej błękitnej pełni, Brian zmieni zdanie na temat małżeństwa i dzieci. Był to dość szalony pomysł jak na tak nowoczesną i wykształconą młodą kobietę. Jednak w trwającym pięć lat związku, który nie spełniał jej nadziei, nic innego nie przyniosło pożądanego skutku.

Zoey zatrzymała się i spojrzała na jasny księżyc w pełni. Dotarło do niej wreszcie, dlaczego tak mało cieszy ją sukces zawodowy. W tych szeptanych przez babcie słowach

kryła się prawda - to nie jest wszystko, czego pragnęła. To znacząca część, ale sama w sobie zbyt mała.

Chciała męża i dzieci, potrzebowała bliskości i trwałości.

Miłości.

Zoey została wychowana w przeświadczeniu, że rodzina jest bardzo ważna, dlatego tak bardzo jej pragnęła. Ukierunkowane na karierę życie i swobodny związek z Brianem zostawiały w jej duszy pustkę - jakby brakowało głównego składnika. Tym składnikiem była rodzina i bez względu na to, jak bardzo starała się wmówić sobie, że jest zadowolona z powziętych decyzji, zaczynała zdawać sobie sprawę, że ich skutki nie dawały jej spodziewanej satysfakcji. Szczególnie kiedy była sama, jak tego wieczoru.

Cóż jej po największym nawet uznaniu i powodzeniu, jeśli nie ma ich z kim dzielić?

Czując się dość głupio, zwróciła pełne nadziei spojrzenie na księżyc i powiedziała bezgłośnie:

- Dobrze, babciu, zaufam ci. Wypowiem życzenie w czasie tej błękitnej pełni i tak jak ty poproszę o miłość.

Jakiś cichy, niski dźwięk dobiegł jej ucha. Pomyślała, że przypomina szelest ciepłego, letniego wietrzyka muskającego drzewa w parku. Brzmiał jednak jak łagodne westchnienie babci.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Zoey zatrzymała się przy drzwiach swego mieszkania i zaczęła grzebać w wielkiej torbie, szukając klucza. Po raz setny powiedziała sobie, że musi kupić mniejszą torebkę - albo większy breloczek do klucza, żeby łatwiej można go było znaleźć. W końcu jej palce natrafiły na podniszczoną króliczą łapkę, którą otrzymała od matki przed wielu laty. Matka odziedziczyła po babci Eileen nieco wiary w przesady, zapewniała więc córkę, że królicza łapka przyniesie jej szczęście. Zoey zawsze powtarzała, że jest zbyt pragmatyczna, by wierzyć w takie bzdury. Jednak łapki się nie pozbyła.

Otworzywszy drzwi, ze zdumieniem stwierdziła, że w mieszkaniu jest ciemno. Mogłaby przysiąc, że światło jak zwykle zostawiła włączone. Nie cierpiała wchodzić do ciemnego pustego pokoju.

Zanim zdążyła sięgnąć do włącznika, oślepił ją nagły błysk światła, a chóralne: „Niespodzianka!” - nieomal pozbawiło przytomności.

Zaskoczona, mrugając oczami, gapiała się na swoje trzy najlepsze przyjaciółki, które uśmiechały się do niej, stojąc na środku olbrzymiej kawalerki. Na jednej ze ścian wisiał gigantyczny transparent z napisem: „Wszystkiego najlepszego, Zoey”, a po całym pokoju - podzielonym za pomocą mebli, a nie ścian, na salon, jadalnię i kuchnię - rozrzucone były barwne wiązki napełnionych helem balonów. Zoey zdecydowała się na to mieszkanie z powodu okien, które zajmowały jedną ścianę i sprawiały, że w ciągu dnia było tam słonecznie i radośnie. Intensywnie niebieskie ściany i srebrne gwiazdy namalowane na białym suficie czyniły pomieszczenie wyjątkowo kolorowym, a transparent i balony nadawały mu jeszcze bardziej odświeżony wygląd.

- Co jest? Zapomniałaś o własnych urodzinach? - spytała przekornym uśmiechem jej najlepsza przyjaciółka, Carla DiMaggio, wysoka, szczupła brunetka. Zoey wiedziała, że zabawnie przystrojony transparent musi być dziełem Carli, utalentowanej, ale wciąż niedocenianej artystki. - Nie dziwię ci się, że nie chcesz o nich pamiętać. Teraz brakuje ci tylko pięciu lat do ryczącej czterdziestki! - mówiła dalej Carla.

Zoey zamknęła za sobą drzwi.

- Wielkie dzięki. Gdyby nie wy, rzeczywiście mogłabym zapomnieć - odpowiedziała z łagodnym sarkazmem.

- Nie ma obawy - rzekła ze swoim charakterystycznym chichotem Denise Hudson. - Nigdy byśmy na to nie pozwoliły.

Denise była śliczną i pełną życia platynową blondynką. Za wizerunkiem liderki kibiców szkolnej drużyny krył się bystry umysł i niezłomna ambicja agenta literackiego.

- Czemu, u licha, przyszedłaś tak późno? - spytała z udawaną złością Karen Cohen. - Brian miał cię wyciągnąć z przyjęcia i sprowadzić tutaj pół godziny temu.

- Nie mógł. Kryzys w pracy. Pewnie zapomniał, że ma mnie przywieźć - przyznała niechętnie Zoey.

Carla nachmurzyła się.

- Wiedziałam, że nie możemy na niego liczyć.

Zoey doskonale zdawała sobie sprawę, że Carla nie przepada za Brianem. Zanim przyjaciółka zdążyła rozpocząć wymierzoną w niego tyradę, powiedziała szybko:

- Gdybym się domyśliła, że czeka na mnie taka niespodzianka, przyjechałabym do domu taksówką, zamiast iść pieszo.

Karen uśmiechnęła się dobrodusznie.

- Siedzę w tym ciemnym mieszkaniu od pół godziny. Powiedziałam Carli, że jeszcze dziesięć minut, a rzucę się na tort bez względu na to, czy przyjdiesz, czy nie!

Karen ciągle toczyła nieudane potyczki ze zbędnymi dwudziestoma funtami - bezpośrednim efektem ogromnego apetytu na słodczyce. Mimo dokuczliwego problemu z nadwagą i niezbyt atrakcyjnego wyglądu była szczęśliwą żoną nauczyciela szkoły średniej, w której sama uczyła angielskiego. Mąż uwielbiał ją i trzy córki.

W odróżnieniu od Karen pozostałe przyjaciółki były niezamężne. Carla delectowała się niezależnym stylem życia, zmieniając mężczyzn jak rękawiczki. Wielu z nich było gotowych podjąć trwalsze zobowiązania, ale ona nie tego szukała. Zupełnie inaczej było z Denise, która desperacko chciała wyjść za mąż i mieć dzieci. Nie wydawało się jednak, by mogła znaleźć mężczyznę, który nie okazałby się jedynie przelotną znajomością.

Przyjaciel Zoey, Brian, często zapewniał, że wyobraża ich sobie razem do końca życia. Nie zdecydował się jednak na kolejny krok - małżeństwo.

Teraz, patrząc na nieprzyzwoicie obfity, pokryty czekoladą tort, stojący dumnie na środku szklanego blatu stołu, Zoey zwróciła się do Karen:

- Wiesz co? Możesz zabrać do domu to, co zostanie. Nie potrzebuję dodatkowych kalorii.

Karen wzniosła oczy do nieba.

- Tak? A ja niby potrzebuję! Co z ciebie za przyjaciółka? To klasyczny przykład sabotażu.

- Daj go Alanowi i dziewczynkom.

- Jeśli ciasto w ogóle dotrze do domu - odrzekła ponuro Karen. - Wiesz, co czuję do czekolady.

- Będziemy tak gadać o tym torcie czy zjemy go wreszcie? - zniecierpliwiała się Denise.

- Najpierw świece - przypomniała Carla. - Musimy zrobić wszystko jak należy. Nie co dzień kończy się trzydzieści pięć lat.

- Masz zamiar wypominać mi to całą noc? - spytała Zoey.

- Oczywiście. Od czego ma się przyjaciół?

Carla uważnie wcisnęła w tort trzydzieści pięć świeczek, prawie zupełnie przykrywając jego powierzchnię. Gdy w końcu zapaliła ostatnią, trzy kobiety odśpiewały porywająco, choć z lekką fałszując, „Happy Birthday to You”.

Zoey pochyliła się, aby zdmuchnąć ten minipożar, ale Carla ją powstrzymała.

- Poczekaj! Musisz pomyśleć życzenie.

Zoey miała ochotę powiedzieć, że już to zrobiła, ale zamknęła oczy i powtórzyła swoje marzenie. Następnie dmuchnęła tak mocno, jak tylko mogła. Gdy okazało się, że Sama nie da sobie rady, przyjaciółki przyłączyły się do niej i pomogły zdmuchnąć kilka ostatnich migoczących płomieni.

- Założę się, że wiem, o czym pomyślałaś - powiedziała Carla. - O czymś związanym z pewnym uczulonym na zobowiązania Brianem i małym pudełeczkiem od Tiffany'ego.

Zoey ograniczyła się do rzucenia przyjaciółce ponurego spojrzenia.

- Gdyby chodziło o mnie, życzenie byłoby związane z Lucky Vanousem i pudełkiem czekoladek Godiva - wtrąciła z sugestywnym uśmiechem Karen.

- Hej, nie rób się taka zachłanna. Masz już takiego męża, za jakiego wszystkie byłybyśmy gotowe zabić - odrzekła Denise.

- To, że wyszłam za mąż, nie znaczy, że umarłam. Nadal mogę mieć fantazje.

Kiedy Zoey kroїła tort i podawała kawałki koleżankom, Karen nalewała szampana do przyniesionych z kuchni kieliszków. Po toaście Carla obwieściła:

- Czas na prezenty! - Wyciągnęła ukryte za jasnoczerwoną kanapą pudełka i podała je Zoey. - Ode mnie jest to małe czerwone. Masz je otworzyć na końcu.

- Dlaczego? - spytała z podejrzliwą miną Zoey, znając skłonność koleżanki do dziwacznych niespodzianek.

Carla uśmiechnęła się zaczepnie.

- Zobaczysz.

- No, nie wiem - odpowiedziała Zoey, kręcąc głową.

Usiadła jednak posłusznie na krześle i rozpakowała pozostałe dwa prezenty. Od Karen dostała prześliczny szmaragdowy peniuar z jedwabiu, kupiony u Bloomingdale'a, a od Denise duży flakon swoich ulubionych perfum, Les Must de Cartier.

- Nie powinnyście były tyle wydawać! - krzyknęła głęboko wzruszona.

Czuła, że ma wielkie szczęście - otaczały ją tak wspaniałe przyjaciółki. Poznały się przed dziesięcioma laty na aerobiku. Zajęcia przerwano po kilku miesiącach, gdy fitness club zbankrutował, ale zanim to nastąpiło, bardzo zbliżyły się do siebie. Przyjaźń rozpoczęła nie planowanymi lunchami i wyprawami po zakupy cementowało stopniowo wzajemne wspieranie się w dobrych i złych chwilach: gdy rodziły się dzieci Karen, gdy ukochana siostra Carli zmarła na białaczkę, gdy Denise straciła pracę po odrzuceniu seksualnych awansów szefa i gdy Zoey dostała swą pierwszą nagrodę za fotografię.

Te trzy kobiety, tak bardzo różne, a jednak tak sobie bliskie, stały się nowojorską rodziną zastępczą Zoey. Patrząc z głębokim uczuciem, jak sadowią się na kanapie i krzesłach i z zadowoleniem pochłaniają tort oraz szampana, pomyślała że jej życie byłoby bez nich puste.

- Wiesz co - odezwała się Denise między dwoma kęsami tortu - właśnie zdałam sobie sprawę, że z tych prezentów bardziej skorzysta Brian niż ty.

Myśl o Brianie przygnębiała Zoey jeszcze bardziej niż jakiś czas temu w galerii. Nie tylko sprawił jej zawód, nie pojawiając się tam, ale najwyraźniej zupełnie zapomniał o planowanej przez jej przyjaciółki urodzinowej imprezie. Zoey była jednak do przesady lojalna i poczuła, że powinna stanąć w jego obronie.

- Będziemy się nimi cieszyć razem - powiedziała, zmuszając się do uśmiechu. A zwracając się do Carli, spytała: - Czy teraz mogę otworzyć twój prezent?

- Najpierw przemówienie - uparła się Carla. Ignorując pomruki niezadowolenia, wstała i uniosła kieliszek. - Zdrowie naszej ukochanej przyjaciółki Zoey z okazji oficjalnego wejścia w staropanieństwo.

- Ach, więc teraz już oficjalnie jestem starą panną, tak?

- Oczywiście - zapewniła ją filuternie Carla, dodając z udawanym współczuciem: - Ale nie martw się. Pomogę ci. Lekarstwo na twój nieszczęsny stan znajduje się w tym pudełku. Teraz możesz je otworzyć.

Zoey zerwała czerwone opakowanie i ujrzała stare pudełko po butach. Zdejmując pokrywkę, rzuciła Carli pytające spojrzenie. Zobaczyła coś, co na pierwszy rzut oka wydawało się małą, porządnie złożoną gazetą. Jednak gdy wyjęła i rozłożyła prezent, tytuł wyjaśnił jej wszystko: „Poznajmy się. Biuletyn dla samotnych mieszkających na wsi”.

- Co, u licha...? - Zdumiona Zoey spojrzała na Carłę.

Na twarzy przyjaciółki widniał szeroki uśmiech.

- To biuletyn matrymonialny dla samotnych z prowincji. Pełno w nim ogłoszeń przysłanych przez mężczyzn, ponieważ, wierz lub nie, mieszka tam więcej samotnych facetów niż kobiet. Inaczej niż w Nowym Jorku.

- Cóż, przynajmniej liczby przemawiają na twoją korzyść. Ale będziesz miała daleko na randkę - powiedziała chłodno Karen.

- Hej, oni szukają żon, a nie popołudniowej rozrywki - zauważyła Carla. - Posłuchajcie tego. - Pochyliła się nad kanapą, wyjęła biuletyn z rąk Zoey i zaczęła czytać: - „Mam sto akrów i dwieście owiec. Jeśli lubisz owce i polubisz mnie, jestem tym stworzeniem, którego szukasz”.

Karen i Denise wybuchnęły śmiechem. Zoey jedynie z niedowierzaniem pokręciła głową.

- Gdzieś ty to znalazła? - spytała Carlę.

- Dostałam od kuzynki z Des Moines. Tej, która ciągle się dopytuje, kiedy mam zamiar się ustatkować i wyjść za mąż. Pewnie doszła do wniosku, że nowojorscy faceci się nie sprawdzają, i postanowiła skierować moją uwagę na bardziej odległe okolice. - Przewróciła stronę. - O, posłuchajcie tego! „Szukam pani poważnie myślącej o małżeństwie, umiejącej gotować, prowadzić ciągnik i naprawić ogrodzenie. Byłoby fajnie, gdybyś dobrze wyglądała w džinsach”.

Opadając na oparcie krzesła, Karen starła łzy śmiechu z orzechowych oczu.

- Hej, teraz znamy już odpowiedź na odwieczne pytanie: gdzie znaleźć faceta? W dziurze zabitej dechami!

Zoey powstrzymała nadciągającą falę śmiechu.

- Nie powinnyśmy się śmiać z tych ludzi. Oni po prostu szukają miłości - powiedziała łagodnie.

- Tak - zgodziła się Karen, jednak to poparcie dla Zoey nie było zbyt wiarygodne, gdyż nie udało jej się stłumić krótkiego chichotu. Aby odwrócić od niego uwagę, upiła kolejny łyk szampana.

Denise spoważniała.

- Macie rację. Jakie ja mam prawo wyśmiewać się z tych biednych wiejskich ówoków. Sama odpowiadałam na ogłoszenia matrymonialne, a raz nawet zamieściłam jedno w gazecie.

- Naprawdę? - spytała zaskoczona Zoey. - Czemu nam nie powiedziałaś?

Zmieszana Denise odwróciła wzrok.

- Nie chciałam, żebyście się dowiedziały, że jestem tak zdesperowana.

- To nie świadczy o desperacji, tylko o... praktyczności - odrzekła z wahaniem Karen, starając się dodać przyjaciółce otuchy.

- Cóż, nic z tego nie wyszło - powiedziała beznamiętnie Denise. - Po prostu poznałam jeszcze paru takich samych facetów, jakich zawsze przyciągam.

Nieudaczników, na których nie postawiłabym grosza. Atrakcyjnych ludzi sukcesu,

szukających kolejnej laski do zaliczenia. Biedne typki, którym lepiej zrobiłaby wizyta u psychoanalytka niż randka. - Straciwszy nagle apetyt, odstawiła talerz na drewniany kufer służący za stolik do kawy i ciężko westchnęła. - Ja już nie wiem, czy coś jest nie tak ze mną, czy z nimi. Wiem tylko, że mam trzydzieści osiem lat i że perspektywa zamążpójścia i założenia rodziny ciągle się ode mnie oddala. Łatwiej jest rozbić ten cholerny szklany sufit w pracy niż znaleźć kogoś, kto by mnie pokochał, kogo ja bym pokochała.

Zoey wstała i podeszła do Denise, która siedziała naprzeciw niej na krześle. Uklękła, objęła ją i mocno przytuliła.

- Hej, to ich strata. Żadnemu z nich nie przytrafiło się nic lepszego od ciebie. To głupcy, skoro się na tobie nie poznali.

Denise uśmiechnęła się przez łzy, które chwilę wcześniej zabłysły w jej oczach.

- Dzięki, Zoey.

- Nie martw się, znajdziesz kogoś - dodała ze swą charakterystyczną, brawurową pewnością siebie Carla. - To po prostu musi trochę potrwać. Wiesz, trzeba pocałować masę żab, zanim trafi się na księcia.

- Obawiam się, że mój książe istnieje tylko w bajkach, które czytałyśmy w dzieciństwie - odrzekła bezradnie Denise. Patrząc na przyjaciółki, dorzuciła: - Każda z was ma kogoś: Karen Alana, Zoey Briana, Carla ma tylu facetów, że nie jest w stanie ich spamiętać. Ja od miesiący nie byłam z nikim związana tak naprawdę. I jeśli nic się nie zmieni, znowu nie będę miała z kim iść na sylwestra. Nie macie pojęcia, co się przeżywa w takiej sytuacji. Zoey poczuła nagle bolesne ukłucie.

- A właśnie, że wiem - zaproponowała. - Na ostatniego sylwestra zaplanowałam romantyczną kolację we dwoje. Spędziłam w kuchni ładne parę godzin i włożyłam tę obcisłą czarną sukienkę z jedwabiu, którą dostałam od Briana na urodziny. Jak zwykle musiał do późna zostać w pracy. Pokazał się w końcu na pięć minut przed północą z wylewnymi przeprosinami i największym bukietem róż, jaki w życiu widziałam. Przeprosiny i róże nie wynagrodziły mi jednak tych samotnie spędzonych godzin.

- Nie powinnaś była na niego czekać - powiedziała Carla bez ogródek. - Zachowujesz się tak, jakby mógł cię mieć na każde zawołanie.

Ten temat był odwieczną kością niezgody między przyjaciółkami i Zoey poradziła sobie z tym problemem tak jak zwykle - ignorując go.

Obróciła się do Denise i spróbowała dodać jej otuchy.

- Wszystko jeszcze przed tobą. Któregoś dnia znajdziesz kogoś. To po prostu wymaga trochę czasu.

- Tak, ale właśnie czas odgrywa tu najważniejszą rolę - odrzekła z zaciśniętym gardłem Denise. - Nie robię się młodsza. Mój zegar biologiczny tyka tak głośno, że w nocy nie mogę zasnąć.

Zoey nie miała na to gotowej odpowiedzi. Zbyt dobrze wiedziała, co czuje Denise. Obaj bracia Zoey byli żonaci i mieli dzieci. Przepadała za swoimi bratanicami i bratankami, uwielbiała rolę oficjalnego fotografa rodziny. Zastanawiała się jednak, czy kiedykolwiek będzie miała okazję robić zdjęcia własnym dzieciom.

Denise zaczerpnęła głęboko powietrza.

- I właśnie dlatego zdecydowałam się na sztuczne zapłodnienie - wyrzuciła z siebie jednym tchem. - Wygląda na to, że udało się za pierwszym razem. Jestem w ciąży.

Reakcje przyjaciółek wyrażały różne stopnie zdumienia. Orzechowe oczy Karen otworzyły się szeroko, Carla zmarszczyła brwi z dezaprobatą, a Zoey osłupiała. Szybko się jednak pozbierała i odezwała pierwsza:

- Ale... kiedy? Dlaczego?

Denise niezachwianie stawiała jej czoło.

- Kiedy? W zeszłym miesiącu. Dlaczego? Dlatego, że bardzo chcę mieć dziecko, tak bardzo, że nie mogę już tego wytrzymać. Posłuchajcie, znam wszystkie argumenty przeciwko sztucznemu zapłodnieniu: to egoizm i zaspokajanie własnych zachcianek, dziecko musi wtedy dorastać bez ojca. No i co odpowiedzieć na nieuniknione pytanie: „Kto jest moim tatusiem?” - Zamilkła, westchnęła głęboko i głosem drżącym z przejęcia ciągnęła: - Ale mówię wam: jeśli u kresu życia będę mogła się cieszyć jedynie serią awansów w pracy, to mi nie wystarczy! Chcę mieć rodzinę. I po prostu postanowiłam, że osiągnę to w taki właśnie sposób.

Karen, Carla i Zoey wymieniły spojrzenia. Żadna z nich nie wiedziała, jak na to zareagować. Carla wstała z kanapy, podeszła do okna i wlepiała w nie wzrok. Karen

odchrząknęła nerwowo, próbując bez powodzenia wymyślić coś, cokolwiek, co mogłaby powiedzieć.

Denise westchnęła. Na jej twarzy pojawiło się przygnębienie.

- Miałam nadzieję, że zrozumiecie i... i będziecie przy mnie. Prawdę mówiąc, trochę się boję przechodzić przez to sama.

Zoey znów była pierwsza.

- Oczywiście, że rozumiemy! - odpowiedziała z przeświadczeniem, którego tak naprawdę nie czuła. - I nie będziesz sama. Cały czas będziemy przy tobie. No nie, dziewczyny?

- Oczywiście - przytaknęła szybko Karen. - Skontaktuję cię z moim położnikiem. Spodoba ci się, to dość młoda kobieta, zorientowana w najnowszych trendach.

Carla po prostu spojrzała na Denise ze zdumieniem.

- Jesteś pewna, że właśnie tego chcesz?

Denise posłała jej lekki uśmiech.

- Posłuchaj, Carla, wiem, co myślisz o dzieciach. Dzieci cię wiążą, a ty z całą pewnością nie pragniesz być związana.

Głos Carli zabrzmiał dziwnie ponuro:

- Gdybyś dorastała jako najstarsza z piątki dzieci i musiała się nimi opiekować, gdy matka była w pracy, a ojciec zabawiał się ze swoją nową żoneczką, też nie chciałabyś być związana.

- Może i nie - odrzekła cicho Denise. - Ale to twoja historia, nie moja. Ja dorastałam jako jedynaczka, nie oczekiwane, nie chciane dziecko, które zmieniło życie swoich rodziców, zbyt starych, aby poświęcać mu wiele uwagi. Jak byłam małą dziewczynką, bez przerwy bawiłam się lalkami i kiedy wieczorem kładłam się spać, przykrywałam je wszystkie kocem, żeby nie zmarzły. Moim największym marzeniem było mieć kogoś, kim mogłabym się opiekować, kto sprawiłby, że nie czułabym się samotna. Myślę, że będę całkiem niezłą matką, nawet jeśli zostanę zupełnie sama. O Boże, mam w sobie tyle miłości i chcę móc ją komuś dać.

Pod koniec swego szczerego, pełnego uczucia przemówienia Denise rozpląkała się. Karen i Carla w mgnieniu oka przyłączyły się do Zoey siedzącej u boku Denise i objęły przyjaciółkę ramionami.

- Hej, będziesz wspaniałą matką! Ten dzieciak ma szczęście - powiedziała szybko Carla.

- Z całą pewnością! - przytaknęła szybko Karen. - Myślę, że całkiem nieźle znam się na matkach. Będziesz jedną z najlepszych!

- No jasne! - dodała ciepło Zoey.

Czuła się jednak wewnątrz rozdartą. Doskonale wiedziała, jak bardzo Denise zależy na dziecku. Była też przekonana, że przyjaciółka będzie cudowną matką. Jej dziecko na pewno dozna wiele miłości i otrzyma świetną opiekę, ze wszystkimi korzyściami płynącymi z dobrobytu włącznie.

A jednak chciałyby, aby na tym obrazku był również ojciec.

Zasmucała ją myśl, że Denise będzie samotną matką. Chodzić na zajęcia w szkole rodzenia z przyjaciółką, to nie to samo co z ojcem dziecka. Ciężko jest przetrwać poród bez męża, z którym można by dzielić ból i radość, a kiedy dziecko zaczyna dorastać, niełatwo stawić czoło wyzwaniom rodzicielstwa.

Zoey świetnie rozumiała ten ostatni problem. Jej matka samotnie wychowała trójkę dzieci. Dopiero teraz Zoey zaczęła zdawać sobie sprawę z tego, jak trudne musiało to być zadanie i jak dojmująca była samotność.

Zoey знаła swoje przyjaciółki wystarczająco dobrze, by wyczuć, że Karen i Carla dzielają jej wątpliwości. Wszystkie trzy jednak natychmiast porozumiały się bez słów i postanowiły bez zastrzeżeń wesprzeć Denise, zamiast ją krytykować.

Przez kilka minut rozmowa toczyła się wokół spraw związanych z dziećmi - mówiono o najnowszych ustaleniach dotyczących tego, co kobiety ciężarne powinny, a czego nie powinny robić, o imionach, które nadawałyby się dla dziecka, o najlepszych agencjach opiekunek. W końcu towarzystwo zaczęło się rozchodzić. Karen musiała wcześniej wstać, żeby iść do szkoły, wyszła więc pierwsza, zabierając ze sobą, po naleganiach Zoey, resztę tortu. Wkrótce po niej opuściła koleżanki Carla - miała późną randkę z policjantem, który kończył pracę o jedenastej. Denise została, żeby pomóc

gospodyni w zmywaniu tych kilku naczyń i sztućców, które były im potrzebne do tortu i szampana. Zoey wyczuła jednak, że przyjaciółka chce z nią porozmawiać na osobności o czymś, czym nie chciała się dzielić z Karen i Carłą.

Gdy skończyły zmywanie w małej kuchence kawalerki, Zoey zrobiła kawę. Nalała dwie filiżanki - dla siebie i Denise - z którymi przeniosły się do części mieszkania pełniącej funkcję salonu. Sadowiąc się na kanapie, Denise odchrząknęła nerwowo. Zoey wiedziała już, że miała rację - to nie koniec niespodzianek. Zastanawiała się, cóż jeszcze Denise może chować w rękawie. Wiadomość o jej ciąży była największą sensacją, jaką Zoey mogła sobie wyobrazić. Nic nie mogłoby zrobić większego wrażenia.

- Zoey... chciałam cię o coś prosić, ale wolałam poczekać, aż zostaniemy same.

- Dobra, gadaj - powiedziała lekko Zoey.

- Chodzi o to, że, no wiesz, nie mam zbyt wielu krewnych. Tylko paru kuzynów, których ledwie znam. Są zresztą dużo starsi ode mnie. Tak że zastanawiałam się...

- Tak? - spytała Zoey, kiedy Denise zaczęła się wahać i odwracać wzrok.

Denise zmusiła się, by spojrzeć zaintrygowanej przyjaciółce w oczy.

- Kiedy urodzi się dziecko, będę musiała znaleźć kogoś, kto by się nim zaopiekował, gdyby coś mi się stało. Wiem, że to ogromna odpowiedzialność i że proszę o wiele, ale czy mogłabyś, to znaczy, czy zechciałabyś zostać matką chrzestną mojego dziecka?

Jeśli Zoey spodziewała się czegoś, to na pewno nie tego. Denise nie mogła jej bardziej zaskoczyć.

- Ale... nie sądzisz, że Karen lepiej by się do tego nadawała? Denise zdecydowanie pokręciła głową.

- Nie, nie sądzę. To prawda, jest cudowną matką i stworzyli z Alanem wspaniałą rodzinę. Jest taka dobra, że zgodziłaby się bez namysłu. Ale ma też pełne ręce roboty - trójka własnych dzieci i cała klasa dzieciaków obcych ludzi. A jeśli chodzi o Carłę, cóż...

Nie musiała dalej tłumaczyć. Obie wiedziały, że Carla sama nie chce mieć dziecka, a co dopiero opiekować się cudzym.

- Jak już powiedziałam, wiem, że to ogromna odpowiedzialność, i chciałabym, żebyś nie krępowała się odmówić, jeśli ci to nie odpowiada - dodała szybko Denise.

- To nie tak - odrzekła Zoey. - Jestem naprawdę głęboko wzruszona twoim zaufaniem. Dlaczego jednak sądzisz, że się do tego nadaję?

Denise uśmiechnęła się ciepło.

- Bo tak samo jak ja bardzo chcesz mieć dzieci. I masz w sobie dokładnie tyle samo miłości do zaoferowania.

Wzruszenie ścisnęło Zoey za gardło. Odkrycie, że Denise tak w nią wierzy, rozczuliło ją i nadało ich przyjaźni nowy wymiar. Nie myśląc wiele, uściskała koleżankę.

- Och, Denise - głos jej drżał - to będzie dla mnie zaszczyt.

Denise najwyraźniej kamień spadł z serca. Wyrwało jej się westchnienie ulgi.

- Nie masz pojęcia, ile to dla mnie znaczy. W całej tej skomplikowanej sprawie tak naprawdę martwiłam się tylko o to, co stanie się z moim dzieckiem, jeśli mnie zabraknie.

- Nie zabraknie cię - zapewniła ją Zoey. Denise zawahała się przez chwilę.

- To bardzo miło z twojej strony, że zachowujesz się tak, jakbyś uważała, że wszystko jest w porządku - powiedziała wreszcie.

- Bo tak właśnie uważam. Wiem, co czujesz, i jestem pewna, że będziesz wspaniałą mamą.

Denise spojrzała na Zoey badawczo.

- Ale jesteś przekonana, że to dziecko powinno mieć nie tylko matkę, ale i ojca, prawda?

Zoey odwróciła wzrok - nie wiedziała, jak odpowiedzieć na to pytanie, nie raniąc uczuć przyjaciółki.

- Wiem, dlaczego takie jest twoje zdanie, Zoey - dodała łagodnie Denise. - I nie dziwię ci się.

Ojciec Zoey odszedł, kiedy miała osiem lat, i od tego czasu nigdy się z nią nie widział. Zostawił młodą żonę i troje małych dzieci zdanych tylko na siebie w miasteczku na północy stanu Nowy Jork. Na początku matka zapewniała ich, że jeszcze zobaczą ojca. Pocztówki i tanie prezenty na święta i urodziny utrwały w nich tę nadzieję. Jednak już po paru latach ustały nawet te mizerne próby podtrzymania kontaktu.

Schronieniem, do którego uciekała zrozpaczona Zoey, były książki, a zwłaszcza jej ulubiona - „Tajemniczy ogród”. W tym pięknym, bezpiecznym świecie udawało jej się na chwilę zapominać, że tato nigdy nie wróci do domu.

Proces rekonwalescencji rozpoczął się wraz z zajęciami z fotografii w szkole średniej. Aparat fotograficzny stał się barierą między nią a innymi, zarazem sposobem przyjrzenia się światu z bliska i próbą zrozumienia go. Ponieważ w głębi duszy nigdy nie przestała się zastanawiać, dlaczego ojciec porzucił rodzinę.

Dlatego właśnie wierność zobowiązaniom i stabilizacja były dla niej tak znaczące. Znaczące, bo nie zapewnił ich najważniejszy mężczyzna w jej życiu - ojciec.

Cała ta bolesna przeszłość stanęła Zoey przed oczami, gdy spojrzała na Denise. Głos jej lekko drżał, kiedy zdobyła się na szczerość i odpowiedziała:

- Tak, myślę, że ojciec jest dziecku potrzebny. Wiem, co to znaczy dorastać bez niego. Matka cały czas pracowała, żeby utrzymać rodzinę. Bez względu na to, jak bardzo się starała, a Bóg jeden wie, że nikt nie starał się bardziej niż ona, nie mogła być dla nas jednocześnie matką i ojcem. Zastanawiałam się cały czas, co takiego zrobiłam, że ojciec postanowił odejść. W głębi duszy czułam, że na pewno nie zasługuję na to, żeby mnie kochano, inaczej nigdy by mnie nie zostawił.

Złotobrzazowe oczy Denise wypełniło współczucie.

- Och, Zoey, wiedziałam, że musiało ci być ciężko, ale nie miałam pojęcia, że aż tak.

Zoey położyła dłoń na szyi - poczuła, że się dusi. Żywe wspomnienia nieszczęśliwego dzieciństwa sprawiły, że trudno było jej złapać oddech. Zmusiła się do mówienia.

- Skąd miałaś wiedzieć? Ten temat nie należy do moich ulubionych, nawet w rozmowach z najbliższą przyjaciółką. Niektóre rany nigdy się nie goją, a mówić o tym to tak, jakby posypywać je solą. Przeważnie staram się nie myśleć o tych sprawach, nie pamiętać tego ostatniego dnia, kiedy przyszedł do mojego pokoju i powiedział, że wyjeżdża na trochę.

Przerwała, czując ostre ukłucie bólu. „Na trochę”. Całymi latami kurczowo trzymała się tych słów, tak jak tonący trzyma się kamizelki ratunkowej. Mówiła sobie, że to znaczy,

iz któregoś dnia ojciec wróci. W końcu pogodziła się z tym, że „na trochę” znaczy tyle co „na zawsze”.

Zoey odetchnęła głęboko, aby uspokoić roztrzęsione nerwy.

- Ale co innego ja, co innego ty - ciągnęła z determinacją rzeczowym tonem. - Masz prawo zrobić ze swoim życiem to, co uważasz za najlepsze. Szanuję to. I ze wszystkich sił postaram się ci pomóc. Chciałabym tylko... - głos odmówił jej posłuszeństwa.

- Chyba wiem, czego byś chciała - powiedziała Denise, jakby czytając w jej myślach. - Żebym się zakochała, wyszła za mąż i żyła długo i szczęśliwie z kimś, kto będzie dla mojego dziecka wspaniałym ojcem.

Zoey energicznie pokiwała głową.

- Och, tak. Bardzo bym tego dla ciebie chciała. I dla twojego dziecka.

Na twarzy Denise malowało się powątpiewanie.

- To bajka, Zoey. Takie rzeczy się nie zdarzają. Mnie przynajmniej nic takiego nie spotkało.

Nagle Zoey przysła do głowy szalona myśl. Wzięła przyjaciółkę za rękę i przyciągnęła do jednego z olbrzymich okien.

- Spójrz - powiedziała, wskazując na niebo.

- Co? To tylko księżyc. No dobrze, księżyc w pełni, ale co z tego?

- To druga pełnia w tym miesiącu, czyli błękitna. Moja babcia powiedziała mi, że jeśli wypowie się życzenie w czasie błękitnej pełni, to na pewno się ono spełni. Zwłaszcza jeśli prosi się o miłość.

Denise przechyliła głowę na bok i zmierzyła Zoey krytycznym spojrzeniem, jakby ta nagle oszalała.

- Powiedziałaś mi też kiedyś, że według twojej babci można zwarzyć mleko czyjejs krowy, patrząc na nią złym wzrokiem.

- No dobra, to przesąd. Ale przecież nie zaszkodzi. No dalej, wypowiedz życzenie. Poproś o miłość.

- To głupie.

- Ja to zrobiłam - przyznała się Zoey, nie dbając o to, czy wyjdzie na idiotkę. -

Dzisiaj, w drodze do domu.

- Zrobiłaś to?

- Aha. A jeśli powiesz o tym Karen albo Carli, zamorduję cię.

- Ale przecież masz Briana - zauważyła Denise.

- Czyżby? Jesteśmy razem od pięciu lat i nawet się nie zaręczyliśmy. Pomyślałam, że może w ten sposób uda mi się osiągnąć coś więcej.

Denise zaśmiała się.

- No dobrze. Przecież mi to nie zaszkodzi. - Patrząc na księżyc, powiedziała skrepowanym głosem: - Pragnę miłości - po czym odwróciła się do Zoey. - I co, zadowolona? Teraz i ja zrobiłam z siebie idiotkę.

Nagle zadzwieczał dzwonek. Denise uśmiechnęła się.

- O wilku mowa. Założę się, że wiem, kto to. Chyba już czas na mnie.

Obie podeszły do drzwi.

- Nie musisz jeszcze uciekać - powiedziała uprzejmie Zoey.

- Dobra, dobra, obie wiemy, że myślisz co innego - odparła z uśmiechem Denise. - Masz ochotę zrobić mu awanturę. A potem go pocieszyć. Nie chcę być świadkiem ani jednego, ani drugiego. - Złapała zostawioną przy wejściu torebkę. Gdy Zoey otworzyła drzwi, Denise, ujrawszy stojącego za nimi Briana, rzuciła szybko: - Cześć, Brian. Pa, Brian.

- E, cześć, Denise - wydukał, gdy przemknęła obok niego. Kiedy zniknęła, Zoey zamknęła drzwi.

- Lubię twoje przyjaciółki - powiedział Brian. - Nie zostają zbyt długo.

- Są też na tyle miłe, żeby zadać sobie trud przygotowania przyjęcia-niespodzianki. Tego właśnie przyjęcia, na które ty miałeś mnie przyprowadzić, żebym się za bardzo nie spóźniła.

Brian uderzył się dłonią w czoło.

- Cholera! Wiedziałem, że o czymś zapomniałem. Cóż mogę powiedzieć? Bardzo, bardzo mi przykro. Byłem zaabsorbowany innymi sprawami. Po jedenastu godzinach negocjacji rozpadł się układ McCluskeya i Lewis powiedział, że jeśli jakoś tego nie poskładam do kupy, zanim o dziewiątej rano zbierze się sąd, mogę się więcej nie pokazywać w pracy.

- Wcale tak nie myślał - odrzekła chłodno Zoey, nie chcąc wybaczyć mu zbyt szybko.

- No, z Lewisem nigdy nie wiadomo. Nie na darmo nazywają go Terminatorem.

Brian podszedł do Zoey. Swymi stu osiemdziesięcioma ośmioma centymetrami wzrostu górował nad jej szczupłym ciałem, mierzącym sto sześćdziesiąt trzy centymetry. Spojrzał na nią ze skruszoną miną.

- Naprawdę bardzo mi przykro. Co mam powiedzieć czy zrobić, żebyś mi wybaczyła?

Zanim Zoey zdążyła odpowiedzieć, pochylił się i mocno ją pocałował.

- Tak naprawdę nie jesteś na mnie zła, prawda? - powiedział ochryple, kiedy w końcu oderwał się od jej ust.

Zoey musiała w duchu przyznać, że ma rację. Bez względu na to, co Brian zrobił, jakoś nigdy nie potrafiła długo się na niego gniewać. Natychmiast likwidowała wszelki dystans, jaki się między nimi pojawiał.

Zoey wciąż była pod wrażeniem jego urody. Gęste blond włosy, czekoladowobrązowe oczy, wąska patrycjuszowska twarz. Jego wygląd świetnie odzwierciedlał pozycję - był wykształconym człowiekiem sukcesu, członkiem elity Wschodniego Wybrzeża, absolwentem odpowiednich szkół oraz wschodzącą gwiazdą jednej z największych firm prawniczych na Manhattanie.

Pamiętając gorzki monolog Denise o samotności, Zoey pomyślała, że to wielkie szczęście mieć takiego faceta jak Brian. Gdyby tylko zechciał być dla niej kimś więcej.

- Ciągle się na ciebie gniewam - drażniła się z nim, lecz w jej głosie nie brzmiała nawet nuta złości.

Usta Briana musnęły lekko jej usta.

- Nie wiem czemu, ale wydaje mi się, że nie mówisz tego poważnie - szepnął. - Ale nie będę się z tobą spierał w dniu urodzin. A skoro mowa o urodzinach...

Z kieszeni garnituru w prążki wyciągnął małą paczuszkę owiniętą srebrną folią i podał ją Zoey. Wahala się tylko chwilę, zanim ją przyjęła. Następnie podeszła do kanapy i usiadła. Brian usadowił się obok i objął ją czule. Zdarła opakowanie i w jej oczach zajaśniała słodka nadzieja - ujrzała logo Tiffany'ego na czarnym aksamitnym pudełeczku,

wprost idealnym dla pierścionka zaręczynowego. Co to będzie? Tradycyjny diament? Czy może Brian pamiętał, że woli szafiry?

Tak naprawdę jednak nie miało to najmniejszego znaczenia. Nawet gdyby był to tani, blaszany pierścionek ze straganu, i tak by się jej podobał. Oznaczałby bowiem, że Brian w końcu gotów jest powiedzieć: „Kocham cię i chcę z tobą spędzić resztę życia”.

Zerknęła na niego: miał zadowoloną minę. „Wiem na pewno, że to ci się spodoba” - zdawał się mówić.

Ponownie spojrzała na pudełeczko. Kryło w sobie jej przyszłość - przyszłość, w której będzie żyła długo i szczęśliwie. Być może Denise straciła wiarę w ten romantyczny ideał, ale nie Zoey. Wbrew wszystkiemu nadal wierzyła, że to możliwe.

Z zapartym tchem otworzyła pudełko.



ROZDZIAŁ DRUGI

W wyściełanym białym atlasem pudełeczku od jubilera leżały kolczyki. Z diamentami. Każdy z nich o wadze co najmniej jednego karata.

Na twarzy Zoey zastygł wyraz głębokiego zawodu.

Brian jednak zdawał się tego nie zauważać.

- Wiem, że są bardzo drogie, ale zasługujesz na nie - powiedział z dumą, biorąc jej milczenie za radosne oszołomienie. - Poza tym oprócz twoich urodzin mamy dzisiaj rocznicę naszego pierwszego spotkania.

- Piątą rocznicę - dodała Zoey ledwo słyszalnym głosem.

- Tak, dziś mija pięć lat. Siedziałem w tej restauracji i nagle zobaczyłem ciebie w towarzystwie przyjaciółek.

- Obchodziłam trzydzieste urodziny - powiedziała apatycznie Zoey.

- Zgadza się. Od razu postanowiłem, że się z tobą umówię.

„Dziś są moje trzydzieste piąte urodziny - pomyślała posepnie - a my nadal jedynie się umawiamy". Jak to będzie wyglądało w dniu czterdziestych urodzin? Wciąż będą się tylko umawiać na randki? Czy w ogóle Brian jeszcze z nią będzie? Do tego czasu równie dobrze może znaleźć sobie kogoś, z kim będzie mógł się związać na stałe. Zoey widziała wiele takich sytuacji. Dwoje ludzi było ze sobą od lat - nie mieli ślubu, ale wyglądali na zaangażowanych. Nagle, któregoś dnia, rozstawali się. A kilka miesięcy później facet zenił się z jakąś inną kobietą.

- Nie przejmuj się ceną tych kolczyków - ciągnął uspokajająco Brian. - W tym roku świetnie mi idzie. I wiesz co? Harrison powiedział mi w zaufaniu, że prawdopodobnie w przyszłym roku zostanę młodszym wspólnikiem. Najmłodszym w historii firmy. Co o tym sądzisz?

Nie od razu udało jej się odpowiedzieć.

- To wspaniale, Brian - wydukała w końcu. Wydawało się, że coś stoi jej w gardle, tak że z trudem wymawiała słowa.

- Mówiłem ci, że któregoś dnia zwrócą się te wszystkie nadgodziny.

Zoey jedynie pokiwała głową, bojąc się, że głos zdradziłby rozczarowanie. Brian wyjął pudełeczko z jej rąk i wyciągnął z niego kolczyki.

- No, załóż je. Zobaczmy, jak cudownie będziesz w nich wyglądała.

Zoey powoli wyjęła z uszu złote koła i założyła diamenty. Brian wziął ją za rękę, pomógł wstać i zaprowadził pod owalne lustro, prezent od Carli. Postawił przed nim Zoey, a sam stanął za nią i uniósł jej gęste, kręcone włosy. - Widzisz? Wyglądasz oszalamiająco.

Patrząc na swoje odbicie, Zoey nie widziała nic oszalamiającego. Widziała kobietę, która oddałaby wszystkie diamenty świata, żeby usłyszeć proste wyznanie miłości i zaangażowania. Czekala na nie od pięciu lat. Po raz pierwszy zaczynała wątpić, że kiedykolwiek je usłyszy.

Brian wtulił twarz w jej kark.

- Może byś nałożyła tę małą czarną, wiesz którą - wyszeptał. - Ruszemy w miasto. Trochę tańca. Dużo szampana. A potem wrócimy tutaj, żeby naprawdę uczcić twoje urodziny.

Zoey obróciła się przodem do Briana. Znała każdy rys jego twarzy, każdy cal ciała. Patrzyła jednak na niego, jakby widziała go pierwszy raz. Był przystojny, uroczy, hojny. I wierny. Tego była pewna. Mężczyzna, którego zaaprobowała jej rodzina i którego większość kobiet mogła jej pozazdrościć. A jednak w tej chwili to wszystko zdawało się nie mieć żadnego znaczenia. Poczucie zawodu było przytłaczające. Brian pytająco uniósł brwi.

- No i jak? Masz ochotę na trochę piasów w klubie?

- Otaczające ją ramiona sugestywnie wzmocniły uścisk, kiedy przyciągnął ją jeszcze bliżej. - Czy może zostaniemy tutaj? Wybór należy do ciebie. To twoje urodziny.

Otworzyła usta, ale zamiast odpowiedzi wyrwały jej się zupełnie nieoczekiwane słowa:

- Denise jest w ciąży.

Jego ciemnobrązowe oczy rozszerzyły się ze zdziwienia. Odsunął się od Zoey. Najwyraźniej nie miał najmniejszego pojęcia, czemu postanowiła podzielić się z nim tą informacją - ani jak powinien na nią zareagować.

- No tak, czy to problem? - zapytał wreszcie po niezręcznej chwili milczenia. - To znaczy: wydaje mi się, że nie planowała tego. O ile wiem, ostatnio nie była z nikim związana.

- Och, to było jak najbardziej planowane. Poddała się sztucznemu zapłodnieniu. Brian wyglądał, jakby kamień spadł mu z serca.

- To dobrze. Pomyślałem, że może chcesz, bym prowadził w jej imieniu sprawę przeciwko ojcu dziecka, a wolałbym tego nie robić. Nie bardzo lubię kobiety, które zachodzą w ciążę wbrew woli faceta.

Zoey odzyskała władzę nad swym głosem.

- To nie do wiary, że reagujesz na tę wiadomość jak prawnik! - rzuciła ostro.

- Cóż, jestem prawnikiem - zauważył rozsądnie Brian.

- I cały czas zajmuję się takimi problemami.

Zoey powiedziała sobie, że jej złość na niego jest niesprawiedliwa. Ledwo znał Denise, a już na pewno nie rozumiał jej rozczarowania dotychczasowymi związkami czy desperackiego pragnienia urodzenia dziecka, zanim będzie za późno. Zoey rozpaczliwie chciała uniknąć sporu na ten temat - sporu, który mógłby okazać się zabójczy dla jej związku z Brianem.

- Więc myślisz, że dobrze postąpiła? - spytała, przyjmując mniej zaczepny ton. Brian nachmurzył się.

- Oczywiście, że nie - odrzekł zimno. - Myślę, że postąpiła głupio. Ale to jej problem, nie mój.

Zoey nie mogła znieść chłodu, jaki wkradł się w jego głos. Chciała do niego dotrzeć, sprawić, żeby zrozumiał, ponieważ tak naprawdę nie mówiła o Denise - mówiła o sobie.

Spojrzała na niego błagalnie.

- Denise tak bardzo chce mieć dziecko. Jej życie jest bez niego puste i niepełne. Ja to rozumiem. A ty?

Jego usta zacisnęły się ze zniecierpliwieniem.

- Zoey, tę dyskusję mamy już za sobą.

Zoey zasepiła się.

- Nie, zaczęliśmy ją, ale nigdy jej nie skończyliśmy. Jakoś zawsze zbaczaliśmy z tematu.

Na rasowej twarzy Briana pojawiła się znajoma, uparta mina.

- Posłuchaj, dziś są twoje urodziny. Powinniśmy się bawić, a nie kłócić o te sprawy. Naprawdę nie ma sensu ciągnąć sporu do upadłego.

Ale tym razem Zoey nie miała zamiaru poddać się dla świętego spokoju. Cofnęła się o krok i oparła ręce na biodrach.

- A ja myślę, że jest - powiedziała stanowczo. - To dla mnie bardzo ważne, Brian. Muszę znać twoje stanowisko w tej sprawie. - Czekając chwilę na jego odpowiedź. Nie odzywał się, więc przepelnionym szczerością głosem ciągnęła dalej: - Chcę mieć dzieci. Muszę być matką. Potrzebuję tego tak bardzo, jak wyrażania swoich uczuć i myśli poprzez zdjęcia.

- To fotografuj dzieci - zażartował z łagodzącym uśmiechem Brian. - W ten sposób będziesz mogła się nimi nacieszyć, a potem, jak się zmęczysz, zostawić komuś innemu.

Zawrzał w niej gniew.

- To nie jest żart! Mówię jak najbardziej poważnie. Ostatnio, kiedy dostrzegam dziecko w wózku, oczy zachodzą mi mgłą. Albo kiedy przeglądam album matki i widzę siebie otoczoną braćmi, kuzynami, ciotkami i wujkami. Instytucja rodziny jest dla mnie bardzo ważna. Zaczęłam nawet oglądać te głupie rodzinne komedie, z których się wyśmiewałam - dodała z zakłopotaniem.

Brian podszedł do niej, ujął jej twarz w dłonie i zmusił, żeby na niego spojrzała.

- Prowadzimy razem wspaniałe życie, Zoey - powiedział, dokładnie wymawiając każde słowo, aby podkreślić ich znaczenie. - Oboje kochamy swoją pracę, możemy swobodnie wyjeżdżać na wakacje, kiedy tylko chcemy, bo nie jesteśmy z nikim związani. To mi wystarcza. Myślałem, że tobie też. - Przy ostatnim zdaniu w jego głosie zabrzmiała dezaprobata.

- Przez jakiś czas wystarczało - przytaknęła z wahaniem Zoey. - Ekscytował mnie sukces, na który tak długo i ciężko pracowałam. To, że mogłam się tym z tobą dzielić, wiedząc, że jesteś ze mnie dumny i chcesz, bym skupiła się na karierze.

- Nigdy nie narzekałem na to, że tak dużo czasu poświęcasz pracy - przypomniał jej Brian.

Zoey odsunęła się od niego i powoli pokiwała głową.

- Tak, nie narzekałeś. Bo nie chciałeś, żebym odpłaciła ci tym samym i narzekała na twoje nadgodziny.

- Ten układ był wygodny dla nas obojga - stwierdził Brian.

- Tak. Przez jakiś czas. - Głos Zoey zszedł do szeptu.

- Ale teraz potrzebuję czegoś więcej. Potrzebuję rodziny.

- Twoje wyobrażenie rodziny jest wyidealizowane - rzucił Brian ostrym tonem w stylu „zmuś przeciwnika do defensywy”, którego używał na sali sądowej.

Zoey nachmurzyła się.

- Nie. Wcale nie. Jestem aż do bólu świadoma zarówno dobrych, jak i złych stron bycia częścią rodziny. Ale według mnie te dobre mają dużo większe znaczenie niż złe.

Najwyraźniej uznając swój błąd, Brian wycofał się. Nerwowo przeczesał ręką włosy.

- W porządku, to było nie fair, przepraszam - przyznał.

- Ale skoro już poruszyłaś ten temat, spójrz na sytuację własnej rodziny. Powinna być wystarczającym dowodem na to, że...

- Dowodem! - wybuchnęła Zoey, tracąc w końcu panowanie nad sobą. - Chciałabym, żebyś raz przestał mówić jak prawnik i był po prostu człowiekiem!

- Jako prawnik, specjalista od prawa rodzinnego - przypomniał jej znacząco Brian - widzę o wiele za dużo rozwodów, prowadzących do ruiny finansowej, i wyczerpujących emocjonalnie bitew o opiekę nad dziećmi. Nie chcę nigdy znaleźć się w takiej sytuacji. I zrobię wszystko, żeby się przed tym zabezpieczyć!

Zoey poczuła się, jakby ktoś ją właśnie uderzył w żołądek.

- Co to znaczy? Co masz na myśli, Brian? Zawahał się.

- Umówiłem się dzisiaj na zabieg podwiązania nasieniowodów - powiedział w końcu bezbarwnym głosem.

Zoey była oszołomiona. Wyrwała się z uścisku Briana i patrzyła na niego przez dłuższą chwilę.

- Nie... nie miałeś zamiaru mi o tym powiedzieć, prawda? - udało jej się wreszcie wyjąkać.

Brian miał na tyle przyzwoitości, żeby okazać lekkie poczucie winy.

- W końcu bym ci o tym wspomniał.

- W końcu! Wiesz, że chcę mieć dzieci. Jak mogłeś podjąć tak ważną decyzję bez rozmowy ze mną?

- Nie było sensu o tym rozmawiać. Już się zdecydowałem.

Spojrzała na niego, na tego stojącego przed nią obcego człowieka, który kiedyś wydawał się jej znajomy. Zastanawiała się, jak, u licha, mogła spędzić z nim pięć długich lat w emocjonalnej i fizycznej bliskości, nie zdając sobie sprawy, że każde z nich chce od życia czego innego. Zrobiło jej się niedobrze, kiedy pojęła, że tak naprawdę w ogóle go nie rozumie.

- Posłuchaj, Zoey, chyba niepotrzebnie robisz z tego problem - dodał szybko Brian, widząc głębokie rozczarowanie malujące się na jej twarzy. - To tylko jeden z wielu aspektów naszego związku, który pod innymi względami jest bardzo udany. Nie zgadzamy się tylko w tej jednej sprawie.

- To nie jest sprawa drugorzędna - powiedziała Zoey przybitym głosem.

- Ale spójrz na to z szerszej perspektywy. Mamy takie same zainteresowania, lubimy robić razem wiele rzeczy, nawet tak samo głosujemy. Wszystko nas łączy, nigdy się nie kłócimy. Z wyjątkiem tej sprawy z dziećmi. Jesteśmy dla siebie stworzeni, Zoey.

- Też tak myślałam, Brian - odrzekła raczej ze smutkiem niż ze złością - ale widocznie oboje się myliliśmy.

Zdawało się, że w końcu pojął wagę ich sporu. Był zdecydowany przekonać ją, iż się myli.

- Posłuchaj, oboje wiemy, że mieliśmy wielkie szczęście, odnajdując się nawzajem w mieście pełnym samotnych ludzi.

- Nieudolnie próbując uniknąć zarozumiałości w głosie, ciągnął dalej: - Wystarczy, żebyś spojrzała na większość swoich przyjaciółek, a przekonasz się, jak trudno znaleźć odpowiedniego faceta. W Nowym Jorku jest o wiele więcej samotnych kobiet niż

mężczyzn. Jestem trudno dostępnym towarem - heteroseksualnym, ustabilizowanym finansowo i zawodowo mężczyzną.

Zoey zawsze była przeświadczona o zdrowym ego Briana. Kiedy przyjaciółki zarzucały mu zarozumialstwo, broniła go, upierając się, że byłby nieszczerzy, gdyby przy wszystkich swoich zaletach udawał skromnego. Jednak do tej chwili nie zdawała sobie sprawy z jego arogancji. Serce jej zamarło, kiedy pojęła, że Carla ma rację. Myślał, iż może ją mieć na każde zawołanie. A ona mu na to pozwalała.

W jej szarych oczach, zwykle miłych i łagodnych, błysnął gniew. Często ludzie, a zwłaszcza matka, mówili jej, że ma irlandzki temperament. Teraz miał on eksplodować. Jej ciało zeszywniało, a ręce zacisnęły się w pięści.

Brian nie był głupi. Zauważył, że trochę się zagalopował.

- No i oczywiście wiem, jakim jestem szczęściarzem, mając ciebie - dodał szybko. - O taką dziewczynę faceci mogliby się pozabijać. Piękna, inteligentna, seksowna...

- To brzmi, jakbyśmy się reklamowali na rynku mięsnym - powiedziała z furją Zoey. - Nie usłyszałam ani słowa o miłości czy małżeństwie.

- Do diabła, Zoey, wiesz, że cię kocham!

- Czyżby? Zawsze wydawało mi się, że częścią miłości jest zaufanie, a ty najwyraźniej mi nie ufasz. Inaczej nie zdecydowałbyś się na ten zabieg. O co chodzi, Brian? Boisz się, że może jestem jedną z tych okropnych bab, które wrabiają facetów w ojcostwo?

Teraz i on stracił panowanie nad sobą.

- Jesteś śmieszna, sama o tym wiesz - rzucił ostro.

- Nie mogę z tobą normalnie rozmawiać, kiedy jesteś w takim stanie. Powiedziałem, że cię kocham, i to powinno wystarczyć.

- Myślę, że po prostu jestem dla ciebie bardzo wygodna. Na pewno nie kochasz mnie na tyle, żeby ożenić się ze mną i mieć dzieci.

- Związałem się z tobą! I nie zamierzam się z tego wycofywać! Nie potrzebujemy żadnego świstka!

Nagle Zoey poczuła, że nie zniesie tej konfrontacji ani chwili dłużej. Podeszła do okna i spojrzała na miasto niewidzącym wzrokiem.

Zmusiła się do spokoju i odwróciła w stronę Briana.

- Ten świstek, Brian, nazywa się małżeństwem. A ty panicznie się boisz małżeństwa. Dopiero teraz zrozumiałam, jak bardzo przeraża cię myśl, że miałbyś spędzić resztę życia z jedną osobą. - Zauważyła pozostawiony na stole przez Carlę biuletyn „Poznajmy się”. Wzięła go do ręki. - I mimo że wydaje ci się inaczej, nie jesteś jedyną zwierzyną do upolowania. Ten biuletyn jest pełen mężczyzn, którzy marzą o małżeństwie i dzieciach.

Wybrała ogłoszenie na chybił trafił i przeczytała na głos:

- „Mam trzydzieści sześć lat i wyższe wykształcenie, hoduję bydło, chciałbym się ożenić i mieć dzieci. Nie jestem doskonały i nie szukam doskonałej kobiety. Tyler Ross”.

- Aha, jasne, już widzę, jak by ci ten wieśniak przypadł do gustu - parsknął siedzący na kanapie Brian.

Usiłowania Zoey, żeby zachować spokój, spełzły na niczym. Rzuciła Brianowi piorunujące spojrzenie.

- Przynajmniej nie jest wielkomięskim pętakiem, który boi się zobowiązań!

Brian bezradnie uniósł ręce.

- Dobra, jeśli chcesz tego kmiota, weź go sobie! Odpowiedz na jego głupie ogłoszenie!

Zoey nie należała do osób, które odrzucają wyzwania. Jej reakcja była równie zapalczywa.

- Dobrze, odpowiem! - Podeszła do stojącego na biurku telefonu, i energicznie wybrała numer podany na tytułowej stronie „Poznajmy się”. Po wysłuchaniu nagranej informacji, wyjaśniającej, w jaki sposób należy odpowiedzieć na wybrane ogłoszenie, oznajmiła drżącym ze zdenerwowania głosem: - Zainteresował mnie anons Tylera Rossa...

Zanim skończyła, Brian wstał i wypadł z mieszkania, trzaskając za sobą drzwiami. Zoey pospiesznie podała nazwisko, adres i numer telefonu, po czym odłożyła słuchawkę i wbiła wzrok w drzwi, za którymi przed chwilą zniknął Brian.

„Co ja zrobiłam?” - spytała samą siebie. Ale świetnie знаła odpowiedź. Pokazała właśnie Brianowi, że nie może jej mieć na każde zawołanie. Jednak zadowolenie z tego, że potrafiła stanąć w obronie własnych interesów, połączone było z obawą, iż straciła go

na zawsze. Co gorsza, w swoją deklarację niezależności wmieszała zupełnie obcego człowieka.

Teraz, kiedy zaczęła się uspokajać, zrozumiała, że zrobiła właśnie coś bardzo nierozsądnego. Nie mogła uwierzyć, że naprawdę zadzwoniła do tego głupiego biuletynu. Ani złość na Briana, który stwierdził zarozumiale, że Zoey ma szczęście, będąc z nim, ani ból wywołany myślą, że on nie chce, by urodziła jego dziecko, nie mogły jej tłumaczyć.

Przypominając sobie o remedium matki na każdy kryzys - filiżance mocnej herbaty - Zoey weszła do kuchni, napełniła miedziany czajnik wodą i zapaliła pod nim palnik. Gdy czekała, aż woda się zagotuje, przez moment pomyślała w panice, czy nie odwołać swojego zgłoszenia. „Ale jak mam unieważnić wiadomość nagraną na automatycznej sekretarce? - zastanowiła się. - Co powiedzieć? Zignoruj moją wiadomość, jestem głupią kobietą, którą trochę poniosło ze złości na faceta i która postanowiła cię wykorzystać, żeby utrzyć mu nosa?”

Szczerze mówiąc, sprawa nie była tak prosta. Chodziło również o coś innego - oszołomiło ją odkrycie, że Brian nie ufa jej w podstawowej sprawie: nie wierzy, że nie zajdzie w ciążę bez jego zgody. A co bardziej bolesne, jego odmowa podjęcia trwalszych zobowiązań i niechęć do ojcostwa była niezłomna. Nie pozostawiała miejsca na dyskusję.

Kilkoma krótkimi, ale boleśnie jasnymi słowami Brian zniszczył marzenia Zoey o ich wspólnej przyszłości.

Nie, nie mogła zadzwonić do „Poznajmy się” i zostawić takiej wiadomości na kasecie dla Tylera Rossa.

Dałaby wszystko, by móc cofnąć to, co tak bezmyślnie i impulsywnie zrobiła. Nie było to jednak możliwe. Wszystko działo się na żywo, bez możliwości dokonania poprawek.

Zoey westchnęła ciężko - była teraz bardziej zła na siebie niż zaledwie chwilę wcześniej na Briana, ale nie mogła nic na to poradzić. Powiedziała sobie, że mężczyźni z biuletynu otrzymują dużo propozycji i jej zgłoszenie będzie tylko jednym z wielu. Przecież na pewno nie brakuje zdesperowanych kobiet, które nie dbają o to, że ci mężczyźni żyją z dala od cywilizacji i nie mogą się wykazać szczególną ogładą towarzyską, inteligencją czy kulturą.

A w głosie Zoey, gdy się nagrywała, nie było entuzjazmu ani wyjątkowego zainteresowania. Wspomniała też, że mieszka w Nowym Jorku. Hodowca bydła z Wyoming na pewno zignoruje kogoś z tak daleka. Będzie wiedział, że nie należy ona do kobiet, które potrafią naprawić płot czy prowadzić ciągnik.

Gdy czajnik zaczął gwizdać, zdesperowana Zoey powiedziała sobie, że prawdopodobieństwo otrzymania wiadomości od Tylera Rossa jest znikome.

ROZDZIAŁ TRZECI

Nad dolinę Jackson Hole w stanie Wyoming wtoczyła się ogniście czerwona kula porannego słońca. Ponad zapierającą dech w piersi łąką, przystrojoną barwnymi kwiatami, okoloną wysokimi świerkami i sosnami, majestatycznie wznosił się wspaniały łańcuch pokrytych śniegiem gór Teton, które zdawały się przebijać błękitne, nie skażone przez cywilizację niebo. Panowała kompletna cisza, przerywana od czasu do czasu piskliwymi odgłosami nawołujących się ptaków.

W płytkim strumieniu biegnącym skrajem łąki stała samica łosia. Razem z urodzonym tej wiosny młodym piła czystą, zimną wodę. Nagle podniosła łeb - dobiegło ją ciche i odległe, ale niepokojące dudnienie. Wyszła ze strumienia i szybko odeszła, prowadząc za sobą ciele.

Tyler Ross siedział na swej kasztance Dolly, ukrytej wśród otaczających łąkę drzew. Czuł się w siodle równie pewnie i swobodnie jak mieszkańcy miast za kierownicą. Trzydziestosześcioletni Tyler był szczupłym mężczyzną o bezpośrednim - jak na chłopaka ze wsi przystało - spojrzeniu. Jego uroda była dość surowa, ale wystarczająco interesująca, by mógł pozować do reklamy Ralphi Laurena. Nigdy by tego jednak nie zrobił, ponieważ uważał, że znaki firmowe sławnych projektantów potrzebne są jedynie ludziom, którzy czują się na tyle niepewnie, by płacić ciężkie pieniądze za noszenie cudzego nazwiska na siedzeniu.

Przysłuchiwał się czemuś przez chwilę, po czym odwrócił się do swego towarzysza, również siedzącego na koniu.

- Zbliżają się, Jesse - powiedział ochryplym z przejęcia głosem.

Jesse Sayres był drobnym, zasuszonym starszym mężczyzną o przerzedzonych siwych włosach i mocno pomarszczonej twarzy pokrytej szarą szczecina.

- No - przytaknął lakonicznie Jesse. Po czym, mimo że się nie łudził, iż cokolwiek w ten sposób osiągnie, spytał: - Na pewno tego chcesz, Tyler?

Tyler uśmiechnął się ujmująco.

- Zawsze mnie o to pytasz i odpowiedź jest zawsze taka sama. Jesse pokręcił głową.

- Cholerny, głupi szczeniak - wymamrotał szeptem.

Tyler usłyszał go, ale się nie obraził. Odkąd mógł sięgnąć pamięcią, Jesse był jedynym stałym robotnikiem mieszkającym na ranchu Rossów. Poza ojcem, który umarł, gdy Tyler miał dwadzieścia lat, nie było mężczyzny, którego szanowałby bardziej niż Jessego. Skończył on tylko sześć klas podstawówki i niewiele wiedział - czy może nie chciał wiedzieć - o świecie leżącym poza długą na czterdzieści osiem mil doliną Jackson Hole, w której się urodził i wychował. Wiedział za to wszystko o koniach, hodowli bydła i sposobach przetrwania na pustkowiu. Co ważniejsze, był bardzo lojalny wobec ludzi, na których mu zależało, i miał wrodzone poczucie uczciwości. Nie dorównywała mu większość lepiej wykształconych i usytuowanych mężczyzn, jakich Tyler kiedykolwiek spotkał.

Wysoko cenił zdanie Jessego i chciałby mu wytłumaczyć, dlaczego powziął taki a nie inny zamiar. Zdawał sobie jednak sprawę, że Jesse nie potrafiłby - albo nie chciał - tego zrozumieć. Nie był nawet pewien, czy sam to rozumie. Wiedział tylko, że musi to zrobić.

Nagle zeszywniał w siodle i wskazał na drugi koniec łąki.

- Są!

Rozległo się ciężkie, coraz głośniejsze dudnienie. Z gęstej kępy drzew wyskoczyło małe stado mustangów, prowadzone przez wielkiego ogiera Appaloosę. Ogier był wspaniały - rozszerzone nozdrza, falująca grzywa, napięte mięśnie. Łagodne światło poranka padało na czarny grzbiet i białe zad upstrzone czarnymi plamkami.

Biegące za nim klacze, źrebięta i roczne konie tworzyły zapierający dech w piersiach obraz. Zwierzęta były gniade, kare, kasztanowe, srokate, izabelowate - wszystkie

lśniące, silne, uduchowione i wolne. Biegając przez łąkę, jakby była ich własnością, tworzyły uderzającą mozaikę kolorów. Ich boki błyszcząły, mięśnie falowały, grzywy wznosiły się i opadały w rytm tętentu nie podkutych kopyt. Pewnie stąpające, niczym nie ograniczone, zdawały się galopować dla samej radości galopu.

Mustangi były żywym symbolem zupełnej dzikości. Kiedy Tyler na nie patrzył, jego twarz rozjaśniała nieopanowana radość, której nie czuł w żadnej innej sytuacji. Pierwotna natura tych nieokiełznanych zwierząt poruszała jakąś część jego duszy.

Zagłębił ostrogi w bokach konia, wypadł zza drzew i popędził, by przeciąć ogierowi drogę. Jesse posłusznie ruszył z tyłu. Może i uważał Tylera za głupca, ale skoczyłby za nim w ogień, gdyby ten go o to poprosił.

Tyler zdjął lasso z łęku siodła i przez chwilę kręcił nim wprawnie nad głową. Następnie, dokładnie wymierzając odległość dzielącą go od ogiera, puścił linę. Wdzięcznym łukiem przecięła powietrze, po czym opadła, otaczając masywny kark zwierzęcia. Tyler nagle zatrzymał Dolly, stopując tym samym parskającego mustanga, który stanął dęba. Kiedy ogier próbował zrzucić krępującą go linę, Dolly, cofając się, utrzymywała napięcie sznura. Była świetnie wyszkolonym koniem - nigdy nie pozwoliłaby Appaloosie wyrwać się z arkana.

Tyler zeskoczył z klaczy, podszedł do ogiera i przełożył mu uździenicę przez łeb, którym zwierzę cały czas podrzucało. Wskoczył na nagi grzbiet konia, zrzucił lasso i ścisnął mocnymi nogami jego falujące boki.

- No to zatańczmy - powiedział zuchwale. Uwolniony z liny ogier ruszył z miejsca, brykając i kopiąc.

Chwilę później Tyler wylądował na ziemi. Koń bezceremonialnie zrzucił przeszkadzającą mu uździenicę i popędził w kierunku, w którym odeszło jego stado.

Tyler otrzepał się z kurzu i ruszył przed siebie, starając się oszczędzać potłuczoną lewą nogę.

Jesse podjechał do niego.

- Może byś tak po prostu wziął tego cholernego zwierzaka do corralu i ujeździł jak trzeba? - zapytał.

- Nie. Nie chcę go oswajać. Chcę tylko któregoś dnia udowodnić, że mogę się na nim przejechać.

- Nigdy ci się to nie uda - powiedział z przekonaniem Jesse. Tyler uśmiechnął się tylko.

- Zobaczymy.

Podjechali konno do pick-upa, którego zostawili na skraju piaszczystej drogi, kończącej się kilka mil od łąki. Wprowadziwszy konie do przyczepy, ruszyli do domu. Tyler zaczynał już czuć skutki nagłego lądowania na twardym gruncie i marzył o długiej, gorącej kąpieli.

Z zamyślenia wyrwał go sygnał telefonu samochodowego. Tylko jedna osoba mogła do niego dzwonić, kiedy jechał pick-upem. Wiedział więc, kto to, zanim jeszcze podniósł słuchawkę.

- Cześć, Laurie.

- Tylerze Franklinie Ross, znowu uganiałeś się za tym głupim koniem, prawda?

- Dziękuję, dobrze. A ty, siostrzyczko? - odpowiedział swobodnie Tyler.

W słuchawce zabrzmiało długie westchnienie.

- Słuchaj, dostałeś kolejne zgłoszenie z „Poznajmy się” - ciągnęła Laurie łagodniejszym tonem. - Tym razem, wyobraź sobie, aż z Nowego Jorku.

- Aha. - Tyler nie wykazywał najmniejszego zainteresowania.

- Kiedy, u licha, zadzwonisz w końcu do którejś z tych kobiet? - spytała Laurie.

- Kiedyś - odpowiedział wymijająco Tyler.

- To „kiedyś” jakoś nie wydaje się nadchodzić, braciszku.

- Pamiętaj, czyj to był pomysł, Laurie - rzucił zdenerwowany Tyler.

- Pewnie, że pamiętam. Pamiętam też, że zgodziłeś się spotkać przynajmniej z jedną z nich, zanim znowu zamkniesz się w swojej skorupie.

- Tak, z jedną. Po czym ty miałaś zostawić mnie w spokoju.

- Cóż, nie wypełniłeś swojej części układu, więc mam zamiar nadal cię dręczyć.

- Tam do licha, chcę to mieć wreszcie za sobą. Odezwę się do którejś z nich.

- Do której? - spytała z ciekawością Laurie. - Do tej małej z Laramie? A może do tej z Denver, która nagrała taką ciekawą wiadomość? Wiem, że Denver jest trochę daleko, ale...

- Zobaczysz - powiedział tajemniczo Tyler. - Pamiętaj tylko o naszym układzie. Spotkam się z jedną z nich, a ty przestaniesz bawić się w Amora. Na zawsze. - Nie mówiąc nic więcej, odłożył słuchawkę.

Siedzący obok Jesse spojrzął na niego z miną człowieka świetnie zorientowanego w sytuacji.

- Znowu masz ten szatański błysk w oczach, zupełnie jak wtedy, kiedy jako dzieciak miałeś zamiar coś spsocić. Co knujesz tym razem?

Tyler wzruszył ramionami.

- A, nic takiego. Chcę tylko, żeby odcepiała się ode mnie ta niezdolna siostra. - Jednak jego grymas zadawał kłam niewinnym słowom.

Zoey i Carla wyszły z restauracji w Soho, w której Carla pracowała jako hostessa, i ruszyły w stronę mieszkania Zoey, odległego tylko o dwie przecznice. Było gorąco, duszno i parno, jak zwykle w mieście w środku lata. Obie miały na sobie jasne, luźne i lekkie jak mgiełka sukienki bez rękawów, kołyszące się swobodnie wokół kostek, ale mimo to ciągle było im za gorąco. Na ich bladej skórze lśnił pot. Wilgoć jeszcze bardziej skreśliła włosy Zoey i wyprostowała Carli.

- I co wtedy zrobiłaś? - spytała z żywym zainteresowaniem Carla.

- Podniosłam słuchawkę i zadzwoniłam do „Poznajmy się” - odrzekła ponuro Zoey. - Naprawdę odpowiedziałam na jedno z tych beznadziejnych ogłoszeń. Ciągle nie mogę w to uwierzyć. Ależ to było głupie!

- Świetnie! - krzyknęła zachwycona Carla. - Na które ogłoszenie odpowiedziałaś?

- Nie pamiętam. Tyler jakiś tam z Montany, Wyoming czy czegoś w tym rodzaju. Ale to nieważne. Ważne, że Brian wypadł z mieszkania, trzaskając drzwiami. To było cztery dni temu i od tego czasu nie odezwał się do mnie.

Carla złapała Zoey za ramię, zatrzymując ją na środku zatłoczonego chodnika. Ludzie mijali je niczym wody strumienia, który natrafił na skałę.

- Posłuchaj. Bardzo dobrze postąpiłaś - powiedziała z mocą Carla.

Zoey jęknęła.

- Tak, jasne, to było bardzo mądre, że zadzwoniłam do jakiegoś kowboja mieszkającego gdzieś w głębi kraju. Jestem pewna, że właśnie to poleciliby doktor Joyce Brothers jako dojrzały sposób rozwiązania problemu z partnerem.

- Stawiłaś Brianowi czoło. Mogłabym dodać „nareszcie”. Od lat prowadził cię na pasku. Cieszę się, że wreszcie się z niego zerwałaś.

Zoey znów ruszyła, kręcąc ze smutkiem głową.

- Nie rozumiesz...

- Właśnie, że rozumiem - odparła Carla. - Tak bardzo bałaś się utraty Briana, że pozwalałaś mu się traktować jak hotel - miejsce, gdzie może się wprowadzać i wyprowadzać, kiedy tylko ma ochotę. Dla niego jesteś tylko lokalnym Holiday Inn.

- To niesprawiedliwe. - Zoey zareagowała na atak złością.

- Brian to wspaniały facet. Ma tyle zalet: jest pracowity, bystry, wszystko mu się udaje...

- I rządzi waszym związkiem - wtrąciła cierpko Carla.

- Wszystko kręci się wokół jego planu zajęć. Wszystko, co robisz, jest dostosowane do jego potrzeb.

- Nie przesadzaj, Carla - odpowiedziała nieobecna duchem Zoey. Jej oko fotografa zauważało mijane obrazy, które chętnie utrwaliby na kliszy: stojący w bramie bezdomny ze świeżym kwiatkiem wetkniętym filuternie w dziurkę zniszczonej marynarki, para nastolatków o jaskrawopomarańczowych, najeżonych włosach, oboje w czarnych skórzanych kamizelkach i podartych dżinsach, idący ramię w ramię, przy czym każde z nich wyglądało jak lustrzane odbicie drugiego.

Ciemne brwi Carli uniosły się pytająco.

- Tak? A kiedy ostatnio to ty wybrałaś film, na który poszliście razem? Kiedy ostatnio on wcześniej wyszedł z pracy, żeby towarzyszyć ci na jakiejś uroczystości? Czy, inaczej mówiąc, kiedy ostatnio towarzyszył ci na imprezie nie związanej z jego pracą? Nie przyszedł nawet na to ostatnie przyjęcie.

- Miał kryzys w pracy - powiedziała bez przekonania Zoey.

- On zawsze ma kryzys w pracy.

Zoey zrobiła nieszczęśliwą minę. Prędzej ją diabli porwą, niż przyzna Carli rację.

- Ale wiesz, że jeśli go zostawię, znajdą się tuziny kobiet, które chętnie się nim zajmą - powiedziała cichym głosem, zdradzającym stan jej ducha.

- Tak, dlatego że dla nich ważne jest tylko jego piękne opakowanie. Wspaniała kariera, świetny wygląd, znana rodzina.

- Nie dlatego go kocham - zauważyła Zoey. Carla westchnęła.

- Wiem - przytaknęła. - Jakimś sposobem owinął sobie twoje serce wokół małego palca. Ale musisz zrozumieć, że jeśli naprawdę go chcesz, nie zdobędziesz go zbyt uległością. Skoro sama się nie cenisz, on też nie będzie cię cenił.

Dotarły na miejsce. Zatrzymały się w hallu, gdzie Zoey wyjęła pocztę ze skrzynki. W windzie przeglądała leniwie gruby plik rachunków, reklam i czasopism.

- Poznałam mnóstwo takich facetów jak Brian - ciągnęła dalej Carla. - Jeśli myślą, że się za nimi uganiaasz, nakładają buty z kolcami i znikają w obłoku kurzu. Ale jeśli nie są cię pewni, jeśli się wahasz, a zwłaszcza jeśli myślą, że interesuje cię ktoś inny, chcą jak najszybciej się z tobą związać. Mężczyzna nigdy nie pragnie kobiety bardziej niż wtedy, kiedy myśli, że inny mężczyzna mógłby jej zapragnąć.

- To znaczy, że mam grać trudną do zdobycia - zauważyła z widoczną dezaprobatą Zoey.

- Na pewno jest to skuteczniejsze od grania łatwej do zdobycia.

Zoey nachmurzyła się.

- Ja nie gram.

- Cóż, a Brian owszem. W dodatku wygrywa.

Zoey otworzyła drzwi i obie weszły do jej mieszkania.

- Budzenie w nim zazdrości przez odpowiadanie na ogłoszenie matrymonialne jakiegoś kowboja na pewno nie jest dobrym rozwiązaniem - odrzekła dosadnie Zoey.

- E tam, ten facet pewnie i tak się do ciebie nie odezwie - powiedziała pewna siebie Carla. - Nie przejmuj się nim.

Nagle Zoey zamarła na środku mieszkania.

- O Boże - szepnęła, upuszczając na podłogę całą pocztę, oprócz jednej koperty.

- Co? Co to jest?

Podala list Carli, która odczytała stempel: Jackson Hole, Wyoming. Uśmiechnęła się złośliwie.

- No, no. Kto by pomyślał...

Zoey odebrała jej list i rozerwała kopertę. Na jej twarzy i w zwężonych oczach malowało się przerażenie. Zaczęła czytać, mruczając pod nosem fragmenty.

- „Dziękuję za odpowiedź na ogłoszenie... podobał mi się pani głos... tysiąc akrów ziemi... pokazać pani moje ranczo... załączam bilet...”

Przerwała, jeszcze raz zajrzała do koperty i wyjęła z niej bilet na samolot. Zaciekawiona Carla wyrwała go jej z rąk i dokładnie obejrzała.

- Podróż do Jackson Hole i z powrotem. Pierwszą klasą - zauważyła z aprobatą.

Zoey odebrała bilet i wsadziła go do koperty razem z listem, po czym rzuciła wszystko na biurko.

- Nawet jeśli przyśle po mnie prywatny odrzutowiec, to nie ma znaczenia.

Oczywiście nie jadę.

Carla złapała ją za ramię.

- Chwileczkę. To wcale nie jest takie oczywiste.

- No nie! - Zoey była zdumiona. - Chyba nie przeszło ci przez myśl, że rzeczywiście mogłabym tam pojechać i spotkać się z nim!

- Czemu nie? - spytała po prostu Carla.

- Czemu nie? - powiedziała z przejęciem Zoey. - Czemu nie? - powtórzyła po chwili. - Bo to twój najgłupszy pomysł, a masz już na koncie parę naprawdę głupich.

- Jestem artystką nie docenianą przez współczesnych - odpowiedziała automatycznie Carla swoim standardowym tekstem, po czym z sugestywnym uśmiechem ciągnęła dalej:

- Popatrz na to inaczej. Dzięki temu Brian przestanie myśleć, że może cię mieć na każde zawołanie.

- Nie zamierzam wykorzystywać jakiegoś Bogu ducha winnego biedaka, żeby wzbudzić zazdrość w Brianie. To by było nie fair w stosunku do tamtego faceta.

- Czy według ciebie byłoby fair zwrócić bilet, mówiąc: „Dzięki, ale nie, nie skorzystam”? To by naprawdę zraniło jego ego.

- Carla, wiem, że w stosunku do mężczyzn jesteś bezlitosna - powiedziała bez ogródek Zoey - ale ja nie chcę ranić tego faceta udawaniem zainteresowania, którego nie czuję.

- Jeśli naprawdę przejmujesz się jego uczuciami, pojedziesz i spotkasz się z nim. - Zanim Zoey mogła odpowiedzieć, Carla dodała: - Zastanów się nad tym przez chwilę. Teraz wydaje mu się, że się tobą interesuje, ale jest tak tylko dlatego, że cię nie zna.

Zoey powoli pokręciła głową.

- Serdeczne dzięki. Cudownie wpływasz na moje ego. - Ruszyła w stronę kuchni, czując, że naprawdę potrzebuje filiżanki herbaty.

- Chodzi mi o to - wyjaśniała cierpliwie Carla - że to, co nieznane, zawsze intryguje nas bardziej niż to, co już znamy. Jeśli się z nim spotkasz i on zobaczy, jak bardzo się różnicie, przestanie się tobą interesować. W ten sposób przynajmniej pozwolisz, żeby to on był stroną odrzucającą. A to będzie dużo bardziej uprzejme, niż gdybyś go odrzuciła, nie wiedząc nawet, jak wygląda.

Zoey już otwierała usta, by się odciąć, ale ku swemu zaskoczeniu nie była w stanie wymyślić żadnego kontrargumentu. Po około dwudziestu latach umawiania się na randki wiedziała z własnego bolesnego doświadczenia, że zawsze lepiej być osobą odrzucającą niż odrzucaną. I Carla prawdopodobnie miała rację: kiedy tylko ten Tyler Ross ją pozna i zobaczy, jak bardzo się różnią, zupełnie przestanie się nią interesować. Z pewnością nie szuka kobiety zajętej robieniem kariery w Nowym Jorku.

Widząc swoją przewagę, Carla naciskała dalej.

- Pozwól mu być górą. Tak jak pozwalasz Brianowi. - Nie mogła się powstrzymać przed dodaniem ostatniego zdania.

Zoey napełniła miedziany czajnik wodą i zapaliła pod nim gaz. Następnie postawiła dwie filiżanki i dwa spodki na pokrytym białymi kaflami kontuarze. Odwróciła się do Carli i spojrzała na nią uważnie.

- Nigdy tak naprawdę nie lubiłaś Briana. Dlaczego starasz się namówić mnie do czegoś szalonego, co miałyby wzbudzić jego zainteresowanie?

- Bo dobrze cię znam. W przeciwieństwie do mnie jesteś monogamistką i zdecydowałaś, że to właśnie Brian ma być twoim jedynym. A że jesteś moją najlepszą przyjaciółką i chcę, byś była szczęśliwa, pomagam ci zdobyć to, czego potrzebujesz.

Zoey wiedziała, że Carla ma rację. W odróżnieniu od niej nie była zainteresowana sprawdzaniem, ilu facetów jest w stanie w sobie rozkochać. Potrzebowała miłości jednego mężczyzny - Briana.

Nie mogła uwierzyć, że rzeczywiście zastanawia się nad sugestią Carli i zrealizowaniem jej pomysłu. Ale tak właśnie było.

Czajnik zagwizdał - woda się gotowała. Zoey naląła jej do filiżanek i włożyła saszetki z herbatą.

- Ale nie mogę pozwolić, żeby płacił za moją podróż - powiedziała niepewnym głosem. - Nie znam jego sytuacji finansowej. Może zebranie pieniędzy na bilet pierwszej klasy dużo go kosztowało.

- Na miłość boską, ma przecież tysiąc akrów ziemi - zauważyła Carla.

- To jeszcze nie znaczy, że dobrze mu się powodzi - rzuciła przez ramię Zoey, niosąc filiżankę do salonu.

Carla wzięła swoją herbatę i poszła za przyjaciółką.

- W takim razie zwróć mu bilet i kup sobie własny - powiedziała rozsądnie, po czym, drażniąc się z Zoey, dodała: - Teraz, kiedy jesteś bogatym i sławnym fotografikiem, możesz sobie na to pozwolić.

Zoey opadła na jasnoczerwoną kanapę. Westchnęła ciężko, wpatrując się w sufit.

- Nie mogę uwierzyć, że poważnie się nad tym zastanawiam.

Carla zrzuciła sandały i ułożyła się na dużym, mocno wypchanym fotelu w czerwono-białe paski, stojącym naprzeciwko kanapy.

- Ja też, szczerze mówiąc. Zwykle jesteś zbyt zasadnicza, żeby zrobić coś tak dzikiego i ryzykownego.

- Wcale nie jestem zasadnicza.

- W porównaniu ze mną jesteś.

- W porównaniu z tobą Madonna jest zasadnicza - powiedziała z cierpkim uśmiechem Zoey.

W tym momencie zadzwonił stojący na biurku telefon. Zoey zerwała się, podbiegła do niego i podniosła słuchawkę.

- Słucham? - Po chwili dodała łagodniejszym tonem: - Cześć, Brian. - Jej zachowanie zupełnie się zmieniło, rozluźniła się i wyglądała, jakby spadł jej ogromny kamień z serca. Ignorując grymas Carli, kontynuowała rozmowę: - Dziś wieczorem? Z przyjemnością. - Zamilkła na chwilę. - Ja też się stęskniłam. Cześć - powiedziała na zakończenie.

Gdy odwiesiła słuchawkę, uśmiechnęła się szeroko, a jej oczy rozświetliło podniecenie. Opadła na sofę.

- Przykro mi, że się pokłóciliśmy, i w ramach przeprosin zabiera mnie na spóźnioną kolację urodzinową w River Cafe. Nie mam pojęcia, jak udało mu się załatwić rezerwację.

- Ach, tak? - W głosie Carli nie było entuzjazmu.

- Och, Carla, daj spokój, ciesz się ze mną - poprosiła Zoey. - Wszystko będzie dobrze. Pokonamy to, co nas dzieli, i... i...

- I pobierzecie się, doczekacie dzieci i będziecie żyć długo i szczęśliwie - dokończyła za nią Carla tonem sugerującym, że ani trochę w to wszystko nie wierzy. Zoey zawahała się.

- Cóż... mam nadzieję - odrzekła powoli. Szaleńcze pragnienie uwierzenia, że to marzenie może się spełnić, walczyło w niej ze świadomością, że było to właśnie tylko marzenie. Sącząc herbatę, z determinacją ciągnęła dalej: - W każdym razie najwyraźniej przemyślał sprawę i zrozumiał, jak nierozsądne było samodzielne podejmowanie decyzji o tak ważnym zabiegu. Porozmawiamy i jakoś dojdziemy do kompromisu.

Kiedy mówiła te słowa, dręczyło ją stare, znajome wspomnienie: jako dziecko też wmawiała sobie, że ojciec któregoś dnia wróci.

- Jaki może być kompromis w sprawie małżeństwa i dzieci? - spytała sarkastycznie Carla. - Albo się pobieracie, albo nie. Albo macie dzieci, albo nie.

- Nie wiem. Ale... Posłuchaj, najważniejsze, że zadzwonił. - Poderwała się i ruszyła w stronę sypialni. - Chodź, pomożesz mi wybrać sukienkę i fryzurę na wieczór. Muszę wyglądać szalowo.

- Nawet najseksowniejsza sukienka i dzień u dobrego fryzjera nie oduczą Briana traktować cię tak, jakbyś była na jego skinienie - wymamrotała pod nosem Carla.

Zoey usłyszała ją, ale nie odpowiedziała. Nie miała zamiaru pozwolić przyjaciółce zniszczyć jej radosnego, pełnego nadziei nastroju. Nawet bez cynicznych uwag Carli był wystarczająco kruchy.

Zoey i Brian siedzieli na patiu River Cafe. Z usytuowanej na brooklyńskim brzegu East River restauracji roztaczał się wspaniały widok na Manhattan. Lekki, chłodny wiatr od rzeki łagodził gorąco letniego wieczoru i łaskotał policzki Zoey cienkimi pasmami jej włosów.

Chcąc zapomnieć o katastrofalnym dniu urodzin, Zoey postanowiła, że nie założy małej czarnej sukienki, tak lubianej przez Briana. Zamiast tego zdecydowała się na kreację ze złotej koronki, która podkreślała złote błyski jej miedzianych włosów. Gdy Brian się zjawił, jego oczy utwierdziły ją w przekonaniu, że dokonała właściwego wyboru.

Nie zapomniała również o diamentowych kolczykach, które od niego dostała. Natychmiast to zauważył.

On również się postarał. Zaczesał do tyłu ciemnoblonde włosy i włożył swój najlepszy jasnoszary, dwurzędowy garnitur od Armaniego. Wyglądał, jakby właśnie zszedł z okładki luksusowego magazynu. Zoey zdawała sobie sprawę z tego, że inne kobiety rzucają na niego ukradkowe spojrzenia.

Pijąc wspaniałe Chardonnay i jedząc pyszną kolację złożoną z soczystych krewetek i młodych warzyw, rozmawiali o zbliżającej się wystawie Zoey i ostatej rozprawie sądowej Briana. Śmiali się ze swoich dowcipów i trzymali za ręce nad blatem stolika. Powinno być bajecznie, pomyślała Zoey. Ale nie było, ponieważ gdzieś w jej umyśle tkwiła świadomość, że nadejdzie chwila, kiedy będą musieli poruszyć ten fatalny temat.

Po kolacji zamówili kawę. Zoey zamilkła, podczas gdy Brian ciągnął swój monolog o biurze, pracy, znajomych i rodzinie.

- Henry zaprosił nas na Czwartego Lipca do siebie do Hamptons. - Henry był jednym ze starszych wspólników. Zoey spotkała go kilka razy na przyjęciach biurowych Briana.

- Powiedziałem, że przyjedziemy z przyjemnością. - Po chwili dodał to, co powinien był powiedzieć wcześniej:

- Mam nadzieję, że to ci odpowiada.

- Oczywiście - zgodziła się machinalnie Zoey.

Nie miało dla niej znaczenia, co będzie robić w Dzień Niepodległości. Ważne było, kiedy - i czy w ogóle - Brian poruszy drażliwy temat. Jeśli nie, sama będzie musiała to zrobić, ponieważ nie mogła udawać, że problem został rozwiązany. Jednak bardzo się tego bała. Nie chciała psuć miłego wieczoru ani niszczyć z takim trudem osiągniętego zbliżenia.

Gdy Brian zaproponował, żeby poszli potańczyć do Rainbow Room, od razu się zgodziła, choć wiedziała, że odkładanie trudnej rozmowy to tchórzostwo. Zastanawiała się, czy Brian czuje to samo, odsuwając od siebie nieuniknione.

Gdy tańczyli w modnym lokalu urządzonego w stylu art deco, z oszłamiającym widokiem na Manhattan, Zoey oczekiwała, że Brian poruszy temat, o którym - w jej mniemaniu - cały czas myśleli. W końcu, późno po północy, wyszli z Rainbow Room i wrócili do jej mieszkania.

Podając Brianowi klucz, myślała: „Teraz to zrobi. Przeprze za tamtą kłótnię i powie, że mnie rozumie. I że po zastanowieniu postanowił nie podwiązywać nasieniowodów”.

W wyobraźni słyszała, jak mówi, że może już czas, aby się pobrali. Może nawet mieli dzieci. Przynajmniej jedno. Marzyła o trójce, ale zadowoliliby się jednym.

Kiedy jednak stali razem w kuchni, gdzie Zoey robiła kawę, nie powiedział nic takiego. Roześmiał się tylko beztrasko.

- Kurczę, ależ to była głupia kłótnia, no nie? - rzucił.

Zoey spojrzała na niego, ale nie zareagował. Wstrzymała oddech i udawała, że jest całkowicie zaabsorbowana nalewaniem kawy do dużych czarnych kubków z porcelany. Ciągle jeszcze miała nadzieję.

- Nadal nie mogę uwierzyć, że zadzwoniłaś do tego buraka - dodał z ponurym uśmiechem. Zoey zacisnęła zęby.

- Ten burak chce się ze mną spotkać. Przesłał mi nawet bilet na samolot.

Pewność siebie Briana w mgnieniu oka zamieniła się w zaskoczenie.

- Żartujesz! Odezwał się?

Kiwnęła głową.

- Dzisiaj.

- Słuchaj, Zoey, to przestaje być zabawne.

- Masz rację - przytaknęła, podając mu kawę. Przyjął kubek i odruchowo upił łyk.

- W porządku, w takim razie przestań się ośmieszać. Oboje wiemy, że chciałaś po prostu wzbudzić we mnie zazdrość.

Zoey odstawiała kubek i ciężko westchnęła.

- Nie jestem pewna, co chciałam zrobić, Brian. Pewna jestem tylko jednego: dzieli nas poważna różnica zdań. I to nie ma żadnego związku z jakimś ranczerem z Wyoming. To dotyczy tylko nas.

Postawił swój kubek z taką siłą, że trochę kawy wylało się na blat.

- Chodzi o mój zamiar podwiązania nasieniowodów - powiedział bezbarwnym głosem.

- Tak. I o to, jak to świadczy o naszym związku. Jego czekoladowobrązowe oczy zwięzły się ze złości.

- Nasz związek miał się świetnie, póki ty nie uparłaś się przeciwstawić mojej jednej drobnej decyzji.

Znikły już wszelkie pozory panującej między nimi zgody, Zoey była wstrząśnięta gruboskórnymi słowami, które właśnie padły z jego ust.

- Tu nie chodzi o twoją drobną decyzję! - rzuciła z pasją. - Chodzi o to, jak ta decyzja świadczy o twoim stosunku do mnie! O to, czy mi ufasz, czy nie! I o jej konsekwencje w kwestii małżeństwa i dzieci! - Oparła dłonie o pierś Briana. W jej oczach zalśniły łzy. - Brian, proszę cię, porozmawiajmy o tym, zanim podejmiesz nieodwołalną decyzję.

- To moja decyzja, Zoey. Już ją podjąłem.

Opuściła ręce i zapanowała nad łzami, które lada chwila mogły spłynąć jej po policzkach.

- Nie chcę mieć dzieci - ciągnął bardziej pojednawczym tonem Brian. - Co zaś do małżeństwa, to kto wie? Może któregoś dnia. Po prostu jeszcze nie bardzo wiem, czy to dla mnie.

- Ja wiem, czy to dla mnie - szepnęła Zoey. - Nawet ten facet, który do mnie napisał, wie, czy to dla niego.

Rzeźbione rysy twarzy Briana zastygły w gniewie.

- Daj spokój, Zoey, oboje wiemy, że nie interesuje cię nikt inny - powiedział z wymuszonym śmiechem, starając się opanować emocje.

- W takim razie czemu lecę jutro do Wyoming na spotkanie z nim? - Nie mogła uwierzyć, że wypowiedziała te słowa. Zaskoczyła siebie tak samo jak Briana.

- Nie będę się bawił w te głupie gierki - warknął Brian. - Zadzwoń do mnie, jak odzyskasz rozum.

Mówiąc to, wyszedł. Tym razem nawet nie trzasnął drzwiami.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Denise, jedyna przyjaciółka Zoey posiadająca samochód, odwoziła ją na Lotnisko Kennedy'ego wczesnym rankiem pierwszego lipca. Gdy manewrowała małym czerwonym kabrioletem Mazda Miata wśród samochodów wypełniających gęsto jezdnię, Zoey spytała ją, jak się czuje.

- Okropnie - odpowiedziała, krzywiąc się, Denise. - Mam poranne i wieczorne mdłości, właściwie tracę na wadze, zamiast przybierać, no i muszę wszędzie nosić ze sobą paczkę słonych krakersów. To jedyne, co jakoś powstrzymuje nudności. Nie masz pojęcia, ile razy musiałam wybiegać z pokoju w środku spotkania i modlić się, żeby zdążyć do toalety. - Westchnęła i dodała: - Nie jestem wcale pewna, czy warto było się na to decydować.

- Myślę, że jesteś - odrzekła spokojnie Zoey.

Denise uśmiechnęła się.

- Masz rację. Jestem pewna.

- A zaczęłaś już urządzać pokój dziecienny?

- Nie. Nie chcę się tym zajmować ani kupować żadnych rzeczy dla dziecka przed drugim trymestrem. Wiesz, na wypadek gdyby coś poszło nie tak.

Głos zadrzał jej przy ostatnich słowach i Zoey uświadomiła sobie, jak bardzo przyjaciółka musi być przerażona pierwszą ciążą w wieku trzydziestu ośmiu lat.

- Muszę jednak przyznać, że coś kupiłam - ciągnęła Denise. - Ślicznego jasnoniebieskiego osiołka. Jak się go nakręci, rusza łebkiem w górę i w dół i gra „Ośłą serenadę”. Zaniosłam go do sypialni, która ma być pokojem dzieciennym.

Zoey uśmiechnęła się.

- Niebieski, tak? Więc chcesz mieć chłopczyka?

- Nie chodzi o to, że chcę. Wydaje mi się, że to będzie chłopiec. Nie wiem dlaczego. Po prostu to czuję. - Rzuciła Zoey krótkie spojrzenie, po czym znów skupiła wzrok na drodze. - Myślisz, że zwariowałam, prawda?

- Nie, nie zwariowałaś - odrzekła Zoey. - Myślę, że już czujesz się emocjonalnie związana z tym dzieckiem.

- Chyba tak. To zdumiewające doznanie, zupełnie dla mnie nowe.

Słuchając Denise, Zoey poczuła ostre ukłucie zazdrości. Choć nie w pełni popierała decyzję przyjaciółki, bardzo dobrze jednak rozumiała samo pragnienie posiadania dziecka.

„Och, Brian - pomyślała z rozpaczą - czemu tobie obce jest to uczucie?”

Dotarli na lotnisko. Denise zatrzymała swój mały samochód przy wejściu dla pasażerów.

- Kiedy wracasz? - spytała.

- Pojutrze - odpowiedziała szybko Zoey.

Wysiadła z samochodu, po czym wyciągnęła z bagażnika małą torbę i nieodłączny aparat fotograficzny.

- Nie zabierasz zbyt wielu rzeczy - zauważyła Denise.

- Nie zostanę tam ani chwili dłużej niż to konieczne - odrzekła Zoey. - Myślę, że dziś zjem z nim kolację, jutro obejrzę ranczo, a do wieczora on zrozumie, jak bardzo do siebie nie pasujemy. Poczuję ulgę, kiedy mu powiem, że muszę tu wrócić na jakieś przyjęcie z okazji Dnia Niepodległości.

Mówiąc o Czwartym Lipca, Zoey przypomniała sobie o Brianie i jego planach na ten dzień - planach, które najwyraźniej nie miały zostać zrealizowane. Nie dotrzymała danej sobie obietnicy, że nie będzie o nim myśleć ani martwić się o przyszłość ich związku - jeśli w ogóle miał on jakąkolwiek przyszłość... Poczowała, jak zalewa ją fala głębokiego smutku. Nie może stracić Briana, po prostu nie może. Kiedy wróci, będzie musiała znaleźć jakiś sposób na pokonanie dzielącej ich przepaści. Uścisnęła Denise.

- Dzięki za podwiezienie.

- Zoey, mogę ci coś poradzić?

- Jasne - odpowiedziała z roztargnieniem Zoey, patrząc na zegarek. Z przykrością stwierdziła, że do odlotu pozostało jeszcze mnóstwo czasu.

- Spróbuj podejść do tego faceta bez uprzedzeń. Nie osądzaj, zanim go nie poznasz. Może cię czekać miła niespodzianka.

- Niemożliwe. To prawdopodobnie miły facet, ale jest tym, kim jest, i ja jestem tym, kim jestem. Na pewno żadne z nas nie jest osobą, której szuka druga strona.

- Jesteś tego zupełnie pewna?

- Najzupełniej.

Denise uśmiechnęła się zagadkowo.

- Cóż... skoro jesteś pewna... - Zanim Zoey mogła coś powiedzieć, dodała lekko: - Zadzwoń, kiedy wrócisz, to wyjadę po ciebie. - Pomachała jej na pożegnanie i odjechała.

Zoey podniosła małą torbę i futerał z aparatem, po czym odwróciła się niechętnie w stronę hali.

W ciepłe powietrze wzbijała się cienka spirala dymu i nozdrza wypełnił ostry swąd przypalonej sierści. Tyler odjął od skóry cielaka żelazo do znakowania i odskoczył, zanim Jesse zdjął lasso z karku zwierzęcia. Przerażone ciele, głośno rycząc, chwiejnie stanęło na nogi. Jesse otworzył bramę corralu i zapędził zwierzę do środka, na pastwisko, gdzie inne cieleta uspokajały się po znakowaniu.

- Tyler!

Podniósł wzrok i zobaczył swą starszą siostrę, Laurie, kroczącą w stronę corralu. Każdy rys jej twarzy świadczył o ogromnej irytacji. Miała czterdzieści jeden lat - o pięć więcej niż brat. Ich matka umarła, kiedy Tyler miał sześć lat, i jak sięgał pamięcią, Laurie była dla niego bardziej matką niż siostrą. Nauczyła go wiązać sznurowadła, kazała sprzątać pokój, pomagała odrabiać lekcje. Kiedy zaczął umawiać się z dziewczynami, opowiedziała mu o biologicznej stronie życia, na wypadek gdyby nie słuchał uważnie na lekcjach w szkole. Bez ogródek kazała mu troszczyć się o dziewczyny, by nie wpędzić żadnej w kłopoty. Bo jeśli któraś zaszłaby w ciążę, on byłby za to równie odpowiedzialny jak ona i też by musiał stawić czoło problemom.

Gdy Laurie w wieku osiemnastu lat wyszła za mąż, zamiast wyprowadzić się i założyć własny dom, przekonała męża, że powinni jeszcze trochę pomieszkać z jej ojcem. Powiedziała, że tak będzie lepiej ze względów finansowych - będą mogli łączyć pieniądze na własny dom. Tyler jednak znał prawdę. Miał wtedy trzynaście lat - według niej był za młody, żeby zostać tylko z ojcem. Andrew Ross był przyzwoitym i troskliwym

człowiekiem, ale zupełnie nie potrafił stworzyć ciepłego, pełnego miłości domu, tak potrzebnego dziecku. Tym obowiązkiem obdarzył żonę, a kiedy umarła, pozwolił Laurie zająć się całą „babską robotą”, jak to określał.

Wysoki na metr osiemdziesiąt Tyler górował nad mierzącą sto pięćdziesiąt siedem centymetrów Laurie, a mimo to siostra wciąż potrafiła napędzić mu stracha, szczególnie kiedy była zła, tak jak teraz.

Zatrzymując się przy ogrodzeniu corralu, spojrzała na Tylera niebieskimi oczami, będącymi odbiciem jego własnych.

- Wiesz, która godzina?

- Nie, ale jestem pewien, że mi powiesz - odpowiedział z zuchwałym uśmiechem.

Z tyłu dobiegł go zduszony śmiech Jessego.

- Ta kobieta z Nowego Jorku będzie na lotnisku dokładnie za godzinę i prawie tyle samo czasu zajmie ci podróż, więc co tu jeszcze robisz?

- Nie widzisz? Znaczą cielaki. Z jakiegoś nie znanego mi powodu same tego nie robią. Ale założę się, że gdybyś ty kazała im to zrobić, na pewno przynajmniej by spróbowwały.

Jesse zachichotał głośno, lecz jego śmiech ucięło jedno spojrzenie naprawdę wścieklej Laurie, która chwilę później znów zajęła się Tylerem.

- Posłuchaj no, Tyler, wejdiesz do domu, umyjesz się i pojedziesz na lotnisko. Chcesz się spóźnić?

„W ogóle nie chcę tam jechać” - pomyślał, ale zachował to dla siebie. Niechętnie powiesił linę na kołku ogrodzenia i ruszył w stronę domu.

- I ubierz się ładnie! - zawołała za nim Laurie. - Włóż ten krawat, który kupiłam ci na gwiazdkę.

- Nie założę żadnego cholernego krawata - odrzucił przez ramię. - Nie wybieram się na ślub ani na pogrzeb.

„Chociaż - pomyślał - czuję się tak, jakbym brał udział w tej drugiej uroczystości”.

W swoim pokoju zrzucił brudne ubranie, po czym wszedł pod prysznic. Ograniczył się do spłukania swego szczupłego, umięśnionego ciała, a następnie włożył zwykle

robocze ubranie - dżinsy i koszulę. Nawet nie patrząc w lustro, przeciągnął dwa, trzy razy grzebieniem po gęstych wilgotnych włosach.

Gdy wychodził z pokoju, jego spojrzenie powędrowało jak zwykle do fotografii w srebrnej ramce, stojącej na bieliźniarce. Na zdjęciu młody Tyler w czarnym smokingu stał obok ślicznej dziewczyny o płowych włosach i złotobrazowych oczach, ubranej w suknię ślubną. Jej twarz była słodka, ale nie mdła. Figlarny błysk w oczach świadczył o tym, że ta młoda kobieta była uduchowiona i pełna humoru.

Sara.

Tyler poczuł znajome dławienie w gardle. Czy kiedykolwiek będzie w stanie spojrzeć na to zdjęcie wolny od wrażeń strasznej pustki i, co gorsza, obezwładniającego poczucia winy? „Nigdy” - pomyślał. Te doznania nigdy go nie opuszczają.

Dla Tylera Sara była najpiękniejszą panną młodą, jaką można sobie wyobrazić. Na zdjęciu uśmiechali się czule do siebie - młoda para mająca przed sobą szczęśliwą i długą wspólną przyszłość. Żadne z nich nie przypuszczało nawet, że nie będą mogli cieszyć się dziećmi, które chcieli mieć jak najszybciej po ślubie - i że Sara umrze młodo.

„Przeze mnie - pomyślał z rozpaczą. - Cholera jasna, przeze mnie...”

Nie mogąc dłużej znieść tych myśli, wybiegł z pokoju.

Kiedy już siedział w pick-upie, Laurie podeszła do otwartego okna.

- Jeśli będziesz miał czas, mógłbyś się postarać o jakieś kwiaty. To by się jej spodobało.

Rzucił siostrze spojrzenie, które mówiło wyraźnie, że nie ma zamiaru przejmować się żadnymi kwiatami. Zniechęcona Laurie pokręciła bezradnie głową.

- Nie dasz jej szansy, prawda?

- Posłuchaj, wypełniam swoją część tego cholernego, głupiego układu. Spotykam się z jedną z kobiet, które odpowiedziały na ogłoszenie. Ty też wypełnij swoją część umowy i zostaw mnie w spokoju.

- To dlatego wybrałaś właśnie tę kobietę, prawda? - Laurie zaczynała powoli wszystko rozumieć. - Skoro pochodzi z tak daleka, to raczej nie ma co marzyć, by mogło wam się udać.

- Słuchaj, jak tylko zobaczy to miejsce, zda sobie sprawę, że nigdy nie będzie się tu czuła dobrze. Ona nie jest...

- Nie jest kim? Sarą?

Nie odpowiedział.

- Daj jej szansę, Tyler - ciągnęła łagodnie Laurie. - Przyleciała z tak daleka.

Tyler bez słowa przekręcił kluczyk w stacyjce i odjechał.

W lusterku zobaczył patrzącą za nim Laurie, która stała z rękami na biodrach, nachmurzona i rozczarowana. Jeśli martwi ją jego brak entuzjazmu, sama jest sobie winna, pomyślał ostro. To był jej pomysł, nie jego. On po prostu chciał mieć to wszystko za sobą i powrócić do normalnego życia. Do życia, w którym nie było miejsca dla kobiety, szczególnie dla mieszkanki Nowego Jorku.

Trzy godziny po starcie samolot wylądował na małym lotnisku w pobliżu Jackson w stanie Wyoming. Zoey przepuściła przed sobą wszystkich pozostałych pasażerów, zanim w końcu wstała z miejsca i ruszyła w stronę wyjścia. Gdy weszła na mały podest na szczycie schodów, zatrzymała się na chwilę, żeby rzucić okiem na okolicę.

Widok zapał jej dech w piersi. Słyszała, że Jackson Hole jest piękne, ale nie sądziła, że aż tak. Powietrze było świeże i słodkie. Na bezchmurnym błękitnym niebie, tak szerokim i czystym, jakiego nigdy przedtem nie widziała, świeciło oślepiające letnie słońce. W oddali, za szarozieloną równiną porośniętą bylicą, z dna doliny wyrastały nagle legendarne góry Teton. Wyglądały tak groźnie, że prawie nierealnie.

Zoey poczuła, że coś się w niej poruszyło - coś, co wcześniej było jej obce. Dorastała na północy stanu Nowy Jork i nie mogła się doczekać opuszczenia rodzinnej miejscowości - pociągały ją neony i atmosfera wielkiego miasta. Nie licząc jednej krótkiej podróży z Brianem do Los Angeles, nigdy nie była na zachodzie i nie sądziła, że coś mogłoby ją tam zainteresować. Teraz przekonała się, jak bardzo się myliła. To wspaniałe miejsce oczarowało ją - nie mogła się doczekać, kiedy wyciągnie aparat.

- Hm, proszę pani... - Stojąca za plecami Zoey stewardesa przypomniała jej, że wszyscy pasażerowie opuścili już samolot i szli w kierunku zabudowań małego lotniska.

Ściskając w rękach futerał z aparatem i małą torbę, której nie chciało jej się oddawać na bagaż w Nowym Jorku, Zoey z wolna zeszła po schodach, przecięła spacerowym krokiem płytę i znalazła się w budynku.

Przybyłych witał tłum poruszających się w różnych kierunkach ludzi, nie przypominający gęstych, zbitych mas z Lotniska Kennedy'ego. Zoey zatrzymała się tuż przy wejściu i rozejrzała bezradnie. Dopiero w tej chwili zdała sobie sprawę, że nie wie, jak wygląda Tyler Ross. Wielu ogłoszeniom w „Poznajmy się” towarzyszyły zdjęcia, ale przy tym nie było żadnego. Ona także nie opisała mu siebie, toteż żadne z nich nie miało pojęcia, jak wygląda drugie.

Pomyślała, że nigdy w życiu nie znalazła się w bardziej niezręcznej, niewygodnej i zenującej sytuacji. Carla i Denise w ogóle nie miały racji. Nie powinna była tu przyjeżdżać. Gdyby po prostu zwróciła Rossowi bilet z krótkim listem wyjaśniającym, że zmieniła zdanie albo że nagle poznała kogoś, miałaby poczucie winy, ale jakoś by to zniosła. Tymczasem teraz cierpiała męki, stojąc tu jak idiotka i czekając na zupełnie obcego człowieka, z którym najprawdopodobniej nic nie mogło jej łączyć. Dałaby w tej chwili wszystko, żeby znaleźć się gdzie indziej.

Nagle zobaczyła, że zbliża się do niej jakiś mężczyzna. Wyglądał na trzydzieści parę lat i był wcieleniem stereotypowego ranczera - poplamiony drelichowy kombinezon i czapka z daszkiem, z napisem „Coors”. Kombinezon napinał się pod naciskiem masywnego brzucha piwosza, a twarz wręcz domagała się maszynki do golenia.

Zoey zamarła. „O Boże - pomyślała z rozpaczą - jest jeszcze gorzej, niż się spodziewałam”. Przypomniała sobie fragment ogłoszenia: „Nie jestem doskonały i nie szukam doskonałej kobiety”.

Kiedy podszedł bliżej, wstrzymała oddech, ale ku jej wielkiej uldze minął ją, prawie na nią nie patrząc. Zoey odwróciła się i zobaczyła, jak podchodzi do jakiejś starszej kobiety, być może swojej babki, i ściska ją serdecznie. Po chwili oboje odeszli, rozmawiając o czymś z przejęciem.

Zoey wypuściła wstrzymywane powietrze i znów zaczęła się rozglądać w rzednącym tłumie. Większość oczekujących odnalazła już właściwych pasażerów i opuściła budynek, kierując się na parking. Jednak pewien mężczyzna zbliżał się powoli ku

Zoey, krocząc swobodnie na swych długich nogach. Mimo że znała tylko wiek Tylera Rossa, była pewna, że to on. Patrząc, jak zmniejsza dzielącą ich odległość, poczuła dziwny skurcz żołądka i zabrakło jej tchu.

Jeśli kogokolwiek się spodziewała, to na pewno nie tego stojącego teraz przed nią mężczyzny z rękami wsuniętymi nonszalancko w kieszenie obcisłych džinsów. Rysy twarzy tylko lekką szorstkością odbiegały od konwencjonalnych kanonów męskiej urody. Błękitne oczy były jasne i intensywne jak niebo nad Wyoming. Miał gęste, kręcone, złotobrazowe włosy i był ubrany w nie dopiętą pod szyją koszulę, której rękawy podwinął do łokci. Wysoki i szczupły. Opalony i umięśniony. Otaczała go aura prostej męskości.

Zadzierając głowę, by pa niego spojrzeć, Zoey poczuła się nagle jak mała dziewczynka. Mała, bezbronna i nieśmiała. Nie miała pojęcia, co w nim było takiego, że jego widok tak na nią podziałał. Był wysoki, lecz sporo niższy od Briana. Silny, ale nie obezwładniający.

Kolejni mężczyźni, jakich spotykała na swej drodze, wydobywali różne aspekty jej osobowości - nieskrępowaną namiętność, czułość, gniew i miłość. Żaden jednak nie sprawił, by czuła się tak jak teraz. Jej policzki zaalała fala ciepła - wiedziała, że się rumieni, ale nic nie mogła na to poradzić.

- Zoey Donovan? - spytał ochryple.

- T-tak - odpowiedziała, wściekła na siebie za nerwowe drżenie głosu.

- Jestem Tyler Ross.

- Aha. - Zawahała się, po czym dodała: - Bardzo mi miło.

Tyler skinął głową.

- Mnie również.

Zapadła niezręczna cisza. W końcu Tyler zabrał z rąk Zoey torbę i wskazał w stronę wyjścia.

- Mój pick-up czeka na zewnątrz - powiedział.

Pick-up. „Oczywiście - pomyślała Zoey. - Pewnie stary i brudny. Szkoda, że nie włożyłam džinsów zamiast czarnej spódnicy, na której będzie widać najmniejszy pyłek”.

Jednak pick-up ją zaskoczył. Był całkiem nowy, czysty, z nadspodziewanie wygodnym wnętrzem oraz nowoczesną aparaturą stereofoniczną, złożoną z radia i

odtworząca płyt kompaktowych. „Tak mu się lepiej słucha Gartha Brooksa” - pomyślała, trzymając się uparcie swej stereotypowej wizji farmera. Gdy jednak Tyler przekręcił kluczyk w stacyjce i radio automatycznie się włączyło, okazało się, że jest nastawione na jazzową stację grającą klasycznego Milesa Davisa.

Tyler sięgnął do gałki radia i wyłączył je.

- Pomyślałem, że może zechcesz zatrzymać się w Snow King Lodge - powiedział. - To chyba najlepszy hotel w okolicy.

- Świetnie - bąknęła Zoey. Nie dbała o to, gdzie się zatrzyma. I tak chciała jak najszybciej stąd wyjechać.

- Jest blisko centrum, gdybyś chciała zrobić jakieś zakupy czy coś w tym rodzaju. Jackson nie jest wcale takie duże.

- Świetnie - powtórzyła, zdając snobie sprawę, że brzmi jak zdarta płyta.

Pracując jako fotograf, nauczyła się rozmawiać z zupełnie obcymi ludźmi, często w trudnych okolicznościach. I nigdy nie brakowało jej słów, kiedy przekonywała ich, by pozwolili się sfotografować. Jakimś cudem jednak nie potrafiła wymyślić żadnego inteligentnego zdania, które mogłaby powiedzieć temu mężczyźnie.

Skupiła się więc na oglądaniu krajobrazu, a rzeczywiście było co podziwiać!

W drodze do małego Jackson mijali olśniewające widoki. Za porośniętą bylicą równiną i niskimi falistymi pagórkami wznosiły się niewiarygodne góry Teton, wyglądające niczym odwieczna dekoracja teatralna. Zoey czuła się malutka i nic nie znacząca, gdy patrzyła na tę Krainę Bezkresnego Nieba. Kiedy mijali rezerwat łosi i ujrzała setki zwierząt pasących się na olbrzymiej ogrodzonej łące, ponownie miała ochotę wyjąć aparat i zacząć robić zdjęcia. Chwilę później ku swemu zaskoczeniu zobaczyła najprawdziwszego pasącego się samotnie bizona. Westchnęła z zachwytu.

- Popatrz! - wykrzyknęła spontanicznie.

Idąc za jej spojrzeniem, Tyler zauważył zwierzę.

- To tylko samotny bizon - powiedział rzeczowo. - Niektórzy z tutejszych ranczerów je hodują. W okolicy są ich całe stada, szczególnie w Yellowstone. Nie wiem oczywiście, czy będziesz miała czas, żeby się tam wybrać - dodał ostrożnie.

Nie, zdała sobie sprawę, że nie będzie miała na to czasu, i z zaskoczeniem stwierdziła, że jest lekko rozczarowana.

Szybko dotarli do miasteczka. Dla Zoey, która przyzwyczała się do gęstych tłumów i szaleńczego tempa życia w wielkim mieście, Jackson było ucieleśnieniem wyobrażeń o idyllicznej prowincji. Leżało u podnóża zielonych wzgórz, które na zachód od miasta przechodziły w niewysokie góry. Gęste kępy drzew na stokach były oddzielone od siebie polanami, po których zimą zjeżdżało się na nartach.

W mieście przeważały parterowe drewniane budynki w stylu zachodnim. Była tam również klasyczna, dwupasmowa ulica Główna. Jednak obok zwykłych aptek i sklepów z narzędziami, jakie można znaleźć przy każdej małomiasteczkowej ulicy Głównej, były tu także butiky sprzedające wyroby słynnych projektantów mody. Ralph Lauren dotarł do Jackson. Miejscowe kino o kilku salach oprócz zwykłych amerykańskich filmów wyświetlało nagrodzone dzieło europejskiego twórcy.

Zoey, która sądziła, że to miejsce jest odcięta od cywilizacji dziurą, musiała zrewidować swoją opinię.

W centrum miasta był mały kwadratowy park. W jego czterech rogach stały niezwykle łuki zbudowane z poroża jeleni. Na podniszczonych drewnianych ławkach siedzieli starsi ludzie, którzy obserwowali dokazujące dzieci, a na skraju placu zabaw plotkowały matki. Panowała tu ciepła i przyjazna atmosfera, życie toczyło się powoli. Zoey ze zdumieniem zauważyła, że to wszystko bardzo się jej podoba.

Tyler zaparkował przed hotelem, wdzięcznym budynkiem wznoszącym się nad szeroką, falującą łąką, za którą widniały w oddali wszechobecne góry Teton. Zoey przeszła za swym przewodnikiem przez hall i zatrzymała się przy recepcji.

Ładna, młoda recepcjonistka rzuciła Tylerowi zdecydowanie kokieteryjny uśmiech. Nagle przyszło Zoey do głowy, że w tak małym miasteczku jak Jackson mężczyzna o prezencji Tylera Rossa na pewno mógł zdobyć każdą kobietę. Czemu, u licha, szukał żony przez ogłoszenia matrymonialne?

- Proszę, proszę, Tyler, jak to miło cię widzieć. - W głosie recepcjonistki brzmiała wyraźna zachęta. - Zbyt długo się u nas nie pokazywałeś.

Odpowiedź Tylera była uprzejma, lecz chłodna.

- Mnie również miło cię widzieć, Amy. - Po powitaniu przeszedł do rzeczy. - Potrzebuję pokoju dla, hm, przyjaciółki, która przyjechała z innego miasta.

Amy obrzuciła Zoey szacującym spojrzeniem, daleko mniej przyjaznym niż to, którym obdarowała Tylera.

- Bardzo bym chciała pomóc twojej przyjaciółce, Tyler, ale nie mamy nic wolnego. Hotel jest zajęty do ostatniego pokoju, a na liście oczekujących jest już pół tuzina osób.

Ta wiadomość najwyraźniej zaskoczyła Tylera.

- Myślałem, że przed weekendem będziecie mieli wolne miejsca.

- Normalnie byśmy mieli, ale jest zjazd. Trzy tysiące agentów ubezpieczeniowych. Wszystkie pokoje w mieście są zajęte. Nie wiem, gdzie twoja przyjaciółka mogłaby się zatrzymać.

Zoey poczuła nagły przyływ nadziei. To byłby świetny pretekst, by wrócić na lotnisko i wsiąść do pierwszego samolotu lecącego do Nowego Jorku.

Tyler podziękował recepcjonistce i wyszedł z hotelu. Idąca za nim Zoey dobierała w myśli słowa, które pozwoliłyby jej się wycofać. Może powinna powiedzieć: „Bardzo żałuję, że tak wyszło, ale chyba nic się nie da z tym zrobić. Może mogłabym przyjechać kiedy indziej”.

Wrócili do pick-upa. Zanim Zoey zdążyła się odezwać, przemówił Tyler.

- Powinienem był wcześniej zarezerwować ci pokój - oznajmił lapidarnie. - Przepraszam.

- Nic nie szkodzi - odpowiedziała ku swemu zaskoczeniu Zoey.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zabiorę cię na moje ranczo tuż za miastem. - Widząc jej przerażone spojrzenie, dodał szybko: - Mieszkam z siostrą, Laurie, i jej córką, Cheryl. Będziemy mieli przyzwoitki.

W ostatnich słowach pobrzmiwał gorzki humor.

Zoey zastanawiała się, jak zasugerować, że najlepiej będzie, jeśli po prostu wróci na lotnisko, ale nie potrafiła wymyślić nic, co nie brzmiałoby głupio. Nie była jakąś drżącą dziewiętnastowieczną dziewczyną, przerażoną perspektywą przebywania sam na sam z mężczyzną. W końcu więc, tłumiąc westchnienie, poddała się.

- Dobrze - zgodziła się z wielką niechęcią. - Ale nie mogę tu długo zostać - dodała znacząco.

Kąciki ust Tylera uniosły się lekko, zdradzając rozbawienie.

- Proszę się nie obawiać, panno Donovan. Jest pani ze mną całkowicie bezpieczna.

„Czyżby?” - zastanawiała się Zoey. Podejrzewała, że żadna kobieta, a przynajmniej żadna chętna kobieta, nie jest całkowicie bezpieczna w pobliżu Tylera Rossa.

Na dwupasmówce prowadzącej na północ od Jackson panował nieduży ruch. Teraz byli naprawdę z dala od cywilizacji - nie ogrodzone pastwiska ciągnęły się aż do lasów u stóp gór. Tyler zaczął wyprzedzać wolno jadącą ciężarówkę do przewozu zwierząt. Gdy jednak zobaczył, co znajduje się w środku, wyraz jego twarzy bardzo się zmienił. W przenikliwych błękitnych oczach pojawiły się srebrne błyski gniewu, a ręce tak mocno zacisnęły się na kierownicy, że zbieleły mu kłykcie.

- Cholera! - zaklął pod nosem.

Ku zdumieniu swej pasażerki, zaczął spychać ciężarówkę z drogi. Zoey desperacko złapała się jedną ręką za klamkę, a drugą oparła o tablicę rozdzielczą, podczas gdy Tyler raz po raz podjeżdżał z boku do pojazdu, od którego dzieliły go cale. Zepchnięcie ciężarówki do płytkiego rowu zajęło mu zaledwie kilka chwil.

Wyciągnął zza siedzenia pick-upa kij baseballowy, otworzył drzwiczki, wypadł z samochodu i ruszył jak burza do ciężarówki. Wszystko wskazywało na to, że kierowca i jego pomocnik znają Tylera i nie chcą mieć z nim do czynienia - zablokowali bowiem drzwiczki.

Tyler kazał im wysiąść, ale oni nawet nie drgnęli. Wtedy zamachnął się kijem i rozbił przednią szybę. Fruwające odłamki szkła w mgnieniu oka sprowadziły załogę ciężarówki z kabiny na ziemię. Tyler przeszedł do tyłu wozu i otworzył platformę.

- Uwolnić je! - warknął do przerażonych mężczyzn.

Kierowca i jego pomocnik wykonali polecenie i chwilę później pół tuzina dzikich koni, przerażonych, ale bardzo spragnionych wolności, hałaśliwie zbiegło po nachylonej kładce na ziemię. Zbite w zwartą grupę zwierzęta pogalopowały po trawiastej równinie, kierując się w stronę bezpiecznych lasów leżących nad szeroką rzeką Snake.

- Powiedźcie Jamisonowi, kto to zrobił! - krzyknął Tyler do dwóch mężczyzn. - Przepraszam - powiedział rzeczowo do Zoey, wróciwszy do pick-upa. - Mustangi. Ci chłopcy zamierzali je sprzedać na mięso. To nielegalne. Wiedzą, że nigdy na to nie pozwolę.

Sprowadził samochód z powrotem na drogę i ruszył w stronę rancza, a Zoey, której zdumienie odjęło mowę, nie mogła oderwać od niego wzroku.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Tyler zjechał z autostrady na wąską brukowaną drogę prowadzącą w kierunku gór. Po przebyciu paru mil zakręcili i ujrzeli przed sobą dom wraz z otaczającymi go zabudowaniami. Widok tego zakątka zapierał dech w piersi - była to oaza sielskiego piękna. Ogrodzone, pokryte gęstą trawą pastwiska ciągnęły się aż do podgórza. Przeciętą płytkim strumieniem łąkę zdobiły wspaniałe drzewa - osiki, jodły, świerki i sosny. I jak w każdej części doliny Jackson Hole - nad wszystkim dominował widniejący w oddali, pokryty śniegiem łańcuch gór Teton.

Obdarzona żywą wyobraźnią Zoey domyślała się, jak musiało wyglądać to miejsce, gdy przybył tu pierwszy Ross i postanowił wziąć w posiadanie ten właśnie kawałek ziemi. Było tu wszystko, co jest konieczne do przetrwania i rozwoju - świeża woda, obfite pastwiska, mnóstwo zwierzyny na podgórzu i drewna w górach. W tym miejscu można było zapuścić korzenie. Panowała tu atmosfera trwałości i stabilności, podobna do tej, której Zoey zaznała w dzieciństwie, mieszkając w małym miasteczku w stanie Nowy Jork, kiedy ojciec był jeszcze z rodziną.

Dom, zbudowany z okorowanych pni sosny, które teraz srebrzyły się ze starości, był większy, niż Zoey się spodziewała - dwie kondygnacje z szeroką werandą od frontu i balkonem biegnącym wzdłuż piętra. Drewniano-kamienny budynek wyglądał, jakby stał tu od stu lat i miał przetrwać następne sto.

- Mój dziadek, Joshua Ross, zbudował go pod koniec dziewiętnastego wieku - wyjaśnił Tyler z nie skrywaną dumą, widząc zaskoczona minę Zoey. - Przyciągnął tu

kamienie z dna rzeki. Oczywiście potem kilka razy modernizowaliśmy dom, sam zająłem się trochę stolarką. Ale w gruncie rzeczy jest taki jak sto lat temu.

To były pierwsze słowa wypowiedziane przez Tylera po mrozącym krew w żyłach incydencie z mustangami. Zoey zdumiewał jego obecny spokój. Trudno było uwierzyć, że ten rozsądny, spokojny mężczyzna jest tym samym człowiekiem, co rozwścieczony, wymachujący kijem, Samozwańczy obrońca prawa, który postanowił uwolnić przewożone ciężarówką konie.

Spróbowała wyobrazić sobie Briana w takiej sytuacji, wiedziała jednak, że coś podobnego nigdy nie mogłoby się zdarzyć. Brian chlubił się umiejętnością zachowywania zimnej krwi, ponieważ zawsze gwarantowała mu ona górowanie nad przeciwnikiem. Trzaśnięcie drzwiami od czasu do czasu było najsilniejszym objawem złości, na jaki sobie pozwalał.

Przypominając sobie zdarzenie z mustangami, Zoey skorygowała swoją opinię. To, czego była świadkiem, nie stanowiło nieodpowiedzialnego wyładowania złości. Tylera przepełniał słuszny gniew na widok krzywdy tych zwierząt. Taka troska - taka namiętność - budziła lęk, ale i ciekawość.

Zoey zastanawiała się, kim jest Jamison i dlaczego między nim a Tylerem - jak wszystko na to wskazuje - trwa wojna. Czuła jednak, że wypytywanie Tylera o tajemniczego Jamisona nie byłoby dobrym pomysłem.

Gdy wysiadła z pick-upa, zobaczyła, że na werandę wychodzą dwie kobiety. Jedna wyglądała na czterdzieści parę lat, druga miała około dwudziestu. Zoey pomyślała, że porządne uczesanie i dobry makijaż odmłodziłyby starszą z nich o jakieś dziesięć lat. Jej długie do ramion włosy związane w zwykły koński ogon, nie umalowana twarz, wyblakłe dżinsy i różowa bluzka z bawełny świadczyły o tym, że nie dba o swój wygląd. Młodsza kobieta, najwyraźniej jej córka, wyglądała tak, jak musiała wyglądać w młodości matka. Jej długie lśniące włosy przycięte były w połowie pleców, a subtelny makijaż podkreślał ładną z natury twarz.

Zoey nie potrzebowała formalnej prezentacji, by wiedzieć, że te kobiety to siostra i siostrzenica Tylera. Podobieństwo rodzinne - złotobrazowe włosy, lodowatoniebieskie oczy i wysokie kości policzkowe - było bardzo wyraźne.

Siostra Tylera zeszła po schodach z werandy. Po chwili podążyła za nią córka, która z nie skrywaną ciekawością wpatrywała się w Zoey. Starsza z kobiet podała przybyłej rękę.

- Witamy w naszym domu, panno Donovan. - Jej głos był pełen prawdziwego ciepła. - Jestem siostrą Tylera, nazywam się Laurie Graham, a to moja córka, Cheryl.

- Bardzo mi miło panią poznać - powiedziała uprzejmie Cheryl.

Zoey zmusiła się do uśmiechu.

- Mnie również jest bardzo miło.

- Nie spodziewaliśmy się pani przed kolacją - ciągnęła Laurie.

Zza pick-upa wyszedł Tyler z bagażem Zoey w rękach.

- Hotel był pełny - wyjaśnił lapidarnie. - Jakiś cholerny zjazd zajął wszystkie pokoje w mieście.

- Nic nie szkodzi - odrzekła spokojnie Laurie - u nas jest dużo miejsca. Poza tym jeśli zatrzyma się pani u nas, a nie w mieście, będziemy mogli spędzić razem więcej czasu. To dużo milsze rozwiązanie. Prawda, Tyler?

Tyler nie od razu się z nią zgodził. Przez chwilę zdawało się, że między nim a Laurie toczy się milczące, ale dramatyczne starcie. W końcu Tyler uznał swoją porażkę.

- Dużo milsze - powiedział zupełnie pozbawionym uczuć głosem. Następnie wszedł po schodach na werandę i zniknął w domu.

„Co jest, u licha” - pomyślała ze złością Zoey. Jeśli Tylerowi przeszkadzało jej towarzystwo, a najwyraźniej tak było, to czemu ją w ogóle zaprosił?

Laurie położyła dłoń na ramieniu Zoey.

- Chodźmy, zaprowadzę panią do pokoju. Będzie pani miała kilka minut, aby się odświeżyć. Musi pani być zmęczona po tak długiej podróży. Pomyśleć tylko, że przyleciała pani aż z Nowego Jorku. Nigdy tam nie byłam, ale marzyłam, żeby tam pojechać. Mam nadzieję, że opowie mi pani wszystko o tym mieście.

W towarzystwie plecącej coś przyjaźnie Laurie i wciąż ciekawskiej Cheryl Zoey weszła do domu.

W przestronnym wnętrzu królował olbrzymi kamienny kominek, zajmujący prawie całą ścianę. Zoey podejrzewała, że pomieszczenie to powstało w wyniku zburzenia ścian

dzielących kilka mniejszych pokoi. Na mocno wypolerowanych dębowych podłogach leżały kolorowe indiańskie chodniki, a meble były obciążone czekoladowym sztruksem - bardzo praktyczne rozwiązanie, jeśli mieszka się na ranczo, pomyślała Zoey. Przez wysoki sufit biegły ciężkie drewniane belki. Wnętrze tchnęło atmosferą bezpretensjonalności i wygody.

Była pod wrażeniem obrazów zdobiących ściany. Akwarele najwyraźniej przedstawiały lokalny krajobraz i ten, kto je wybrał, miał dobre oko. Szczególnie jedna z nich, ukazująca góry w czasie burzy, według oceny Zoey w każdej galerii w SoHo byłaby warta tysiące.

- To wspaniałe - powiedziała, zwracając się do Laurie. - Czy to tutejszy artysta?

- Tak, młody człowiek mieszkający w Laramie. Ten obraz kupiłam, kiedy dopiero zaczynał, jeszcze przed jego pierwszą wystawą. Stał się bardzo popularny. Teraz nie stać mnie już na jego prace.

- Czy to pani wybrała te wszystkie obrazy? - spytała Zoey, przechodząc do innej akwareli, która przedstawiała kępę osik.

- Aha. Podobają się pani?

- Bardzo. Ma pani wspaniały gust. Twarz Laurie promieniała radością.

- Dziękuję, Zoey. Och... czy mogłabym ci mówić po imieniu? Zwracanie się do ciebie per „pani” wydaje mi się trochę zbyt formalne.

- Oczywiście.

- I proszę, mów mi Laurie. Kiedy słyszę „pani Graham”, czuję się jeszcze starsza niż jestem.

- Czy sama też malujesz? - spytała Zoey.

- Boże broń. Nie potrafię narysować nawet prostej kreski. Ale uwielbiam sztukę. Brałam udział w zajęciach z historii sztuki w miejscowym college'u. Chciałabym dalej studiować ten przedmiot, ale nie bardzo mam gdzie. No i brak mi czasu.

- Pewnie praca na ranczu bardzo cię zajmuje.

- Nie, Tyler świetnie sobie radzi beze mnie - odpowiedziała Laurie, posyłając czekającemu przy schodach bratu ciepły uśmiech - ale i tak pracuję na pełen etat.

- W mieście? - spytała Zoey.

- Nie, tutaj. Pracuję w domu. Prowadzę obsługę klientów dla dużej firmy telekomunikacyjnej z siedzibą w Denver. Mam komputer i modem, a to wszystko, czego dzisiaj do tego potrzeba.

Tyler poczekał, aż kobiety wejdą na schody, po czym ruszył za nimi. W drodze na górę Laurie wypytywała gościa o Nowy Jork - w której części miasta mieszka, gdzie pracuje. Kiedy Zoey wspomniała, że jest fotografikiem, po raz pierwszy odezwała się Cheryl.

- Naprawdę? Och, mam, czy myślisz...

Laurie jednak szybko przerwała córce.

- Cicho, Cheryl, nie waż się jej prosić.

- Prosić o co? - spytała Zoey, gdy Laurie wprowadziła ją do dużej narożnej sypialni z oknami wychodzącymi na góry.

- Chodzi o to - wyjaśniła szybko Cheryl, zanim matka zdążyła zareagować - że w przyszłym tygodniu wychodzę za mąż, a fotograf zachorował na ospę. Nie do wiary, prawda? W jego wieku! Zaraził się od syna. A że o tej porze roku jest mnóstwo ślubów, nie możemy znaleźć nikogo innego. Wygląda na to, że Chuck i ja będziemy musieli się zadowolić kilkoma zdjęciami z polaroida, które jego tato tak uwielbia robić.

- Cheryl, dopiero co poznałyśmy Zoey. - Laurie najwyraźniej było wstyd za córkę. - Nie możemy prosić jej o coś takiego.

- A poza tym - dodał stanowczo Tyler - pani Donovan wyjeżdża przed twoim ślubem.

- Tak? - powiedziała rozczarowana Cheryl. Zoey żał było dziewczyny.

- Byłabym bardzo szczęśliwa, gdybym mogła ci pomóc, ale obawiam się, że twój wuj ma rację. Mogę tu zostać tylko dwa dni.

Oczy Laurie wyrażały zaskoczenie. Najwidoczniej spodziewała się dłuższej wizyty. Odwróciła się do Tylera i popatrzyła na niego z milczącym wyrzutem.

Tyler zignorował znaczące spojrzenie siostry.

- Cóż, mam jeszcze sporo do zrobienia przed kolacją. Będiesz miała czas, żeby się rozgościć.

Laurie spojrzała na niego karcąco.

Tyler najwidoczniej zdał sobie sprawę, że nie jest zbyt gościnnie.

- Gdybyś chciała mi towarzyszyć, będę w corralu przed domem - dodał bez entuzjazmu, po czym zniknął.

- Chyba lepiej będzie, jeśli wrócę do telefonu i spróbuję znaleźć fotografa - powiedziała zrezygnowana Cheryl i również opuściła towarzystwo.

Dwie kobiety zostały same.

- Przepraszam za córkę. - Laurie była zakłopotana.

- Nie ma za co. Wyobrażam sobie, jak bardzo musi być tym przejęta.

- Nie masz pojęcia. Od miesiący zajmujemy się organizacją tego ślubu i oczywiście to bardzo ważne dla Cheryl, żeby wszystko odbyło się według planu. Dopiero wczoraj wieczorem dowiedzieliśmy się o fotografii i od tego czasu stała się prawdziwym kłębkiem nerwów.

- Ja mówiłam poważnie - zapewniała Zoey. - Z przyjemnością zajęłabym się zdjęciami, gdybym tu była w czasie ślubu. Ale nie mogę zostać tak długo. Muszę... muszę wrócić do Nowego Jorku. Wzywają mnie... interesy.

Laurie rzuciła jej przenikliwe spojrzenie, które w jednej chwili sprawiło, że Zoey przestała ją uważać za prostą wiejską kobietę.

- W porządku, Zoey, nie musisz się tłumaczyć. Chyba wiem, jak się teraz czujesz. Przyjechałaś w nie znane ci miejsce, spotykasz się z zupełnie obcym człowiekiem, i tak dalej...

Zoey nie odpowiedziała, poczuła się jednak winna. Laurie nie mogła nic wiedzieć, ponieważ nie знаła prawdy.

- Zostawię cię, żebyś mogła się rozgościć. Łazienka jest w głębi korytarza, po prawej stronie. Jak będziesz gotowa, zejdź na dół. Będę w kuchni, muszę zająć się kolacją.

- Dobrze.

Laurie zatrzymała się w drzwiach.

- Wiem, że Tyler musi ci się wydawać trochę, hm, chłodny - powiedziała. - Ma po prostu taki sposób bycia. Kiedy go lepiej poznasz, zrozumiesz, czemu tak się zachowuje. Chcę jednak, żebyś wiedziała, że wszyscy bardzo się cieszymy z twego przyjazdu.

I wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Sama w ładnie urządzonym pokoju o ścianach oklejonych tapetą w bładoniebieskie i różowe kwiaty, z białymi firankami w oknach, Zoey poczuła się jeszcze bardziej winna. Usiadła na skraju wielkiego starego łóża z baldachimem i ciężko westchnęła. Jak mogła oszukiwać tych najmilszych pod słońcem ludzi? Jeszcze w Nowym Jorku spotkanie z Tylerem wydawało się mniejszym złem. Teraz zaczynała podejrzewać, że jej przyjazd tutaj pod pozorem szukania męża tylko pogorszył sprawę.

Jedyną okolicznością łagodzącą mógł być wyraźny brak zainteresowania ze strony Tylera. Przynajmniej nie musiała się martwić, że sprawi mu zawód, wyjeżdżając stąd jak najszybciej. Chociaż wiedziała, że to nielogiczne, nie mogła nic na to poradzić - ten brak zainteresowania jednocześnie zbijał ją z tropu i obrażał. Cóż, im szybciej stąd wyjedzie, tym lepiej.

Po rozpakowaniu bagażu i przebraniu się w dżinsy i sportową koszulkę, zeszła na dół i znalazła kuchnię na tyłach domu. Była niesamowicie przytulna, z małym kamiennym kominkiem, będącym miniaturą tego masywnego z salonu. Obok kominka stał stary okrągły dębowy stół, mocno wypolerowany, ale z głębokimi rysami. W każdym sklepie z antykami na Manhattanie uznano by go za drogi i rzadki eksponat, Tutaj był po prostu meblem, bez wątplenia przekazywanym z pokolenia na pokolenie.

Pomieszczenie wypełniał smakowity aromat czegoś, co się właśnie piekło. Żołądek Zoey zareagował burczeniem - zaskoczona zauważyła, że mimo zdenerwowania jest bardzo głodna.

Laurie siedziała przy stole i łamała świeże strąki zielonej fasoli na mniejsze kawałki, które wrzucała do miski. Uśmiechnęła się do wchodzącej Zoey.

- Na kuchence jest kawa. Nalej sobie.

- Dzięki - odpowiedziała Zoey. Na kontuarze przy kuchence stał gruby brązowy kubek. Napełniła go kawą, dodała śmietanki i cukru ze stojących obok miseczek, po czym usiadła obok Laurie. - Mogę ci w czymś pomóc? - spytała.

- Nie, dziękuję. Wszystko już prawie gotowe. Mięso jest w piekarniku, razem z ziemniakami i marchewką. Muszę tylko ugotować tę fasolkę, zanim wołowina się upiecze.

- Nagle na jej otwartej twarzy pojawiło się zatroskanie.

- Jadasz mięso, prawda? To znaczy: nie jesteś wegetarianką czy kimś w tym rodzaju?

Zoey uśmiechnęła się, rozbawiona założeniem Laurie, że nowojorczyki muszą jeść co innego niż reszta Amerykanów. Po chwili jednak uświadomiła sobie ze smutkiem, że sama widziała tych ludzi w świetle stereotypowych opinii.

- Nie, nie jestem wegetarianką - wyjaśniła spokojnie.

- Z przyjemnością zjem tę pieczeń.

- Chodzi o to, że skoro jesteś z Nowego Jorku, pomyślałam, że nasze jedzenie może ci nie odpowiadać.

- To prawda, że wielu nowojorczyków zadowala się zieleniną. Niektórzy z nas jednak jadają mięso - odrzekła z uśmiechem Zoey.

Otwartą twarz Laurie rozjaśniło zainteresowanie.

- Opowiedz mi o Nowym Jorku. Gdzie bywasz, czym się zajmujesz? Zawsze chciałam tam pojechać, ale nigdy tego nie zrobiłam. Kiedy tutaj dorastałam, marzyłam o studiach w dobrym college'u na Wschodnim Wybrzeżu. Czytywałam pismo „Seventeen” i oglądałam modelki, na przykład Sarę Lawrence czy Bryn Mawr, sfotografowane na terenie uniwersytetów, ubrane jak bogate, eleganckie studentki. To wszystko wydawało się tak inne od tutejszego życia. Tak podniecające.

Zoey chętnie odpowiedziała na wszystkie pytania Laurie, dokładnie opisując swe ulubione miejsca na Manhattanie - butiki, galerie, restauracje, teatry i ekskluzywne kluby. Laurie pochłaniała to wszystko z miną tak pełną tęsknoty, że Zoey zapragnęła osobiście pokazać jej miasto.

- Jeśli kiedykolwiek przyjedziesz do Nowego Jorku, z przyjemnością cię po nim oprowadzę - zadeklarowała szczerze. Pomyślała, że byłoby to bardzo przyjemne zajęcie.

Laurie westchnęła i pokręciła głową.

- Dzięki, to naprawdę miło z twojej strony. Myślę jednak, że nieprędko gdzieś się stąd ruszę. Pete, mój mąż, nie lubi dużych miast.

- Poznam Pete'a? - spytała Zoey, sącząc mocną, gorącą kawę.

- Nie jestem pewna - odpowiedziała wymijająco Laurie.

- Jest na rodeo i nie spodziewam się go wcześniej niż za kilka dni - wyjaśniła.

Fakt, że mówiąc o Pecie, nie patrzyła Zoey w oczy, sugerował, że ich małżeństwo nie należy do najbardziej udanych.

Zoey zrobiło się żal Laurie, kobiety przedwcześnie postarzałej, której inteligencja i kreatywność wyrastały ponad ograniczone życie, jakie wiodła. Była zapewne cudowną matką, ale właśnie miała się rozstać z jedynym dzieckiem. Zoey zastanawiała się, jak Laurie poradzi sobie w swoim opustoszałym gnieździe. Czy będzie żyła tak samo jak teraz, czekając wciąż na powrót męża i opiekując się samotnym bratem? Ta wizja wydała się Zoey bardzo smutna i przygnębiająca.

Myśl o Tylerze przypomniła jej, że prawie nic o nim nie wie. Upierała się wprawdzie, że ten mężczyzna, bez względu na to, jak jest atrakcyjny, w ogóle jej nie interesuje, nie mogła jednak powiedzieć, że nie budzi ciekawości.

- Wiesz, Laurie, mało wiem o Tylerze - rzekła powoli, dokładając starań, aby jej głos brzmiał możliwie najnormalniej.

- Tylko tyle, ile napisał w ogłoszeniu, a i to niewiele mi powiedziało.

Laurie uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- Założę się, że w drodze z lotniska nie zanudził cię gadaniem.

- To prawda - przytaknęła Zoey.

- Tyler i ja jesteśmy zupełnie różni. On jest milczkiem, a ja mogłabym trajkotać bez końca, gdyby słuchacze mi na to pozwolili.

- Czy był kiedyś żonaty? - spytała Zoey, starając się, by jej głos nie zdradził zbytniego zainteresowania.

Laurie uniosła brwi.

- Nawet tyle ci o sobie nie powiedział?

Zoey pokręciła głową.

- Jest wdowcem - ciągnęła Laurie. - Jego żona, Sara, zmarła trzy lata temu. Na astmę. To było naprawdę smutne. Była taka młoda.

„To wiele wyjaśnia” - pomyślała trzeźwo Zoey. Oprócz siły i uporu w Tylerze był również smutek.

- Mieli dzieci?

- N-nie - odpowiedziała z wahaniem Laurie.

Zoey wyczuła, że to z pozoru niewinne pytanie dotknęło drażliwego tematu, i uznała, że drażnienie go byłoby nieuprzejme.

- Szczerze mówiąc, dziwię się, że postanowił dać ogłoszenie matrymonialne. To znaczy: jest dość atrakcyjny i wydawało mi się, że uchodzi za dobrą partię.

Laurie wstała i przeniosła miskę z fasolą na szafkę. Oplukawszy ręce nad zlewem, wytarła je wiszącą na haczyku ścierką.

- Cały problem w tym, że w okolicy nie ma zbyt wielu wolnych kobiet - wyjaśniła, stojąc przy zlewie. - Ludzie na wsi zwykle pobierają się od razu po szkole średniej, jak Pete i ja. Albo od razu po studiach, jak Tyler i Sara. Mężczyźni zostają na farmach i ranczach, ale kobiety, które nie wyszły za mąż jako młode dziewczyny, albo przenoszą się do miasta w poszukiwaniu pracy, albo wyjeżdżają na studia i już nie wracają. Dlatego też, o ile mi wiadomo, na wsi jest więcej samotnych mężczyzn niż kobiet, całkiem odwrotnie niż w miastach.

Zoey była zdumiona - pochodziła z Nowego Jorku, gdzie atrakcyjni kawalerowie, tacy jak Brian, są warci tyle złota, ile sami ważą. Może, pomyślała z poczuciem winy, ona i jej przyjaciółki nie powinny były tak bezkrytycznie wyśmiewać „Poznajmy się”.

- Mimo to szukanie żony przez ogłoszenie musi być trochę niezręczne - powiedziała ostrożnie. - Sama czułam się niezręcznie, odpowiadając na ogłoszenie twojego brata. - Nie mogła zdradzić prawdziwego powodu, dla którego tak się czuła.

Laurie skwitowała tę uwagę machnięciem reki.

- E tam, to tylko nowoczesna wersja starej praktyki. Koloniści sprowadzali sobie panny młode z Europy. A mieszkańcy pogranicza, poszukując żon, dawali ogłoszenia w gazetach Wschodniego Wybrzeża. Myślę, że ludzie zawsze byli gotowi przebyć setki mil w poszukiwaniu miłości i towarzysza życia. - Patrząc uważnie na Zoey, dodała: - Powinnaś to rozumieć. Odpowiedziałas przecież na ogłoszenie Tylera.

Zoey poczuła się, jakby była najbardziej nieuczciwą osobą na Ziemi. „Dość tego, wyjeżdżam stąd najszybciej, jak tylko będzie można” - postanowiła z rozpaczą.

Gdy Laurie ją zapytała, czy nie zechciałaby pójść do Tylera, niechętnie opuściła kuchnię.

Wyszędłszy na werandę, westchnęła głęboko z wrażenia. Gigantyczny łańcuch gór Teton atakujących niebo oszałamiał ją za każdym razem, kiedy go widziała. Ciągłe przebywanie w jego przytłaczającej obecności z pewnością wpływało na sposób patrzenia na życie. Zastanawiała się przez chwilę, czy był to klucz do osobowości tajemniczego Tylera, nie doszła jednak do żadnego wniosku.

Wzdłuż werandy stały doniczki z jaskrawoczerwonym geranium, a ogrodzony płotem trawnik otoczony był gąszczem różnokolorowych piwonii. Po obu stronach domu rosły dwie wysokie sosny, tak jednak rozmieszczone, by nie przesłaniały widoku na góry.

Powietrze było świeże i przyjemne, od śniegu leżącego w górach odbijały się promienie słońca. Z rękami w kieszeniach, Zoey przeszła powoli za dom, kierując się dochodzącymi stamtąd głosami. Po drugiej stronie podwórza ujrzała ogrodzony płotem corral, przylegający do zbudowanej z bali stajni. Głosy, które wcześniej słyszała, należały do Tylera i Jessego. Obaj siedzieli na koniach i manewrowali wokół młodego byka, krnąbrnego i najwyraźniej niechętnego do współpracy.

Zoey pomyślała, że powinna była wziąć ze sobą aparat. Stwierdziła, że warto by przyjrzeć się z bliska zwierzęciu, którego nigdy wcześniej nie widziała. Jeśli widok okaże się obiecujący, przyniesie aparat i przed odlotem do Nowego Jorku zdąży utrwalić parę scen z życia na ranczu.

Podeszła do corralu i oparła się o ogrodzenie.

- Cześć. - Uśmiechnęła się uprzejmie do Tylera.

Skinął głową, ledwie rzucając jej spojrzenie. Pomyślała, że wygląda na koniu bardzo pewnie, trzymając w jednej ręce wodze, w drugiej luźno zwinięte lasso. Podniszczony stetson osłaniał jego twarz przed jasnymi, letnimi promieniami, nadając mu jednocześnie lekko tajemniczy wygląd. Zoey pomyślała, że Tyler rzeczywiście jest zagadką. Poczula ukłucie żalu na myśl, że nie będzie miała okazji przedrzeć się przez mur, którym się otoczył.

- Co robicie z tym bykiem? - spytała, próbując nawiązać rozmowę. Uświadomiła sobie, że mówi jak mieszczuch, który się na niczym nie zna.

Tyler z pogardliwą miną wskazał małą drewnianą zagrodę, tak wąską, że mogło się tam zmieścić tylko jedno zwierzę. Zoey dzieliło od niej zaledwie parę metrów.

- Próbujemy zapędzić go do tej zagrody, żeby można go było zaszczepić - odpowiedział, zwijając od niechcenia lasso.

Odwracając się od Zoey, spiął konia stopami i ruszył w kierunku byka. Mężczyźni atakowali zwierzę z obu stron, prowadząc je zręcznie w stronę wejścia. W końcu udało im się wpędzić opierające się stworzenie do zagrody.

- Przynieś szczepionkę! - krzyknął Tyler do Jessego. - Ja go zamknę.

Jesse zsiadł z konia i poszedł do stajni.

- Ja mogę to zrobić - powiedziała bez zastanowienia Zoey i zanim Tyler zdążył zareagować, przecisnęła się przez ogrodzenie corralu i podbiegła do bramki.

Uświadamiając sobie nagle, że bramka jest otwarta, byk obrócił się i wyrwał galopem na wolność. Zatrzymał się niespodziewanie jakieś dwa metry przed Zoey. Jego rozjuszony ślepią łypnęły na nią, gdy podrzucił łbem i pochylił rogi. Wiedziała, co to znaczy - widziała takie zachowanie byków na filmach. Poczowała ściskanie w żołądku, gdy zdała sobie sprawę, że grozi jej prawdziwe niebezpieczeństwo.

- O Boże! - wydała z siebie przerażony szept. Odwracając się do ucieczki, potknęła się i upadła w chwili, gdy byk zaczął grzebać kopytem w ziemi, parskając i wzbijając w powietrze obłok piachu.

Zanim mogła zareagować na niespodziewany atak, pojawił się Tyler. Wjechał między nią a rozszalałe zwierzę, krzycząc i wymachując lassem. Zbity z tropy byk zatrzymał się w pół kroku, kołysząc masywnym łbem i wbijając wzrok to w Zoey, to w Tylera.

Jesse przeskoczył przez ogrodzenie, trzymając w ręku elektryczny pręt do poganiania bydła. Szturchnął nim zwierzę, aż ryknęło przerażone. Cała jego buńczuczność zniknęła w jednej chwili - wróciło niemal potulnie do zagrody. Jesse szybko zaryglował wejście.

Tyler zsiadł z konia i podszedł do Zoey, która roztrzęsiona podniosła się z ziemi. Stała zupełnie nieruchomo, sparaliżowana ze strachu.

- Cholera jasna! - krzyknął. - Czy ty nie myślisz? Do byka można się zbliżać tylko na koniu!

- Nie wiedziałam... - zaczęła się tłumaczyć drżącym głosem.

- Mógł cię zabić!

Widząc wściekłą minę Tylera, Zoey poczuła, że w jej oczach zbierają się łzy. W żadnym wypadku nie chciała teraz ośmieszyć się przed Tylerem, nie mogła się jednak powstrzymać. Po jej policzkach, wciąż zbiegających z wrażenia, spłynęły łzy. Zaczęła się trząść i wiedziała, że za chwilę upadnie.

Gdy kolana się pod nią ugięły, Tyler objął ją i przytrzymał. Spojrzała mu w twarz, oddaloną tylko o centymetry od jej twarzy, i to, co zobaczyła w jego oczach, zaskoczyło ją. Pod złością kryła się głęboka troska o jej bezpieczeństwo. Troska niespodziewana - i bardzo wzruszająca.

Opierając się o jego szeroką, twardą pierś i czując obejmujące ją mocno ramiona, miała dziwne wrażenie, że już kiedyś była w podobnej sytuacji. Zastanawiała się, skąd zna to uczucie pełnego bezpieczeństwa. Po chwili przypomniała sobie. Właśnie tak się czuła, kiedy jako małą dziewczynkę przytulał ją ojciec.

Podbiegł do nich Jesse.

- Nic pani nie jest? - spytał.

- Nie - szepnęła Zoey. - Nic mi nie jest - dodała głośnie.

- To dzięki Tylerowi. Gdyby nie był tak szybki, ten byk zrobiłby z pani miazgę.

- W porządku, Jesse - przerwał mu Tyler. Puścił Zoey. - Powinnaś chyba wrócić do domu i położyć się na trochę.

Jesse pokiwał głową.

- Jasne. Nieźle się pani wystraszyła. Niech pani po prostu spróbuje trochę bardziej uważać - musiał dodać. - Nie zna się pani na wiejskiej robocie.

- Dobrze - wymamrotała Zoey, czując, że zrobiła z siebie idiotkę. Odwróciła się i z całą godnością, na jaką było ją stać, odeszła w stronę domu.

- A to baba bez odrobiny oleju w głowie - powiedział Jesse, gdy Zoey już nie mogła ich słyszeć.

Tyler nie odezwał się. Pomyślał, że Jesse oczywiście ma rację. A jednak to nie kompletny brak zdrowego rozsądku u Zoey go martwił. Niepokoiło go to, co czuł, trzymając ją w ramionach. Zawładnęło nim wtedy na chwilę pragnienie chronienia Zoey i nie chciał wypuścić jej z ramion.

„Im wcześniej stąd wyjedzie, tym lepiej” - pomyślał, bardziej zły na siebie niż na nią zaledwie chwilę wcześniej.

Kolacja odbyła się w napiętej atmosferze. Tyler prawie się nie odzywał. Jesse również niewiele mówił. Rzucał jedynie zaciekawione spojrzenia to na Tylera, to na Zoey. Na szczęście Cheryl i Laurie prowadziły nieustający dialog na temat przygotowań do ślubu.

Zoey próbowała się skupić na opisach sukienek druhen („najsłodszy odcień różu”) i kwiatów („Ja miałam śnieżnobiałe. Nie ma nic lepszego od tradycji”), a czasem nawet zadawała jakieś pytanie, była jednak aż nazbyt świadoma tego, że ona i Tyler stanowią centrum zainteresowania. Laurie, Cheryl i Jesse wpatrywali się w nich wyczekująco, najwyraźniej spodziewając się ujrzeć narodziny uczucia.

Szczególnie zaintrygowana była Cheryl. Szaleńczo zakochana w narzeczonemu, na wszystko patrzyła przez romantyczną mgiełkę. Wciąż obserwowała swego wujka i kobietę, która przyjechała aż z Nowego Jorku, aby go poznać - zdawało się, że czeka, by sytuacja z kart powieści Danielle Steele stała się rzeczywistością.

Zamiast uczucia rodziła się jednak katastrofa. Gdy Tyler dał się wciągnąć w rozmowę i zaczął wymieniać z Zoey opinie na wszelkie możliwe tematy - od polityki po rozrywkę - okazało się, że są zupełnymi przeciwieństwami. Ona była demokratką, on republikaninem. Ona słuchała Howarda Sterna, on - Rusha Limbaugha.

Próbując przejść na bezpieczniejszy grunt, zaczęła opowiadać o swojej nadchodzącej wystawie.

- Te wszystkie zdjęcia ukazują różnego rodzaju śmieci, zarówno zwykłe, materialne, jak i ludzkie - powiedziała z dumą.

Tyler zmarszczył czoło.

- Jeśli tak jest, to nowojorska sztuka musi służyć zabawianiu idiotów.

- Najwyraźniej jesteś ekspertem w kwestii idiotyzmu - odcięła się urażona Zoey.

Atmosfera szybko stała się jeszcze bardziej napięta.

Wymawiając się wyczerpaniem podróży, Zoey od razu po kolacji poszła do swego pokoju. Powiedziała sobie, że nie będzie czekać dwóch dni na wyjazd. Już jutro wymyśli jakiś pretekst, który pozwoli jej opuścić ranczo.

Na dole towarzystwo piło kawę w salonie. Jak tylko wyszli Cheryl i Jesse, Laurie zajęła się Tylerem.

- To było niewybaczalne!

- Co? - Tyler udawał Greka.

- Nie denerwuj mnie, Tyler! Zachowałeś się obrzydliwie wobec tej biednej kobiety!

- Tylko z nią rozmawiałem. Wolałabyś, żebym się do niej w ogóle nie odzywał?

- Oczywiście, że nie! Ale przeszedłeś samego siebie w braku uprzejmości. Cała ta gadka o Rushu Limbaughu. Przecież w większości wypadków sam się z nim nie zgadzasz. Chciałeś po prostu zrobić jej na złość.

- Laurie, mówiłem ci, że ona nie pasuje do naszego życia. Myślę, że sama to czuje. Nie jest zainteresowana mną ani odrobinę bardziej niż ja nią.

Nie dodał, że nie wyobraża sobie, by mógł znowu zainteresować się na poważnie jakąś kobietą. Raz szczęście się do niego uśmiechnęło i znalazł jedyną kobietę, która była dla niego wprost idealna. Nie wyobrażał sobie, żeby to mogło się powtórzyć. Grom nie uderza dwa razy w to samo drzewo.

Laurie milczała przez dłuższą chwilę.

- Myślisz, że jest ładna? - powiedziała w końcu niby od niechcienia.

- Nie wiem. Nie bardzo się jej przyglądałem. Chyba nie jest zła.

Laurie uśmiechnęła się triumfująco.

- W takim razie jest jeszcze nadzieja. Po raz pierwszy przyznałeś, że uważasz jakąś kobietę poza Sarą za atrakcyjną.

- Nie powiedziałem, że jest atrakcyjna - zaprzeczył z naciskiem Tyler.

- To prawda, ale nie powiedziałeś też, że to kaszalot, a jak na ciebie to prawdziwy komplement.

Tyler zastanawiał się nad ripostą, ale jakoś nic mu nie przychodziło do głowy. Zachmurzył się i poszedł na górę do swojego pokoju.

Było dobrze po północy i w domu panowała cisza. Zoey wiedziała, że wszyscy już na pewno śpią. Farmerzy muszą wcześniej wstawać. Sama jednak, mimo szczyrych chęci, nie mogła zasnąć. Wciąż była zła na Tylera, którego w myślach zaczęła nazywać upartym, aroganckim kowbojem.

Po godzinie przewracania się z boku na bok wstała i wyszła na balkon. Wiał niespokojny nocny wiatr, który oddawał stan jej ducha. Spojrzała przez atramentową czerń na oddalone góry, ledwo widoczne w tłumionym przez chmury, bladym świetle księżyca.

Po drugiej stronie korytarza nagle obudził się Tyler, zlany potem; jego nagi tors był mokry, a włosy lepiły się do głowy. Przez chwilę czuł ostre ukłucie starego, znajomego bólu - leżał w dwuosobowym łóżku, które bez Sary wydawało się o wiele za duże i puste.

Zbudził go ten sam koszmar, który dręczył go od trzech lat. Próbował zatrzymać Sarę, ale coś wyciągało ją z jego objęć. Czuł, jak wyslizguje mu się z rąk, po czym znika, patrząc na niego bezradnie i zostawiając go samego z przytłaczającym poczuciem winy.

Dopiero po chwili uspokoił drżące ciało. Kiedy znowu poczuł, że panuje nad sobą, rzucił przykrywające go prześcieradło i koc, wstał i podszedł do prowadzących na balkon oszklonych drzwi. Wieczorem zostawił je otwarte, jak zwykle latem, aby wpuścić do pokoju chłodny wietrzyk. Stojąc tam tylko w spodniach od piżamy, wdychał świeże powietrze i czuł przyjemny dotyk nocnego wiatru na nagiej skórze.

Nie miał pojęcia, która jest godzina, wiedział jednak, że musi być jeszcze daleko do świtu. Na horyzoncie nie było znajomego zwiastuna - srebrnej smugi poprzedzającej wschód słońca. Na pewno zbudził się w środku nocy.

Powiedział sobie, jak zawsze, że ten koszmar jest tylko powracającym złym snem, który musi się kiedyś skończyć. Nie może powtarzać się wiecznie.

Słyszając jakiś dźwięk, spojrzał na drugi koniec balkonu. Zdał sobie sprawę, że ktoś jeszcze nie może spać. Zobaczył Zoey opartą o poręcz. Wpatrywała się w góry, nieświadoma tego, że on na nią patrzy.

Miała zmierzwione włosy, jak gdyby również nie spała spokojnie. Ubrana była w cienką bawełnianą koszulę, kończącą się tuż nad kolanami. Ze znajdującej się za nią sypialni padało światło, które obrysowywało kontury jej ciała, ukazując pełne, uniesione piersi i łagodnie zaokrąglone biodra.

Była prześliczna. Wyglądała inaczej niż wcześniej, gdy tak chłodno go traktowała. Ku swemu zaskoczeniu Tyler poczuł rodzące się pożądanie. Wcześniej też pociągały go różne kobiety, spał nawet z kilkoma - z tymi, które rozumiały, że może im dać tylko ciało, a nie serce. Tamte doświadczenia były jednak tylko rozładowaniem fizycznego napięcia, podczas gdy teraz ogarniało go uczucie, pragnienie równie gorące, co niepokojące i niechciane.

Wyobraził sobie, że ściąga z niej koszulę, powoli, ostrożnie, smakując przyjemność oglądania jej nagości, a potem całuje ją, najpierw delikatnie, a później coraz mocniej.

Sytuacja jednak nie pozwalała na pożądanie, uwiedzenie, zaspokojenie. Sprowadził tu Zoey, oszukując ją, chciał ją wykorzystać, żeby odczepiła się od niego pełna dobrych intencji, ale irytująca siostra. W chwili gdy powitał Zoey na lotnisku, zaczął zdawać sobie sprawę, że postępuje nieuczciwie. To dlatego był dla niej taki nieprzyjemny. Chciał, żeby poczuła do niego niechęć i szybko wyjechała.

Już miał wrócić do pokoju, kiedy dobiegł go dochodzący z końca balkonu dźwięk. Nadstawiając uszu, zrozumiał, że Zoey mówi do siebie. Wyszepiała słowa, które wydawały się przepojone emocją:

- Nie powinnam była przyjeżdżać. Co ja najlepszego zrobiłam?

Nagle odeszła od poręczy i otuliła się ramionami, jakby było jej zimno. Tyler widział, jak wraca do sypialni i zamyka za sobą szklane drzwi.

„O co jej chodziło?” - zastanawiał się. Głęboka ciekawość i nieoczekiwane pożądanie, jakie czuł do tej nie chcianej, denerwującej kobiety, zbiły go z tropu. Wracając do łóżka, próbował się otrząsnąć. Upłynęło jednak sporo czasu, zanim udało mu się zapaść w niespokojny sen.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Zoey obudziła się o ósmej. Była wyczerpana i miała ochotę jeszcze poleżeć w łóżku, przypuszczała jednak, że farmerzy wcześniej wstają, i wiedziała, że prawdopodobnie już się spóźniła na posiłek. Pusty żołądek zaburczał, gdy pomyślała o solidnym wiejskim śniadaniu. W Nowym Jorku obywały się bez jedzenia, poprzestając na filiżance gorącej czarnej kawy. Tutaj jednak - może za sprawą rześkiego, czystego powietrza - miała wilczy apetyt. Szybko wciągnęła dzinsy, narzuciła koszulkę, po czym poszła do łazienki.

Spryskując twarz wodą i myjąc zęby, starała się wymyślić pretekst, który pozwoliłby jej wyjechać jeszcze dziś. Może, pomyślała, mogłaby zadzwonić do Nowego Jorku i w czasie rozmowy udać, że wydarzyło się coś, co wymaga natychmiastowego powrotu. Chory krewny? Problemy ze zbliżającą się wystawą? Przyjaciółka w tarapatach?

Wiedziała, że Tyler, a pewnie i Laurie, przejrzy każdą wymówkę, jaką jest w stanie wymyślić, ale to nie miało znaczenia. Tylerowi najwyraźniej nie podobała się jej obecność na ranczu, a Laurie była tylko obserwatorem, który nie odniósłby żadnych realnych korzyści, gdyby Tylera i Zoey coś zaczęło łączyć.

Doszła do wniosku, że najlepszą wymówką będzie zmyślony problem ze zbliżającą się wystawą, i postanowiła, że zadzwoni do Nowego Jorku, jak tylko będzie mogła.

Zeszła do kuchni, gdzie zastała siedzącą przy stole Cheryl, jeszcze w szlafroku, wykreślając kolejne punkty z listy, która - jak przypuszczała Zoey - dotyczyła jej ślubu. Na piecu stał dzbanek z kawą, a całe pomieszczenie wypełniał zapach jajek na bekonie.

Cheryl przywitała się radośnie, po czym wyjaśniła, że matka zostawiła śniadanie Zoey w piekarniku, aby nie wystygło. Zmusiła ją do zajęcia miejsca przy stole i obsłużyła - naląła filiżankę kawy, wyjęła talerz z piekarnika i postawiła go na leżącej przed gościem plecionce z trzciny. Na talerzu piętrzyła się góra smażonych jajek, kilka pasków bekonu i dwa biskwity domowej roboty.

Kiedy Cheryl krzątała się, przynosząc serwetkę i sztucce, słowem - zachowywała się, jak na dobrą gospodynię przystało, Zoey przeproszała ją za to, że zasnęła.

- Nic się nie stało - zapewniła ją Cheryl. - Mama musiała odejść do komputera, a wujek Tyler zawsze wcześniej zaczyna pracę, ale nie ma powodu, dla którego pani musiałaby się zrywać o świcie. - Usiadła przy stole i ziewnęła ze zmęczenia.

- Szczerze mówiąc, sama dopiero co wstałam. Wczoraj wieczorem byłam u Chucka i trochę późno wróciłam.

Gdy Zoey spojrzała jej w oczy, Cheryl ładnie się zarumieniła.

- Opowiedz mi o Chucku - poprosiła Zoey.

Cheryl nie potrzebowała wielkiej zachęty, by mówić o swoim narzeczonym. Jej twarz się rozjaśniła.

- Cóż, nazywa się Charles Edward Carter, czyli ja będę panią Cheryl Carter, co chyba nieźle brzmi, prawda? - powiedziała pospiesznie. - Jest trochę starszy ode mnie, ma dwadzieścia sześć lat, to dobrze, bo mężczyźni tak naprawdę są niedojrzali, póki nie skończą jakichś dwudziestu pięciu, nie sądzi pani?

Zoey kiwnęła głową. Właściwie, pomyślała, mężczyźni są niedojrzali, póki nie skończą przynajmniej trzydziestu lat, ale nie zamierzała mówić tego Cheryl.

Z twarzy dziewczyny promieniowała duma.

- To naprawdę rozsądny facet - ciągnęła. - Pracowity, solidny i tak dalej. Spłacił raty za ciężarówkę i ma działkę tuż za miastem, na której zamierza zbudować nasz dom. Jego ojciec ma firmę budowlaną i Chuck w niej pracuje. Ma różne pomysły rozwinięcia działalności firmy. Są nieźle perspektywy, wie pani, dużo ludzi przeprowadza się tutaj z Kalifornii i innych części kraju.

Zoey podejrzewała, że Cheryl może bez końca mówić o Chucku.

- A ty czym się zajmujesz? - spytała, próbując zmienić temat rozmowy. - Uczysz się w college'u?

Cheryl pokręciła głową.

- Nie. Mama bardzo chciała, żebym poszła na studia, ale mnie to nie interesowało. Od dzieciństwa wiedziałam, co chcę robić.

- To znaczy? - spytała Zoey, wgrzyzając się w kremowe jajka i kruchy bekon.

- Zajmować się dziećmi. Pracuję w przedszkolu w mieście. Uwielbiam to. Dzieci są po prostu słodkie. Jedynym zajęciem lepszym od tego będzie wychowywanie własnego dziecka. Jak tylko dom będzie gotowy, za jakiś rok, Chuck i ja założymy rodzinę.

- Tak szybko? - wydusiła z siebie Zoey, odgryzając kawałek ociekającego masłem puszystego biskwita.

- Nie ma sensu czekać. Ja jestem jedynaczką, a Chuck ma tylko jedną siostrę, starszą od niego o dziesięć lat. Żadne z nas nie pochodzi więc z dużej rodziny, a oboje chcemy taką mieć. - Obrzuciła Zoey zaciekawionym spojrzeniem. - A pani, pani Donovan? Jaką pani ma rodzinę?

- Mam dwóch młodszych braci.

- Dorastanie razem musiało być zabawne.

Zoey pomyślała o Skipperze i Andym, którzy byli słodkimi, ale strasznie niesfornymi dziećmi.

- Na pewno nie było nudne - powiedziała z krzywym uśmiechem. - Szpiegowali mnie, kiedy wracałam do domu z randek. Raz nawet ze swojego okna na górze spuścili balon wypełniony wodą prosto na głowę chłopaka, z którym się umówiłam. Grał w drużynie futbolowej i całe miesiące czekałam, żeby mnie zauważył i gdzieś zaprosił. Miałam ochotę ich zabić.

Cheryl zachichotała.

- Nie dziwię się. A teraz jesteście blisko ze sobą związani? Zoey skinęła głową.

- O tak! Niestety, poza świętami rzadko się widzimy. Obaj zostali w naszym rodzinnym mieście w stanie Nowy Jork, a to daleko od Manhattanu, gdzie ja mieszkam. Ale od czasu do czasu dzwoni telefon i okazuje się, że to jeden z nich chce się po prostu dowiedzieć, co słychać. Martwią się o mnie, bo mieszkam w dużym, złym mieście. To dziwna zamiana ról, jako że przedtem to ja opiekowałam się nimi.

- To brzmi cudownie - westchnęła Cheryl. - Zawsze chciałam mieć rodzeństwo. Dlatego Chuck i ja będziemy mieli gromadkę dzieci.

Patrząc na Cheryl, Zoey poczuła małe ukłucie zazdrości. Cheryl była młoda, zakochana i miała właśnie rozpocząć małżeńską przygodę. Z fotografem czy bez, będzie to na pewno szczęśliwe wydarzenie.

Zoey przypomniała sobie cyniczną uwagę, jaką zrobiła niedawno Denise, gdy miały razem grupę młodych, dwudziestoparoletnich kobiet spacerujących po Central Parku.

„Wciąż mają przyszłość przed sobą. Nie dokonały jeszcze wyborów, które zrujniają im życie”.

Zaskoczona Zoey spojrzała na nią z przerażeniem.

Przyjaciółka wzruszyła ramionami.

„Żartowałam” - powiedziała.

Zoey wyczuła jednak, że słowa te przekazywały gorycz, jaką naprawdę czuje Denise. Zbliżając się do czterdziestki, zaczynała oglądać się za siebie i żałować różnych krytycznych decyzji, które podjęła, zwłaszcza postanowienia, by skupić się na karierze zawodowej kosztem życia osobistego. „Czy ja za kilka lat będę się czuła tak samo? - zastanawiała się Zoey. - Boże, mam nadzieję, że nie”.

Rozmowna Cheryl nie zwróciła uwagi na zamyślenie Zoey.

- Teraz nie pracuję - ciągnęła. - Miałam jeszcze dużo urlopu, tak że wzięłam sobie wolny tydzień przed ślubem i drugi na podróż poślubną.

- Dokąd się wybieracie?

- Jedziemy po prostu w góry, do chaty jego rodziców. To nic wielkiego czy wymyślnego, ale to najpiękniejsze miejsce, jakie można sobie wymarzyć, no i będziemy zupełnie sami. Chyba to się najbardziej liczy podczas miodowego miesiąca, prawda?

- Prawda - przytaknęła z uśmiechem Zoey. Nie odważyła się powiedzieć o swoim wymarzonym miesiącu miodowym: chciałyby wynająć małą wysepkę na Karaibach tylko dla siebie i męża. Czytała o takich miejscach w czasopismach podróżniczych i nie mogła sobie wyobrazić nic bardziej romantycznego. Myśląc jednak o Brianie i jego niechęci do małżeństwa, pesymistycznie oceniała szansę zrealizowania tej fantazji.

- Cóż, pójdę chyba na górę i ubiorę się wreszcie - powiedziała Cheryl. - Muszę załatwić przed ślubem milion spraw. A numer jeden na liście to znalezienie fotografa.

Gdy Cheryl ją zostawiła, Zoey dokończyła pyszne śniadanie i pozwoliła sobie na drugą filiżankę parującej czarnej kawy.

- Dzień dobry.

Podniosła wzrok i ujrzała stojącą w progu kuchni Laurie, która uśmiechała się do niej. Zoey odwzajemniła uśmiech.

- Dzień dobry.

- Dobrze spałaś?

- Tak - skłamała Zoey.

- To świetnie, bo przyszłam cię spytać, czy czujesz się na siłach, żeby zrobić małą wycieczkę po ranczu. Tyler i Jesse muszą spędzić i oznakować parę zabłąkanych zwierząt. Pomyślałam, że mogłybyśmy spakować lunch i zrobić sobie piknik.

- Możesz zwolnić się z pracy? - spytała Zoey, udając, że to troska o rozkład zajęć Laurie, a nie własna niechęć, skłoniła ją do tego pytania.

- Jasne. Nie wezmę całego dnia urlopu, po prostu zwolnię się na parę godzin. Odpracuję je dziś wieczorem. Co ty na to? Miałabyś okazję przyjrzeć się naszej posiadłości. Jesteśmy z niej dumni.

- Nie sądzę, żeby pani Donovan czuła się na siłach.

W otwartych drzwiach prowadzących z kuchni na podwórze stał Tyler.

- Pewnie zechce się oszczędzać po wczorajszej długiej podróży - dodał, zamykając za sobą drzwi z siatki przeciw owadom. - Nie mówiąc o tej potyczce z bykiem.

To dotknęło Zoey do żywego. Pozwoliła sobie na okazanie słabości i teraz Tyler traktował ją tak, jakby to była jej główna cecha.

- O jakiej potyczce? - spytała z niepokojem Laurie.

- To nic takiego - uspokoiła ją Zoey. Wpatrywała się w Tylera, wyzywając go milcząco, by zaprzeczył. Nic nie powiedział, więc znów zwróciła się do Laurie: - Bardzo bym chciała zobaczyć ranczo.

Laurie patrzyła to na Tylera, to na Zoey i najwyraźniej główkowała, co się między nimi dzieje, zrezygnowała jednak z zagłębiania się w temat, którego żadne z nich widocznie nie miało ochoty poruszać.

- W porządku - powiedziała powoli. - W takim razie chodźmy.

Miejsce wyglądało wspaniale i Zoey cieszyła się, że zabrała ze sobą aparat. W końcu wąskiego kanionu przedzielonego płytkim strumieniem rozpalili ognisko, by móc

rozgrzewać żelaza do znakowania. Dym z ogniska szybował w górę, tworząc cienką wstążkę na tle nieskazitelnie błękitnego nieba.

Kanion ozdobiły kolorowe kępy kwiatów - lawendowych, fioletowych i białych - które kołysały się wdzięcznie w lekkich podmuchach letniego wiatru. Nad kwiatami krążyła gromada lśniących w słońcu białych motyli. Było cicho, spokojnie, sielankowo. Zupełnie inaczej niż w Nowym Jorku. Zoey nie spodziewała się, że taka atmosfera może się jej spodobać. Myślała, że to wszystko ją znudzi. Stało się jednak inaczej - poczuła, jak znikają pokłady stresu wywołanego życiem w wielkim mieście i jak zastępuje je dawno nie odczuwane odprężenie.

Tyler i Jesse wyprowadzili z przyczepy swoje osiodłane konie i odjechali na nich, by złapać nie oznakowane cielęta. Laurie wyjaśniła Zoey, że zagnają zwierzęta do małego, prowizorycznego corralu zbudowanego w pobliskim gaju osikowym. Cheryl została w domu - musiała zająć się nieustającymi przygotowaniem do ślubu, a zwłaszcza rozpaczliwymi poszukiwaniami fotografa, na które zostało już bardzo mało czasu.

Zoey pomogła Laurie ustawić składany stolik i krzesła w lekko drżącym cieniu osik. Nakryła blat obrusem w biało-czerwoną kratę, a Laurie rozpakowała zimny lunch - smażonego kurczaka, sałatkę z ziemniaków, biskwity, które zostały ze śniadania, i soczyste czerwone jabłka. Był także duży termos kawy i dzbanek cierpkiej lemoniady.

Zanim skończyły ustawianie i usiadły ze szklankami lemoniady, by odpocząć, wrócili mężczyźni, pędzący przed sobą stadko ryczących cieląt. Zafascynowana Zoey patrzyła, jak wprawnie zaganiają zwierzęta do corralu. Złapała aparat. Tym razem była ostrożna - nie podchodziła za blisko ogrodzenia pełnego rozbieganych cieląt. Tyler był zbyt zajęty, żeby poświęcić jej więcej uwagi, a Jesse musiał dopilnować ogniska.

Gdy mężczyźni byli zajęci swoimi sprawami, czyli pracą przy przerażonych zwierzętach, Zoey robiła im zdjęcia - wiedziała, że wyjdą wspaniale. Zadowolona z siebie pobiegła do stołu, żeby zmienić film.

Przyjrzała się Laurie, która krzątała się, przygotowując lunch.

- Poczekaj chwilę - poleciła jej, przyjmując swój zwykły ton zawodowego fotografa. - Chcę ci zrobić parę zdjęć.

Laurie natychmiast zakryła twarz dłońmi.

- O nie, nie cierpię, jak mi się robi zdjęcia.

- Rozluźnij się. Obiecuję, że nie będzie bolało - odpowiedziała z uspokajającym uśmiechem Zoey. - Założę się, że nigdy nie robisz sobie zdjęć. Mąż pewnie bardzo by chciał zabrać ze sobą jakieś nowe na rodeo.

Laurie opuściła ręce i niechętnie spojrzała w obiektyw, ale skrzywiła się na sugestię Zoey.

- Pete nie z tych, co to braliby ze sobą zdjęcie żony.

- Skąd wiesz, skoro nie dałaś mu żadnego?

- Znam Pete'a. Jesteśmy małżeństwem, odkąd skończyliśmy osiemnaście lat. - Miała poważną, prawie smutną minę. - Pete nigdy nie zajmował się niczym oprócz rodeo. Kiedy Cheryl dorastała, nie chciałam jeździć w trasę. - Westchnęła. - Taki już ciężki, samotny los żon miłośników rodeo.

Zoey nie miała pojęcia, jak zareagować na ukryty w tych słowach smutek. Zrobiła więc to, co umiała robić tak dobrze. Schroniła się za aparatem i mówiła Laurie, jak ma pozować, szukając ustawienia, przy którym wyglądałaby najkorzystniej.

Mimo protestów kobieta nie zrezygnowała. Zoey żałowała, że nie są w studiu, gdzie miałyby do dyspozycji fryzjera i specjalistę od makijażu. Nie zrobiłaby z Laurie piękności, ale mogła ona wyglądać znacznie atrakcyjniej niż w tej chwili.

Zoey wiedziała, że jej modelka czuje się niezręcznie, zrobiła więc tylko kilka zdjęć.

- Dobrze. Skończyłam - powiedziała. - Obyło się bez bólu, prawda?

- Może dla osoby po drugiej stronie aparatu - skrzywiła się Laurie. - W dole strumyka jest parę ślicznych miejsc. Może chciałabyś zrobić tam parę zdjęć, zanim panowie skończą znakowanie.

Zoey przyjęła propozycję z entuzjazmem. Okolica była tak piękna, że chciała ją zabrać do domu, choćby tylko na filmie. Nagle z poczuciem winy przypomniała sobie, że nie zadzwoniła do Nowego Jorku, aby odbyć tę udawaną rozmowę.

Szły wzdłuż strumyka, słuchając melodyjnego szumu wody. Zoey raz po raz robiła przepiękne zdjęcia dzikich kwiatów, drzew i samego strumienia. Gdy w końcu skończył jej się film, obie usiadły na porośniętym trawą brzegu i zaczęły rozmawiać. Odkąd Zoey

usłyszała, że Tyler jest wdowcem, chciała dowiedzieć się czegoś o jego zmarłej żonie i poznać powód, dla którego nie ożenił się powtórnie.

- Nie chcę wtykać nosa w cudze sprawy, ale czy mogłabyś mi opowiedzieć o żonie Tylera? - spytała ostrożnie.

Twarz Laurie wyrażała otwartość i brak zastrzeżeń.

- Oczywiście. Bardzo lubiłam Sarę. Mówienie o niej jest czymś dobrym. W ten sposób wciąż jest z nami, przynajmniej w naszych wspomnieniach.

- Jaka była?

Laurie podciągnęła kolana pod brodę i objęła nogi rękami.

- Cóż, muszę cofnąć się daleko w przeszłość, żeby odpowiedzieć na to pytanie.

Widzisz, Tyler poznał Sarę Jamison w szkole średniej.

- Jamison? - przerwała jej Zoey, rozpoznając nazwisko, które Tyler rzucił wczoraj podczas incydentu z mustangami.

- Tak. Czemu pytasz?

- Słyszałam po prostu, jak Tyler wymienia to nazwisko, rozmawiając z... z kimś po tym, jak zabrał mnie z lotniska.

- Założę się, że w nieciekawym kontekście - oznajmiła rzeczowo Laurie.

- Zgadza się - potwierdziła Zoey. - Odniosłam wrażenie, że między nimi toczy się coś w rodzaju wojny. I ma to coś wspólnego z końmi.

- Chyba można tak powiedzieć. Dzieli ich dużo niechęci.

- Dlaczego?

Laurie zawahała się i przez chwilę Zoey sądziła, że nie odpowie. Nagle poczuła silną potrzebę zrozumienia tej głęboko osobistej, bardzo nieszczęśliwej strony życia Tylera.

Ku jej uldze Laurie mówiła dalej:

- Musiałabyś poznać całą historię, żeby pojąć niezgodę dzielącą Tylera i Hankę Jamisona.

Siedząca naprzeciw niej Zoey pochyliła się do przodu. Bardzo chciała poznać tę tajemnicę.

- A o co konkretnie poszło?

- Na pierwszy rzut oka wygląda, że o mustangi. Widzisz, w tej okolicy jest bardzo dużo dzikich koni, potomków tych sprowadzonych przez hiszpańskich odkrywców i tych należących później do Indian. Niektórzy ludzie, jak na przykład Tyler, uważają, że mustangi powinno się chronić i pozwolić im biegać swobodnie, tak jak robią to od setek lat. Ale wielu innych, zwłaszcza właściciele dużych rancz, jak Jamison, widzi w nich zagrożenie dla pastwisk. Chcą się pozbyć mustangów i zatrzymać pastwiska dla swego bydła.

- Ale to nie wszystko - domyśliła się Zoey.

- Owszem. To tylko czubek góry lodowej. Jak już powiedziałam, Tyler i Sara poznali się w szkole średniej. Było jak na filmie: miłość od pierwszego wejrzenia. Nigdy nie widziałam dwojga bardziej dobranych ludzi. Byli jak dwie połówki tego samego serca. W jakiś sposób uzupełniali się nawzajem.

Słuchając, jak Laurie opisuje związek Tylera z Sarą, Zoey pomyślała o swoim związku z Brianem. Czy uzupełniali się nawzajem? Tak myślała... do niedawna.

Poczuła ostre ukłucie zazdrości o Sarę, tak bardzo kochaną przez Tylera. Żaden mężczyzna nigdy nie kochał tak Zoey i zastanawiała się, czy kiedykolwiek doświadczy takiej miłości. Jak to jest, kiedy się wie, że ktoś cię całkowicie i bez reszty kocha? Na pewno cudownie.

- Nie sądzę, żeby któreś z nich spojrzało później na kogoś innego - ciągnęła Laurie.
- Nawet kiedy Tyler wyjechał na Uniwersytet Stanowy Wyoming, przyjeżdżał do domu tak często, jak mógł, żeby się z nią widywać. I nie umawiał się z nikim innym, przynajmniej nie na poważnie.

- Czy Sara nie pragnęła wyjechać z nim na studia?

- Nie bardzo wiem, co pragnęła zrobić. Jej ojciec nie chciał, żeby wyjechała, a ona nigdy by go nie zostawiła samego. Widzisz, był wdowcem, a ona jedynaczką. W każdym razie Sara została z ojcem na ranczu i czekała, aż Tyler skończy studia i wróci do domu. Tydzień po tym, jak odebrał dyplom, pobrali się.

- Co o tym myślał jej ojciec?

- Chyba zdawał sobie sprawę z tego, że w końcu nadejdzie dzień, kiedy Sara go opuści. - Laurie uśmiechnęła się kwaśno.

- Oczywiście żaden mężczyzna nie był godzien jego małej córeczki. Ale lubił Tylera. Przynajmniej wtedy.

- Co się stało? - naciskała Zoey.

Laurie westchnęła. Na jej twarzy pojawił się głęboki smutek.

- Patrząc na to z perspektywy czasu, myślę, że wszyscy powinniśmy byli spodziewać się tego, co potem nastąpiło. W dniu ich ślubu mieliśmy zły znak.

- Zły znak?

- Rano Sarę musiało zabrać pogotowie - wyjaśniła Laurie.

- Całe życie cierpiała na ciężką astmę i tego ranka miała atak. Lekarz kazał jej przełożyć ślub o parę dni, ale nie chciała o tym słyszeć. Dostała jeden z tych zastrzyków, które musiała brać od czasu do czasu, i parę godzin później szła główną nawą kościoła.

- Więc była chora. - Zoey zaczęła wszystko rozumieć.

- Przeważnie czuła się dobrze - zaznaczyła Laurie - póki brała lekarstwa i nie próbowała robić nic wymagającego dużego wysiłku. Problem w tym, że nie powinna była rodzić dzieci. Okazuje się, że w wypadku ciężkiej astmy, ciąża i poród mogą zagrażać życiu.

- Czy Tyler o tym wiedział? Laurie pokręciła głową.

- Nie. Nikt z nas o tym wtedy nie wiedział. Oprócz jej ojca. On wiedział o jej stanie zdrowia dużo więcej niż ktokolwiek inny. Sara nie lubiła tego tematu. Nie godziła się z tym, że ze względu na chorobę ma zrezygnować z rzeczy, które chce robić. Poza tym Sara wiedziała, jak bardzo Tyler pragnie mieć rodzinę, i chyba bała się, że jego uczucia do niej osłabną, jeśli nie da mu dzieci. Powinna była bardziej mu ufać. Nie pozwoliłby, żeby to stało między nimi.

Laurie zawahała się.

- Przypuszczam, że zaszła w ciążę - powiedziała łagodnie Zoey.

- Tak. - Na wspomnienie tragedii głos Laurie przycichł. Brzmiał teraz bezradnie. - W końcu, dziesięć lat po ślubie, zaszła w ciążę. Nigdy nie widziałam Tylera bardziej przejętego. Był jeszcze szczęśliwszy niż w dniu ślubu. Kiedy ludzie go pytali, czy woli chłopca, czy dziewczynkę, odpowiadał... - Laurie zamilkła, przełknęła ślinę i zmusiła się do kontynuowania opowieści. - Odpowiadał: „Wszystko mi jedno, byle tylko Sara i

dziecko byli zdrowi". W jego głosie nie słyszało się jednak prawdziwej obawy. W dzisiejszych czasach ludzie raczej nie boją się porodu.

„Niektórzy się boją” - pomyślała Zoey, przypomniawszy sobie strach Denise przed pierwszym porodem w wieku trzydziestu ośmiu lat. Tragiczna historia Sary uświadomiła jej teraz, że przyjaciółka nie histeryzuje. Zoey przyrzekła w myślach, że zrobi wszystko co w jej mocy, by wesprzeć Denise.

- Na pewno bardzo chciała urodzić dziecko - powiedziała zamyślona Zoey. - Nie tylko dla Tylera, ale dla siebie. - W tym momencie nieoczekiwanie poczuła, że ta nieznana kobieta jest jej bliska. Rozumiała Sarę, która pragnęła dziecka tak bardzo, że była gotowa ryzykować zdrowie.

Laurie smutno pokiwała głową.

- No jasne. Mówiła, że nazwie je po zmarłej matce, jeśli to będzie dziewczynka, albo po naszym zmarłym ojcu, gdyby był chłopiec. Ale nie powinna była tego robić. Bez względu na to, jak bardzo chciała dać Tylerowi dziecko, nie powinna była tego robić. Musiała postawić na swoim. Pewnie wmawiała sobie, że wszystko będzie dobrze mimo przeciwwskazań lekarza. - Jej głos przeszedł w szept. - Nigdy się tego nie dowiemy. Zmarła nagle, w siódmym miesiącu ciąży.

- A dziecko?

W błękitnych oczach Laurie zalśniły łzy.

- To była maleńka, śliczna dziewczynka. Przeżyła matkę tylko o kilka godzin.

Serce Zoey ścisnęło się ze współczucia. Jednoczesna utrata żony i dziecka musiała być dla Tylera nie do zniesienia. W jaki sposób mógł się kiedykolwiek otrząsnąć po takiej tragedii? Jak mógł odbudować swoje życie?

- Oczywiście Tyler był zdruzgotany - dodała smutnym głosem Laurie, jakby czytając w myślach Zoey. - Było tak, jakby opadła mu na oczy ciężka, żelazna zasłona. Jednak nie okazywał uczuć. Tutaj mężczyznom mówi się, żeby jak prawdziwi kowboje nie okazywali bólu. Nasz ojciec był dobrym człowiekiem, ale przejął ten styl *macho* i przekazał go Tylerowi.

- Ale czemu Jamison nienawidzi Tylera? - spytała oburzona Zoey. - To nie jego wina, że Sara zmarła.

- Według niego to on jest winien. Mówił, że Tyler na pewno wiedział, jak ciężki jest stan Sary. Oskarżał go, że tak bardzo chciał mieć dziecko, a zwłaszcza syna i dziedzica, że naraził Sarę na śmierć.

- Czy Tyler powiedział mu, jak było naprawdę?

- Raz, tuż po pogrzebie. Poszedł na ranczo Jamisona. Teść wycelował w niego strzelbę i zagroził, że jeśli w tej chwili nie opuści jego posiadłości, zastrzeli go. To było cztery lata temu. Od tego czasu ciągle walczą ze sobą. Komuś z zewnątrz może się wydawać, że źródłem konfliktu są konie. Tak naprawdę jednak chodzi o biedną Sarę.

- To, że teść oskarża go o spowodowanie śmierci Sary, musi pogłębiać poczucie winy Tylera - powiedziała Zoey, jeszcze bardziej go żałując.

Laurie zanurzyła dłoń w chłodnej wodzie strumyka. Na jej twarzy malował się ból.

- Na pewno. - Spojrzała bezradnie na Zoey. - Wszystko wskazuje na to, że jeśli Tyler nie będzie w stanie uwolnić się od poczucia winy, w końcu w nim utonie.

- Rozumiem, że nie zaangażował się w żaden inny związek.

- Nie. Chyba żeby wziąć pod uwagę parę randek z kobietami, o które w ogóle nie dbał. Wiem, że to brzmi strasznie, ale są dla niego po prostu wygodne i uprzyjemniają mu życie, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

Zoey świetnie to rozumiała. Już wcześniej zaczęła się zastanawiać, czy właśnie tym jest dla Briana - uprzyjemniającym życie udogodnieniem. Ta myśl była bolesna i gorzka. Starając się o niej zapomnieć, znów skupiła się na Tylerze. Była jeszcze bardziej zbita z tropu.

- Dlaczego w takim razie umieścił ogłoszenie w „Poznajmy się”? - spytała. - Jego zachowanie w stosunku do mnie wyraźnie świadczy o tym, że nie zależy mu na nowym związku, nie mówiąc o małżeństwie.

Ku zaskoczeniu Zoey twarz Laurie oblał rumieniec. Przez dłuższą chwilę panowała niezręczna cisza.

- Chodzi o to, że... - powiedziała w końcu. Przerwała, po czym szybko dodała: - A niech tam, lepiej będzie, jak się przyznam. Prawda wygląda tak, że Tyler nie zamieścił tego ogłoszenia. Ja to zrobiłam. Nie wiedział o niczym aż do chwili, kiedy nie można już było tego odwołać.

- Co? - Ta wiadomość kompletnie zaskoczyła Zoey, chociaż, jak sobie szybko zdała z tego sprawę, wiele tłumaczyła. Teraz rozumiała, czemu mężczyzna, który prosił ją o przyjazd z tak daleka, okazywał niemal zupełny brak zainteresowania, kiedy już przyjechała.

- Zrozum, to dla jego dobra. - Laurie z miejsca zaczęła się tłumaczyć. - Tyler musi wrócić do życia i pomyślałam, że może właśnie takiego bodźca potrzebuje, by zrozumieć, że nie umarł razem z Sarą i córką.

- Ale czemu, u licha, zgodził się na to? - spytała zdumiona Zoey. Z tego, co wiedziała o Tylerze Rossie, wynikało, że nie pozwoliliby, by ktokolwiek, nawet siostra, zmusił go do zrobienia czegoś wbrew własnej woli.

- Na początku nie chciał - przyznała Laurie. - Był na mnie wściekły i pokłóciliśmy się o to. Ale, widzisz, od jakiegoś czasu staram się umawiać Tylera z różnymi miłymi, samotnymi kobietami. Trudno tu takie znaleźć, ale jest kilka. Bardzo go to denerwuje, więc zawarliśmy umowę. Miał się spotkać z jedną z kobiet, które odpowiedzą na ogłoszenie, a ja miałam się od niego na dobre odczepić.

Nagle wszystkie kawałki łamigłówki zaczęły do siebie pasować. Zoey wyczuła instynktownie, że Tyler wybrał właśnie ją, bo mieszkała daleko, w Nowym Jorku, i przypuszczalnie nie była kobietą, która zamieniłaby wielkomiejski styl życia na egzystencję na wsi. Wykorzystał ją, pomyślała z wściekłością. Ale zanim jej święte oburzenie mogło przeobrazić się w gniew, przypomniała sobie, że ona też go wykorzystuje. Złość stopniała w obliczu wielkiego poczucia winy. Ale nie zniknęła zupełnie.

Laurie patrzyła na Zoey z niepokojem.

- Jesteś na mnie zła? Nie dziwiłabym się, gdybyś była. Daję słowo, chciałam tylko pomóc Tylerowi. Potrafi czasem zależeć za skórę, ale to mój brat i kocham go. Pewnie uznasz, że to nie usprawiedliwia nieuczciwości, i oczywiście będziesz miała racje.

- Och, Laurie, nie jestem na ciebie zła. - „Jestem zła na Tylera”, pomyślała z irytacją Zoey. - Rozumiem twoją opiekuńczość - dodała łagodnie. - Sama mam dwóch młodszych braci. I chociaż wiele razy, kiedy dorastali, miałam ochotę ich udusić, zrobiłabym wszystko, żeby im pomóc.

Laurie odetchnęła z ulgą.

- Tak się cieszę, że to mówisz. Nie masz pojęcia, jakie wyrzuty sumienia gnębią mnie od chwili twojego przybycia. W końcu przyjechałaś tu z konkretnym nastawieniem, tak różnym od postawy Tylera.

Zoey pomyślała z niepokojem, że Laurie nie ma pojęcia jakie naprawdę było jej nastawienie.

- Powinnyśmy wracać - powiedziała siostra Tylera. - Pewnie skończyli już znakowanie.

Wstały i ruszyły w stronę oddalonego obozowiska. Laurie westchnęła.

- Kamień spadł mi z serca. Teraz możemy zacząć od początku, na uczciwych zasadach, i zobaczyć, co będzie z tobą i Tylerem.

- Chwileczkę, Laurie, wiesz przecież, że Tyler nie jest mną zainteresowany.

- Może nie. Ale kto wie, może i jest.

- Nie jestem osobą, jakiej szuka - upierała się twardo Zoey. „O ile w ogóle kogoś szuka”, pomyślała.

- Skąd wiesz?

- Przecież ani trochę nie przypominam Sary. Laurie spojrzała na nią z namysłem.

- To prawda, różnisz się od niej pod wieloma względami. Była inaczej wychowywana, zadowalało ją prowadzenie domu i spędzenie całego życia tam, gdzie się urodziła i wyrosła. Ale masz jej ducha. Sara nie była słodką, uległą kobietką stojącą u boku męża bez względu na wszystko. Dawała tyle samo, ile brała. Tak samo jak ty, jak przypuszczam.

- Na pewno nie jestem tym, czego chce Tyler - upierała się z pełnym przekonaniem Zoey. Była na tyle uprzejma, że nie powiedziała: „On też na pewno nie jest tym, czego ja chcę”.

Laurie uśmiechnęła się.

- Tyler sam nie wie, czego chce. Kiedy w końcu się o tym przekona, może być trochę zaskoczony. Czasami to, czego szukamy, pojawia się w innym opakowaniu, niż się spodziewamy.

Zoey już miała odpowiedzieć, kiedy przypomniała sobie, co Carla mówiła o odpowiednim opakowaniu Briana. Był pięknie zawiniętą paczką, ale pustą w środku. Może, pomyślała niechętnie, Laurie ma rację.

Po chwili jednak się otrząsnęła. Jeśli coś było zupełnie jasne, to fakt, że ona i Tyler na pewno do siebie nie pasują.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kiedy Laurie i Zoey wróciły do obozu, było już po robocie. Mężczyźni oznakowali wszystkie cieleta i dokładnie wygasili ognisko. Cała czwórka - Laurie, Zoey, Tyler i Jesse - spokojnie zasiadła do lunchu. Gdy Tyler omawiał z Jessem sprawy związane z pracą na ranchu, Zoey rzucała na niego ukradkowe spojrzenia. Teraz, kiedy wiedziała o nim tak dużo, wydawał się jej jeszcze bardziej fascynujący i pociągający. Przedtem myślała, że jest powściągliwy, opanowany pasją chronienia mustangów, ale wolny od namiętnych uczuć. Teraz wiedziała, że jest inaczej. Jego uczucia były tak głębokie, że musiał je ukrywać.

Nie żeby to miało jakieś znaczenie, powiedziała sobie surowo. Musiała jak najszybciej wypłatać się z tej sytuacji. Gdy jednak zastanawiała się nad telefonem, który miał dać jej pretekst do wyjazdu, poczuła lekkie ukłucie żalu.

Po lunchu obaj mężczyźni pomogli załadować składany stół, krzesła, naczynia i resztę jedzenia do pick-upa. Zoey już miała do niego wsiąść, kiedy Laurie ją zatrzymała.

- Poczekaj. Mam świetny pomysł.

Przebiegły błysk w jej jasnoniebieskich oczach ostrzegł Zoey, że coś się szykuje.

Unikając pytającego spojrzenia gościa, Laurie zwróciła się do Tylera:

- Do rancha można dotrzeć konno w pół godziny. Czy nie byłoby miło, gdyby Zoey przejechała się z tobą? W ten sposób mogłaby obejrzeć okolicę lepiej, niż gdyby wracała samochodem.

Przyparła Tylera do muru. Spojrzał z niechęcią na Zoey.

- No, nie sędzę...

- Nie musisz być doświadczonym jeźdźcem - powiedziała Laurie do Zoey, zanim brat zdążył skończyć zdanie. - Na starej klaczy Jessego siedzi się jak w fotelu na biegunach.

Zoey poczuła się zmuszona udowodnić, że nie jest zupełną niezdara.

- Prawdę mówiąc, umiem jeździć konno - odpowiedziała automatycznie. - Co niedziela jeżdżę po Central Parku.

Tyler popatrzył na nią z powątpiewaniem.

- Central Park. - W tych słowach pobrzmiwało niewypowiedziane lekceważenie, jakby jazda po parku była czymś, czego nie sposób traktować poważnie.

- Jestem całkiem dobra - upierała się Zoey, zdenerwowana jego zachowaniem.

- Na wyłożonej płytami ścieżce może i tak - odrzekł lapidarnie Tyler. - Ale tutaj mamy nierówny teren.

Laurie nachmurzyła się.

- Och, Tyler, na Boga, zachowujesz się, jakbyście mieli pokonywać Kordyliery. Wiesz, że to łatwa przejażdżka.

Po nagłym impulsie, by bronić własnej dumy i umiejętności jeździeckich, Zoey zreflektowała się, że stoi po niewłaściwej stronie barykady.

- Może Tyler ma rację - powiedziała pospiesznie. - Chyba powinnam wrócić pick-upem razem z tobą, Laurie. Chociaż - musiała dodać uparcie - jestem pewna, że dałabym sobie radę.

- To przesądza sprawę - zdecydowała Laurie, nieoczekiwanie kończąc dyskusję. Zoey otworzyła usta, by się z nią spierać. - Pomyśl, jakie zdjęcia będziesz mogła zrobić – dodała z wielką przytomnością umysłu Laurie, po czym zwróciła się do Jessego: - Wskakuj.

Jesse spoglądał to na Laurie, to na Tylera. Najwyraźniej nie miał pojęcia, co ma zrobić. W końcu tylko pokręcił głową i wsiadł do pick-upa.

Tyler jednak nie miał zamiaru się poddać.

- Laurie, to nie jest dobry pomysł. Uśmiechnęła się słodko do brata.

- Uważam, że jest wspaniały. - Skinęła głową Tylerowi i Zoey. - Do zobaczenia na ranczu. Ale nie spieszcie się. Macie dużo czasu.

Włączyła silnik i po chwili zniknęła w obłoku wirującego kurzu.

Gdy samochód zakryły drzewa, Tyler i Zoey przez chwilę patrzyli na siebie z zakłopotaniem. Mężczyzna w końcu wzruszył ramionami.

- W takim razie osiodłajmy konie - powiedział bez entuzjazmu.

Ruszył w kierunku zwierząt przywiązanych do pobliskiego drzewa, pod którym leżały siodła.

- Umiesz osiodłać konia, prawda? - rzucił przez ramię.

- Tak - odpowiedziała ostro Zoey.

Nie czekając na jego pomoc, położyła koc na grzbiecie konia Jessego, po czym umieściła na nim siodło. Nie miała zamiaru mówić Tylerowi, że jest przyzwyczajona do jazdy w stylu angielskim - siodło zachodnie wydawało się jej ciężkie i nieporęczne. Mocno, ale nie za mocno, zacisnęła popręg i przelożyła wodze przez łeb klaczy. Odwiązała od drzewa linę, zwinęła ją i zawiesiła na łuku siodła.

Rzuciła Tylerowi krótkie, zadowolone spojrzenie, jakby chciała powiedzieć „A widzisz, mówiłam, że dam sobie radę”, po czym włożyła lewą stopę w strzemień i usiadła na koniu. Prawie. Była jeszcze w powietrzu, gdy siodło się przesunęło, a ona upadła na twardą ziemię, lądując z hukiem na siedzeniu.

Dobiegł ją ochryply śmiech, którego Tyler wcale nie starał się ukryć.

Zakłopotana jak nigdy w życiu, Zoey szybko poderwała się na nogi i otrzepała z kurzu obolałe pośladki. Spojrzała na Tylera.

- Mocno zacisnęłam popręg - powiedziała z oburzeniem. - Coś musi być nie tak z siodłem.

Tyler podszedł do niej z uśmiechem, który doprowadzał do szaleństwa, a jednocześnie był zadziwiająco pociągający.

- To nie wina siodła. To koń. Stara chytruska. Wciągnęła powietrze, żeby powiększyć brzuch. Chciała, żebyś pomyślała, że mocno zaciskasz popręg. Potem wypuściła powietrze i popręg zrobił się za luźny.

Siodło wisiało pod brzuchem klaczy. Tyler przesunął je na grzbiet, mocniej zacisnął popręg i poczekał, aż zwierzę odetchnie. Następnie jeszcze raz poprawił zapięcie i odszedł od konia.

- Proszę bardzo - zwrócił się do Zoey z triumfującym uśmiechem. - Teraz powinno być w porządku.

- Wiedziałaś, że tak będzie! - wybuchnęła Zoey. - Chciałaś po prostu zobaczyć, jak robię z siebie idiotkę! - Tłumiona od czasu kompromitacji z bykiem wściekłość, połączona z zakłopotaniem, w końcu eksplodowała.

- Hej, to ty twierdziłaś, że umiesz osiodłać konia - bronił się rzeczowym tonem Tyler. - Zrobiłbym to za ciebie, ale wyglądało na to, że koniecznie chcesz coś udowodnić.

Ani przez chwilę nie wierzyła w to niewinne tłumaczenie. Stała z rękami na biodrach, wpatrując się w niego, i nie mogła zapanować nad irytacją.

- Sprawia ci przyjemność, kiedy widzisz, że czuję się jak ryba wyjęta z wody, prawda? Świetnie się bawisz moim kosztem. Coś ci powiem, Tylerze Ross, od chwili gdy się poznaliśmy, zachowujesz się jak kompletny palant i mam już tego dość! Pierwszym samolotem wracam do Nowego Jorku!

Z jego twarzy zniknął wyraz prawie nieskrywanego rozbawienia.

- Może właśnie tam jest twoje miejsce - powiedział cicho, ale z przekonaniem.

- Pewnie, że tak!

- Jestem pewien, że w mieście przywykłaś do dużo bardziej ekscytującego życia. To wszystko - wskazał dłonią na otoczenie - musi ci się wydawać nudne. Przynajmniej będziesz mogła opowiedzieć swoim światowym znajomym parę zabawnych historyjek - dokończył z sarkazmem.

- No jasne, jesteśmy tylko bandą powierzchownych, niewrażliwych...

Zanim zdążyła dokończyć, Tyler uciszył ją uniesieniem ręki.

- Posłuchaj!

Stała w milczeniu, zastanawiając się, do czego, u licha, on zmierza. Nic nie słyszała. Tyler nasłuchiwał przez chwilę ze zmarszczonymi brwiami i zmrużonymi oczami, starając się usłyszeć coś, co umykało uwagi Zoey.

W końcu to usłyszała - ciche, ale coraz głośniejsze, dobiegające z oddali dudnienie.

Tyler chwycił wodze klaczy i szybko przywiązał je do drzewa.

- Chodź! - zawołał do Zoey.

Wziął ją za rękę i zaprowadził pod dużą pochyłą skałę, która stała w pobliżu.

- Co, u licha...? - zaczęła. Zanim jednak zdążyła dokończyć, wszedł na głąz i wciągnął ją za sobą.

- Nadchodzą! - krzyknął.

Dudnienie zamieniło się w niemal ogłuszający huk uderzających o ziemię kopyt i po chwili w wąskim kanionie pojawiło się stado mustangów.

Był to najbardziej oszałamiający widok, jaki Zoey kiedykolwiek widziała - zaparł jej dech w piersi. Te kilka żalosnych, wygłodzonych koni, które Tyler uwolnił dzień wcześniej z przyczepy, było niczym w porównaniu z tymi wspaniałymi zwierzętami. Zdawały się biec dla samej radości galopu, poruszały się pewnie, całkowicie swobodne.

Biegnące razem po rozległej przestrzeni konie, prowadzone przez pięknego ogiera Appaloosę, były wcieleniem wolności i nieokiełznanego ducha, najpiękniejszym uosobieniem dzikości, jakie według Zoey mogło istnieć na tej oswojonej ziemi. Widok ten poruszył w niej jakąś prymitywną strunę, obudził coś, czego wcześniej nie czuła i z czym nie mogła zacząć się identyfikować.

Zoey spojrzała na Tylera i zauważyła, że wyraz jego twarzy się zmienił. Wiedziała, że to, co widzi w jego oczach, jest lustrzanym odbiciem odczuwanego przez nią zachwyty.

- Teraz rozumiem, czemu o nie walczysz - powiedziała cicho. Złość na niego zupełnie jej przeszła.

On westchnął i kiwnął głową.

- Nie ma na ziemi nic piękniejszego niż stado dzikich koni pędzących po otwartej przestrzeni - powiedział niemal do siebie. - Mają dzikie serca. Takie, jakie powinni mieć ludzie. - Następnie, jakby zdał sobie sprawę, że pozwolił Zoey zobaczyć kawałek własnej duszy, i pożałował tego, dodał nieco gburowatym tonem: - Już czas na nas.

Gdy wrócili do oczekujących koni, Zoey spojrzała nieufnie na złudnie spokojną klacz.

- Czy to zwierzę robi jeszcze jakieś sztuczki, o których powinnam wiedzieć? - spytała zgryźliwie.

- Nie. Jeśli nie liczyć tego, że kiedy podchodzi do ogrodzenia, ociera się o nie, żeby rzucić jeźdźca. No i czasem biegnie w stronę niskiego konaru, żeby wysadzić człowieka z siodła.

Zoey rzuciła mu sceptyczne spojrzenie.

- Coś jeszcze?

- Nie, to chyba wszystko. Poza tym jest bardzo dobrym konikiem.

Zoey nie wyglądała na przekonaną.

- No jasne.

- Ale nawet gdyby nie była - dodał, drażniąc się z nią - na pewno byś sobie poradziła. Jesteś przecież doświadczonym jeźdźcem.

Zamiast odgryźć się za te dobroduszne żarty, Zoey przeszła nad nimi do porządku dziennego. Atmosfera się rozluźniła. Tyler wciąż był zamknięty w sobie, ale jego chłodne opanowanie znacznie stopniało. Zoey wiedziała, skąd ta zmiana - patrząc na mustangi, przez chwilę czuli to samo. Teraz nie byli już zupełnie obcymi sobie ludźmi, ale dwiema osobami, które łączyły te same silne uczucia.

Gdy wsiedli na konie, Tyler w zamyśleniu spojrzał na Zoey.

- O co chodzi? - spytała, ciekawa jego myśli.

- Kiedy się poznaliśmy, zastanawiałem się, czy kolor twoich włosów jest naturalny. Teraz myślę, że nie może być sztuczny, bo masz temperament rudzielca. - Tę uwagę złagodziło lekkie uniesienie kącików ust.

Ku swemu zakłopotaniu Zoey poczuła, że się rumieni - od lat jej się to nie zdarzyło. Opuściła wzrok, unikając spojrzenia Tylera.

- Dobra, przyznaję, że czasem daję się ponieść. Moja matka mówi, że to mój irlandzki temperament.

- Proszę się nie martwić, pani Donovan - odrzekł lekko.

- Poradzę sobie z nim.

Zmusiła się, żeby na niego spojrzeć, i ujrzała w jego przeszywających, błękitnych oczach figlarny błysk.

- Tak myślisz, co?

- Aha.

Po tej odpowiedzi wprowadził konia w kłus. Zoey uczyniła to samo.

„Kurczę, szkoda, że nie zrobiłam paru zdjęć tych koni” - pomyślała, przejechawszy kawałek. Następnie popędziła klacz, żeby zrównać się z Tylerem, i poprosiła go, by opowiedział jej o mustangach.

Tyler spoważniał.

- To cud, że udaje im się przetrwać, są narażone na tyle niebezpieczeństw. Grozi im śmierć głodowa zimą, drapieżniki, na przykład górskie pumy. Hodowcy bydła widzą w nich jedynie zagrożenie dla publicznych pastwisk, toteż gotowi są łapać i zabijać mustangi albo sprzedawać je do rzeźni. Zoey nie przyznała się, że wie o jednym z tych hodowców - byłym teściu Tylera, Hanku Jamisonie.

- Najwyraźniej jesteś za ich ochroną - powiedziała zamiast tego.

- Oczywiście. Dla mnie mustangi są żywym symbolem Starego Zachodu. Moje ranczo jest azylem dla wszystkich dzikich koni, jakie się na nie zabłąkają.

- Prowadzenie takiego azylu musi być kosztowne - zauważyła.

Odpowiedział wymijająco, ale wyczuła, że to rzeczywiście oznacza trudności finansowe, i postanowiła, że musi oddać Laurie przysłany przez Tylera bilet. Kupiła sobie własny, zamierzając zwrócić mu tamten. Wiedziała jednak, że nie powinna dawać go bezpośrednio Tylerowi. Był dumnym człowiekiem i duma nie pozwoliłaby mu go przyjąć.

Zoey zebrała się na odwagę i ryzykując, że jej rozmówca wybuchnie gniewem, ośmieliła się spytać o konfrontację, która zaszła poprzedniego dnia.

- Te konie, które wczoraj uwolniłeś... - zaczęła nieśmiało - mówiłeś, że jechały do rzeźni? Ponuro pokiwał głową.

- Ci chłopcy, którzy prowadzili ciężarówkę, pracują na ranczu Jamisona. Hank łapie tyle mustangów, ile tylko może, i wysyła je do rzeźni. To nielegalny proceder, ale on ma wystarczająco dużo pieniędzy i politycznych koneksji, żeby uchodziło mu to na sucho, dopóki nie zwraca na siebie uwagi.

- To dlatego nie kazali ci aresztować za atak na ciężarówkę - domyśliła się Zoey. - Nie chcieli się tłumaczyć, co w niej wieźli.

Tyler rzucił na nią krótkie spojrzenie.

- Bała się pani, że wyląduję w pudle, prawda, pani Donovan? - W jego głosie znów zabrzmiało rozbawienie.

Spojrzała mu w oczy, walcząc z powracającym rumieńcem.

- Nie bardzo. Jestem pewna, że sam potrafisz o siebie dbać.

- No jasne - odpowiedział. - Dasz sobie radę z czymś szybszym od spaceru? - spytał, nie patrząc na nią.

- Cóż, chyba utrzymam się w siodle.

- Dobrze, w takim razie naprzód.

Tyler popędził konia i Zoey zrobiła to samo. Przez resztę drogi na ranczo milczeli, ale było to przyjacielskie milczenie. Zniknęła napięta atmosfera, która towarzyszyła im poprzedniego dnia w drodze z lotniska.

Po półgodzinnej jeździe dotarli do stajni, gdzie czekał na nich Jesse, żeby zająć się końmi. Zaskoczenie, które pojawiło się na jego nie ogolonej twarzy, gdy ujrzał jadącą kłusem Zoey, sugerowało, że nie był do końca pewien, czy się jej uda. Kiedy zsiadła z konia, poczuła, że ma sztywne nogi i siedzenie obolałe po bezceremonialnym upadku. Marzyła o gorącej kąpieli.

Tyler i Zoey oddali wodze Jessemu, który zaprowadził konie do stajni.

- Pewnie już się naoglądałaś Jackson Hole i z radością wrócisz do Nowego Jorku - powiedział chłodno Tyler, gdy ruszyli w stronę domu. - Dziś wieczorem jest samolot. Jeśli się pospieszymy, możesz na niego zdążyć.

Zoey poczuła ukłucie rozczarowania, stwierdzając jednocześnie, że jest niekonsekwentna. Zaledwie parę minut wcześniej upierała się, że nie może się doczekać powrotu do domu. Teraz zupełnie jej się nie uśmiechało opuszczać to piękne miejsce. Nie chciała przyznać, nawet przed samą sobą, że Tyler odgrywa w tym jakąś rolę. „Najlepiej będzie, jeśli wyjadę - powiedziała sobie stanowczo. - Im szybciej, tym lepiej”.

Gdy dotarli do domu, na ganek wyszła Laurie.

- Dzwonił do ciebie ktoś z Nowego Jorku, kiedy byliśmy na pikniku - powiedziała do Zoey. - Spisałam nazwisko i numer z automatycznej sekretarki.

„To pewnie Carla” - pomyślała zaskoczona Zoey.

Carla była jedyną osobą, która знаła numer telefonu. Zoey podała go jej na wszelki wypadek. Zastanawiała się, czemu, u licha, Carla miałaby do niej dzwonić, i nagle ogarnął

ją niepokój o Denise. Czy coś się stało? Może poroniła? Inny powód nie przychodził jej do głowy.

- Kto taki? - spytała, chociaż była pewna, że zna odpowiedź.

- Niejaki Brian Morgan - powiedziała Laurie z ledwie tłumionym zaciekawieniem.

Zoey stanęła jak wryta. Idący obok Tyler zatrzymał się i rzucił jej zdziwione spojrzenie. Ta nieoczekiwana konfrontacja z kłamstwem, które ją tu sprowadziło, zbudziła w Zoey poczucie winy.

Zebrała wszystkie swoje siły emocjonalne.

- Ach, tak? To mój, hm, prawnik - udało jej się powiedzieć głosem zbliżonym do normalnego. - Pewnie musi ze mną omówić jakiś problem związany z interesami.

- Jeśli chcesz, możesz do niego zadzwonić z mojego biura - zaproponowała Laurie, najwyraźniej uspokojona tym wyjaśnieniem. - Będziesz tam mogła spokojnie porozmawiać. Pokażę ci, gdzie to jest.

Tyler jednak nie poszedł za Zoey do domu. Zawrócił w stronę stajni.

- Mam parę rzeczy do zrobienia - rzucił przez ramię.

Laurie zaprowadziła Zoey do małego pokoju na tyłach domu, który - jak wyjaśniła - był kiedyś szwalnią. Niedawno przekształcono go w imponujące domowe biuro, wyposażone w komputer, drukarkę, modem, faks i kserokopiarkę. Na szerokim metalowym biurku stał telefon.

- Pójdę do kuchni i zrobię herbatę - powiedziała Laurie.

- Przyjdź do mnie, jak skończysz.

Zoey usiadła przy biurku i przez chwilę wpatrywała się w telefon. Wrzały w niej emocje: zdziwienie, że Brian zadzwonił, ulotna nadzieja, że jest gotów powiedzieć te słowa, które chciała usłyszeć, i dziwna niechęć do tej rozmowy.

„Uspokój się, przestań się wygłupiać” - powiedziała sobie. Wypuściła wstrzymywany oddech, podniosła słuchawkę i wykręciła prywatny numer biura Briana. W Nowym Jorku była dopiero szósta i nawet gdyby Zoey nie widziała zapisanego przez Laurie numeru, wiedziałaby, że Brian jeszcze jest w pracy.

Telefon zadzwonił tylko raz, zanim podniesiono słuchawkę. Świadomość, że Brian nie mógł się doczekać jej telefonu, wywołała u Zoey przyjemny dreszcz.

- Brian, to ja - powiedziała po prostu.

- Zoey. - W znajomym głosie pobrzmiwała tłumiona irytacja.

Zrozumiała, że jeśli liczyła na ciepłe powitanie, myliła się.

- Skąd dzwonisz? - spytał Brian, zanim mogła coś powiedzieć.

Zawahała się, nie chcąc odpowiadać na tak bezpośrednie pytanie. Nie mogła jednak się wymigać.

- Z rancza, na którym mieszkam - powiedziała wymijająco.

- Z czyjego rancza? - dopytywał się Brian w swoim najlepszym stylu atakującego adwokata. Zoey nigdy nie widziała go w akcji na sali sądowej, zaczęła jednak rozumieć, jak dobrym jest prawnikiem. Bez wątpienia udało mu się zepchnąć ją do defensywy.

- Leży pod Jackson Hole.

- Kto jest jego właścicielem?

Westchnęła i poddała się.

- Tyler Ross.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza, po czym Brian powiedział rzeczowo:

- Ten kowboj, na którego ogłoszenie odpowiedziałś.

- To nie kowboj, tylko ranczer - odcięła się Zoey, w dziwny sposób czując, że powinna stanąć w obronie Tylera.

- Co ty tam, u diabła, robisz?! - wybuchnął Brian.

- Mieszka z siostrą i siostrzenicą. Mamy przyzwoitki.

- Ach, tak, więc wszystko w porządku. - Głos Briana osiągnął szczyty ironii.

Zoey nagle zdała sobie sprawę z czegoś, czego wcześniej nie zauważała. Złość wyzwalala w Brianie bardzo nieatrakcyjną małostkowość.

Westchnęła, widząc, że rozmowa nie toczy się w pożądanym przez nią kierunku.

- Słuchaj, Brian - powiedziała - ta dyskusja chyba nie ma sensu, więc zaraz odłożę słuchawkę.

- Poczekaj, do licha! Zoey, za daleko się posunęłaś w naszej głupiej kłótni. Robisz z siebie idiotkę.

- Czyżby? To nie ja zadzwoniłam, Brian. Ty zadzwoniłeś do mnie. I jeśli nie masz do powiedzenia nic kulturalnego, nie zamierzam z tobą rozmawiać. - Poczula wzrost

poziomu adrenaliny i stwierdziła, że obrona własnego stanowiska może być bardzo przyjemna.

- Zoey, rozkazuję ci natychmiast wracać!

Zdumiona, tak mocno ścisnęła słuchawkę, że zbieleły jej kłykcie.

- Co takiego?

- Mówię ci, że masz natychmiast wracać! Moja cierpliwość ma swoje granice.

- Cóż, będziesz musiał te granice poszerzyć, Brian, bo nie wrócę, dopóki nie będę do tego gotowa. - Już odkładała słuchawkę, ale dodała jako *coup de grace*: - I nie waż się nigdy więcej mi rozkazywać!

Rzuciła słuchawkę, która wydała przyjemny dla jej ucha jęk.

Siedziała przez chwilę, trzęsąc się ze złości. Jak on śmiał? Co za tupet! Za kogo on się uważa? Będzie miał wielkie szczęście, jeśli ona raczy się do niego w ogóle odezwać.

Mimo gniewu zdała sobie sprawę, że właśnie spaliła za sobą wszystkie mosty. I chociaż ogień wyglądał wspaniale, oznaczało to bardzo realne problemy. Zaledwie godzinę wcześniej powiedziała jasno Tylerowi, że natychmiast leci do Nowego Jorku. Teraz nie mogła tego zrobić. Gdyby wróciła, wyglądałaby jak zbity pies z podwiniętym ogonem, znowu łaszący się do pana. Brian uznałby, że się poddała, i nie pozwoliliby jej o tym zapomnieć. Wyglądało na to, że chcąc nie chcąc, skazała się na pozostanie w Jackson Hole, przynajmniej przez następne parę dni.

Z miejsca przysła jej do głowy myśl, że teraz może sfotografować mustangi. Bardzo chciała uwiecznić je na kliszy. W jej głowie kiełkowały już nasiona pewnego pomysłu. Planu następnej wystawy - przedstawiającej dzikie konie.

Nagle przypomniała sobie, że w okolicy nie ma wolnych pokoi hotelowych. Będzie musiała schować dumę do kieszeni i przekonać się, czy Tyler i Laurie pozwolą jej tu zostać. To wydawało się mniej poniżające niż wykonanie rozkazu Briana.

Z determinacją skrzyżowała ręce, wstała i poszła do kuchni. Przy stole siedziała Cheryl z nie kończącą się listą spraw, które musiała załatwić przed ślubem. Laurie stała przy drugim stole, nalewając gorącą wodę do prostego białego imbryka z porcelany. Uśmiechnęła się do wchodzącej Zoey.

- Jak tam rozmowa? - spytała uprzejmie. Zoey zmusiła się do słabego uśmiechu.

- W porządku. - Następnie, póki jeszcze czuła się na siłach, dodała niezręcznie: - Czy miałabyś coś przeciwko temu... to znaczy, czy mogłabym, oczywiście, jeśli to nie sprawi kłopotu...

- O co chodzi? - spytała Laurie, lekko zniecierpliwiona chaotycznością tej wypowiedzi.

Zoey zaczerpnęła powietrza i skoczyła na głęboką wodę.

- Czy mogę tu zostać jeszcze kilka dni? Laurie sprawiała wrażenie zbitej z tropu.

- Oczywiście. Cały czas myślałam, że zatrzymasz się u nas na dłużej. Taki chyba był plan, prawda?

- Tak. Tylko że... nie chciałabym nadużywać waszej gościnności.

Laurie spojrzała na nią bardzo ciepło.

- Och, Zoey, tak się cieszymy, że u nas jesteś. Mam nadzieję, że będziesz mogła zostać tak długo, by przyjść na wesele Cheryl.

Zoey spojrzała na dziewczynę, na której twarzy malowała się nie skrywana nadzieja.

- Przyjdę z przyjemnością. I jeśli zechcesz, będę twoim fotografem.

- Jeśli zechcę! - krzyknęła Cheryl. Podskoczyła, podbiegła do Zoey i uściskała ją. - Och, pani Donovan, mam nadzieję, że się pani nie gniewa, ale nie wiem, jak mam pani dziękować. Już straciłam nadzieję, że kogoś znajdę, i polaroidowe zdjęcia taty Chucka zaczęły wyglądać coraz atrakcyjniej.

- Zoey, wiesz, że nie musisz tego robić - zaproponowała Laurie.

- Wiem - odpowiedziała z uśmiechem Zoey, z niewiadomych powodów bardzo szczęśliwa - ale chcę to zrobić. To będzie mój prezent dla Cheryl i Chucka.

Nie dodała, że młoda para będzie miała fotografa, który jest laureatem znanych nagród i który, gdyby w ogóle zechciał robić zdjęcia na weselu, zażądałby honorarium wynoszącego kilka tysięcy dolarów.

- Kiedy dokładnie jest ślub? - spytała siadającą znów przy stole Cheryl.

- W sobotę.

Zoey w zamyśleniu pokiwała głową.

- Tak, to daje nam trzy dni na omówienie tego, jakie chcielibyście mieć zdjęcia.

- Mam parę pomysłów - powiedziała z zapalem Cheryl. - Może zaprosiłabym dzisiaj Chucka do nas na kolację i moglibyśmy to przedyskutować. - Odwróciła się do Laurie.

- Dobrze, mam?

Laurie skinęła głową.

- Jasne.

- Muszę od razu mu to powiedzieć. Nie uwierzy. Na pewno nie uwierzy. - Wybiegła z kuchni, ledwie dotykając stopami ziemi.

Laurie usiadła naprzeciwko Zoey i podała jej filiżankę herbaty.

- To bardzo miłe z twojej strony, że zechciałaś robić zdjęcia na ślubie.

- To sprawi mi tylko przyjemność. Laurie rzuciła jej zaciekawione spojrzenie.

- Powiedziałaś wcześniej, że nie możesz zostać tak długo. Czy ten telefon wpłynął na to, że zmieniłaś zdanie?

- Można tak powiedzieć - odrzekła ostrożnie Zoey. - Myślałam, że powinnam wracać do Nowego Jorku, ale teraz wygląda na to, że nie muszę się spieszyć.

- Cieszę się - powiedziała po prostu Laurie. W tym momencie do kuchni wszedł Tyler.

- Zajechałem pick-upem przed ganek - powiedział, patrząc na Zoey. - Jesteś gotowa? Musimy się pospieszyć, jeśli mamy zdążyć na samolot.

- Tyler, Zoey postanowiła jednak zostać. Czy to nie wspaniała wiadomość? - powiedziała radośnie Laurie, zanim Zoey zdążyła otworzyć usta.

Tyler wyglądał na oszołomionego. Zoey z wysiłkiem powstrzymała się od uśmiechu na widok jego zaskoczenia i zmieszania. Ich oczy spotkały się na dłuższą chwilę. Poczowała dziwny brak tchu i zadała sobie pytanie, czemu nagle serce podeszło jej do gardła.

- Kiedy podjęłaś tę decyzję? - wydusił w końcu z siebie.

- Właśnie się dowiedziałam, że nie muszę się spieszyć - udało jej się odpowiedzieć.

- Rozumiem - odrzekł. Widać jednak było, że nic nie rozumie. - Jak długo będziemy się cieszyć pani towarzystwem, pani Donovan?

- Do wesela Cheryl. Wyjadę tuż po nim.

- Zoey będzie robiła zdjęcia na ślubie - wyjaśniła z dumą Laurie.

- Doprawdy. - Jedno słowo, a wyrażało tak wiele.

Na chwilę zapadła niezręczna cisza - nikt nie wiedział, co powiedzieć.

- Cóż, pani Donovan, biorąc pod uwagę dotychczasowy przebieg wizyty, czy sądzi pani, że będzie mogła znieść dłuższy pobyt? - spytał w końcu z odrobiną humoru, ale ze śmiertelnie poważną miną Tyler.

- Sądzę, że tak, panie Ross. Nie wiem tylko, czy pan będzie mógł go znieść.

Jego lodowatoniebieskie oczy zajrzały w chłodną szarość jej oczu.

- Ja zniosę wszystko, pani Donovan. - W powietrzu zawisło nie wypowiedziane: „Nawet panią”. Tyler odwrócił się i wyszedł z kuchni.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Zoey siedziała na pokrytej czekoladowym sztruksem sofie, która stała w salonie, i razem z Cheryl i Chuckiem przeglądała czasopisma ze zdjęciami ze ślubów. Obok nich usadowiła się Laurie, by od czasu do czasu dolać komuś kawy, zerkać na zdjęcia i służyć opinią. Jesse i Tyler ulotnili się od razu po kolacji, tłumacząc niewyraźnie, że mają coś do zrobienia w stajni. Tych dwóch najwyraźniej nie interesowały rozmowy o ślubie.

- To dosyć ładne zdjęcie - powiedział Chuck, wskazując na zrobioną pod gołym niebem fotografię młodej pary w naturalnej pozie.

Zoey od razu polubiła Chucka. Raczej nie wyglądał ujmująco - miał brązowe włosy o mysim odcieniu i twarz odrobinę za bardzo okrągłą i pełną, by można ją było uznać nie tylko za przystojną, ale choćby za ładną. Kręłą budowę ciała spotęgowała jeszcze ciężka praca fizyczna na budowie, chociaż nie miał muskulatury robotników, których Zoey mijiała na placach budów przy ulicach Manhattanu.

Jego prosta twarz była jednak szczerą i otwartą, a usposobienie pogodne. Cheryl miała rację - wyglądał na człowieka, na którym można polegać. I co najważniejsze, uwielbiał ją. Było to widać za każdym razem, kiedy patrzył na nią z miną beznadziejnie zakochanego psiaka - ten widok niemal wywoływał zakłopotanie. Cheryl była bardzo ładną dziewczyną o pociągającej osobowości i Zoey wiedziała, że Chuck musi się uważać

za wielkiego szczęściarza - zdobył ją, mimo że na pewno miała wielu innych konkurentów.

Zoey przypomniała sobie, co kiedyś powiedziała jej matka: najlepiej, żeby mężczyzna kochał kobietę odrobinę bardziej niż ona jego. Wtedy jest większe prawdopodobieństwo, że jej nie opuści, ponieważ zwykle mężczyznom jest łatwiej odejść niż kobietom. Ta gorzka uwaga miała swoje źródło w jej własnym nieszczęśliwym doświadczeniu. Teraz, patrząc na Cheryl i Chucka, Zoey wyczuwała, że Cheryl naprawdę go kocha, ale jej uczucia są odrobinę bardziej praktyczne od jego romantycznego afektu. A to chyba dobrze wróżyło powodzeniu ich związku.

- Mnie też podoba się to zdjęcie - zgodziła się z Chuckiem Cheryl.

- Mam wrażenie, że oboje wolicie zwykłe, naturalne fotografie od sztywnych i upozowanych - zauważyła Zoey.

Cheryl i Chuck z entuzjazmem pokiwali głowami.

- O tak! - powiedzieli jednocześnie.

- Będę się wystarczająco źle czuł w tym garniturze na pokaz. Po co mam jeszcze stać godzinami jak jakiś głupi model? - dodał Chuck. Zdając sobie sprawę, że chyba powiedział coś niewłaściwego, dorzucił pospiesznie: - Ale oczywiście na taką okazję warto się elegancko ubrać.

Cheryl z wyrozumiałością spojrzała na narzeczonego.

- Nie martw się, kochanie, rozumiem cię. Dużo lepiej czujesz się w dżinsach.

Obiecuję, że to jedyny raz w całym naszym życiu, kiedy cię proszę, żebyś włożył garnitur.

- W porządku. Jesteś tego warta - odpowiedział Chuck, wywołując radosny uśmiech Cheryl.

Te ociekające słodyczą przejawy młodej miłości zarówno bawiły, jak i wzruszały Zoey. Zerkając na Laurie, która patrzyła na córkę i przyszłego zięcia, Zoey ze zdziwieniem dostrzegła na jej twarzy mieszane uczucia. Była wśród nich duma ze ślicznej córki. I ciepła akceptacja Chucka. Ale również coś smutnego. Jakby widok ich wspólnego szczęścia był gorzkim przypomnieniem... czego? - zastanawiała się Zoey. Rozczarowania własnym małżeństwem?

A jednak okazywała pełne poparcie dla decyzji Cheryl, by wyjść za mąż w wieku dwudziestu jeden lat, zamiast iść na studia, tak jak chciała Laurie. Pamiętając o irytujących próbach kierowania jej życiem, podejmowanych przez własną matkę, która skądinąd miała dobre intencje, Zoey pomyślała, że Laurie jest bardzo mądrą kobietą. Czy się zgadzała z decyzją Cheryl, czy też nie, wiedziała, że córka i tak zrobi to, co zechce.

Cheryl przerwała tok myśli Zoey.

- Jakie zdjęcia nam pani zrobi?

- Niestety, będę musiała zrobić kilka upozowanych, ze wszystkimi ważnymi osobami biorącymi udział w uroczystości. - Widząc przerażone miny Cheryl i Chucka, dodała uspokajająco: - Ale tylko kilka, obiecuję. Od nich zresztą zacznę. Potem zrobię dużo nie pozowanych. Takie zawsze wychodzą najlepiej.

- Skąd pani będzie wiedziała, kiedy robić zdjęcia? - spytał Chuck głosem zdradzającym zdenerwowanie.

Zoey wyczuła, że niepokoi go konieczność ciągłego oglądania się przez ramię i sprawdzania, czy fotograf nie ma go właśnie „na muszce”.

- Nie martw się - powiedziała uspokajająco - nie będę cały czas wisiała wam nad głową. Wiem, że będziecie potrzebowali trochę swobody, zwłaszcza przed ceremonią. A jeśli chodzi o twoje pytanie: mam dobre wyczucie chwil, które warto utrwalić na kliszy. Inaczej nie byłabym dobrym fotografikiem. Widzisz, fotografowanie jest jak pudełko, w którym chcemy przechować najpiękniejsze chwile, nawet kiedy ich wspomnienie zblednie i zniknie z naszej pamięci.

Cheryl i Chuckowi bardzo spodobała się ta metafora. Laurie obdarzyła Zoey ciepłym spojrzeniem, po czym przemówiła uprzejmym, lecz stanowczym tonem:

- Musimy porozmawiać o twoim honorarium.

- Mówiłam ci, że to mój prezent ślubny - przerwała jej szybko Zoey. - Najlepszy, jaki mogę im dać. Dużo lepszy niż kolejny toster.

Przez chwilę wydawało się, że Laurie będzie się spierać. Poddawała się jednak z wdziękiem.

- To cudowne, że robisz to dla nas, Zoey - powiedziała szczerze. - Bardzo się cieszymy, że tu jesteś.

Ku własnemu zaskoczeniu Zoey zdała sobie sprawę, że czuje to samo - również cieszy się, że tu jest. Zdumiewał ją ten nieoczekiwany obrót zdarzeń. Przybyła do Jackson Hole niewiele więcej niż dwadzieścia cztery godziny temu, opanowana jedną myślą: jak najszybciej wracać do Nowego Jorku! Teraz, siedząc w przytulnym pokoju z tymi szalenie miłymi ludźmi, którzy otworzyli przed nią swój dom i serca, czuła się tak dobrze jak nigdy przedtem. Naprawdę chciała tu jeszcze zostać.

Dopóki nie przypomniała sobie o Tylerze. Nie chciał jej tutaj. Mimo że stopniała jego początkowa niechęć, Zoey dobrze wiedziała, że nadal jej tu nie chce. Poczowała dziwne ukłucie bólu odrzucenia. Natychmiast jednak przywołała się do porządku: przecież zależało jej na Brianie, a nie na Tylerze. I chociaż wciąż była zła na Briana za jego ton w czasie rozmowy telefonicznej, fakt, że w ogóle do niej zadzwonił, świadczył o tym, jak bardzo mu na niej zależy. Uczepiła się tej myśli - widziała w tym dowód na to, że jest jeszcze dla nich nadzieja.

W tym momencie dobiegł z zewnątrz odgłos hamującego na podjeździe samochodu i głośnie trąbienie, jak gdyby obwieszczające czyjeś przybycie.

Cheryl ożywiła się.

- Tato przyjechał! - krzyknęła i wybiegła z pokoju.

Chuck ruszył za nią.

Zoey zauważyła, że Laurie nie wstała. Pozostała na krześle, z filiżanką kawy w dłoniach i zagadkowym wyrazem twarzy.

Nagle Zoey wyobraziła sobie, jak wyglądało od lat życie tej rodziny. Cheryl jako mała dziewczynka, potem nastolatka, w końcu młoda kobieta, tęskniła za ojcem i była przejęta za każdym razem, kiedy wracał do domu. Laurie większość czasu musiała sama dawać sobie radę ze wszystkim, jak samotna matka. Obu bardzo brakowało najważniejszego w ich życiu mężczyzny.

Ten przejmujący obraz poruszył Zoey i sprawił, że zaczęła darzyć Laurie jeszcze większym szacunkiem.

Chwilę później cała trójka weszła do pokoju. Cheryl trzymała się blisko ojca i uśmiechała się do niego z uwielbieniem. Pete był mniej więcej taki, jak Zoey go sobie wyobrażała - miał czterdzieści parę lat, ale wyglądał na więcej, ponieważ dużo czasu

spędzał pod gołym niebem i jego ogorzałą skórę pokrywało wiele zmarszczek. Nosił wyblakłe dzinsy i koszulę w szkocką kratę z metalowymi guzikami. Linia krótko przyciętych szpakowatych włosów zaczynała się oddalać od wąskiego czoła. Nie był dużo wyższy od Laurie, miał niecałe metr siedemdziesiąt wzrostu i chude, żylaste ciało.

W silnych, regularnych rysach twarzy można było odnaleźć ślady po zdecydowanie przystojnym mężczyźnie, jakim prawdopodobnie kiedyś był, a z niebieskozielonych oczu przeblyskiwała resztką dawnego wdzięku. Zoey była w stanie zrozumieć, dlaczego Laurie zakochała się w nim i wyszła za niego jako niedoświadczona osiemnastolatka. Nie zestarzał się jednak dobrze. Jeśli to prawda, że w wieku dwudziestu lat człowiek ma taką twarz, z jaką się urodził, a w wieku czterdziestu taką, na jaką zasługuje - Pete nie zasługiwał na wiele.

Podszedł do Laurie i pochylił się, by pocałować ją lekko w policzek. Zwróciła twarz w jego stronę, ale chyba nie patrzyła na niego.

- Cześć, złotko - wycedził leniwie. - Wybacz, że tak późno wracam do domu, ale różne rzeczy się zdarzają. Wiesz, jak to jest.

- Tak, wiem, jak to jest - odrzekła beznamiętnie Laurie.

Słowa te były neutralne, ton głosu nie zdradzał złości ani bólu. Zoey wyczuła jednak, że właśnie te uczucia wypełniały serce Laurie.

- To jest Zoey Donovan - powiedziała Laurie, wskazując na gościa. - Zoey, to mój mąż, Pete.

- Przyjechała aż z Nowego Jorku - dodała z przejęciem Cheryl. - I będzie naszym fotografem na ślubie.

- To wspaniale - odrzekł Pete z wyraźnym brakiem zainteresowania. - Miło mi panią poznać.

Zoey wymruczała jakąś uprzejmą odpowiedź. Uderzyło ją, że Pete w ogóle nie jest ciekaw, co, u licha, robi tutaj ktoś z Nowego Jorku.

Laurie poszła do kuchni i wróciła z filiżanką kawy dla męża. Pete usadowił się w dużym, wygodnym krześle, które wydawało się podpisane jego imieniem. Teraz Zoey rozumiała, czemu nikt na nim wcześniej nie siadał. To było krzesło Pete'a. Kropka.

Zaciekawiona Cheryl wypytywała ojca o konkurencje rodeo, w których uczestniczył. Gdy skupiła uwagę na Pecie, Chuck siedział w milczeniu. Zoey wyczuła, że sympatia Chucka dla przybyłego teścia nawet w połowie nie równa się uczuciu, którym darzy przyszłą teściową.

Pete opowiadał o wszystkich konkurencjach, w których wziął udział, poczynając od wiązania cieląt, a na ujeżdżaniu dzikich koni kończąc. Zaledwie wspominał o tych, w których nie zabłysnął, przytaczając liczne wymówki tłumaczące jego słaby występ, i rozwodził się długo nad zmaganiem, w którym zajął drugie czy trzecie miejsce. Chyba żadnych zawodów nie wygrał, co potwierdzało podejrzenia Zoey, że Laurie sama zarabia na utrzymanie rodziny.

Gdy Pete tak opowiadał o sobie, nie przyszło mu do głowy spytać o bliski ślub córki. Ani zainteresować się pracą Chucka. Ani dowiedzieć się czegoś o Zoey. Najwyraźniej był całkowicie zaabsorbowany sobą i swoimi sprawami.

Było w nim coś bardzo niedojrzałego. To dziwne, ale w porównaniu z Pete'em dużo młodszy Chuck wydawał się bardziej dojrzały i godny zaufania. Zoey w duchu gorąco pogratulowała Cheryl zdrowego rozsądku, który pozwolił jej wybrać mężczyznę obdarzonego zaletami, jakich brakowało ojcu.

Czując, że powinna teraz zostawić członków rodziny samych, Zoey powiedziała, że idzie zaczerpnąć przed snem świeżego powietrza. Laurie poradziła jej, by wzięła sweter, ponieważ nawet latem wieczory w Wyoming bywają chłodne. Cheryl, zajęta ojcem, ledwo zauważyła jej odejście.

Zoey pobiegła do pokoju po dżinsową kurtkę, po czym wyszła na dwór. Gdy tylko postawiła stopę na ganku, ucieszyła się, że posłuchała rady Laurie. Dzień był bardzo gorący, jednak nadejście zmroku przyniosło znaczne ochłodzenie, a liście drzew szeleściły od dość mocnego wiatru.

Nie mając pojęcia, dokąd iść, Zoey spacerowała bez celu. Gdy minęła stajnię, zobaczyła po jej drugiej stronie ognisko. Przyciągana miłym ciepłem, podeszła bliżej. Nie była zdziwiona, gdy ujrzała stojącego przy ognisku Tylera. Właściwie spodziewała się, że

to on go dogląda. Nie chciała się do tego przyznać, nawet przed samą sobą, ale był to główny powód, dla którego poszła właśnie w tę stronę.

Tańczące płomienie małego ogniska podświetlały jego szczupłą postać - trzymał ręce w kieszeniach dżinsów, a ramiona lekko zgarbił, by ochronić się przed chłodem nocy.

- Cześć - szepnęła, zaskakując go. Tak bardzo pograżył się w myślach, że nie usłyszał, jak nadeszła.

Przez chwilę patrzył na nią nie widzącymi oczami, niemal jakby jej nie poznawał. Zastanowiła się, o czym myślał tak intensywnie, że zapomniał, gdzie się znajduje.

- Cześć - odpowiedział w końcu.

- Twój szwagier właśnie przyjechał - oświadczyła Zoey, nie mając nic lepszego do powiedzenia.

- Wiem.

Tyler najwyraźniej nie był zainteresowany rozmową z Pete'em. Zoey zastanowiła się, czy Tyler lubi swego szwagra, i doszła do wniosku, że pewnie nie. Chyba nie mógł wysoko cenić człowieka takiego jak Pete, który często opuszczał rodzinę i wracał, kiedy mu było wygodnie. Uderzyła ją gorzka ironia losu: Tyler stracił w tragiczny sposób rodzinę, na której tak bardzo mu zależało; Pete miał cudowną rodzinę, ale jej nie doceniał. Życie, pomyślała nie po raz pierwszy Zoey, jest strasznie niesprawiedliwe.

Widząc, że wyczerpała pierwszy temat rozmowy, spojrzała ku niebu. Zadziwiła ją jego rozległość. Można było bardzo wyraźnie zobaczyć miliony gwiazd. W Nowym Jorku miała szczęście, gdy udawało jej się dojrzeć kilka, prześwitujących przez gęstą atmosferę Manhattanu. Tutaj wszechświat wręcz obnażał się przed wszystkimi, aby mogli go podziwiać. Poczula się malutka i nic nie znacząca, a jednocześnie bardziej świadoma wagi życia, także swojego własnego. W takim miejscu, przepelnionym naturalnym pięknem i duchowością, łatwiej było ujrzeć swoje prawdziwe oblicze - nie przeszkadzał w tym żaden miejski hałas i krzątanie.

Tyler poszedł za jej spojrzeniem.

- Widzisz grupę tych siedmiu małych gwiazd? - spytał.

Zoey podążyła wzrokiem za palcem Tylera i znalazła konstelację, o której mówił. Rzuciła mu pytające spojrzenie.

- To Plejady - wyjaśnił. - Indianie Kiowa opowiadają legendę dotyczącą tych gwiazd. Chciałabyś ją usłyszeć? - Zoey skinęła głową. - Część plemienia miała obozowisko przy strumieniu w okolicy, w której było pełno niedźwiedzi. Siedem małych dziewczynek bawiło się w pewnej odległości od wioski, gdy nagle pojawiło się kilka niedźwiedzi, które zaczęły je gonić. Gdy zwierzęta już miały je dopaść, przerażone dziewczynki wskoczyły na skałę. Jedna z nich zawołała do niej z płaczem: „Zlituj się nad nami. Ocal nas”. Skała usłuchała prośby i zaczęła wznosić się nad ziemię, unosząc dziewczynki w niebo poza zasięg niedźwiedzi. Wciąż są tam w górze, siedem małych gwiazd. Siedem ślicznych dziewczynek.

Gdy Tyler skończył tę uroczą historię i zamilkł, Zoey zadała sobie pytanie, czy myślał o własnej córeczce, której kruche życie trwało tak krótko. Nie mogła jednak go o to spytać - sprawa była zbyt osobista.

- Jaka cudowna opowieść - szepnęła. - Skąd ją znasz?

- Moja prababka pochodziła z plemienia Kiowa. W odróżnieniu od większości białych osadników, którzy tu przybyli, pradziadek szanował Indian i ich zwyczaje. W mojej rodzinie przekazywano sobie z pokolenia na pokolenie wiele indiańskich legend.

- Moja babcia pochodziła z Irlandii - powiedziała Zoey.

Prosta linia ust Tylera wygięła się lekko w zapowiedzi uśmiechu.

- Kolejny naród, który wiele wycierpiał - zauważył, po czym dodał: - To wyjaśnia twój irlandzki temperament.

- Doszłam do niego w uczciwy sposób - odrzekła z poważną miną Zoey.

Tyler pochylił się, żeby dołożyć drewna do ogniska.

- To miło z twojej strony, że zgodziłaś się zrobić zdjęcia na ślubie Cheryl - zmienił nagle temat. - Dużo to dla niej znaczy.

- Cieszę się, że mogę jej pomóc.

- Z pewnością jesteś dobrym fotografikiem - powiedział po prostu. Zaskoczyło ją to, ponieważ pamiętała niepochlebne uwagi na temat jej pracy, które wygłaszał poprzedniego dnia przy kolacji.

W tym momencie w powietrzu zadźwięczał dziwny, smutny jęk.

- Wietrzna muzyka - wyjaśnił Tyler, gdy Zoey obejrzała się nerwowo. - Tutaj często się to zdarza. Nie ma się czego bać.

- Nie boję się - odparła automatycznie. Teraz już naprawdę uśmiechał się do niej.

- Czy to przez życie w Nowym Jorku jesteś taka przewrażliwiona?

- Możliwe. A ty czym możesz się wytłumaczyć? - zareplikowała.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej. Zoey uderzyło to, że Tyler jest niewiarygodnie pociągający, gdy jego twarz rozjaśnia uśmiech. Już kiedy się poznali, uznała, że jest zaskakująco atrakcyjny. Teraz powiedziała do siebie stanowczo: „Uważaj! Pora się pożegnać”.

- Chyba już się położę - poinformowała Tylera. Gdy się odwróciła, usłyszała, jak mówi łagodnie:

- Dobranoc, Zoey. Spojrzała na niego przez ramię.

- Dobranoc, Tyler - odpowiedziała i szybko odeszła w stronę domu, czując się jak uciekinier.

Następnego ranka razem z Laurie pojechały do Jackson na zakupy, gdyż Zoey miała za mało ubrań na przedłużoną wizytę. Najpierw poszły do butik Ralphi Laurena, ponieważ styl jego ubrań zdawał się bardzo pasować do Wyoming. Zoey kupiła sobie dżinsy, parę koszul i sweter na chłodne noce.

Potem odwiedziły sklep obuwniczy. Jeśli miała zamiar jeździć konno, potrzebowała odpowiednich butów, a nie adidasów, które miała na sobie dzień wcześniej w czasie krótkiej przejażdżki z Tylerem. Nie powiedziała Laurie o swoich planach, ale zamierzała przejechać się konno, znaleźć mustangi i sfotografować je.

Gdy kupiły już najpotrzebniejsze rzeczy, zaczęły szukać sukienki, którą Zoey mogłaby włożyć na ślub. Wydawało się, że nie znajdą nic odpowiedniego. Osobisty styl Zoey odbiegał nieco od powszechnie uznawanych standardów. Nigdy nie wkładała kostiumów czy garsonek - była przyzwyczajona do niekonwencjonalnych, jaskrawokolorowych ubrań, które doskonale pasowały do nowojorskiego fotografa, ale były nie do przyjęcia na ślubie w prowincjonalnym kościele. Pogodziła się z faktem, że będzie musiała ubrać się w coś nieco bardziej konserwatywnego, nie mogła się jednak

zmusić do kupienia żadnej z proponowanych przez Laurie sukienek. Były... konserwatywne. A jeśli istniała jakaś cecha, z której braku była dumna, to właśnie konserwatyzm.

Już niemal straciła nadzieję na znalezienie czegoś, co mogłaby włożyć bez wewnętrznego oporu, nie szokując jednocześnie weselnych gości, gdy w malutkim sklepiku natrafiła na coś idealnego. Właścicielka, która uciekła z zatrutego smogiem i przestępczością Los Angeles, reprezentowała nieformalny, a zarazem stylowy gust południowokalifornijski. Długa do połowy łydki sukienka, która wpadła Zoey w oko, była uszyta z leżącej się tkaniny w odcieniu między kremowym a maślanożółtym. Nie miała rękawów, a koronka obszywająca głęboki dekolt w szpic dodawała jej wdzięku. Gdy tylko Zoey spojrzała na wystawę, postanowiła, że musi mieć właśnie tę sukienkę. Kiedy przy mierzyła ją chwilę później, z wielką ulgą odkryła, że kreacja leży świetnie.

Zoey i Laurie wyszły z butiku.

- Cieszę się, że już po wszystkim - powiedziała z westchnieniem wyczerpana Zoey.
- Nie cierpię zakupów.

Laurie obrzuciła ją zdziwionym spojrzeniem.

- Naprawdę? Nawet w Nowym Jorku? Myślałam, że zakupy w tym mieście to wielka frajda.

- Po prostu nie bardzo interesuję się ciuchami. Praca absorbuje wszystkie moje siły twórcze. Nie dbam o to, co narzucę na grzbiet, póki to coś nie jest zbyt konwencjonalne.

Już chciała dodać, że jedyne naprawdę ładne ubrania kupił jej Brian, dla którego bardzo ważne jest to, jak wygląda, kiedy gdzieś z nim wychodzi. Na szczęście w porę ugryzła się w język. Wspominanie o przyjacielu byłoby dość niezręczne w tych okolicznościach.

Wydawało się, że Laurie nie zauważyła wahania Zoey.

- Wiem, że nie wpadłabyś na to, widząc, jak się ubieram, ale uwielbiam ciuchy. Problem w tym, że albo nie mam pieniędzy, albo wystarczająco dobrego pretekstu, żeby kupić coś innego niż dzinsy.

- Musisz kiedyś przyjechać do Nowego Jorku - zasugerowała Zoey. - W SoHo jest kilka cudownych małych butików. A na pchlich targach można znaleźć wyjątkowe rzeczy.

Twarz Laurie rozjaśniła się jak zawsze, kiedy Zoey opowiadała o Nowym Jorku.

- Och, byłoby wspaniale.

- W takim razie kiedy znowu dostaniesz urlop, przyjeżdżaj - powiedziała zachęcająco Zoey. - Możesz się zatrzymać u mnie. Będiesz potrzebowała tylko pieniędzy na samolot i drobne wydatki.

- Jesteś kochana. Zastanowię się nad tym.

Zoey wiedziała jednak, że mimo najlepszych chęci Laurie nie przyjedzie. Zrobiło się jej żal nowo poznanej przyjaciółki, przywiązanej do życia, które najwyraźniej nie dawało jej satysfakcji.

Pomyślała, że dobrze by było zmienić temat.

- Chce mi się pić - oznajmiła. - Może zostawimy samochód i znajdziemy jakiś lokal, gdzie mogłybyśmy dostać coś do picia.

- Znam odpowiednie miejsce - odrzekła Laurie. - To mała kafejka pod gołym niebem przy ulicy Głównej.

Pięć minut później siedziały przy okrągłym stoliku, sącząc mrożoną herbatę i patrząc na przechodniów - miejscowych i turystów. Gawędziły sobie, komentując nieprzemyślane stroje niektórych osób, odkrywając łączące je miłość do czekolady i wstręt do polityki. Dzień był piękny, ciepły, ale nie upalny, a błękitnego nieba nie szpeciła nawet jedna chmurka.

Po trzeciej filiżance herbaty doszły do wniosku, że pora wracać na ranczo. Laurie musiała zająć się pracą. Właśnie zapłaciły rachunek i miały wyjść, kiedy Laurie stanęła jak wryta. Podążając za jej spojrzeniem, Zoey ujrzała kroczącego drugą stroną ulicy mężczyznę. Zauważył siostrę Tylera, ale odwrócił wzrok i szedł dalej.

Laurie posmutniała.

- To Hank Jamison - szepnęła.

- Domyśliłam się - powiedziała Zoey.

- Boże, chciałabym, żeby przeszła mu ta nienawiść - wyznała gorąco Laurie. - Nie wyjdzie mu ona na dobre. No i niszczy Tylera.

- Może któregoś dnia zobaczy wszystko w innym świetle - pocieszała ją Zoey bardziej z nadzieją niż przekonaniem.

Laurie pokręciła głową.

- Hank jest najbardziej upartym człowiekiem w dolinie. Nie licząc Tylera - dodała. - Znam Hanka, prędzej piekło zamarznie, niż on zmieni zdanie. Chodźmy.

Opuściły kawiarnię. Jednak to spotkanie rzuciło cień na ten cudowny poranek.

W nocy Zoey znowu przewracała się z boku na bok, nie mogąc zasnąć. W końcu poddała się i pomyślała, że może gorące mleko jej pomoże. Matka podawała je dorastającej Zoey jako lekarstwo na bezsenność, zawsze z pozytywnym skutkiem. Działo nawet w długie ciemne noce, zaraz po odejściu ojca, kiedy była zbyt przerażona, żeby spać, bo dom bez niego nie wydawał się już bezpieczny.

Zoey narzuciła biały szlafrok z kordonka pożyczony od Laurie, zeszła cicho po schodach i skręciła w stronę kuchni. Zanim dotarła do drzwi, dobiegły ją ludzkie głosy. Głosy pełne złości.

- Będę na ślubie, czego jeszcze chcesz? - dopytywał się Pete.

- Żebyś został parę dni - prosiła Laurie. - Dlaczego musisz wyjeżdżać tej samej nocy?

- Bo następnego dnia muszę być w Laramie.

- Mógłbyś darować sobie rodeo w Laramie.

- Darować sobie! - wybuchnął. - To głupi pomysł.

- Dlaczego? Dlatego, że nie chcesz opuścić rodeo, czy może dlatego, że czeka tam na ciebie kobieta?

- No, no, nie zaczynaj. Zawsze wiesz swoje.

- Wiem, że nie byłby to pierwszy raz. - Zoey z przykrością usłyszała ból i poniżenie w głosie Laurie.

- Mam okazję wygrać wielką forszę, a ty prosisz, żebym to sobie darował?! - upierał się Pete.

- Och, Pete, mówisz tak przed każdym rodeo i nic z tego nie wychodzi. Nie wyszło od dłuższego czasu. Nie jesteś już taki młody jak kiedyś. Walczysz z dziećmiakami dwa razy młodszymi od siebie.

- No pięknie, wspaniale, że tak do mnie mówisz! Nigdy we mnie nie wierzyłaś, Laurie. Gdybyś mnie bardziej wspierała, zaszedłbym dużo dalej.

- Wierzyłam w ciebie, kiedy sam w siebie nie wierzyłeś - odparła Laurie głosem, w którym nieoczekiwanie zabrzmiała stalowa nuta. - Wspierałam cię finansowo i emocjonalnie. Ani razu nie poprosiłam, żebyś wziął pod uwagę moje potrzeby. Chciałam w zamian tylko jednego - żebyś mnie kochał. Ale nie możesz mi dać nawet tego, prawda?

- Nie można się z tobą dogadać, kiedy się tak zachowujesz - warknął Pete. - Nic dziwnego, że już nie chcę wracać do domu. Będę spał w baraku.

Chwilę później Zoey usłyszała odgłos otwieranych i zamykanych drzwi na tyłach domu. Zaraz potem dobiegł ją stłumiony szloch Laurie. Przez moment stała bez ruchu, nie wiedząc, co robić. Czy powinna bezszelestnie wrócić na górę do łóżka i udawać, że nie słyszała tej nieszczęsnej rozmowy? Czy może powinna podejść do Laurie i spróbować ją pocieszyć? Nie potrafiła się zdecydować. Wiedziała tylko, że nie zniesie płaczu Laurie.

Weszła do kuchni.

- Laurie? - powiedziała cicho.

Laurie uniosła głowę, po czym szybko odwróciła wzrok z zakłopotaniem i starła łzy wierzchem dłoni.

- Zoey, dlaczego nie śpisz o tej porze? Zoey usiadła przy stole.

- Jakoś nie mogłam zasnąć. Pomyślałam, że może gorące mleko mi pomoże. Nie miałam zamiaru podsłuchiwać.

- W porządku - odpowiedziała Laurie głosem zdradzającym wyczerpanie. - I tak byś się wkrótce przekonała, jak jest między mną a Pete'em. Nasze małżeństwo od lat jest fikcją. Jedynie dobro Cheryl mnie przy nim trzymało. Nie chciałam, by musiała przeżywać rozwód.

- Och, Laurie, tak mi przykro. Czy w jakiś sposób mogłabym ci pomóc?

Laurie zmusiła się do słabego uśmiechu.

- Obawiam się, że nie. Chyba że potrafisz zamienić żalostną namiastkę w prawdziwego męża.

- Gdybym miała czarodziejską różdżkę, na pewno bym to zrobiła - powiedziała łagodnie Zoey, po czym ścisnęła Laurie za rękę. - Chcesz o tym porozmawiać? Moje przyjaciółki twierdzą, że na moim ramieniu można idealnie się wyplakać.

Laurie westchnęła ciężko.

- Och, nie wiem, czy jest sens opowiadać o tym wszystkim. Jest, jak jest.

Przez chwilę milczała, zatopiona w gorzkich myślach.

- Chodzi o to - powiedziała wreszcie, bardziej do siebie niż do Zoey - że nigdy nie spodziewałam się takiego obrotu spraw. Pete był jedynym chłopakiem, z jakim się umawiałam. Byłam w nim szaleńczo zakochana, odkąd pierwszy raz go ujrzałam. Pobraliśmy się tydzień po skończeniu szkoły średniej i myślałam, że jestem największą szczęściarą w Wyoming.

- Byłaś bardzo młoda. W żaden sposób nie mogłaś tego przewidzieć.

- Początkowo wszystko było w porządku - tłumaczyła Laurie. - Kiedy jeździłam z Pete'em na rodeo, świetnie się bawiliśmy. Potem urodziła się Cheryl i chciałam, żeby miała bardziej ustabilizowane życie. On nadal jeździł na rodeo, a ja coraz częściej zostawałam w domu. Znalazłam pracę. Właściwie to nie miałam wielkiego wyboru. Potrzebowaliśmy pieniędzy, a Pete nigdy nie zarabiał dużo. Od tego czasu nie przypominał idealnego męża i ojca.

- Ale Cheryl go uwielbia - zauważyła rzeczowo Zoey.

- O tak! - W głosie Laurie pobrzmiwała gorycz. - Nigdy nie zrobiłam nic, co by mogło zepsuć obraz ojca w oczach Cheryl. I tak było jej ciężko, bo musiała cały czas żegnać się ze swoim tatusiem. Gdyby zdała sobie sprawę, że tak naprawdę nie jest bohaterem, za jakiego go uważa, byłaby zdruzgotana.

Zoey bardzo dobrze wiedziała, jak ważne jest dla małych dziewczynek, a także dla chłopców, widzieć w swoich ojcach bohaterów. Jej podziw dla Laurie wzrósł jeszcze bardziej. Ta kobieta odłożyła na bok własne uczucia i wybrnęła z trudnej sytuacji, uciekając się do altruizmu.

„Tak jak mama” - pomyślała Zoey. Kiedy była dzieckiem, uważała siłę i odwagę matki za coś oczywistego. Dopiero kiedy dorosła i przeżyła kilka rozczarowań w związkach z mężczyznami, zdała sobie sprawę, ile opanowania i wspaniałomyślności

potrzebowała matka, by wstrzymać się od krytykowania człowieka, który porzucił ją i dzieci.

- Bardzo się poświęcałaś dla Cheryl i podziwiam cię za to - powiedziała Zoey, patrząc na Laurie z szacunkiem. - Ale ona teraz odchodzi. Może już czas pomyśleć o sobie.

- Mówisz, że powinnam się rozwieść - odrzekła bez ogródek Laurie.

- Może. Albo poprosić Pete'a, żeby poszedł z tobą do poradni małżeńskiej.

Słyszając tę sugestię, Laurie zaśmiała się gorzko.

- Och, Zoey, wiem, że pewnie w Nowym Jorku traktujecie to tak naturalnie jak wizytę u lekarza. Ale większość tutejszych mężczyzn uważa, że jeśli mają problem, sami powinni go rozwiązać. Pete z pewnością jest jednym z nich.

Obie kobiety siedziały przez dłuższą chwilę w milczeniu.

- Kiedy dorastałam - powiedziała w końcu tęsknie Laurie - zanim tak się zakochałam w Pete, że nie mogłam myśleć o niczym innym, marzyłam o studiach, mieszkaniu w dużym mieście, ciekawym zawodzie. Teraz już na to za późno.

Zoey nie poddawała się łatwo.

- Czy słyszałaś powiedzenie, że nigdy nie jest za późno zostać tym, kim mogło się być? Ja w nie wierzę.

- Ale ja mam czterdzieści jeden lat - odparła z rozpaczą Laurie.

- Wiele kobiet w twoim wieku wraca na studia. Są nawet specjalne programy pomocy takim studentom.

Twarz Laurie rozjaśniła się nieco.

- Żartujesz. Naprawdę?

- Naprawdę. Posłuchaj, nie chcę cię zachęcać do rozwodu, ale muszę cię namówić, żebyś nie rezygnowała jeszcze ze swoich marzeń.

Laurie pokręciła głową z powątpiewaniem.

- Marzenia są dla młodych. Ja już nie mogę nic w swoim życiu zmienić.

Zoey poczuła się bezradna, ale wiedziała, że nie powinna naciskać. Nie mogła się jednak powstrzymać od zadania jeszcze jednego pytania, chociaż było dosyć drażliwe.

- Czemu więc tak bardzo chciałaś, żeby Tyler jeszcze raz się ożenił? No wiesz, twoje małżeństwo nie jest najlepszą reklamą tej instytucji.

- Pewnie masz prawo o to pytać, wiedząc, że sprowadziłam cię tu w niezbyt uczciwy sposób. - Laurie pochyliła się i spojrzała w oczy Zoey, jakby bardzo chciała, żeby ta dobrze ją rozumiała. - Chodzi o to, że mimo, hm, niemiłego wrażenia, jakie wywarł na tobie Tyler, pod tą jego upartą, niepoprawną maską kryje się naprawdę przyzwoity facet. To człowiek, który potrafi bardzo mocno pokochać, namiętnie i z zaangażowaniem.

- Czego nie potrafi Pete - dodała bez ogródek Zoey. Laurie nie spierała się.

- Masz rację. Pete tego nie potrafi. Ale Tyler - owszem. Właśnie tak kochał Sarę. Nie chcę, żeby tragedia, którą przeżył, na zawsze zniszczyła jego zdolność do takiej miłości.

Zoey przez chwilę milczała, zastanawiając się nad słowami Laurie. Intuicja mówiła jej, że to prawda. Tyler rzeczywiście był niezwykłym mężczyzną.

Laurie spojrzała na nią z nadzieją.

- Dlatego tak bardzo się ucieszyłam, kiedy przekonałam się, jaką jesteś kobietą. Zaslugujesz na takiego mężczyznę jak Tyler.

Zoey nie mogła dłużej oszukiwać tych ludzi. Poczucie winy nie dawało jej spokoju. Odetchnęła głęboko i unikając spojrzenia Laurie, zaczęła mówić:

- Słuchaj, muszę ci coś wyznać. Nie jesteś jedyną osobą, która w tej sytuacji zachowała się nie do końca uczciwie. Chodzi o to, że... - Zawahała się, po czym dokończyła pośpiesznie: - Mam kogoś w Nowym Jorku. To ten facet, który wczoraj dzwonił. Ociągał się z podjęciem poważniejszych zobowiązań, pokłóciliśmy się o to, no i odpowiedziałam na ogłoszenie, żeby wzbudzić w nim zazdrość. To jedyny powód, dla którego tu przyjechałam.

Zmusiła się, by spojrzeć na Laurie, i zaskoczona dostrzegła uśmiech na jej twarzy.

- Och, Zoey, myślisz, że nie podejrzewałam czegoś w tym rodzaju? Nie znałam oczywiście szczegółów, ale wiedziałam, że ten facet nie jest twoim prawnikiem. I gdy tylko cię poznałam, zorientowałam się, że odpowiedziałas na ogłoszenie Tylera wcale nie z chęci zostania panną młodą, zamówioną pocztą przez ranczera z Wyoming.

Zoey była oszołomiona.

- Ale nie zdradziłaś się ani słowem.

- Oczywiście, że nie. To nie byłoby uprzejme. Poza tym kiedy wróciliście z tej wspólnej przejażdżki, zauważyłam, że twoje nastawienie się zmieniło.

- To tylko dlatego, że zauroczyła mnie wspaniała sceneria i przejażdżka była bardzo miła, no i... i w ogóle - tłumaczyła się niezadarnie Zoey.

Laurie uśmiechnęła się i pokiwała głową.

- No pewnie. Skoro tak mówisz. Zoey westchnęła z irytacją.

- Słuchaj, Laurie, powiedziałam ci właśnie, że mam kogoś. Jesteśmy ze sobą od dawna i na poważnie.

- Czy on kocha cię tak mocno, jak Tyler kochał Sarę? - spytała z naciskiem Laurie.

Zoey otworzyła usta, by powiedzieć: „Oczywiście”, ale nie była w stanie wymówić tego słowa. Nie wierzyła w nie, i wiedziała, że Laurie też nie uwierzy.

- A co ważniejsze: czy ty darzysz go takim uczuciem? - naciskała dalej Laurie.

Zoey nie chciała odpowiadać na to niewygodne pytanie.

- Nie o to tutaj chodzi. Laurie pytająco uniosła brwi.

- Czyżby? - Zoey nie miała gotowej odpowiedzi, więc Laurie zmieniła temat: - Przygotuję ci to gorące mleko, a potem obie spróbujemy zasnąć.

Gdy jednak wstała i podeszła do lodówki, Zoey pomyślała, że szklanka ciepłego mleka nie wystarczy, by uspokoić szalejącą w niej burzę uczuć.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Rankiem Czwartego Lipca Zoey późno zeszła na śniadanie. Zaskoczona przekonała się, że wszyscy - Laurie, Cheryl, Tyler, Jesse, a nawet Chuck - siedzą przy stole, czekając na nią. Tylko Pete nie był obecny. Pomyślała, że nie wygląda na to, by ktoś za nim tęsknił.

- Dzień dobry - powitała ją wesoło Laurie.

O przykrych przeżyciach zeszłej nocy świadczyły jedynie jej lekko podkrążone oczy. Zoey doszła do wniosku, że w ciągu tych wszystkich nieszczęśliwych lat małżeństwa, Laurie nauczyła się przechodzić nad takimi scenami do porządku dziennego i robić swoje. Nie należała do kobiet, które w sytuacjach pełnych napięcia się załamują.

- Zdążyłaś w ostatniej chwili - zauważył Tyler z psotnym błyskiem w niebieskich oczach. - Już mieliśmy jechać bez ciebie.

- Och, wujku, wcale nie - zdradziła go Cheryl.

Gdy Zoey usiadła i przyjęła od Laurie filiżankę kawy, zauważyła, że wszyscy ubrali się nieco bardziej elegancko niż zwykle. Cheryl miała na sobie jasnoczerwoną sukienkę, Laurie była w szerokich spodniach z dzianiny o ślicznym turkusowym odcieniu i w takiej samej bluzce. Trzej mężczyźni włożyli nowe dżinsy i świeżo wyprasowane koszule. Koszula Tylera miała kolor czystego, błękitnego nieba nad Wyoming i podkreślała odcień jego oczu.

Przypominając sobie wczorajsze samotne spotkanie przy ognisku, Zoey poczuła, że coś między nimi się zmieniło. To, że zwrócił się do niej po imieniu i ani razu nie użył formalnej, bezosobowej formy „pani Donovan”, oznaczało znaczne rozładowanie atmosfery.

- Wybieramy się gdzieś? - spytała.

- Ojej, zapomniałam ci powiedzieć. - Załamana Laurie zakryła twarz dłońmi.

- O czym?

- O uroczystości z okazji Czwartego Lipca w mieście - odpowiedziała Cheryl, zbyt niecierpliwa, by czekać na wyjaśnienia matki. - Będzie parada.

- Na którą się spóźnimy, jeśli nie wyruszymy zaraz - wciął się niezbyt delikatnie Jesse.

Cheryl go zignorowała.

- I piknik w parku, i baseball, i tańce. No i oczywiście fajerwerki - dokończyła radośnie.

- To chyba najważniejsze w roku wydarzenie w Jackson - dodała Laurie. - I dobra zabawa. Myślę, że ci się spodoba.

Zoey spojrzała na swoje nowe dżinsy i koszulkę w kolorze brzoskwińowym.

- Mogę w tym jechać? - spytała. - Może powinnam się przebrać.

- Wygląda pani doskonale - zapewnił ją niecierpliwym tonem Jesse. - Chodźmy. - I wyszedł z kuchni, zanim Zoey zdążyła zareagować.

- Jesse ma rację - przytaknęła Laurie - wyglądasz doskonale. Ale może powinnaś wziąć kurtkę na wieczór.

- Dobrze. Zaraz wrócę.

Wybiegając z kuchni, usłyszała, jak Tyler mówi do Laurie:

- Chuck i ja pojedziemy do miasta z Jessem. Spotkamy się z wami na miejscu.

Zoey, Laurie i Cheryl udały się do Jackson pick-upem Laurie, który był starszy i trochę bardziej podniszczony niż samochód Tylera, ale działał bez zarzutu. Radio grało żywą muzykę country. Dzień był ciepły i niesamowicie piękny, niebo czyste, a krajobraz cudowny. Zoey miała w sobie mnóstwo energii i bardzo chciała się przekonać, jak wygląda Dzień Niepodległości w małym miasteczku. Na pewno daleko mu będzie do uroczystości, na którą zaprosił ją Brian do Hamptons.

- Naprawdę będziesz się dobrze bawić - zapewniła ją z uśmiechem Laurie, rzucając krótkie spojrzenie.

- Tato bierze udział w paradzie - obwieściła dumnie Cheryl. - Jak co roku.

Laurie nic nie powiedziała, ale jej uśmiech zbladł.

Przypominając sobie kłótnię, którą wczoraj podsłuchiwała, Zoey poczuła przyływ złości. Kiedy Laurie ciężko pracowała i zmagala się z życiem, by utrzymać rodzinę, Pete gdzieś daleko bawił się w kowboja. W dodatku najpewniej nie zawsze sam. Zastanawiała

się, co daje tej kobiecie tak nieszczęśliwy, krzywdzący związek. Nie mogła mieć z niego dużo korzyści. Utrzymanie rodziny w całości musiało być dla Laurie niesłychanie ważne.

Rozmyślania te przypomniały Zoey twierdzenie Carli, że Brian nie bierze pod uwagę jej uczuć i potrzeb. Lubili przebywać razem i rzadko się w czymś nie zgadzali - to wystarczało, by nie czuła się niezadowolona. Rzadko więc próbowała walczyć z faktem, że podporządkowywali swoje plany woli Briana, zwłaszcza jeśli miało to jakiś związek z jego pracą.

Carla miała rację, przyznała niechętnie Zoey. Słowa Briana sugerowały, że wspiera jej karierę zawodową, ale nigdy nie miał czasu, by potwierdzić to czynem. Mimo to oczekiwał od niej, że będzie mu towarzyszyć podczas imprez związanych z jego pracą, a ona robiła to z radością. Ich związek układał się tak dobrze tylko dlatego, że Zoey chciała w zamian tak niewiele. Teraz, kiedy w końcu poprosiła Briana, żeby wziął pod uwagę jej uczucia i potrzeby, zwłaszcza te dotyczące małżeństwa i dzieci, zaczęła wychodzić na jaw smutna prawda o panującej w ich związku nierówności.

Związek Zoey i Briana był podobny do małżeństwa Laurie i Pete'a - doskonale zaspokajał jego potrzeby, ale jej dawał w zamian bardzo mało. Jediną różnicą, i to znaczącą, był fakt, że Zoey nigdy nie musiała się martwić o to, czy Brian jest jej wierny. Jego zachowanie podporządkowane było bardzo tradycyjnemu kodeksowi, którego zasadą była wierność. Niestety, wszystko wskazywało na to, że nie obejmował on liczenia się z uczuciami Zoey ani podejmowania trwałych zobowiązań.

Patrząc na Laurie, skupioną na prowadzeniu samochodu, Zoey pomyślała, że w gruncie rzeczy są do siebie bardzo podobne. Obie potrzebowały od swoich mężczyzn czegoś bardzo ważnego, czego oni widocznie nie potrafili albo nie chcieli im dać. Bolesne słowa, które Laurie wypowiedziała poprzedniej nocy do Pete'a: „Chciałam w zamian tylko jednego - żebyś mnie kochał”, utkwily Zoey w pamięci. Było jej smutno z powodu Laurie, ale taki sam smutek wywoływała jej własna sytuacja. Równie dobrze ona mogła wypowiedzieć te słowa. Brian, tak jak Pete, nie znalazłby na nie odpowiedzi.

Dlaczego kobiety dają tak dużo, zastanawiała się Zoey, i godzą się w zamian na tak mało? To nie mogła być tylko kwestia wychowania. Problem tkwił głębiej. Był to jakiś mocno zakorzeniony instynkt karmienia, dawania wszystkiego, co mogą dać, dzielenia się

najbardziej osobistą częścią samej siebie - i niezłomnej nadziei, że ukochany mężczyzna postąpi tak samo.

Freud postawił pytanie: „Czego chcą kobiety?” Myśląc o Laurie i Pecie oraz własnym związku z Brianem, Zoey stwierdziła, że zna odpowiedź. Była zadziwiająco prosta. Kobiety chcą wiedzieć w głębi serca, że są kochane i doceniane. Mieć co do tego absolutną pewność. Spojrzeć w oczy kochanka i poczuć, że mogą utonąć w miłości, którą w nich widzą.

„Właśnie to poczuła babcia Eileen, gdy zajrzała w oczy obcego człowieka i znalazła miłość” - pomyślała Zoey. Po raz pierwszy od czasu, gdy jako mała dziewczynka usłyszała tę historię, zrozumiała, czemu jej babka zdecydowała się na ten zdumiewający krok i zawierzyła człowiekowi, którego ledwo знаła - w głębi serca wiedziała, że on ją kocha, i dlatego go poślubiła.

Patrząc na Laurie, siedzącą obok na twardym fotelu ze zniszczoną tapicerką, Zoey chciała powiedzieć: „Zasługujesz na dużo więcej. Nie zadowolaj się ochłapami”. Nie mogła sobie jednak pozwolić na równie osobistą uwagę wobec kogoś, kogo znała tak krótko. Wprawiłaby Laurie w zakłopotanie.

Poza tym, pomyślała smutno Zoey, Laurie nie była jedyną osobą, do której odnosiły się te słowa. Równie dobrze mogłaby je powiedzieć sobie samej.

Dotarli do Jackson dobre pół godziny przed rozpoczęciem parady, mimo to na drewnianych chodnikach ulicy Głównej było już mnóstwo ludzi. Po kilku minutach krążenia Laurie znalazła w końcu miejsce do parkowania parę przecznic dalej. Gdy wróciły do centrum miasta, spotkały Tylera i Chucka, którzy zarezerwowali dla nich miejsce przy jezdni. Jessego nie było - poszedł porozmawiać z przyjaciółmi, którzy mieli wziąć udział w paradzie.

Zoey spojrzała na tłum stojący wzdłuż drogi i zdziwiła się, że jest tak duży. Na pewno byli tu wszyscy mieszkańcy Jackson, a także turyści i letni goście. W tym sielskim miasteczku coś tak staromodnego jak parada z okazji Czwartego Lipca wciąż było wielkim wydarzeniem.

Sądziła, że lata spędzone w Nowym Jorku zabiły w niej wrażliwość na podobne widoki. Tymczasem ku swemu zaskoczeniu poczuła przyspieszone bicie serca. Wiedziała,

że kiedy opíše to wszystko swym wielkowiejskim przyjaciółkom, będą się z niej śmiały. Już słyszała Carlę: „Parada? Jakie to oryginalne!” Nie chciała jednak myśleć o jej drwinach.

Jak zwykle miała przy sobie aparat, toteż czym prędzej uciekła przed niepokojącymi uczuciami, kryjąc się za obiektywem. Zaczęła robić zdjęcia podekscytowanych dzieci, siedzących na ramionach ojców lub przeciskających się przez tłum w poszukiwaniu lepszego miejsca, ludzi powiewających małymi czerwono-biało-niebieskimi flagami i siedzących na koniach umundurowanych zastępców szeryfa.

Gdy Tyler nie zwracał na nią uwagi, zrobiła mu szybko parę zdjęć. Patrząc na niego przez obiektyw, mogła dokładniej go obserwować. Dobrze już знаła jego twarz - prosty nos, wystające kości policzkowe, wyraziste usta i silny podbródek. Zauważyła jednak szczegóły, które wcześniej umknęły jej uwagi - małą poszarpaną bliznę na brodzie, odcinającą się bielą od głębokiej opalenizny; delikatne zmarszczki w kącikach oczu, widoczne zwłaszcza wtedy, gdy blask słońca zmuszał go do zmrużenia powiek; drobne ślady siwizny przy skroniach, zakręcone złotobrazowe włosy wyglądające spod rozpiętej pod szyją koszuli.

Jak zwykle obiektyw ujawnił też coś więcej niż tylko fizyczne cechy modelu. W przypadku Tylera była to męskość, silna, ale nie dominująca, a przy tym pełna rezerwy. Ten mężczyzna z pewnością nie powiedziałby o sobie nic więcej ponad to, co byłoby absolutnie konieczne. Ta myśl jedynie wzmagała ciekawość Zoey.

Zajęta robieniem zdjęć, które sięgały coraz głębiej w jego osobowość, była tak skupiona, że aż drgnęła i niemal wypuściła aparat z rąk, kiedy Tyler nagle odwrócił się i spojrzał prosto w obiektyw. Nie mówiąc ani słowa, tylko gestem dłoni, jasno dał do zrozumienia, że nie życzy sobie, by ktoś naruszał jego prywatność. Policzki Zoey zapłonęły - została przyłapana na próbie uchwycenia go na kliszy.

W tym momencie zaczęła się parada i Zoey w nią wycelowała obiektyw. Jednak wspaniale ubrani jeźdźcy i pięknie wyszykowane konie, wesoło przystrojone platformy na kołach i energicznie maszerujące orkiestry nie fascynowały jej nawet w połowie tak jak Tyler.

Pod koniec parady, po przemarszu chłopięcych i dziewczęcych drużyn skautów i przejeździe dygnitarzy w kabrioletach, pojawiła się grupa mężczyzn na koniach. Pete dosiadał pięknego, żółtawego konia wyścigowego. Zoey domyśliła się, że to ten sam, którego używa na rodeo. Pete był bardzo starannie ubrany, nawet srebrna opaska kapelusza i sprzączka paska lśniły wypolerowane. Wyglądał na zadowolonego z siebie i obdarzał tłum - a zwłaszcza atrakcyjne kobiety - dumnymi uśmiechami.

Cheryl z uwielbieniem wpatrywała się w ojca. Dla swej małej dziewczynki ciągle był rycerzem bez skazy. Zoey świetnie to rozumiała, chociaż w odróżnieniu od Cheryl dawno musiała się pogodzić ze śmiercią swego wyobrażenia o ojcu. Czuła się rozdarta między nadzieją, że Cheryl nie zostanie oblana kubłem zimnej wody, a świadomością, że jest to mało prawdopodobne.

Spojrzała na Laurie i z bólem serca zauważyła, że ma ona bardzo smutną minę, jakby żałowała, że oszałamiający uśmiech Pete'a nie jest już skierowany tylko do niej.

Po krótkiej, lecz kolorowej paradzie tłum zaczął się rozchodzić. Niektórzy wrócili do domów, ale wielu skierowało się do usytuowanego w centrum miasta parku, by urządzić sobie rodzinny piknik. Zoey pomogła Laurie i Cheryl rozpakować dwa duże kosze, które ze sobą przywiozły. Z radością zauważyła, że Chuck również im pomaga. To dobrze wróżyło temu małżeństwu. Jesse ciągle się nie pojawiał i Zoey domyśliła się, że razem z kolegami z parady poszedł do jakiegoś baru na parę piw.

Tyler zniknął od razu po paradzie, nie mówiąc ani słowa siostrze, która nie wydawała się tym zmartwiona. To kazało Zoey przypuszczać, że Laurie wie, co robi brat.

Jej ciekawość została zaspokojona, gdy Tyler wrócił i powiedział, że wszystko jest gotowe do meczu softballu i będą mogli zacząć, jak tylko ludzie coś zjedzą.

- Kto będzie grał? - spytała Zoey z zainteresowaniem, które wszystkich zaskoczyło.

- Głównie okoliczni ranczerzy w jednej drużynie i ludzie z miasta w drugiej - wyjaśnił Tyler. - Formalnie rzecz biorąc, Chuck powinien chyba grać w drużynie z miasta, ale ze względu na Cheryl będzie grał w mojej. Nie mamy co do tego zbyt sztywnych zasad. Każdy, kto chce, może zagrać.

- Jesteś kapitanem?

- Tak. A Fred Cooper, właściciel apteki, jest kapitanem drużyny miejskiej. - Tyler musiał się trochę poprzehwalać. - Zwykle my wygrywamy. Żaden z nas nie jest zawodowym sportowcem, ale dzięki ciężkiej pracy na świeżym powietrzu mamy lepszą formę niż faceci z miasta. - Odwrócił się do Chucka. - W tym roku zagrasz na pozycji shortstopa.

Chłopak wyglądał na przerażonego.

- Shortstopa? Co się stało z Alviem Hicksem?

- Siedzi w domu, ma zwichniętą kostkę.

- Ale...

- Nie martw się, dasz sobie radę - zapewnił go Tyler.

Nakładali na papierowe talerze pieczonego kurczaka, sałatkę ziemniaczaną i owoce, czyli to, co wydawało się typowym piknikowym menu.

- Czy kobiety też grają? - spytała Zoey, starając się, by zabrzmiało to całkiem od niechcienia.

- Jasne, że nie - parsknął Tyler. Po chwili, zdając sobie sprawę, że nie było to zbyt taktowne i przypominając sobie, że rozmawia z kobietą z Nowego Jorku, dodał pośpiesznie:

- Nie żeby było w tym coś złego. Gdyby jakaś kobieta chciała zagrać, mogłaby. Ale żadna tego nie robi. To znaczy, nie chce.

Był wystarczająco bystry, by się zorientować, że sam się zapędził w kozi róg, toteż poddał się i zajął jedzeniem, starannie unikając spojrzenia Zoey.

- Chodźmy, musimy zebrać drużynę i omówić strategię - zwrócił się do Chucka, kiedy skończył lunch.

Chłopak szybko przełknął ostatnie kęsy owoców, po czym ruszył z Tylerem w stronę boiska do baseballu. Cheryl podążyła za nim, gotowa udzielać mu moralnego wsparcia.

Gdy Zoey patrzyła za oddalającym się Tylerem, przyszła jej do głowy szalona, natrętna myśl. Próbowwała ją odpędzić, ale nie mogła wybaczyć Tylerowi, że w tak arogancki sposób zareagował na samo wspomnienie o kobietach grających w softball. W końcu zwróciła się do Laurie z prośbą.

- Możesz mi wskazać Freda Coopera?

- No pewnie. To ten rudy facet na boisku, w białej koszulce z logo Apteki Coopera.

- Spojrzała na Zoey przenikliwie. - A czemu pytasz?

Zoey uśmiechnęła się przebiegle.

- Bo chcę dać twemu bratu nauczki.

- Co tam knujesz, Zoey Donovan? - spytała z błyskiem w oku Laurie, jakby już się domyśliła, o co chodzi.

- Zobaczysz.

Od razu poszła do Freda Coopera. Rozmawiali cicho przez kilka minut. Na początku gwałtownie kręcił głową. Potem wyglądał na zaskoczonego, zaintrygowanego, a w końcu uśmiechnął się i przytaknął. W drodze powrotnej do linii autowej Zoey minęła Tylera. Spojrzał na nią z zaciekawieniem, ale ona jedynie kiwnęła mu uprzejmie głową.

Mecz się zaczął i gra szybko stała się zacięta. Na początku prowadzili ranczerzy, ale w siódmej zmianie drużyna miejska zaczęła ich doganiać. Przed dziewiątą, ostatnią, prowadziła jednym punktem. Widzowie kibicowali z zaangażowaniem, komentując każde zagranie gwizdami, brawami lub pełnym dezaprobaty buczeniem. Dawno już coroczne spotkanie nie dostarczyło im tylu emocji.

Drużyna Tylera miała odbijać piłkę, a gracze Coopera zająć pole, kiedy ten ogłosił zaskakującą zmianę. Miotacza drużyny miejskiej miała zastąpić nowa osoba - pani Zoey Donovan z Nowego Jorku. Gdy zajęła miejsce na boisku, z rękawicą na prawej dłoni, Tyler wyglądał, jakby zobaczył ducha. Z wielką przyjemnością uświadomiła sobie, że udało jej się zbić go z tropu.

Tyler podbiegł do Freda Coopera.

- Co ty, do cholery, robisz? - spytał wzburzony.

- Zmieniam miotacza - odpowiedział tamten niewinnie. - Chyba przepisy tego nie zabraniają?

- Nie, ale...

- Ale co?

- To głupie!

- Jeszcze zobaczymy - odrzekł zagadkowo Fred. - No i jak, chcesz dokończyć mecz, czy wolisz się poawanturować?

Tyler z dezaprobatą zacisnął usta.

- Dobra, jak chcesz zawalić mecz, twoja sprawa.

Obrócił się na pięcie i wrócił do siedzących na ławce kolegów. Coś do nich cicho powiedział, na co kilku mężczyzn wybuchnęło śmiechem.

Pierwszym odbijającym był Chuck. Spojrzał bezradnie na siedzącą w tłumie Cheryl, jakby chciał powiedzieć: „Przykro mi, że muszę zrobić pośmiewisko z twojego gościa, ale nie mam wyboru”. Wcześniej Zoey obserwowała uważnie wszystkich zawodników z drużyny Tylera, oceniając ich mocne i słabe strony. Wiedziała, że Chuck ma problemy z szybkimi piłkami. Pierwszą rzuciła więc szybko i chłopak w nią nie trafił. Wyglądał na zaskoczonego, ale nie zmartwionego. Drugi rzut był jeszcze szybszy i Chuckowi znowu się nie udało.

Przez widownię przeszedł szmer zaskoczenia i Cheryl zaczęła się martwić o narzeczonego. Tym razem Chuck bardziej się przejął. Mocno ścisnął kij, spodziewając się następnej szybkiej piłki. Widząc to, Zoey rzuciła wolną. Chuck się zamachnął i znowu spudłował. Zawstydzony, ruszył w stronę ławki.

Następny batter radził sobie tylko trochę lepiej. Udało mu się odbić jedną piłkę. Na nieszczęście uderzył za słabo i shortstop złapał ją bez trudu.

Obaj batterzy byli praworęczni i trudno było im walczyć z leworęcznym miotaczem.

Teraz tłum oglądał mecz z takim przejęciem, jakby to był finał mistrzostw kraju. Kiedy Tyler wyszedł wolno na miejsce dla battera, rozległy się okrzyki: „Załatw ją, Tyler!” i „Dasz sobie radę!” Z pewnością był najlepszym graczem swojej drużyny - od jego sportowych umiejętności zależało spełnienie nadziei pozostałych zawodników i ich kibiców.

Wpatrywał się w Zoey intensywnie, ale ona nie miała zamiaru dać się onieśmielić. Pierwszą piłkę odbił dobrze i została zaliczona. Tak samo druga. Zoey nie wpadła jednak w panikę. Znała swoje możliwości i wiedziała, jak je w razie potrzeby zmobilizować. Trzeciej piłki nie udało mu się odbić, czwarta wypadła na aut. Z następną dobrze sobie

poradził. Jak w dobrym filmie wynik całego meczu zależał teraz od ostatniej piłki ostatniej zmiany.

Gdy tłum wstrzymał oddech, Tyler wskazał na środek boiska, naśladowując słynny gest Babe'a Rutha. Zoey nie mogła się powstrzymać - zaśmiała się razem z widownią. Pewność siebie tego człowieka była zdumiewająca.

Zebrała siły i wypuściła piłkę w powietrze. W odróżnieniu od wcześniejszych szybkich i wolnych rzutów ten był specjalny - podkreślony. Chowała go w zanadrzu na właśnie taką sytuację. Tyler zamachnął się i nie trafił. Trzeci błąd! Koniec gry. Wciąż przegrywająca drużyna Freda Coopera w końcu zwyciężyła.

Tłum wydał z siebie ryk, w którym szczególnie wyraźnie słychać było głosy kobiet. Zawodnicy z drużyny Zoey otoczyli ją, wzięli na ramiona i obnieśli po boisku. Poczuli się tak szczęśliwi, jakby wygrała prawdziwy ligowy mecz.

Kiedy mężczyźni w końcu postawili ją na ziemi, znalazła się twarzą w twarz z Tylerem. Trzeba mu przyznać, że umiał przegrywać. Uścisnął dłoń Franka, gratulując zasłużonego zwycięstwa. Następnie zwrócił się do Zoey:

- Chyba zdarzyło ci się już kiedyś w to grać, prawda?

- Tak - przyznała radośnie. - Mój ojciec był fanatykiem baseballu i dopilnował, żebym była pierwszą dziewczyną w dziecięcej lidze w naszym mieście. - Nie dodała, że po jego odejściu nie przestała grać, mając nadzieję, że kiedy wróci, będzie dumny z tego, jak dobrze sobie radzi.

- Później też grałaś - zauważył Tyler.

- Trochę na studiach - powiedziała, udając skromność. - Zajęłyśmy dopiero czwarte miejsce w stanowych finałach softballu kobiet. No i oczywiście mamy w Nowym Jorku drużynę fotografów. Gramy tylko dla zabawy. Wszelkie zyski idą na cele dobroczynne.

Tyler powoli pokręcił głową.

- Niech mi pani w razie konieczności przypomni, pani Donovan, że niedocenianie pani źle się kończy.

Jej szare oczy zaśniły jak żywe srebro.

- Na pewno to zrobię, panie Ross.

Było już późno po południu i spiekota dnia zaczęła zanikać. Powiewał lekki letni wietrzyk. Z jednej strony parku przyszykowano miejsce dla orkiestry, a obok ustawiono przenośny parkiet otoczony światłami. Wkrótce kapela country zaczęła grać. Ludzie spakowali to, co im zostało po pikniku, i ruszyli w stronę parkietu.

Wśród pierwszych tańczących w rytm skocznej muzyki byli Cheryl i Chuck. Stojąca z boku Zoey zdumiona była skomplikowanymi krokami i figurami grupowych tańców, a jeszcze bardziej zaskoczył ją fakt, że wszyscy je bezbłędnie znali. Wprawdzie na Manhattanie były kluby, w których tańczyło się w ten sposób, ale Zoey nigdy nie odwiedziła żadnego z nich. Była zupełnie zbита z tropu, kiedy jakiś młody mężczyzna poprosił ją do tańca. Pokręciła głową.

- Nie umiem - wyjaśniła.

- To nic, szybko pani załapie, o co chodzi - uspokoił ją z zachęcającym uśmiechem.

- Proszę tylko robić to co ja. Aha, a na imię mi Mel.

Przez chwilę się wahała, zakłopotana. „Czemu nie?” - spytała w końcu samą siebie i postanowiła zaryzykować. Pozwoliła się zaprowadzić w tłum tancerzy. Na początku nie mogła się w tym połapać i czuła, że robi z siebie idiotkę. Wyglądało jednak na to, że nikt się tym nie przejmuje, a najmniej jej partner, który cierpliwie pokazywał jej kroki. Stopniowo rozjaśniało się jej w głowie, a po kilku minutach tańczyła energicznie z innymi „Szybkie boogie”.

Dawno nie bawiła się tak dobrze, bardzo dawno. „Ależ zwapniałam - pomyślała. - Carla ma rację, powinnam być bardziej otwarta na odrobinę szaleństwa”.

Wirując po parkiecie, kątem oka zauważyła stojącego z boku Tylera, który się jej przyglądał. „Musi być z niego niezły pokerzysta” - pomyślała, patrząc na jego nieprzeniknioną minę. Gdy Mel położył dłonie na biodrach Zoey, żeby pokazać jej jakiś trudny krok, znowu spojrzała w stronę Tylera. Ku swemu zaskoczeniu zauważyła na jego twarzy lekką oznakę czegoś zupełnie nowego. Gdyby nie wiedziała, że to niemożliwe, powiedziałyby, iż to zazdrość.

Po szybkiej wersji „Gdyby mi płacili za to, że cię kocham” była rozradowana, ale wyczerpana. Przeprosiła Mela i zaczęła się przepychać przez tłum w stronę zejścia z parkietu. Nagle zastąpił jej drogę Tyler. Spojrzał na nią z lekko uniesionymi kącikami ust.

- Mogę panią prosić? - spytał uprzejmie.

Zoey osłupiała. Mogła wymówić się brakiem oddechu po ostatnim szybkim tańcu, ale uświadomiła sobie, że orkiestra gra teraz coś wolnego. Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, Tyler wziął ją w ramiona i przyciągnął do siebie, aż ich ciała lekko się dotknęły. Jedną ręką ujął delikatnie, lecz stanowczo dłoń partnerki i splótł jej palce ze swoimi, a drugą objął ją w talii.

Zoey zamarła i na chwilę zapomniała o oddychaniu. Potem powoli wypuściła powietrze i rozluźniła się. Zamiast poczuć się niezręcznie, z zaskoczeniem stwierdziła, że przebywanie w jego ramionach jest dla niej najbardziej naturalną rzeczą na świecie. Uderzyła ją intensywna fizyczność Tylera. Jego dotyk był pewny i silny, a jednocześnie subtelny. Nigdy nie czuła się bezpieczniej - wydawało się, że Tyler chroni ją przed wszelkimi niebezpieczeństwami świata.

Zoey nie знаła tej piosenki, podobnie jak większości innych granych przez orkiestrę. Nosila tytuł „Dzisiaj przeszedłem przez mur”. Słuchała na pół melancholijnych słów o mężczyźnie, który zapomniał o swej dumie i „przeszedł przez mur” dzielący go od kochanki. Zaskoczyła ją wrażliwość i głębia tekstu. Była dokładnym zaprzeczeniem jej stereotypowego wyobrażenia o muzyce country, która - jak wcześniej sądziła - opowiadała o „dobrodusznych kobietach i akuratnych mężczyznach”.

Przyszło jej na myśl, że te słowa mogłyby się odnosić do niej i Tylera. Odkąd się poznali, był między nimi mur, wzniesiony z przedwczesnych osądów oraz skłóconych kultur, bardzo różnych stylów życia i poprzednich związków. W dodatku nieuczciwość ich obojga uczyniła ten mur jeszcze trudniejszym do pokonania. Zależało im tylko na tym, by jak najszybciej pozbyć się tej drugiej osoby. Nie zamierzali zbudować między sobą mostu.

Aż do tej chwili. Zoey zmusiła się do podniesienia wzroku na Tylera i ujrzała w jego oczach lustrzane odbicie własnego kielkującego uczucia. Mimo że żadne z nich nie powiedziało ani słowa, wiedziała, że myślą o tym samym. Czy mogliby przejść przez dzielący ich mur? A jeśli to zrobią, co znajdą po drugiej stronie?

Ich usta dzieliły zaledwie milimetry. Zoey była pewna, że jeśli nie pochyli głowy i zamknie oczy, Tyler przeskoczy tę mikroskopijną, a jednocześnie tak wielką przepaść i pocałuje ją. Wiedziała też, że ten pocałunek wstrząśnie nią do głębi.

„Czy powinnam ulec?” - zastanawiała się. A cichy głosik w jej sercu szepnął: „Tak. O tak”.

Powieki same zaczęły jej opadać. Wiedziała, że za chwilę poczuje na swych drżących ustach jego wydatne wargi.

Muzyka zamilkła. Piosenka się skończyła, a orkiestra, zamiast przejść od razu do następnego utworu, ogłosiła przerwę.

Przez moment, który zdawał się wiecznością, oboje stali bez ruchu, nie chcąc wypuścić się z ramion. W końcu jednak Tyler rozluźnił palce splecione z jej palcami, zdjął dłoń z jej pleców i cofnął się o krok. Magia poprzedniej chwili roztopiła się w rzeczywistości otaczających ich ludzi - opuszczających parkiet, rozmawiających, śmiejących się.

Spojrzelili na siebie. Nie powiedzieli nic. Każde z nich wiedziało jednak, jak blisko byli pokonania dzielącego ich muru.

Bez słowa ruszyli w stronę Cheryl i Chucka, którzy czekali na nich przy stole. Od razu dołączyła do nich zafrasowana Laurie. Zoey nie chciała pytać o wymowną nieobecność Pete'a na pikniku, meczu i teraz na tańcach, ale twarz Laurie, na której malowało się roztargnienie i z trudem skrywane rozczarowanie, mówiła wystarczająco dużo.

Od dawna było już ciemno.

- Czas na fajerwerki - powiedziała Cheryl. Pewna oddania Chucka, żyła w rozkosznej nieświadomości faktu, że jej matka jest nieszczęśliwa, albo bardzo się starała zachować pozory normalności. Zoey nie była do końca pewna, jak jest naprawdę.

Rozłożyli na trawie koc, a Zoey narzuciła na siebie dżinsową kurtkę. Noc przyniosła spadek temperatury i chłód wieczoru przerodził się w zimno. Przez godzinę siedzieli i oglądali fajerwerki, które rozjaśniały bezkresne czarne niebo czerwonymi, niebieskimi, białymi i zielonymi eksplozjami.

Zoey rzucała ukradkowe spojrzenia na Tylera. Ze zdumieniem zdała sobie sprawę, że nigdy wcześniej nie знаła mężczyzny takiego jak on. Wiedziała, że już nigdy nie spotka nikogo takiego, i serce w niej zamarło na myśl, że wyjeżdżając stąd, na zawsze odejdzie z jego życia.

Nagle zadrżała. Przyciągnęła kolana pod brodę i objęła nogi ramionami, żeby ochronić się przed zimnem. Wmówiła sobie, że to chłodny nocny wiatr, jednak jej serce wiedziało, że chodzi o coś zupełnie innego.

Patrząc na zachwyconą fajerwerkami Zoey, Tyler wyczuł, że pod maską niezależnej, światowej, dojrzałej kobiety kryje się nieśmiała, delikatna i bezbronna dziewczyna. Znał ją dopiero od kilku dni, ale zorientował się już, że na początku bardzo źle ją ocenił. Była jedną wielką niespodzianką. Czasami mocno irytującą, ale częściej zachwycającą.

I była taka śliczna. Jej złotorude loki lśniły delikatnie w świetle księżyca, zachęcając go, by zatopił w nie palce. Pragnął pieścić jej bladą skórę, tak jasną i delikatną, w odróżnieniu od jego ciemnej i szorstkiej. Kiedy tańczyli, czuł kruchość jej szczupłego ciała, które jednocześnie tak pasowało do jego ramion.

Ten taniec był dla niego jak objawienie. Poruszył nim do głębi. Od ostatniego tańca z Sarą na weselu sąsiada, zaledwie kilka tygodni przed jej śmiercią, nie tańczył z nikim. Nie spodziewał się, że trzymanie w ramionach jakiegokolwiek kobiety poza Sarą może być tak naturalne. A jednak z Zoey czuł się tak, jakby jej miejsce było w jego ramionach. Był zdumiony faktem, że jej mała dłoń tak świetnie pasowała do jego dłoni, że jej ciało potrafiło tak doskonale stopić się z jego ciałem.

Przy każdym ruchu podczas tańca czuł, że oddala się od wspomnienia o Sarze, od tak drogiej dla niego przeszłości w stronę nieznannej przyszłości. Teraz czuł się rozdarty między bólem, z którym nauczył się żyć, a pierwszymi oznakami czegoś, co bardzo przypominało radość.

Zerkając ukradkiem na Zoey, Tyler pomyślał, że ta dziewczyna przewróciła jego nieszczęśliwe, ale ustabilizowane życie do góry nogami. A przecież nawet się jeszcze nie całowali. Był bardzo zadowolony, że ta cholerna piosenka skończyła się w odpowiednim momencie - gdyby potrwała chwilę dłużej, pocałowaliby się. Kto wie, jak by się to skończyło...?

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kościół Przemienienia Pańskiego był małą drewnianą kaplicą zbudowaną w 1925 roku. Olbrzymie okno nad ołtarzem ukazywało wspaniałe góry Teton. Ich dolne partie pokrywały drzewa we wszystkich odcieniach zieleni, od niemal szarego po intensywnie szmaragdowy, a na granitowych szczytach leżał śnieg. Zoey była zachwycona prostym pięknem tego rustykalnego domu modlitwy.

- To kościół episkopalny, ale ludzie wszystkich wyznań są tu mile widziani - wyjaśniła Laurie.

Obie kobiety stały w głównej nawie. Laurie właśnie skończyła zawieszanie z boków łałek ogromnych szarf z białej satyny, a Zoey sprawdziła najlepsze miejsca do fotografowania ceremonii.

- To wspaniałe - powiedziała z westchnieniem. - Żadne ołtarze najpiękniejszych katedr świata nie mogą się równać z tym widokiem.

Laurie promieniała.

- Wiem. Nie mogę sobie wyobrazić cudowniejszego miejsca na rozpoczęcie przez młodą parę wspólnego życia.

- Tutaj wyszłaś za Pete'a? - spytała Zoey z nadzieją, że nie zdenerwuje przyjaciółki tym pytaniem.

W środku nocy obudził ją odgłos zajeżdżającego pod dom pick-upa i pomyślała, że to Pete w końcu wraca. Gdy rano wszyscy zajęli się ostatnimi przygotowaniami do ślubu, Pete'a ciągle nie było widać. Domyśliła się, że odsypia nocne zabawy.

Laurie nie wydawała się zbyt strapiiona pytaniem. Pokręciła głową.

- Uciekliśmy do Reno - wyjaśniła. - Pobraliśmy się w jednej z tych kiczowatych, różowych kapliczek z plastiku, zostaliśmy tam na noc i następnego dnia wróciliśmy.

Zoey wiedziała, że stąpa po niepewnym gruncie, nie mogła się jednak powstrzymać od zadania jeszcze jednego pytania.

- Nie chcieliście wziąć ślubu tutaj, w tym pięknym miejscu?

Laurie zrobiła nieprzeniknioną minę, jak zawsze, kiedy Pete był tematem rozmowy. Widać jednak było, że za tą rezerwą kryje się słodko-gorzka zaduma nad przeszłością, która już nie wróci.

- Ja chyba nie miałabym nic przeciwko temu, ale Pete nie chciał czekać. Poza tym ucieczka wydawała nam się czymś bardzo romantycznym. - Uwagi Zoey nie umknął nacisk na słowie „wydawała”. - Ale Tyler i Sara pobrali się tutaj - mówiła dalej Laurie, uśmiechając się z determinacją.

- Świetnie się bawiłam, organizując ich ślub. Sara nie miała matki, która zajęłaby się wszystkim, pozwoliła mi więc przejąć jej obowiązki. Robiłam wszystko, czego nie zrobiłam z okazji własnego ślubu.

- Pewnie ich ślub był bardzo piękny - powiedziała łagodnie Zoey, widząc, że Laurie ukrywa związany z tymi wspomnieniami ból.

- O tak! Odbył się na początku lata. Na łąkach kwitły kwiaty i wszystko było takie zielone. Sara uszyła własną suknię i sukienki druhen. Mówię ci, to był widok! Miała doskonały gust. Prosty, ale elegancki, wiesz, o co mi chodzi? - Zoey pokiwała głową. - Była tak piękną panną młodą! A Tyler był przystojnym panem młodym. Tak bardzo się kochali...

Laurie nagle zamilkła i odwróciła głowę.

Zoey zrobiło się bardzo żal Tylera. Zaledwie kilka lat wcześniej poślubił w tym kościele kobietę, którą bardzo kochał. Teraz będzie musiał znów tu przyjść i patrzeć, jak jego siostrzenica wychodzi za mąż. Aż do tej chwili Zoey nie do końca pojmowała znaczenie tego wydarzenia. Ten dzień musi wywoływać w Tylerze bardzo mieszane uczucia.

Laurie ponownie spojrzała na Zoey.

- Wszyscy mamy związane z tym miejscem wspomnienia - powiedziała cicho, jakby odgadując myśli przyjaciółki.

- Niektóre z nich są radosne, inne strasznie smutne. Tyler i ja tutaj zostaliśmy ochrzczeni. Tutaj odbył się pogrzeb naszej matki i pogrzeb Sary. Ale właśnie w tym szczególnym miejscu, bardziej niż gdziekolwiek indziej, wyczuwa się ciągłość i trwałość

życia. Nie wiem, w co wierzysz, Zoey, ale ja wierzę w życie pozagrobowe. Jestem pewna, że kiedyś wszyscy znowu się spotkamy.

Zoey nie miała pojęcia, co odpowiedzieć na to szczere wyznanie wiary. Nie została wychowana w jakiejś konkretnej religii i przez całe życie koncentrowała się na sprawach materialnych, a nie duchowych.

- Czy Tyler też w to wierzy? - spytała z zaciekawieniem. Laurie westchnęła ciężko.

- Kiedyś i owszem. Ale nie jestem pewna, czy jeszcze w ogóle w coś wierzy. - Obie przez chwilę milczały, po czym Laurie zmusiła się do uśmiechu. - No, dosyć tego, nie mamy czasu na sentymentalne rozmowy. - Rozejrzała się po pięknie przystrojonym kościele, z dwoma wielkimi bukietami białych goździków przy ołtarzu i białymi szarfami wiszącymi z boków ławek. - Tutaj już wszystko gotowe. Teraz musimy się przygotować do ślubu. Jeśli wszystko nie będzie szło jak w zegarku, Cheryl nigdy nie przestanie mi za to suszyć głowy.

Zoey uśmiechnęła się do niej.

- Masz rację. Powinnyśmy już się przebrać. Chciałabym zrobić pozowane zdjęcia przed ceremonią.

Ponieważ kaplica była mała i nie miała przebieralni, całe towarzystwo przygotowywało się w domu jednej z druhen, która mieszkała w pobliżu. Po przybyciu na miejsce Laurie i Zoey ujrzały scenę kontrolowanego chaosu. Druźbowie, wysocy, młodzi mężczyźni ubrani w czarne smokingi, snuli się znudzeni po salonie, podczas gdy drużny ubierały się w jednej z sypialni w różowe sukienki z szyfonu. Wszystkie miały około dwudziestu lat i były przyjaciółkami Cheryl z dzieciństwa. Śmiały się i trajkotały z ożywieniem, próbując się razem zmieścić w łazience z jednym lustrem.

- Ta szminka jest do niczego. Mogę pożyczyć twoją?

- Jasne, tylko szybko mi ją oddaj. Będzie mi potrzebna.

- Wiedziałam, że muszę trochę schudnąć. Ledwo mogę oddychać w tej sukience.

- Nie wiem, czemu mam iść w parze z Jimmym. Nawet go nie lubię.

- Bo oboje jesteście najwyżsi. Tak to już jest.

- Słyszałam, że chłopaki robią coś z pick-upem Chucka.

- Cóż, mam nadzieję, że nic głupiego.

- Pamiętajcie tę śmierdzącą bombę, którą Gary przywiązał do bagażnika Cliffa na jego ślubie?

- To było takie szczeniackie. Marlene naprawdę się wkurzyła i nie dziwię się jej. Cheryl zauważyła matkę i Zoey, które stały w drzwiach i przyglądały się panującemu wewnątrz rozgardiaszowi.

- Nareszcie, mamó. Już zaczynałam się martwić. Została ci tylko godzina, aby się ubrać, bo potem mamy robić zdjęcia.

Laurie uśmiechnęła się pobłażliwie do córki.

- Och, myślę, że godzina to aż za dużo. Nie potrzebuję tyle czasu na przygotowania co ty.

Policzki Cheryl zdobyły rumieńce, charakterystyczne dla wszystkich szczęśliwych panien młodych. Była już ubrana, umalowana, a jedna z druhen, fryzjerka, kończyła poprawianie jej skomplikowanej fryzury. Makijaż Cheryl był odrobinę za intensywny jak na nowojorski gust, jej sukienka miała o kilka zakładek i falbanek za dużo, ale i tak dziewczyna wyglądała ślicznie.

Zoey szybko zdjęła dzinsy i przebrała się w prostą maślanożółtą sukienkę, którą kupiła w Jackson. Nałożyła perłowe kolczyki, pożyczone od Laurie, paroma pociągnięciami grzebienia przeczesła niesforne loki, szybko zrobiła delikatny makijaż i była gotowa.

Laurie narzuciła lawendową lnianą sukienkę, która była prosto skrojona, ale pasowała do jej zgrabnej figury. Długie do ramion włosy związała aksamitną wstążką, przesunęła szminką po wargach i obwieściła, że jest gotowa.

Cheryl przyjrzała się matce krytycznym okiem.

- Och, mamó, chociaż ten jeden raz w życiu pozwól sobie na odrobinę szaleństwa. Mogłabyś wyglądać trochę bardziej odświeżnie.

Laurie nachmurzyła się. Mimo całej miłości do córki i chęci, żeby ten dzień był wspaniały, nie chciała udawać kogoś, kim nie jest.

- Nie czuję się dobrze w mocniejszym makijażu - powiedziała przygnębiona - a moje włosy są zbyt proste, by utrzymać bardziej skomplikowaną fryzurę. Rozpadłaby się w połowie ceremonii.

Widząc, że między matką i córką może dojść do konfliktu, Zoey stwierdziła, że trzeba podejść do sprawy trochę bardziej dyplomatycznie.

- Wiesz co - zwróciła się do Laurie - jednym z zajęć, które wykonywałam na początku kariery, było asystowanie fotografowi mody. Dużo się wtedy nauczyłam o robieniu makijażu i czesaniu. Czy miałabyś coś przeciwko temu, gdybym to i owo zasugerowała?

Laurie zrobiła raczej sceptyczną minę.

- Cóż... chyba nie. Nie chcę tylko wyglądać jak Tammy Faye Bakker.

Zoey zaśmiała się.

- Nie bój się. Jedną z najważniejszych rzeczy, jakich nauczyłam się w pracy, jest zasada ukazywania prawdziwej osobowości fotografowanej osoby. - Zoey odwróciła się do druhny, która była fryzjerką. - Czy mogłabyś szybko obciąć mamę Cheryl na pazia, tak żeby włosy sięgały trochę poniżej podbródka?

Dziewczyna entuzjastycznie pokiwała głową.

- Jasne. To zajmie najwyżej dziesięć czy piętnaście minut i będzie świetnie wyglądało. - Gdy Laurie otworzyła usta, by zaprotestować, dziewczyna dodała: - To odsłoni pani piękne, niebieskie oczy i odejmie co najmniej pięć lat.

- Pięć lat? - spytała z niedowierzaniem Laurie.

- Może dziesięć - odrzekła druhna z lekką przesadą, której Zoey postanowiła nie korygować.

- No dobrze - zgodziła się niechętnie Laurie. - Tylko nie obetnij ich za krótko.

Piętnaście minut później fryzura była gotowa i wszyscy zgodnie stwierdzili, że jest cudowna. Podczas strzyżenia Zoey dawała fryzjerce wskazówki - podpowiadała, jak wycieniować włosy wokół twarzy, żeby złagodzić ich dość surowy wygląd.

- Widzisz? Już nie ma znaczenia, jak proste są włosy - zauważyła. - Poza tym, skoro nie są już tak ciężkie, dłużej utrzymają fryzurę. A teraz makijaż. - Laurie rzuciła jej niespokojne spojrzenie. - Nie martw się - uspokoiła ją Zoey - żadnych sztucznych rzęs. Ani policzków kłowna. Odrobina różu, delikatna brzoskwiniowa szminka Zoey,

jasnobrązowy cień do oczu i oszczędnie użyty tusz do rzęs wydobyły z Laurie jej naturalną urodę. Kiedy spojrzała w lustro, mile zaskoczyła ją przemiana, której dokonała nowa fryzura i wprawnie wykonany makijaż. Uśmiechnęła się radośnie.

- To nie do wiary. Wyglądam jak zupełnie inna osoba.

- Mamo, wyglądasz cudownie! - zachwyciła się Cheryl. Pozostałe dziewczęta szczerze się z nią zgodziły. Laurie odwróciła się do Zoey.

- Dziękuję. Dawno nie czułam się taka ładna - powiedziała. Zoey wzruszyła ramionami.

- Po prostu pokazałam, jaka jesteś naprawdę.

- Może jeszcze odrobinę tuszu. I trochę więcej różu - musiała zasugerować Cheryl.

- Nie! - krzyknęły jednocześnie Laurie i Zoey, po czym razem się roześmiały.

- Uwierz mi - powiedziała Zoey panie młodej - twoja mama wygląda teraz idealnie. Pięknie wypadnie na zdjęciach. A skoro już o nich mowa, lepiej chodźmy do kościoła i zajmijmy się nimi, zanim goście zaczną się zjeżdżać.

Tyler i Jesse skończyli ustawianie namiotu, stołów i krzeseł za kościołem, gdzie po ceremonii miało się odbyć przyjęcie. Obaj szybko poszli do domu druhny, żeby się przebrać, a Zoey w tym czasie robiła zdjęcia wszystkim pozostałym. Tyler wrócił ubrany w ciemny garnitur, ale Jesse miał na sobie białą koszulę i dżinsy. Nic nie mogło go zmusić do włożenia garnituru, nawet ślub Cheryl.

Cheryl zaczęła się już głośno zastanawiać, co zatrzymuje jej ojca, kiedy w ostatniej chwili pojawił się Pete. Wyglądał całkiem przystojnie w smokingu i Cheryl promieniała, gdy pozowała z nim do zdjęć. Jednak fotografująca ich Zoey była świadoma tego, że stojąca obok męża Laurie nie jest nawet w połowie tak szczęśliwa.

Wkrótce zaczęli pojawiać się goście i młoda para gdzieś zniknęła. Wśród około pięćdziesięciu przybyłych Zoey dostrzegła kilka osób poznanych poprzedniego dnia na obchodach Czwartego Lipca. Fred Cooper, który rozplęwał się w podziękowaniach za pomoc w wygraniu meczu, spytał z nadzieją, czy Zoey przyjedzie w przyszłym roku.

- Raczej nie - odpowiedziała cicho, rzucając skrycie krótkie, spojrzenie na Tylera.

- Szkoda - odrzekł rozczarowany Fred.

W końcu nadszedł czas rozpoczęcia ceremonii. Goście zajęli miejsca, organista zaczął grać „To dopiero początek” i orszak weselny ruszył krótką nawa. Wszystko szło tak idealnie, jak tylko panna młoda mogłaby sobie wymarzyć. Pięcioletnie bliźnięta - dziewczynka z kwiatami i chłopczyk niosący obrączki, czyli siostrzenica i siostrzeniec pana młodego - wyglądały prześlicznie i zachowywały się niezwykle dojrzałe jak na swój wiek. Druhny i drużbowie świetnie się prezentowali. A kiedy w końcu pojawiła się w nawie prowadzona przez ojca Cheryl, wszyscy ujrzeli wcielenie idealnej panny młodej.

Czekający przy ołtarzu Chuck patrzył na nią z niewysłowioną miłością w zamglonych oczach.

Zoey stała dyskretnie z tyłu i robiła wszystkim zdjęcia, koncentrując się jednak na Cheryl i Chucku. Gdy muzyka zamilkła i zaczął mówić pastor, odłożyła aparat. Miała go znowu wziąć do ręki dopiero po ceremonii, by uwiecznić na kliszy Cheryl i Chucka, kroczących razem triumfalnie w stronę wyjścia.

Dawno nie była na żadnym ślubie. Poczula ostre ukłucie zazdrości, którą bez powodzenia próbowała stłumić. Jeszcze raz była zmuszona spojrzeć w oczy smutnej prawdzie, że Brian nie kocha jej tak, jak nieśmiały i oddany Chuck kocha Cheryl. Straciła nadzieję na to, że kiedykolwiek stanie z Brianem przed ołtarzem, gdzie złożą sobie przysięgę miłości i wierności.

Z wielką niechęcią pogodziła się z nieuchronnością czegoś, o czym wiedziała wkrótce po przybyciu do Jackson Hole - że po powrocie do Nowego Jorku będzie musiała definitywnie zerwać z Brianem. Przyjazd tutaj pomógł jej zrozumieć parę spraw. Wiedziała już, czego chce i potrzebuje, wiedziała też, że Brian nie może czy też nie chce jej tego dać. Nie mogła wrócić do ich dawnego, wolnego od zobowiązań związku. Już jej nie wystarczał.

Pomyślała, że Brian mógł postawić na niej krzyżyk. Jeśli tak było, tym lepiej. W ten sposób uniknęłyby konieczności spotkania i bólu patrzenia w oczy, w których nie znalazłaby miłości.

Ze swego miejsca z tyłu kościoła widziała siedzącego w pierwszej ławce Tylera, przypatrującego się ceremonii. W ciemnym garniturze wyglądał zaskakująco dystyngowanie. Zupełnie nie przypominał kowboja w dzinsach, do którego przywykła. W

odróżnieniu od Briana nie był przystojny w stylu modela z okładki. Był po prostu bardzo męski. Według Zoey to jeszcze zwiększało jego atrakcyjność.

Zdawało się, że Tyler pilnie uczestniczy w nabożeństwie, Zoey wyczuła jednak, że pewnie myśli o własnym ślubie, który też odbył się tutaj, i o Sarze. „To musi być dla niego strasznie gorzka chwila” - pomyślała z ogromnym smutkiem. Mimo wielkiego bólu, jaki z pewnością czuł, zachowywał się tak jak zwykle - ze spokojną siłą i godnością.

Laurie powiedziała, że tylko raz kochał tak mocno. „Czy mógłby tak pokochać jeszcze raz? - zastanawiała się Zoey. - Chyba nie. Taka miłość zdarza się pewnie tylko raz w życiu. Albo i to nie, jeśli się nie ma szczęścia”.

Natychmiast zbesztła się za te bezsensowne rozmyślania. Tyler nikogo nie szukał, a już na pewno nie kogoś takiego jak ona. Zresztą i tak postanowiła wyjechać za dzień czy dwa, jak tylko uda jej się sfotografować mustangi. Jeśli jeszcze kiedyś pomyśli o Tylerze, to tylko z zakłopotaniem i żalem, że próbowała go wykorzystać, by wzbudzić zazdrość Briana. „Co za głupie i dziecinne zachowanie” - pomyślała zła na siebie.

Tyler na pewno zapomni o niej, jak tylko stąd wyjedzie.

Kiedy pastor, siwy mężczyzna o stentorowym głosie, mówił o wzajemnym szacunku i miłości, Tyler myślał o czymś innym. Od pogrzebu Sary ani razu nie odwiedził tego kościoła. Teraz starał się zapomnieć o tamtym strasznym dniu. Próbował wrócić myślami do ich ślubu i szczęśliwszych czasów.

To okazało się jeszcze bardziej bolesne. Zalała go fala chwytających za serce wspomnień. Był wówczas pewien, że mają przed sobą długie i wspaniałe życie. Zaledwie kilka lat później Sara straciła przytomność i już nigdy jej nie odzyskała. Tego dnia Tyler przekonał się, że życie jest okrutnie nieprzewidywalne.

Od tych wspomnień pełnych miłości, radości i tragizmu serce mu zamarło. Do oczu cisnęły się łzy, ale jak zwykle nie pozwolił im spłynąć po policzkach. Większość gości, widząc jego zaszkłone niebieskie oczy, pomyślała, że dał się ponieść emocjom związanym ze ślubem jedynej siostrzenicy. Jednak siedzącej obok Laurie wystarczyło jedno spojrzenie w jego twarz, by domyślić się prawdy. Dyskretnie wzięła go za rękę i ścisnęła ją.

- Wiem - szepnęła.

Zajrzał w jej pełne współczucia oczy i poczuł ogromną wdzięczność dla starszej siostry, która wspierała go, gdy jeszcze był małym dzieckiem, choć jej samej wówczas też wiele brakowało do pełnej dorosłości.

Tyler otrząsnął się z tych myśli, kiedy państwo młodzi powiedzieli „tak”. Gdy wymieniali obrączki, w wielkim oknie za nimi widać było wspaniałą, płomienny zachód słońca. Błękitne niebo stało się fioletowe, pokrywały je nieliczne pomarańczowe i różowe chmury. Państwo młodzi stali skąpani w złotym blasku. Na tym cudownym tle Chuck wziął Cheryl w ramiona i pocałował ją krótko, ale namiętnie, po czym ceremonia się zakończyła.

Dla Tylera nie trwała ani odrobinę za krótko. Niczego nie pragnął bardziej, jak tylko tego, żeby wyjść z kościoła i uciec od przygniatających go bolesnych wspomnień.

Pod olbrzymim namiotem ustawionym obok kościoła trwało przyjęcie. Goście sączyli szampana i poncz, korzystali z obfitego bufetu i słuchali spokojnej muzyki w wykonaniu kwartetu smyczkowego z Jackson. Cheryl postanowiła, że jej wesele będzie eleganckie, i takie właśnie było. Otoczenie, wraz ze sznurami lampek oświetlających namiot i skąpanymi w świetle księżycy górami Teton w tle, było niewiarygodnie piękne i romantyczne.

Chuck i Cheryl rozmawiali z coraz to innymi gośćmi, a Zoey robiła im z ukrycia wspaniałe zdjęcia. Gdy nadszedł czas dzielenia tortu, dopilnowała, by uwiecznić na kliszy ważny moment, gdy państwo młodzi karmią się nawzajem ciastem.

Pewna, że zrobiła już wystarczająco dużo zdjęć, by wypełnić tuzin albumów, odłożyła aparat i poczęstowała się szampanem. Właśnie opróżniła kieliszek i zamierzała się rzucić na pyszne jedzenie, gdy podeszła do niej Laurie. Jako matka panny młodej była od wyjścia z kościoła otoczona gośćmi. Teraz miały wreszcie okazję zamienić parę słów.

- No i co myślisz? - spytała niespokojnie. - Jak wyjdą zdjęcia?

- Będą cudowne - zapewniła ją Zoey. - Zrobiłam parę naprawdę wspaniałych. Poza tym Cheryl i Chuck są bardzo fotogeniczni.

Laurie westchnęła z ulgą.

- Dzięki Bogu. Po tych wszystkich problemach z fotografem, bałam się, że coś się jednak nie uda.

- Myślę, że będziesz miała problem z wyborem tego, które zechcesz postawić nad kominkiem. Możesz mi wierzyć, chociaż właściwie zachwalam własny towar.

Spojrzenie Laurie wyrażało głęboką wdzięczność.

- Och, Zoey, nie wiem, co byśmy bez ciebie zrobili.

- To była dla mnie przyjemność, naprawdę. - Jej oczy powędrowały za wzrokiem Laurie. Cheryl i Chuck rozmawiali z dumnymi rodzicami pana młodego. - Myślę, że będą razem bardzo szczęśliwi - powiedziała szczerze Zoey.

- Też tak myślę - zgodziła się szybko Laurie. - Oczywiście, nigdy nie można być tego pewnym, ale naprawdę się kochają i chcą od życia tego samego. To bardzo ważne.

Zoey ze smutkiem zgodziła się z nią w duchu. Obopólne pragnienie - na przykład małżeństwa i dzieci - było najważniejszym warunkiem udanego związku.

- Chciałabym cię komuś przedstawić - powiedziała nagle Laurie, jak gdyby przypominając sobie o czymś. - Cały wieczór o tym myślałam, ale w tym całym zamieszaniu nie miałam kiedy tego zrobić.

Zaprowadziła Zoey do starszej kobiety, która siedziała w wózku inwalidzkim. Owinięta była szalem, chroniącym ją przed chłodem nocy. Wyglądała na co najmniej osiemdziesiąt lat, może nawet dziewięćdziesiąt. Jej białe włosy były cienkie i wiotkie, a skóra przypominała pergamin, jednak ciemne oczy wciąż pozostawały żywe i czujne - coś w niej przypominało Zoey babcię Eileen. Kiedy ostatni raz ją widziała, była w mniej więcej tym samym wieku co ta pani.

- Pani Simpson, chciałabym kogoś pani przedstawić. - Laurie mówiła nieco głośniejsz niż zwykle. - To jest Zoey Donovan, przyjechała aż z Nowego Jorku.

- Jak się pani ma, pani Simpson? - przywitała się uprzejmie Zoey.

Starsza pani uśmiechnęła się do niej ciepło.

- Całkiem nieźle jak na mój wiek, młoda damo. A pani?

- Dobrze, dziękuję.

- Aż z Nowego Jorku, mówi pani? Moja matka stamtąd pochodziła.

- Naprawdę? - spytała Zoey, zastanawiając się, czemu, u licha, Laurie chciała, żeby poznała tę kobietę.

- Naprawdę. Przyjechała tutaj pod koniec dziewiętnastego wieku. Podróżowała pociągiem i zajęło jej to całe cztery dni.

Po drodze przeżyła napad, uwierzy pani? A wie pani, kim byli rabusie?

- Nie mam pojęcia. Kto to był? - Zoey okazała zainteresowanie.

- Butch Cassidy i jego gang. - Zachichotała, a jej ciemne oczy rozjaśniło rozbawienie. - Matka mówiła mi, że Butch był bardzo uprzejmy, kiedy poprosił pasażerów, żeby oddali mu wszystko, co mają.

- Może powie pani Zoey, co sprowadziło tutaj pani matkę - podpowiedziała Laurie.

Pani Simpson uśmiechnęła się ujmująco.

- Przyjechała, żeby wyjść za mąż. Widzi pani, była zamówioną listownie panną młodą.

Zoey spojrzała na Laurie z kwaśną miną.

- Ach, tak - powiedziała powoli.

- Mój ojciec był tu farmerem. W tysiąc osiemset osiemdziesiątym czwartym roku dostał kawałek ziemi i całkiem nieźle sobie radził. Był jednak samotny. Zamieścił więc w nowojorskiej gazecie ogłoszenie matrymonialne. Napisał, że szuka kogoś, kto jest wystarczająco odważny, by nie bać się przygody. Matka odpowiedziała na to ogłoszenie. Napisała, że nigdy nie przeżyła żadnej przygody, lecz nie chce się zestarzeć i umrzeć, nie doświadczywszy tego. Wtedy on wysłał jej bilet na pociąg i tydzień po spotkaniu pobrali się.

- Tydzień? Dość krótkie zaręczyny - zauważyła Zoey, mówiąc do pani Simpson, ale patrząc Laurie prosto w oczy.

- Matka zawsze mówiła, że długie zaręczyny wcale nie są potrzebne, chyba że narzeczeni wiedzą, że do siebie nie pasują, tylko boją się do tego przyznać.

- Pani matka na pewno była wspaniałą kobietą - powiedziała uprzejmie Zoey.

Ciepły uśmiech starszej pani zdradzał uczucie i dumę.

- O tak, panno Donovan. Była mężatką aż siedemdziesiąt lat i urodziła ośmioro dzieci. Oczywiście nie zawsze było jej łatwo. - Posmutniała. - Prowadzenie farmy nigdy

nie jest proste, a poza tym był ten straszny kryzys. Troje dzieci zmarło. Ale pod koniec życia matka powiedziała mi, że gdyby dano jej wybór, znowu postąpiłaby tak samo, ponieważ życie z moim ojcem było przygodą, tak jak jej obiecał.

- Fascynująca historia - skomentowała dyplomatycznie Zoey.

W tym momencie pojawiła się córka pani Simpson, kobieta w średnim wieku, i powiedziała, że niestety nie mogą zostać do końca przyjęcia, ponieważ jej matka już dawno powinna być w łóżku.

Gdy kobieta zabrała wózek ze starszą panią, Zoey obrzuciła Laurie przenikliwym spojrzeniem.

- O co ci chodziło?

Laurie udawała niewiniątko.

- Nie bardzo rozumiem. Simpsonowie są naszymi najbliższymi sąsiadami i pomyślałam po prostu, że poznanie jednej z najstarszych mieszkanek Jackson Hole byłoby dla ciebie interesujące.

- Akurat - zamruczała Zoey.

- Pani Simpson ma wspaniałe stare zdjęcia swoich rodziców, z ich fotografią ślubną włącznie. Może w wolnej chwili chciałabyś je obejrzeć, jesteś przecież fotografikiem.

- Laurie - zaczęła ostro Zoey, zamierzając wyjaśnić jej parę spraw. Zanim jednak zdążyła powiedzieć coś więcej, zauważyła, że Laurie już jej nie słucha, tylko wpatruje się gdzieś daleko. Podążając za jej spojrzeniem, ujrzała na pobliskim parkingu Pete'a wsiadającego do pick-upa.

- Przepraszam - rzuciła z roztargnieniem Laurie, po czym ruszyła szybkim krokiem w stronę męża.

Odwrócona do gości plecami, rozmawiała z Pete'em przez otwarte okno pick-upa. Zoey nie słyszała słów, ale domyślała się, o co chodzi. Pete opuszczał wesele córki jeszcze przed wyjazdem młodej pary. Poza tym próbował się wymknąć bez wiedzy żony.

Laurie zacisnęła palce na szybie i mówiła coś cichym, ale pełnym przejęcia głosem. Pete przez chwilę słuchał z niecierpliwą miną, po czym powiedział coś ostro. Zoey dobiegł jego nieco podniesiony głos, ale nie zrozumiała słów. Ton mówił jednak

wszystko. Pete był wściekły. Odwrócił się od Laurie, włączył silnik i odjechał, nie oglądając się za siebie.

Kiedy zapalił, Laurie cofnęła się o krok od samochodu. Stała tak przez chwilę z opuszczonymi rękami i zrozpaczoną miną.

Zoey zastanawiała się, czy do niej podejść. Wiedziała, że Laurie ucierpi mniej, jeśli będzie myślała, że nikt nie widział tej poniżającej sceny, bardzo jednak chciała ją pocieszyć. Spojrzała w bok i zobaczyła, że Cheryl była świadkiem odjazdu ojca. Jej mina wiele mówiła. Bardzo żałowała matki. Zanim Zoey zdążyła coś zrobić, Cheryl podbiegła i objęła Laurie. Odeszły razem.

„Więc Cheryl wie, jakim palantem jest jej ojciec” - pomyślała zaskoczona Zoey. Wcześniej była pewna, że miłość Cheryl do ojca jest ślepa. Nie doceniała jej spostrzegawczości. Poczula ogromne współczucie dla dziewczyny. Zbyt dobrze wiedziała, jak to jest spojrzeć w oczy prawdzie o własnym ojcu. Pocieszała ją jedynie świadomość, że Laurie nie jest sama.

Nagle Zoey poczuła potrzebę opuszczenia tego roześmianego, szczęśliwego tłumu. Ta scena z Pete'em wydobyła na powierzchnię jej własne bolesne uczucia. Potrzebowała odrobiny samotności, chociaż paru minut, żeby się pozbierać i stłumić te przykre wspomnienia.

Myśląc, że w kościele nikogo nie ma, weszła do środka. Mimo że był opuszczony i cichy, panowała w nim spokojna i pogodna atmosfera. „Właśnie tego potrzebuję” - pomyślała Zoey, sadowiąc się w osłoniętej cieniem ławce i wpatrując w duże okno za ołtarzem. Chociaż na zewnątrz było ciemno, świecił księżyc i w oddali widać było zarys gór Teton.

Zamknęła oczy. Chciała się odprężyć, wyrzucić z siebie bolesne doznania, które ją nękały. Nagle poczuła się wyczerpana. Miała za sobą ciężki dzień, który chociaż był radosny, kosztował ją trochę nerwów.

Właśnie gdy zaczynała się uspokajać, dobiegł ją jakiś dźwięk. Otworzyła oczy i ujrzała Tylera, stojącego przed ołtarzem i patrzącego w okno. Nie zauważył jej i widocznie myślał, że jest sam. Ten jeden, jedyny raz jego twarz niczego nie skrywała i to,

co zobaczyła Zoey, ugodziło ją w serce. Zobaczyła człowieka, którego dusza umiera w agonii.

Wiedziała, że musi się odezwać, dać mu znać, że ktoś go widzi, ale poczuła się jak podglądacz. Dałaby wszystko, żeby móc uciec stamtąd chyłkiem i zapewnić mu prywatność, której tak potrzebował. Wstała powoli.

- Przykro mi - szepnęła najłagodniej, jak potrafiła. Obrócił się szybko i spojrzał na nią, jakby go szpiegowała. - Siedziałam tu sobie i odpoczywałam - wyjaśniła pośpiesznie. - Chyba... chyba mnie nie zauważyłeś.

Błysk gniewu, który chwilę wcześniej pojawił się w jego oczach, nagle zniknął.

- To prawda, nie zauważyłem cię. - Po czym, zanim zdążyła się zastanowić, w jaki sposób ma się stąd ulotnić, spytał: - Dlaczego ci przykro?

- Przykro mi z powodu twojej żony i dziecka - odpowiedziała szczerze Zoey. - Wiem, że tutaj odbył się ich pogrzeb.

Cały zeszywniał i przez chwilę wyglądał, jakby miał powiedzieć, żeby nie wsadzała nosa w cudze sprawy. Ku jej zaskoczeniu po chwili rozluźnił się trochę.

- Tak - powiedział ochryple. - Stały tu dwie trumny, mojej żony i naszej córki. - Powoli pokręcił głową z niedowierzaniem. - Ta druga była tak mała, że nie wyglądała na prawdziwą. Widzisz, ona była taka malutka! W szpitalu raz pozwolili mi jej dotknąć, kiedy leżała w inkubatorze. Jej rączka zacisnęła się na moim małym palcu, ledwo go obejmując. Przypominała raczej rękę lalki niż prawdziwego dziecka. Ale przez moment zacisnęła się mocno i wiem... - Głos jeszcze bardziej mu ochrypl. - Wiem, że bardzo chciała żyć. A ja pragnąłem jej pomóc, dać jej moją siłę. Ale nie potrafiłem... Tak jak nie potrafiłem pomóc Sarze...

Jego niebieskie oczy spojrzały w szare oczy Zoey. Laurie powiedziała jej, że kiedy Sara i dziecko umarły, Tyler zareagował tak, jakby na oczy opadła mu zasłona, która nigdy już się nie podniosła. Teraz jednak przez chwilę zasłona była uniesiona i Zoey mogła zajrzeć w jego umysł i serce. Nie spodziewała się zobaczyć czegoś aż tak poruszającego. Ten człowiek przetrwał druzgocącą stratę jedynie dzięki ogromnej sile woli. Słono jednak za to zapłacił.

Kiedy tak na niego patrzyła, serce jej stopniało. Chciała wziąć go w ramiona, jak gdyby był zranionym dzieckiem, i szepnąć: „Już dobrze. Nie bój się. Już dobrze”.

- Nie wiem, czemu ci o tym opowiedziałem - oznajmił ze zdziwieniem. - Nigdy z nikim o tym nie rozmawiałem.

- Cieszę się, że to zrobiłeś - odrzekła głosem, który był samą delikatnością i współczuciem.

W tej chwili zaistniała między nimi magiczna wspólnota. Wspólnota miłości, poczucia straty i kruchej nadziei na uleczenie ran. Przez moment nie było między nimi żadnego muru. Byli po prostu dwojgiem ludzi, którzy zburzyli dzielące ich bariery.

Tyler zamknął oczy, a kiedy znowu spojrział na Zoey, zasłona powróciła. Wspólnota została zerwana.

- Przyjęcie już się prawie skończyło - powiedział rzeczowo. - Cheryl i Chuck zaraz odjadą. Powinniśmy wrócić do gości.

Zoey poczuła się, jakby oblano ją zimną wodą. Zawahała się, a potem, nie wiedząc, co innego mogłaby zrobić, odwróciła się i ruszyła do drzwi. Tyler stał bez ruchu, czekając, aż Zoey przejdzie przed nim nawą, którą zaledwie parę godzin temu kroczyli triumfalnie Cheryl i Chuck.

Poczuła straszną stratę, jakby przez chwilę miała coś bardzo cennego, co wyśliznęło się jej z rąk. Wiedziała jednak, że właśnie stało się coś naprawdę ważnego. I bez względu na to, jak bardzo Tyler by temu zaprzeczał, przed sobą czy przed nią, sytuacja między nimi zmieniła się w subtelny, ale nieodwracalny sposób. Mur, który tak pieczołowicie wybudował wokół swego serca, zaczął się rozsypywać, cegła po cegle.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Zoey już się trochę przyzwyczaiła do wiejskiego życia i porannego wstawania. Obudziła się wcześniej i przez chwilę leżała w łóżku, rozmyślając o minionej nocy. Tak wiele się wydarzyło: od podniosłego ślubu Cheryl i Chucka do bolesnego dla Laurie odjazdu Pete'a. Jednak Zoey najbardziej była poruszona krótką, chwytającą za serce rozmową z Tylerem w kaplicy.

Zastanawiała się nad niuansami każdego słowa, gestu i spojrzenia, badając je tak dokładnie jak fotografowane obiekty. Tym razem jednak nie miała aparatu, który by ją odgrodził od uczuć. Wielkie emocje, jakie wywoływał w niej Tyler - niezmierne współczucie dla jego bólu, pociąg tak intensywny, że niemal fizycznie bolesny - nie tkwiły gdzieś głęboko, zepchnięte do podświadomości. Nie skrywane uczucia mogły ją teraz narazić na zranienie.

Wszystko sprowadzało się do jednego - Tyler kiedyś kochał bardzo mocno, tak jak ona nie kochała nigdy. Czy mógł jeszcze raz tak kogoś pokochać? Nie, odpowiedziała sobie, raczej nie. Jak można było zostawić za sobą taką miłość i zająć się kimś innym? Ale gdyby mógł, pytał mały, uparty głosik, gdyby mógł, czy pokochałby kogoś takiego jak ona? I czy ona mogłaby go pokochać?

Uciekając przed tym niebezpiecznym pytaniem niczym przed koszmarem, Zoey wyskoczyła z łóżka. Szybko się ubrała i zeszła do pustego biura Laurie, żeby zadzwonić do Carli, która wczoraj wieczorem zostawiła dla niej wiadomość. Carla podniosła słuchawkę przy pierwszym dzwonku, jakby czekała przy telefonie. Zoey ledwo zdążyła się z nią przywitać, kiedy przyjaciółka zaczęła pełen zaangażowania monolog:

- Zoey! Co ty tam jeszcze robisz? Miałaś wrócić przed czwartym. Co się, u licha, dzieje? Czy Brian dzwonił do ciebie? Nie złość się na mnie, właściwie zmusił mnie, żebym mu dała numer...

- Carla! - przerwała ostro Zoey. - Jeśli przymkniesz się na chwilę, odpowiem na twoje pytania.

Carla zaczerpnęła głęboko powietrza.

- No dobrze, po kolei - powiedziała spokojniejszym tonem. - Czy Brian dzwonił?
- Tak.
- Jesteś na mnie zła, że dałam mu telefon?
- Nie.
- Co ci powiedział?
- Rozkazał mi wracać...
- Rozkazał ci?! - zaskrzeczała Carla w słuchawkę.
- Tak - ciągnęła spokojnie Zoey - ale powiedziałam mu, że z zasady nie słucham rozkazów. Postanowiłam więc zostać tu jeszcze trochę, żeby dać mu nauczkę.
- Świetnie! Nie mogę uwierzyć, że naprawdę ośmielił się ci rozkazywać. Ale z niego palant.
- Spokojnie, Carla, to nieważne. I tak nie zamierzam się z nim więcej widywać. Przez chwilę Carla milczała, jakby zastanawiając się nad czymś.
- Jak wygląda Tyler Ross? - spytała po chwili, wykazując się przytomnością umysłu.
- Jest... - Zoey zawahała się - chyba atrakcyjny. To zresztą nie ma znaczenia.
- Aha, rozumiem. Coś w rodzaju Mela Gibsona z odrobiną Harrisona Forda?
- Chwileczkę, wyciągasz pochopne wnioski. Tyler nie ma nic wspólnego z moją decyzją dotyczącą Briana - upierała się Zoey, próbując przekonać nie tylko Carlę, ale i siebie.
- Tak, jasne. - Głos przyjaciółki ociekał sarkazmem. - Tak się akurat złożyło, że postanowiłaś rzucić faceta, z którym byłaś pięć lat, po kilku dniach spędzonych z kowbojem. Ale on nie ma z tym nic wspólnego.
- Myślałam, że chcesz, abym zerwała z Brianem - zauważyła zepchnięta do defensywy Zoey.
- Nie zrozum mnie źle, Zoey, nie mogę się nacieszyć, że wreszcie otworzyły ci się oczy. Po prostu bardzo mnie interesuje ten Tyler Ross. Mogłaś przecież postanowić rzucić Briana i od razu wrócić do domu. A jednak nie wróciłaś. Ciągłe siedzisz tam, gdzie diabeł mówi dobranoc.
- Jestem tu z praktycznego powodu - tłumaczyła się Zoey.

- Czy ten powód dobrze wygląda w obcisłych dżinsach? - spytała frywolnie Carla. Cierpliwość Zoey była na wyczerpaniu.

- Carla, wiem, że przyjdzie ci to z wielkim trudem, spróbuj jednak na minutę zapomnieć o seksie, dobrze?

- Jak sobie życzysz - odrzekła wesołym głosem Carla. Zoey stłumiła narastającą w niej irytację.

- Chodzi o to, że tutaj są dzikie konie - wyjaśniła. - Mustangi. W życiu nie widziałam nic podobnego. Są... są po prostu przewspaniałe. Chcę je sfotografować. Muszę je sfotografować.

- Konie. No pewnie.

- Carla!

- Czy ja coś mówię? - spytała Carla, udając święte oburzenie. - Tylko ci przytakuję.

- W każdym razie mam zamiar dzisiaj, a najpóźniej jutro, je sfotografować, a potem wskakuję w pierwszy samolot do domu.

- Naprawdę?

- Naprawdę. - Wypowiadając to kategoryczne stwierdzenie, Zoey poczuła się bardzo nieszczęśliwa na myśl, że już za dzień czy dwa opuści to piękne miejsce. I Tylera. W słuchawce rozległo się ciężkie westchnienie, pełne rozczarowania.

- Więc nic nie ma między tobą a tym kowbojem?

- N-nie - wyjąkała Zoey.

- Coś nie bardzo jesteś tego pewna.

- Carla, muszę kończyć. Powiedz mi tylko jeszcze jedno. Jak się czuje Denise?

- Dobrze. O ile można tak powiedzieć o kimś, kto wymiotuje dwa razy dziennie.

- Przekaż jej ucałowania. I powiedz, że dam jej znać, kiedy ma przyjechać po mnie na lotnisko.

- Dobrze.

- Cześć, Carla - powiedziała pewnym głosem Zoey i odłożyła słuchawkę, nie pozwalając przyjaciółce zadać kolejnego kłopotliwego pytania.

Weszła do kuchni i z zadowoleniem zauważyła, że wreszcie zdążyła zejść na śniadanie, zanim domownicy wstali od stołu. Oczywiście brakowało wśród nich Cheryl,

która wyjechała na miesiąc miodowy w góry. Tyler i Jesse jeszcze jedli. Laurie stała przy piecu, nalewając kawę z garnka, który chyba bez przerwy grzał się tutaj na ogniu.

- Dzień dobry - przywitała się Zoey z wymuszoną wesołością.

- Dzień dobry - odpowiedzieli Tyler i Jesse.

Tyler nie spojrzął jej w oczy. Pomyślała, że musi czuć się niezręcznie po ich krótkiej, lecz bardzo osobistej rozmowie w kaplicy. Z pewnością w bezlitosnym świetle dnia zaczął żałować, że obnażył swoje serce. Sama czuła się dość niezręcznie, postanowiła jednak nie ulec temu odczuciu.

- Powinniśmy naprawić ogrodzenie - powiedział Tyler do Jessego. - Kiedy ten byk zaszarżuje, może je przebić. Jeśli jeszcze o tym nie wie, szybko na to wpadnie.

- Aha - przytaknął krótko Jesse.

- W takim razie bierzemy się do tego - rzucił Tyler, po czym obaj wyszli.

Zoey usiadła przy stole i z niepokojem przyjrzała się Laurie. Gdzieś zniknęła jej zwykła pogoda ducha - wyglądała na bardzo zmęczoną, jakby źle spała w nocy. Zoey wiedziała, że nie jest to tylko zwykła reakcja na emocje związane ze ślubem. Bez wątpienia była przygnębiona zachowaniem Pete'a i jego nagłym odjazdem.

- Co chcesz na śniadanie? - spytała. - Mogę ci usmażyć jajka na bekonie albo naleśniki. Niestety, nie ma biskwitów. Jakoś nie miałam czasu, żeby je zrobić.

- A może ja zrobię śniadanie? - zaproponowała Zoey.

- O nie, jesteś gościem. A poza tym uwielbiam gotować - upierała się Laurie.

- Właściwie chciałabym tylko filiżankę kawy - odparła Zoey.

- Tylko tyle?

- Nie jestem głodna.

Kiwając ze zrozumieniem głową, Laurie nalala kawę do filiżanki, którą następnie podała Zoey.

- Dobrze cię rozumiem. Ja też nie jestem głodna. Chyba ciągle jestem zmęczona.

Wczoraj mieliśmy ciężki dzień. - Osunęła się na krzesło przy stole i zaczęła powoli sączyć kawę.

- To było piękne wesele - powiedziała szczerze Zoey.

- Chyba najpiękniejsze, jakie widziałam. Twarz Laurie znacznie się rozjaśniła.

- Prawda, że wszystko dobrze poszło? Tak się cieszę ze względu na Cheryl. To była ostatnia rzecz, jaką mogłam dla niej zrobić jako matka, zanim zaczęła własne życie.

- Pewnie za nią tęsknisz.

- Tak - przyznała Laurie z ciężkim westchnieniem. - Bardzo. Odkąd się urodziła, moje życie toczyło się wokół niej: opiekowałam się, pilnowałam, żeby miała wszystko, czego jej potrzeba, martwiłam się o nią. Czy będzie sobie dawała radę w szkole? Czy spodoba się chłopakowi, którym się zainteresuje? - Uśmiechnęła się słabo do Zoey. - Kiedy sama urodzisz dziecko, zobaczysz, jak to jest. Nie będziesz miała własnego życia. Wszystko inne zejdzie na bardzo daleki plan.

Zoey nie odpowiedziała. Nie była to właściwa chwila, by wdawać się z Laurie w dyskusję o obawach, że może nigdy nie doczeka się dzieci.

- Będę się czuła dziwnie bez Cheryl - ciągnęła z zadumą Laurie. - Od tak wielu lat moje dni toczyły się według jej rozkładu zajęć: wychodziłam po nią na przystanek, kładłam spać, zabierałam na spotkania Klubu Młodych Farmerów i na lekcje tańca, a kiedy była na randce, czekałam, aż wróci do domu. Teraz mam myśleć tylko o sobie. Od bardzo dawna tego nie robiłam. Dziwnie się czuję.

- Wiesz - wtrąciła Zoey - właściwie to może być dla ciebie wspaniała okazja.

Laurie spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Co masz na myśli?

- Byłaś cudowną matką, Laurie. To widać po tym, jak blisko jesteś z Cheryl.

Wspaniale ją wychowałaś - jest słodką, rozsądną młodą kobietą, która wie, czego chce od życia. Ale twoje zadanie zostało wykonane. Teraz możesz cały swój czas i energię poświęcić sobie. Zastanów się, czego chcesz, i zrób to.

Laurie miała ponurą minę.

- Łatwo powiedzieć. Nie jestem przecież dzieciakiem, który ma całe życie przed sobą.

Zoey pochyliła się w jej stronę.

- Posłuchaj, Laurie - powiedziała z naciskiem. - Jesteś stosunkowo młodą kobietą. Masz jeszcze przed sobą połowę życia. Pierwszą spędziłaś dbając o innych - Tylera,

Cheryl, Pete'a. Czemu nie miałybyś spędzić reszty dbając o siebie? Laurie nachmurzyła się.

- Nie wiem. Zajmowanie się tylko sobą wydaje mi się trochę egoistyczne.

Zoey uśmiechnęła się, żeby dodać jej otuchy.

- To dlatego, że nie masz w tym zbyt wiele doświadczenia. Założę się, że nie pamiętasz, kiedy ostatnio nie musiałaś przedkładać cudzych potrzeb nad swoje.

- To prawda - odrzekła Laurie, kiwając głową.

- Masz przed sobą wiele lat i jeśli zechcesz, możesz je wypełnić czymś wartościowym. Wszystko zależy od ciebie.

Laurie wyglądała na niepewną, ale zaintrygowaną.

- Nie wiedziałabym nawet, od czego zacząć.

- Zaczniij od urlopu i odwiedzin u mnie w Nowym Jorku. Przecież zawsze chciałaś tam pojechać. Kto wie, co potem może się wydarzyć?

Nie wypowiedziała głośno myśli, że jeśli Laurie wyjedzie z Jackson Hole i oderwie się od codziennych zajęć, może zdobędzie się na odwagę, by dokonać pozytywnych zmian w życiu - na przykład rozwiązać nieudane małżeństwo.

- To takie miłe z twojej strony, że cały czas mnie zapraszasz. - W głosie Laurie brzmiała szczerza wdzięczność. - To dużo dla mnie znaczy.

- Naprawdę chciałabym, żebyś przyjechała. Przemyśl to. Nie zapomnij o tym, kiedy stąd wyjadę.

Laurie posmutniała.

- No tak, już po weselu, więc pewnie szybko nas opuścisz?

- Obawiam się, że tak - przyznała niechętnie Zoey. - Czas wrócić do domu. I tak nie zamierzałam zostawać tu tak długo. Jeszcze tylko jedno chcę zrobić.

- Co takiego?

- Muszę sfotografować mustangi. Nie mówiłam ci o tym, ale kiedy razem z Jessem odjechałaś pick-upem, Tyler i ja widzieliśmy je. Och, Laurie, były takie... - Zabrakło jej słów. - Nigdy nie widziałam nic podobnego. Muszę je sfotografować. Jeśli tylko Tyler pomoże mi je znaleźć.

- Pomoże - powiedziała pewna siebie Laurie. - Już ja tego dopilnuję. Muszę przyznać, że nie mam takiego bzika na punkcie tych koni jak Tyler, ale jeśli dzięki nim zostaniesz z nami trochę dłużej, to znaczy, że jest z nich jakiś pożytek. - Wzięła Zoey za rękę. - Właściwie z dnia na dzień stałaś się moją dobrą przyjaciółką. Będę za tobą tęsknić. Wszyscy będziemy - dodała z naciskiem.

- Nie jestem pewna tych „wszystkich” - odpowiedziała kwaśno Zoey.

Zanim Laurie zdążyła zaprotestować, obie usłyszały, że przed dom podjechał samochód.

- Ciekawe, kto to może być - zastanawiała się Laurie, wstając od stołu. - Nikogo się nie spodziewam, a mieszkamy za daleko od miasta, żeby mieć nie zapowiedzianych gości.

Zoey wyszła za nią na ganek i ujrzała standardowego, urzędowego białego sedana z wymalowanym na drzwiach napisem: „Biuro Zarządzania Ziemią”. Przy samochodzie stali dwaj mężczyźni. Rozmawiali z Tylerem, który patrzył na nich z wyraźną niechęcią. Zoey zaskoczona stwierdziła, że jednym z tych mężczyzn jest Hank Jamison, były teść Tylera.

- Oho - szepnęła Laurie.

- O co chodzi? - spytała z niepokojem Zoey.

- Nie wiem. Ale jeśli Hank postawił nogę na naszej ziemi, nie może być dobrze.

Oficjalnie wyglądający mężczyzna w średnim wieku towarzyszący Jamisonowi, przedstawił się Tylerowi jako Greg Goodwin.

- Jestem nowym regionalnym kierownikiem Biura Zarządzania Ziemią.

Przyjechałem pana zawiadomić, że jutro na terenie podległym naszej placówce odbędzie się helikopterowy spęd mustangów w ramach programu „Adoptuj konia”.

- A co właściwie macie zamiar zrobić z tymi końmi? - spytał Tyler.

- Oczywiście zostaną oddane do adopcji.

- Oczywiście - powtórzył Tyler ostrym tonem. - A jeśli większość ludzi, którzy mają je adoptować za sto pięćdziesiąt dolarów od sztuki, sprzeda je potem do rzeźni po tysiąc dolarów, was to nic nie obchodzi, prawda?

Błada twarz Goodwina zaczerwieniła się od gniewu.

- Co pan wygaduje, Ross! Musimy łapać mustangi i oddawać je do adopcji, żeby chronić trawę przed zniszczeniem.

- Chciał pan powiedzieć: żeby ją chronić dla ranczerów z koneksjami, takich jak Jamison - zareplikował z ponurą miną Tyler. - Nie obchodzi was, co się stanie z mustangami, byle tylko zniknęły z waszego terenu.

- Nie muszę wysłuchiwać tych oszczerstw, Ross. Przyjechałem tylko po to, żeby zawiadomić pana o spędzie.

- Dlaczego? - dopytywał się Tyler.

- Ponieważ według pana Jamisona, który jest członkiem naszej rady, zakłócał pan przebieg wcześniejszych spędów. Ostrzegam pana, żeby tym razem pan tego nie robił.

Tyler spojrział na Jamisona, z trudem tłumiąc gniew.

- Przyjmować cię do rady to tak, jakby prosić lisa, żeby popilnował kurnika! To tylko część twojego planu pozbycia się mustangów!

Jamison był wysokim i silnym mężczyzną o onieśmielającej powierzchowności. Obrzucił Tylera spojrzeniem, które kogoś innego mogłoby zetrzeć w proch. Jednak kiedy przemówił, dobrze panował nad głosem.

- Te konie nie są do niczego potrzebne. Jeśli chcesz, możesz im pozwalać biegać po swojej ziemi, ale jeśli chodzi o ziemię publiczną, można by ją lepiej wykorzystać.

- Na przykład oddać na pastwiska dla twojego stada z Trinity Ranch - odrzekł brutalnie Tyler.

Jamison nie zadał sobie trudu, by zaprzeczyć oskarżeniu.

- Nie wchodź nam jutro w drogę, Tyler, bo inaczej będziesz musiał ponieść konsekwencje - zakończył nie skrywaną groźbą.

Tyler nie dał się zastraszyć.

- Pamiętaj tylko, że nie możecie ruszyć żadnych koni, które będą na moim terenie - przypomniał.

Goodwin miał minę, jakby chciał coś na to odpowiedzieć, ale kiedy spojrział na Tylera, zmienił zdanie. Lekko skinął głową i wsiadł do samochodu. Jamison poszedł w jego ślady. Po chwili już ich nie było.

Tyler obrócił się na pięcie i ruszył szybko w stronę stajni.

- O rany - zamruczała zmartwiona Laurie.
- O co chodzi? - spytała Zoey.
- Wiem, co Tyler zamierza zrobić. I w żaden sposób nie mogłabym go

powstrzymać.

Kręcąc głową, wróciła do domu.

Zoey zawahała się tylko przez chwilę, zanim pobiegła do stajni. Zastała tam Tylera siodłającego konia.

- Co masz zamiar zrobić? - spytała bez żadnego wstępu. Zacisnął popręg, nie patrząc na nią.

- Nie mogę uratować wszystkich mustangów z terenu podlegającego BZZ. Ale jeśli dzisiaj znajdę stado, a jutro wcześniej wyjadę i zapędzę je na swoją ziemię, konie będą bezpieczne. Przynajmniej na razie.

- Chcę jechać z tobą - powiedziała Zoey z determinacją.

- Nie - odpowiedział bez zastanowienia.

- Tak.

Spojrzał na nią.

- Dlaczego?

- Żeby je sfotografować. Chcę to zrobić, odkąd je ujrzałam.

- Wsiądź do śmigłowca razem z Goodwinem - zaproponował szorstko Tyler. -

Zrobisz świetne zdjęcia przerażonych mustangów złapanych w pułapkę. Albo zagonionych na śmierć. Pewnie będziesz mogła za nie dostać kupę forsy. Na pewno będą lepsze od fotografii śmieci.

- Przestań! - krzyknęła Zoey, trzęsąc się ze złości. - Nie waż się wsadzać mnie do jednego worka z Goodwinem! Chyba lepiej mnie znasz!

Oczy Tylera zapłonęły.

- Właśnie, że nie! Wcale cię nie znam!

- Cóż, znałbyś, gdybyś dał mi szansę!

Zoey nagle zamilkła, zdając sobie sprawę, że właśnie powiedziała więcej, niż zamierzała.

Tyler spojrzał na nią ze zdziwioną miną. Wzięła się w garść.

- Posłuchaj, wiem, że jesteś wkurzony na Goodwina i Jamisona - powiedziała spokojniejszym tonem. - I martwisz się o mustangi. Ale to nie moja wina, więc nie wyładowuj na mnie swojej złości.

Tyler przez chwilę stał bez ruchu. Zoey wstrzymała oddech w oczekiwaniu na odpowiedź. W końcu zaczął się uspokajać, a jego ramiona rozluźniły się nieco.

- Masz rację. Przepraszam.

Zoey nie mogła w to uwierzyć. Nie spodziewała się tak nagłej i całkowitej kapitulacji. „Masz rację. Przepraszam”. Każda kobieta gotowa była zabić, żeby usłyszeć od mężczyzny te słowa.

- Aha - mruknęła cicho, nie wiedząc, jak zareagować. Wtedy przypomniała sobie inną zniewagę, która padła z jego ust w trakcie kłótni. - I nie waż się szydzić z mojej pracy - dodała. - Jestem cholernie dobra w tym, co robię.

Jeśli miała nadzieję na kolejne przeprosiny, zawiodła się.

- Czemu chcesz sfotografować mustangi? - spytał rzeczowo Tyler.

- Bo na tym polega moja praca - odpowiedziała po prostu. - Robię zdjęcia tego, co ma dla mnie znaczenie. I staram się to robić tak, żeby zdjęcia miały też znaczenie dla ludzi, którzy będą je oglądać.

- Mustangi coś dla ciebie znaczą? - spytał ostrożnie Tyler.

- Tak. Tak samo jak dla ciebie. Nie potrafię tego wyjaśnić czy ująć w słowa. Łatwiej jest mi wyrażać uczucia za pomocą aparatu. Spójrz na to z tej strony - moje zdjęcia pokażą ludziom, jakie to wspaniałe zwierzęta, a może nawet pomogą jakoś poprawić ich sytuację.

Przez chwilę nic nie mówił, najwyraźniej zastanawiając się nad odpowiedzią. Zoey postanowiła, że bez względu na decyzję Tylera sfotografuje mustangi. Nawet gdyby sama musiała je znaleźć.

- Nie wiem, gdzie dokładnie są - powiedział w końcu. - Mógłbym jechać cały dzień i ich nie znaleźć. Najprawdopodobniej wrócę dopiero w nocy, co oznacza długi, ciężki dzień w siodle. To już nie przejażdżka po parku - dodał znacząco.

- Dam sobie radę - odpowiedziała z pewnością siebie.

Wpatrywał się w nią przez chwilę, po czym powoli skinął głową.

- Dobrze. Weź kurtkę, będzie ci wieczorem potrzebna. I poproś Laurie, żeby przygotowała nam szybko jakiś prowiant.

Zoey popędziła do domu, zajrzała do Laurie, po czym wpadła do pokoju po kurtkę i aparat. Pięć minut później była z powrotem w stajni, z opakowaną w folię stertą kanapek, termosem kawy i paroma butelkami wody. Tyler już osiodłał jej konia - młodą klacz, która miała jedynie tyle charakteru, żeby nie było nudno na niej jeździć.

- Jesse zostaje? - spytała Zoey, kiedy ruszyli w drogę.

- Ma tutaj pilną robotę. Poza tym do znalezienia stada nie trzeba więcej osób.

Jechali trzy godziny, zanim zatrzymali się przy płytkim strumieniu, by napić konie. Gdy Zoey zsiadła, poczuła, że jej siedzenie zaczyna już pulsować z bólu. Godzinna niedzielna przejażdżka po wyłożonych płytami ścieżkach Central Parku była niczym w porównaniu z tym męczącym klusem po nierównym terenie. Nie zamierzała jednak narzekać. Nie chciała, żeby Tyler żałował swojej decyzji. Pragnęła tylko gorąco jak najszybciej odnaleźć stado.

Gdy tak stali przy strumieniu, czekając, aż konie zaspokoją pragnienie, słuchała szmeru płynącej po skalistym dnie kryształowo czystej, chłodnej wody. Z rosnących wzdłuż brzegów wierzb i topoli dobiegał pełen pretensji krzyk czerwonoskrzydłych kosów. Był kolejny gorący, bezchmurny dzień, podobny do wszystkich poprzednich, które spędziła w Jackson Hole. Jeszcze raz pomyślała, że wkrótce musi opuścić to sielankowe miejsce. Poczula ostre ukłucie żalu, zdając sobie sprawę, że będzie tęsknić nie tylko za tą okolicą, ale i za stojącym obok mężczyzną.

Nagle z oddali dobiegło ją słabe i smutne „ku... ku... akuu”.

- Co to takiego? - spytała Tylera, który zatopiony w myślach wpatrywał się gdzieś w horyzont.

- Lamentujący gołąb - odpowiedział, wyrwany z zamyślenia.

- Brzmi tak żałośnie.

- Właśnie dlatego jest nazywany lamentującym - odrzekł Tyler. - Zwłaszcza jeśli się go słyszy w pojedynkę, ten dźwięk zdaje się wyrażać największą samotność, jaką można sobie wyobrazić - dodał melancholijnie.

- Nad czym tak lamentuje? - spytała Zoey, przyglądając mu się w poszukiwaniu czegoś, czego nie potrafiła jeszcze zidentyfikować.

Tyler odwrócił spojrzenie i pokręcił głową.

- Kto to wie? Powinniśmy ruszać w dalszą drogę - dorzucił rzeczowo.

Jechali przez następną godzinę, nadal nie natrafiając na ślad koni. Znacznie oddalili się od rancza i byli teraz na ziemi publicznej. Zoey zaczynała mieć wrażenie, że obejrzy z końskiego grzbietu każdy skrawek stanu Wyoming. W chwili gdy pomyślała, że jej obolałe siedzenie dłużej nie wytrzyma, Tyler zaproponował postój na lunch. Zgodziła się z radością.

Zatrzymali się w miejscu, gdzie spod ziemi bulgocząc, wypływało otoczone głazami źródło.

- To gorące źródło - wyjaśnił Tyler, kiedy zsiadli z koni i przywiązali je do topoli.

- Czy woda naprawdę jest ciepła? - spytała z niedowierzaniem Zoey.

Skinął głową.

- Możesz sprawdzić.

Podeszła do źródła, pochyliła się i na chwilę zanurzyła palce w wodzie. Była prawie tak gorąca jak w przygotowanej do kąpieli wannie.

- Cudowna! - krzyknęła.

- Miło przyjechać tu jesienią, kiedy robi się chłodniej, i zanurzyć się - powiedział Tyler. - Kontrast między gorącą wodą a zimnym powietrzem nieźle orzeźwia.

Zoey mogła tylko sobie wyobrazić, jak wspaniale byłoby wymoczyć obolałą pupę w tej ciepłej wodzie.

Tyler rozłożył na ziemi mały koc i rozpakował prosty lunch, przygotowany przez Laurie. Zoey przyłączyła się do niego. Siadając, nie potrafiła stłumić jęku. Ku jej przerażeniu Tyler uśmiechnął się porozumiewawczo.

- Trochę boli?

- Tylko trochę - przyznała niechętnie.

Przez chwilę przyglądał się jej w zamyśleniu.

- Wiesz co? - powiedział w końcu. - Moglibyśmy zrobić sobie przerwę. Wejdz do źródła i wymocz się przez parę minut.

Wizja kilku chwil w ciepłej wodzie była bardzo pociągająca. Nagle Zoey z rozczarowaniem przypomniała sobie o czymś.

- Nie wzięłam kostiumu kąpielowego - zauważyła. Kąciki jego ust uniosły się w figlarnym uśmiechu.

- Nie spodziewałem się, że światowa kobieta jak ty okaże się tak prowincjonalna.

- Taka już jestem - rzuciła, zdenerwowana faktem, że bawi go jej skromność.

- Chcesz powiedzieć, że ty i twoi przyjaciele nie odwiedzacie się nawzajem, żeby urządzić w swoich wannach wspólne kąpiele?

Teraz wiedziała, że żartuje sobie z niej. Rzuciła mu mordercze spojrzenie.

- Tak. I przestań się ze mnie zgrywać. Zachichotał.

- Wiesz co, Zoey? Po drugiej stronie tych skał jest jeszcze jedno gorące źródło.

Zajmij to tutaj, ja pójdę do tamtego i oboje będziemy mogli się trochę odprężyć... nie narażając na szwank naszego poczucia przyzwoitości - dokończył z poważną miną.

- Dobrze - zgodziła się.

Szybko zjedli, po czym Tyler zniknął za głazami, a Zoey zeszła do swojego źródła. Błyskawicznie zrzuciła ubranie i z wolna zanurzając się w gorącej wodzie pomyślała, że nigdy w życiu nie było jej tak dobrze. Ciało się rozluźniło, ustało przytłumione pulsowanie siedzenia. Przyszło jej do głowy, że mogłaby tu zostać na zawsze.

Zamknawszy oczy, poczuła padające na nią promienie letniego słońca i wirującą wokół gorącą wodę. Siedząc tak, nie mogła zapomnieć o Tylerze, oddalonym zaledwie o parę metrów. Ku swemu przerażeniu stwierdziła, że wyobraża go sobie odpoczywającego w sadzawce gorącej, wirującej wody - zupełnie nagiego. Ten obraz był niepokojący. Poczula, że oblewa ją rumieniec, i wiedziała, że to nie z powodu obmywającej jej skórę ciepłej wody.

- Tyler! - zawołała.

- Tak? - nadeszła odpowiedź.

- Tylko sprawdzam. Dobiegł ją ochryply śmiech.

- O co chodzi, Zoey? Bałaś się, że utonąłem i zostałeś zupełnie sama na tym pustkowiu?

- Nie. - Chciała, żeby mówił, żeby łącząca ich więź nie zerwała się. - Mogę cię o coś spytać?

- Zależy o co. - Usłyszała rezerwę w jego głosie i wiedziała, że uzbraja się w nią przed przesłuchaniem w sprawach osobistych.

- Co studiowałeś na uniwersytecie? - spytała.

- Czemu, u licha, o to pytasz?

- Z ciekawości. Zaspokój mój kaprys. Chyba to nie jest zastrzeżona informacja.

- Dziwna z ciebie kobieta, Zoey Donovan.

Nie odpowiedziała.

- Literaturę angielską - odrzekł po chwili. - Głównie poezję.

- Poezję? - spytała zdumiona.

- Nie spodziewałaś się tego, prawda?

- Tak - przyznała.

- Myślałaś raczej o rolnictwie albo czymś takim.

- Jasne, że nie. Tylko... - przerwała.

Tyler miał rację.

- Nie ma sprawy - powiedział wyrozumiale, wyczuwając jej zakłopotanie. - Teraz jesteśmy kwita, jeśli chodzi o moje żarty na temat twojej pracy.

Uśmiechnęła się do siebie. Tyler Ross był zadziwiającym człowiekiem.

- Jaką poezję lubisz? - spytała.

Nie od razu odpowiedział - pomyślała, że się zastanawia. Gust poetycki wiele mówił o osobowości człowieka, a Tyler z niechęcią się odslaniał.

- Jest taki jeden wiersz - odparł w końcu powoli cichym i ochryplym głosem - nie pamiętam tytułu, ale napisał go Michael Blake. Jest w nim wers o stworzeniu, które jest nieulekłe, którego oczy są „pełne Boga”. Spodobał mi się. Bardzo.

- To piękne - szepnęła Zoey.

- Przypomina mi o mustangach - ciągnął Tyler. - Szczególnie o jednym ogierze, który prowadzi stado.

- Jest wspaniały - zgodziła się Zoey, przypominając sobie czarnego Appaloosę, którego widziała tylko przez krótką, niezapomnianą chwilę drugiego dnia po przyjeździe.

- Nie miałaś okazji mu się przyjrzeć - mówił dalej Tyler.

- Gdybyś zobaczyła go z bliska, zajrzała w oczy, zrozumiałabyś, o co mi chodzi.

Miała wielką nadzieję, że nadarzy jej się jeszcze jedna okazja zobaczenia ogiera.

Nie tylko dlatego, że chciała go sfotografować razem z resztą mustangów, ale dlatego, że pragnęła się przekonać, o czym mówił Tyler, poczuć to, co on czuł.

- Będziemy musieli zaraz ruszyć dalej - powiedział Tyler, jakby nagle przypominając sobie, po co tu przyjechali.

- Pewnie zechcesz wyjść z wody i wysuszyć się w słońcu, zanim włożysz ubranie.

Zoey wydała pełne zawodu westchnienie. Nie chciała stąd odjeżdżać. Chciała bez końca siedzieć w tym kojącym źródle i prowadzić niewinną, a jednocześnie bardzo intymną rozmowę z Tylerem. Musiała zmobilizować całą siłę woli, by wyjść z sadzawki.

Gdy się podnosiła, w wąskim przejściu między głazami zauważyła Tylera. Wstał, a woda ściekała drobnymi strużkami z jego ciała. Widok szczupłej, jakby odlanej z brązu sylwetki zaparł Zoey dech w piersiach. Pod lśniąca, moką skórą falowały napięte mięśnie. Szeroki tors przechodził w wąskie biodra i długie, muskularne uda. Mokre włosy były zaczesane do tyłu i przylegały do głowy. Mocne rysy twarzy stały się jeszcze wyrazistsze niż zwykle. W każdą linię jego ciała wpisana była męskość.

Zaczął się odwracać, więc Zoey szybko się cofnęła, żeby nie przyłapał jej na tym, jak mu się przygląda. Od razu się ubrała, nie czekając, aż dobrze wyschnie. Kiedy Tyler wyszedł zza głazów, odwiązywała konia.

- Jestem gotowa - powiedziała głosem, który zabrzmiał zadziwiająco normalnie, jeśli wziąć pod uwagę szalejące w jej sercu emocje.

Czuła się jak ogarnięta wirem pierwszego pożądania nastolatka i chociaż powtarzała sobie, że Tyler na pewno nie jest pierwszym atrakcyjnym mężczyzną, jakiego widziała, nie mogła sobie przypomnieć żadnego, który by tak na nią podziałał. Nawet Brian z początków ich znajomości, kiedy się w nim zakochała, nie wywarł na niej takiego wrażenia.

Tyler, nieświadomy zamieszania, jakie wywołał w duszy Zoey, odwiązał swojego konia i dosiadł go. Cały dzień jechał parę kroków przed nią, ponieważ to on znał drogę.

Teraz cieszyła się, że jedzie za nim - bała się, że jej twarz zdradziłaby uczucia, do których nie chciała się przyznać nawet przed sobą samą.

Po kolejnej godzinie, kiedy Zoey zaczęła już tracić nadzieję na znalezienie mustangów, przyjechali do wodopoju, przy którym pasły się dzikie konie.

- Gdzie woda, tam i mustangi - zamruczał cicho Tyler.

Jakieś dwa tuziny koni stały niczym rzeźby w wysokiej do kolan bylicy. Zoey była zaskoczona szeroką paletą maści - kare, brązowe, siwe, rude, srokaty i izabelowate. Klacze, źrebaki i młode konie. No i czarny ogier Appaloosa stojący na straży, ze wzniesionym łbem i nozdrzami sprawdzającymi wiatr w poszukiwaniu zapachu drapieżników.

- Możemy podejść bliżej? - spytała szeptem Zoey.

- Nie, jeśli nie chcemy ich spłoszyć.

Kiedy Zoey widziała je w biegu parę dni wcześniej, pomyślała, że wyglądają jak zwykłe konie. Teraz, gdy wyjęła aparat, założyła teleobiektyw i spojrzała, przez niego, zauważyła różnicę. Długie grzywy. Pokaleczone uszy. Zabłocona skóra. Łby o grubych rysach i zwarte ciała, przystosowane do chłodnego klimatu.

Niespokojne duchy, krążyły po łące niczym rozgrzane powietrze.

Zoey skierowała aparat na ogiera i zobaczyła, jak ten wygina kark i okrąża stado, od czasu do czasu ostrzegawczo stając dęba. Skupiła się na łbie i ujrzała głęboko osadzone, obsydianowe oczy, nieustannie czujne. Oczy „pełne Boga”, jak powiedział Tyler. Uderzyła ją trafność tych słów.

Zahipnotyzowana dzikim pięknem koni, robiła zdjęcie za zdjęciem. Klacze karmiące młode, poszturchujące się nawzajem dla zabawy, jednoroczne konie, źrebaki śpiące w ciepłym słońcu, pilnowane przez stojące w pobliżu matki. Pierwszy raz od lat praca tak ją wciągnęła emocjonalnie, że Zoey nie zastanawiała się, co o zdjęciach pomyśli jakiś krytyk czy właściciel galerii. Czuła głęboką radość - delectowała się tym, co robi, nie dbając o ewentualne zyski.

Nagle coś - jakiś przytłumiony dźwięk czy zapach - spłoszyło konie. Kiedy wzbijając kurz ruszyły galopem w stronę odległej kępy dających schronienie drzew, Zoey ciągle robiła im zdjęcia.

W końcu, jakby w mgnieniu oka, zniknęły.

Zoey poczuła się jak dziecko, któremu zabrano ukochanego pieska. Chciała je zawołać z powrotem.

Tyler wyciągnął mapę topograficzną i zaznaczył na niej miejsce pobytu koni. Schował ją do torby przy siodle, po czym spojrzał na Zoey. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy.

- Nic im się nie stanie? - szepnęła Zoey drżącym z niepokoju głosem.

- Będą bezpieczne, póki ja mam tutaj coś do powiedzenia - odrzekł pewnie Tyler. Jego oczy wyrażały determinację, a usta zacisnęły się mocno.

- Czemu ktoś chciałby zrobić im krzywdę? - spytała Zoey, wiedząc, że to bezsensowne pytanie.

- Z chciwości - rzucił krótko Tyler. - Powinniśmy już wracać - dodał łagodniejszym tonem. - Zaraz zrobi się ciemno.

Podążali w stronę rancza w milczeniu, każde zatopione we własnych myślach. Zoey postanowiła, że jutro pojedzie z Tylerem i pomoże mu sprowadzić konie na jego ziemię. Nie powiedziała mu o tym, bo nie była pewna, jak zareaguje.

Pomyślała, że po prostu podejdzie do niego rano, kiedy będzie wyjeżdżał, i oznajmi, że zamierza mu towarzyszyć.

Słońce schowało się za wałem chmur, podświetlając je kolorowo. Ochłodziło się, a lekki powiew przyniósł ze sobą zapach sosen. W nadchodzącym zmroku wiszące nad górami cumulusy stały się koralowe i złote. Ten widok wprost zniewalał, Zoey jednak ledwo go zauważyła - troska o mustangi pochłaniała całą jej uwagę, tak że zapomniała o otaczającym ją pięknie.

Jechali dość szybko, by zdążyć do domu przed zmrokiem, i pokonali już niezły kawałek drogi, kiedy nagle Tyler zatrzymał konia.

- Cholera jasna! - krzyknął ostro.

Zoey ściągnęła cugle i spojrzała w kierunku, w którym on patrzył. To, co zobaczyła, przyprawiło ją o mdłości.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Na ziemi leżała martwa klacz. Jej ciało było poobijane i pogryzione. Obok matki stało bezradnie na szpikulcowatych nogach najwyżej kilkudniowe źrebię. Było tak chude, że przez porośniętą zmatowiałą sierścią skórę widać mu było żebra.

- O Boże - szepnęła Zoey, walcząc z mdłościami.

Tyler zsiadł z konia, podał jej wodze i podszedł do źrebaka, starając się nie patrzeć na klacz - dla tego biednego zwierzęcia nic już nie można było zrobić. Przerażone źrebię odsuwało się nerwowo, było jednak zbyt słabe, żeby uciec. Mruczając coś uspokajająco, najłagodniejszym głosem, jaki Zoey słyszała z ust mężczyzny, Tyler wziął je na ręce.

Podał źrebię Zoey, wsiadł na konia, po czym wziął je z powrotem i położył przed sobą. Ruszyli w drogę.

- Biedactwo - powiedziała drżącym głosem Zoey, czując, że łzy napływają jej do oczu. - Co z nim zrobisz?

- Zabiorę na ranczo. Będę karmił butelką. Mam nadzieję, że przeżyje.

- Myślisz, że nic mu nie będzie? - spytała z niepokojem, w nadziei że usłyszy uspokajającą odpowiedź.

- Nie wiem. Czasami udaje im się przeżyć, czasami nie. - Gdy źrebak zaczął się wyrywać z silnych ramion Tylera, ten pozwolił sobie na pełen nadziei uśmiech. - Ten mały wygląda mi na wojownika. Może przeżyje.

- Co się stało z jego matką?

Tyler spoważniał.

- Pewnie stała się ofiarą programu rządowego.

- Mówisz o programie „Adoptuj konia”? - spytała zdziwiona Zoey.

- Zgadza się. Wiem, że wszystko wygląda wspaniale, kiedy się o tym czyta w gazecie. Dzikie konie zbierane są okresowo przez BZZ i oddawane do adopcji. W większości wypadków akcja kończy się pomyślnie i konie znajdują domy. Ale dzieje się tak tylko dlatego, że urzędnicy zabierają tylko atrakcyjniejsze młode konie. Uparte starsze ogiery i brzydsze klacze trafiają z powrotem na wolność. Takie jak ta często przypadkowo

padają ofiarą zaciętych walk między ogierami, których jest dużo więcej niż klaczy, i ich ciała zaśmiecają teren.

Zoey była oburzona.

- Ależ to straszne! Czemu Biuro Zarządzania Ziemią na to pozwala?

- Może dlatego, że chce ich śmierci. To jeden ze sposobów rozwiązywania problemu, jaki stanowią mustangi.

- Ale to jest niedopuszczalne! - krzyknęła rozgniewana Zoey. - Musi być jakieś bardziej humanitarne rozwiązanie.

- Oni nie szukają humanitarnych rozwiązań. Interesują ich tylko najskuteczniejsze - powiedział gorzko Tyler. Przez chwilę milczał, po czym dodał: - Starożytni oddawali tym zwierzętom cześć. Teraz się na nie poluje, zabija i zamienia w pokarm dla psów. Albo w specjalność dnia w jakiejś wytwornej europejskiej restauracji. Ale z moim stadem tak się nie stanie. W każdym razie nie jutro.

Zoey poczuła do Tylera wielki szacunek. Miał ugruntowane przekonania i odwagę, by o nie walczyć. Jego zasady moralne opierały się na skale, a nie na ruchomych piaskach konformizmu, jak było w przypadku wielu jej nowojorskich znajomych.

Widząc, jak Tyler delikatnie, a jednocześnie mocno trzyma przed sobą biedne, słabe źrebię, Zoey pomyślała, że najbezpieczniejszym miejscem na świecie muszą być jego ramiona.

Było już ciemno, gdy wrócili do domu. Czekala na nich zaniepokojona Laurie, która od razu przybiegła do stajni, i Jesse, który zabrał od nich konie, żeby je rozsiadłać.

- Już się martwiłam - wyznała Laurie, zresztą niepokój był wryty na jej twarzy.

Nagle zauważyła źrebię. - Ojej, tylko nie następna sierotka! - krzyknęła.

- Niestety - odrzekł Tyler. Zaniósł zwierzę do boksu. - Będzie mi potrzebna butelka, Laurie - zawołał przez ramię.

- Nie ma sprawy - odpowiedziała i szybko poszła do domu.

Wróciła po kilku minutach z dużą butlą napełnioną mlecznym płynem. Laurie i Zoey oparły się o ściankę boksu i patrzyły, jak Tyler próbuje nakłonić źrebaka do ssania. Na początku wystraszone źrebię uciekało od butelki. Zoey obserwowała scenę w napięciu,

bojąc się, że malec okaże się zbyt słaby i przerażony, by pić. Tyler wstrzyknął nieco płynu do pyska żrebaka. Ten połknął go automatycznie, po czym wystawił łeb, jakby prosząc o więcej. Po chwili trąbił mleko z takim entuzjazmem, że nie można go było oderwać od butelki.

Zoey jak zahipnotyzowana patrzyła na Tylera, któremu udało się zmusić żrebię do wypicia całego płynu. Nigdy nie widziała, żeby mężczyzna tak delikatnie obchodził się z małym, bezbronnym stworzeniem. Przypomniała sobie, że na początku uważała Tylera za aroganckiego i surowego faceta, i na tę myśl uśmiechnęła się do siebie. W kaplicy dostrzegła zupełnie inną stronę jego charakteru - wrażliwego człowieka ukrytego pod maską gburowatości. Tego szczególnego dnia jeszcze bardziej się odsłonił, ukazując zaskakująco subtelną naturę.

Była to jednak również natura zdecydowanie namiętna, a to czasami niepokoiło, kiedy indziej ekscytowało.

Żrebię opróżniło butelkę i opadło wyczerpane na stertę słomy w rogu boksu.

- To mu na razie wystarczy - powiedział zmęczony Tyler.

- Wrócę tu za parę godzin i dam mu jeszcze trochę. - Spojrzał na Laurie. - Możesz go jutro karmić?

- Oczywiście. Nie martw się, zajmę się tym malcem. A teraz chodźcie do domu i zjedzcie coś - ponagliła ich Laurie. - Kolacja gotowa.

Po obfitym posiłku, złożonym z kurczaka z kluskami, Tyler nakreślił plan na następny dzień. Powiedział Jessemu, że będzie potrzebował jego pomocy przy zaganiu stada na swoją ziemię. Jesse nie spierał się - ograniczył się do potakującego skinienia głową.

Gdy Zoey zapowiedziała, że jedzie z nimi, mina Jessego wyrażała zaskoczenie i dezaprobatę. Tyler próbował wybić jej z głowy ten, jak powiedział, zaślepiony upór. Tłumaczył, że wyprawa może okazać się bardzo trudna. Nie będzie łatwo zapędzić konie na jego teren. To zadanie mogło być nawet niebezpieczne. Ona jednak pozostawała głucha na argumenty. Za wszelką cenę musiała pomóc mustangom.

W pewnym momencie Jesse zniechęcony pokręcił głową.

- Jest pani tak cholernie uparta jak on - powiedział do Zoey, wskazując Tylera.

Uśmiechnęła się.

- Uznam to za komplement. Domyślam się, że niewiele osób może dorównać Tylerowi uporem.

Jesse podniósł ręce.

- Poddaję się. Idę spać. Jutro słońce wcześniej wschodzi. Kiedy wyszedł, Laurie powiedziała, że też idzie do łóżka.

- Wstanę z samego rana, żeby zrobić wam śniadanie - powiedziała Tylerowi.

- Nie kłopotz się, o tej porze nie będziemy jeszcze głodni. A już na pewno nie po tak późnej kolacji.

- W takim razie przynajmniej przygotuję wam duży lunch.

- Nie będzie nam potrzebny, Laurie. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, wrócimy przed lunchem. Teraz już wiem, gdzie jest stado, więc jutro szybko je znajdę - powiedział z przekonaniem.

Laurie wyglądała na zaniepokojoną.

- Uważaj na siebie, Tyler.

- Przecież zawsze to robię - powiedział z rozbajającym uśmiechem.

- Nigdy. Nigdy tego nie robisz - odrzekła z naciskiem Laurie. Zwróciła się do Zoey:
- Chyba nie ma żadnej nadziei na wybicie ci z głowy tego nonsensu?

- Nie ma - odpowiedziała Zoey, dopiero po chwili zdając sobie sprawę z tego, że w jej głosie zabrzmiał akcent z Wyoming.

Laurie westchnęła i pokręciła głową.

- Obojgu wam brak piątej klepki.

Kiedy wyszła, Zoey i Tyler zostali sami przy okrągłym dębowym stole. Siedzieli w zaskakująco nie krępującym milczeniu, sącząc kawę. W końcu Tyler ziewnął i przeciągnął się.

- Idę spać - powiedział. - Jesse ma rację, słońce wcześniej wszędzie.

- Ja też powinnam to zrobić - przyznała Zoey. - Ciągłe nie mogę się przyzwycząić do wczesnego wstawania.

- Nie musisz... - zaczął, ale mu przerwała.

- Przestań. Już się zdecydowałam. I wybij sobie z głowy, żeby wyjechać beze mnie. Pojadę za wami, pewnie się zgubię i będziesz mnie miał na sumieniu.

Uśmiechnął się.

- Chyba rzeczywiście tak by było.

Poszli razem na górę, przy czym Tyler po kolei wyłączał światła. Jego sypialnia była trochę bardziej w głębi korytarza niż pokój Zoey. Zatrzymał się przy jej drzwiach. Spojrzał na nią uważnie, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie mógł się na to zdobyć. Ona stała, patrząc na niego. Uświadomiła sobie nagle, jak cicho i spokojnie jest w domu i że tylko oni dwoje jeszcze nie śpią.

- Tak? - spytała, nie zdając sobie sprawy z tego, że mówi bezgłośnym szeptem.

Spojrzał jej w oczy. Miał napiętą, ale nieprzenikniętą twarz.

- Nie wiesz, jak jutro może być niebezpiecznie. Czasami będziemy musieli galopować. Koń może się potknąć i upaść. Stado może nagle zawrócić i cię stratować. Nie jedź, Zoey. Zostań z Laurie, nie narażaj się.

Zastanawiała się wcześniej, co takiego widzi w jego przenikliwych niebieskich oczach. Teraz wiedziała: okropny, paniczny lęk o jej bezpieczeństwo. Lęk, który sięgał głębiej, niż Tyler gotów był przyznać. Bardzo ją to wzruszyło.

Starła się, by jej słowa zabrzmiały rozsądnie i uspokajająco.

- Nie wiem, co o mnie myślisz, ale zapewniam cię, że nie jestem ryzykantem. Za bardzo cenię sobie życie, żeby pchać się tam, gdzie jest niebezpiecznie. Będę jechała za tobą i Jessem, nie wchodząc wam w drogę. Wiem, że i beze mnie masz się o co martwić, więc nie zrobię niczego, co mogłoby dla ciebie oznaczać problemy. W razie niebezpieczeństwa powiedz tylko, żebym się wycofała, a odjadę.

- Posłuchasz mnie? - spytał, najwyraźniej jej nie wierząc.

- Tak, bo wiem, że zależy ci na moim bezpieczeństwie.

- No dobrze - zgodził się niechętnie. - Mimo to wolałbym, żebyś została.

- Chcę zrobić więcej zdjęć mustangom. I pomóc tobie i Jessemu, jeśli będę mogła.

Nie narażę się jednak świadomie na niebezpieczeństwo. Żadne zdjęcie nie jest tego warte.

- Gdybym tylko mógł ci zaufać - powiedział powoli Tyler.

- Możesz - odrzekła Zoey, zdając sobie sprawę, że chciałyby tym prostym słowem wyrazić dużo więcej, niż początkowo zamierzała.

Przez chwilę stał bez ruchu tak blisko niej, że czuła jego ciepły oddech na twarzy i niemal słyszała bicie serca. Zamarła w oczekiwaniu na to, co miało się stać, chcąc, żeby nadeszło, cokolwiek by to było.

Nagle z oddali dobiegło ich przytłumione, żalosne wycie kojota. Ten ponury dźwięk zburzył kruchą atmosferę chwili. Tyler westchnął i cofnął się o krok. Zoey wypuściła wstrzymywany oddech.

Mężczyzna odwrócił się bez słowa i ruszył korytarzem w stronę swojej sypialni. Zoey weszła do pokoju, zamknęła drzwi i pomyślała, że ciągle dzieli ich mur.

Godzinę później leżała w łóżku. Nie mogła zasnąć. Była wyczerpana długim, ciężkim dniem spędzonym w siodle i zmęczona wszystkimi przeżyciami, a mimo to nie potrafiła zatrzymać rozpedzonego umysłu.

Ze złości uderzyła pięścią w poduszkę, po czym spróbowała zamknąć oczy i odprężyć się. Bez rezultatu. W końcu zrzuciła kołdrę, wstała i wyszła na balkon. Spojrzała na nocne niebo przetkane miliardami gwiazd. Boże, jakie było piękne! Będzie jej go brakowało, kiedy wróci do Nowego Jorku i zadymionego, mglistego nieba nad Manhattanem.

Przez podwórze w stronę stajni przesuwano się małe światełko. Po chwili domyśliła się, że to latarka. Wyteżając wzrok w ciemności, zauważyła znajomy zarys wysokiej i szczupłej sylwetki - to był Tyler. Zniknął w stajni. Pewnie ma zamiar nakarmić żrebaka, pomyślała.

Niewiele myśląc postanowiła pójść do niego. Narzuciła szlafrok, wmawiając sobie, że chce tylko sprawdzić, co ze żrebakiem. Nie będzie mogła zasnąć, póki się nie upewni, że wszystko w porządku. Obecność Tylera w stajni nie miała z tym nic wspólnego.

„Tak, jasne”. Niemal usłyszała sarkastyczną reakcję Carli.

Chwilę później otworzyła drzwi do stajni i wśliznęła się do środka. W olbrzymim budynku było ciemno, tylko przy boksie, w którym leżał żreback, wisiała na haku elektryczna lampa. Zoey ruszyła w kierunku światła i zajrzała do środka ponad wysoką

ścianką. Tyler karmił źrebię, które ssało butelkę równie chciwie jak parę godzin wcześniej.

Tyler podniósł wzrok i drgnął zaskoczony, widząc Zoey.

- Przepraszam, nie chciałam cię przestraszyć. Zamierzałam tylko zobaczyć, jak mały się miewa.

Tyler uśmiechnął się.

- Jak widzisz, ma zdrowy apetyt. I silniejszy oddech. Myślę, że ma dużą szansę na przeżycie.

- To dobrze - powiedziała z ulgą Zoey. Przez chwilę milczała, po czym spytała z zaciekawieniem: - Jak go nazwiesz?

- Nie wiem. Jeszcze o tym nie myślałem. A może ty wybierzesz imię? - zaproponował.

Zoey była przejęta.

- Naprawdę? Mogę wybrać imię?

Tyler skinął głową.

- Byle nie było głupie.

- Nie wybrałabym głupiego - najeżyła się.

- W porządku. To jak będzie? Przez chwilę intensywnie myślała.

- Cóż, ma taką ładną, rudobrazową sierść. Może Rudy? Tyler zastanawiał się nad propozycją.

- Nieźle. - Powoli pokiwał głową. - Dobrze. Niech będzie Rudy.

Zoey promieniała.

- Dobrze.

Patrząc na karmiącego źrebię Tylera, nagle zobaczyła go jako małego chłopca dorastającego wśród zwierząt, włóczącego się po niemal bezkresnym ranczu, doświadczającego takiej wolności, jaką ona mogła sobie jedynie Wyobrazić.

- O czym myślisz? - spytał.

Zdała sobie sprawę, że on też się jej przygląda, chociaż tego nie zauważyła.

- Myślałam o tym, jak bardzo twoje życie różni się od mojego - odpowiedziała powoli.

Nachmurzył się.

- Chodzi ci o to, że żyjesz w wielkomejskiej, wyrafinowanej i kulturalnej atmosferze, a ja mieszkam w jakiejś głuszy?

Parę dni temu właśnie to miałyby na myśli. Ale nie teraz.

- Nie, wcale nie - wyjaśniła szybko. - Przyszło mi do głowy, że pewnie dorastałeś, mając dużo wolności. Na pewno nauczyłeś się jeździć konno, jak tylko umiałeś chodzić.

- Wcześniej - poprawił ją z lekkim uśmiechem. Jego irytacja znikła.

- No właśnie. A ja dorastałam w małym domu w małym mieście, gdzie zawsze otaczali mnie ludzie i bardzo trudno było o odrobinę samotności. A jedyne zwierzęta, jakie znałam, to psy i koty.

Spojrzał na nią z zaciekawieniem.

- Czemu chciałaś być sama?

Wzruszyła ramionami, starając się zbagatelizować znaczenie swoich słów.

- Chciałam po prostu móc trochę Porozmyślać w spokoju.

- Aha, więc byłaś samotnikiem? - drażnił się z nią Tyler.

- Coś ty, z dwoma wstrętnymi młodszymi braćmi, którzy ciągle włączili mi w drogę?

W jego oczach pojawił się figlarny błysk.

- Mogę się z nimi identyfikować. Sam byłem wstrętnym młodszym bratem, który ciągle włączył w drogę Laurie.

- Cóż, w imieniu wszystkich starszych siostr świata chciałabym ci powiedzieć, że byliście strasznie upierdliwi.

Tyler zachichotał.

- Myślę, że każdy z nas świetnie o tym wiedział... i nic nas to nie obchodziło.

Przez chwilę milczeli, a następnie ku zaskoczeniu Zoey Tyler powtórzył

wcześniejsze pytanie:

- Czemu chciałaś być sama?

- Już ci mówiłam - odrzekła wymijająco - chciałam Porozmyślać.

- O czym?

Wiedziała, że nie wykpi się żartem.

- Próbowałam zrozumieć życie - powiedziała powoli, nie patrząc mu w oczy.

- A co w nim było niezrozumiałego? - dopytywał się Tyler.

Nie mogła się dłużej wykręcać. Zmusiła się, by na niego spojrzeć.

- Nie rozumiałam, dlaczego jednego dnia mój ojciec wracał z pracy, przynosił mi słodycze i mówił, że mnie kocha, a następnego już go nie było.

- Umarł? - spytał odruchowo Tyler.

Pokręciła głową.

- Nie. Po prostu... odszedł.

- I nigdy więcej go nie widziałaś?

Ponownie pokręciła głową, ale tym razem nic nie powiedziała, w obawie że głos jej się załamał.

- Nigdy nie mogłem pojąć, jak można odejść od dziecka. - W głosie Tylera pobrzmiwało szczere zdumienie.

- Może to łatwe, jeśli dziecko nie jest warte tego, żeby je kochać - odrzekła Zoey ledwo słyszalnym głosem.

Tyler jednak ją usłyszał.

- Przestań - rzucił ostro. - Nie rób sobie wyrzutów. Jakikolwiek był powód odejścia twojego ojca, ty nic tu nie zawiniłaś.

Zoey odwróciła wzrok zakłopotana, gdyż ujawniła swą najgłębiej skrywaną niepewność.

- Przepraszam - dodał po chwili Tyler łagodniejszym tonem. - Nie chciałem, żeby to zabrzmiało tak napastliwie. Kiedy to powiedziałaś, przypomniałem sobie śmierć mojej matki. Przez dłuższy czas myślałem, że to musiała być moja wina. To straszny ciężar dla dziecka i dopiero po latach udało mi się od niego uwolnić. Nie chcę, żebyś czuła się tak samo. W porządku?

Spojrzała wreszcie na niego.

- W porządku - szepnęła.

Przez chwilę nad czymś się zastanawiał.

- Może mamy ze sobą więcej wspólnego, niż myślałem. Oboje dorastaliśmy bez któregoś z rodziców.

- Do chrzanu z takim dzieciństwem - powiedziała Zoey. Tyler uśmiechnął się ponuro.

- Właśnie.

Spojrzeli na siebie, czując, że między nimi pojawił się pomost. W tej chwili nie miały znaczenia dzielące ich różnice. Ważne było jedynie to, że oboje doskonale wiedzieli, jak smakuje ból porzucenia, kiedy jest się podatnym na zranienia dzieckiem.

Żrebak wypił mleko. Tyler niechętnie odwrócił się od Zoey i odstawił pustą butelkę na przymocowaną do ściany listwę. Następnie wyszedł z boksu i mocno zamknął za sobą drzwi. Spojrzał na Zoey i przez chwilę nie odrywał od niej wzroku.

Nagle zdała sobie sprawę ze swego skąpego stroju. Starła się to zlekceważyć - przecież koszulka i szlafrok z kordonka nie są w połowie tak prowokujące, jak ten seksowny peniuar, który dostała na urodziny. Jednak sposób, w jaki Tyler na nią patrzył, sprawiał, że czuła się, jakby była ubrana bardzo prowokująco.

W stajni panował chłód i Zoey zatrzęsała się z zimna.

Tyler to zauważył. Wskazał stary indiański koc wiszący na ścianie boksu.

- Owiń się tym. Będzie ci cieplej.

Koc miał wystrzępione końce, jego niegdyś żywe barwy wyblakły. Nadal był jednak gruby i ciężki.

- Piękna robota - zauważyła Zoey, patrząc z bliska na koc. Desperacko starała się odwrócić uwagę od Tylera.

- Moja prababka go zrobiła - powiedział z wielką dumą. Spojrzała na niego.

- Naprawdę? Więc to rodzinne dziedzictwo.

- Przechodził z pokolenia na pokolenie. W domu są inne zrobione przez nią koce, w lepszym stanie niż ten. Zawsze wisiał w stajni.

- Znałeś swoją prababkę? - spytała Zoey. Tyler pokręcił głową.

- Niestety, nie. Umarła, kiedy ojciec był jeszcze dzieckiem. Zostawiła jednak po sobie bogatą spuściznę - koce, które zrobiła, i plemienne legendy.

- Jak ta o Plejadach? - spytała Zoey, przypominając sobie historię usłyszaną przy ognisku.

- Tak. I opowieści o zwyczajach jej plemienia. Na przykład o zapłacie za pannę młodą.

- Zapłata za pannę młodą. Co to takiego? - spytała przytłumionym głosem, który brzmiał w jej uszach dziwnie obco.

- Młody mężczyzna zalecający się do młodej kobiety przyprowadzał konia pod jej tipi. Jeśli przyjmowała konia, czyli zapłatę za jej rękę, pobierali się.

- A jeśli odmawiała? - spytała przekornie Zoey.

- Cóż, przynajmniej nie tracił konia - zażartował Tyler. Zoey zaśmiała się nerwowo.

- O jakich jeszcze zwyczajach opowiadała? - spytała cicho. Przez chwilę się wahał, po czym powiedział powoli:

- Jest taki zwyczaj związany z kocem...

- Z tym kocem?

- Jakimkolwiek kocem, kto wie, może i z tym. Kiedy młody mężczyzna zbliżał się do dziewczyny, której się podobał, wtedy ona rozpościerała zarzucony na ramiona koc, zapraszała młodzieńca do środka, no a potem owijała kocem ich oboje.

Tyler spojrział na Zoey. W jego oczach tańczyły iskry szelmowskiego humoru - i czegoś jeszcze.

Zoey też patrzyła na niego bez zmrużenia powiek.

Wtedy zatrzęsł się i powiedział niewinnie:

- Ależ zimno się zrobiło.

Wahała się przez jedną długą, zapierającą dech w piersi chwilę. W tym momencie ważyło się wszystko. Przeszłość i przyszłość. Lęk i pożądanie. Zdawało się, że świat stanął w miejscu, nie było słycać żadnego dźwięku, nawet zwykłych nocnych pohukiwań sów, szelestu wiatru w liściach czy cichego rżenia koni.

Zoey zajrzała w te przenikliwe niebieskie oczy i nagle wszystkie jej obawy zniknęły. To przecież był Tyler. Wiedziała, że w jego ramionach nie ma się czego obawiać. Powoli rozpostarła koc.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Podszedł i przytulił się do niej. Mocno owinęła ich kocem. Pocałowali się. Dla Zoey ta chwila była jak powrót do domu po długiej podróży. W Tylerze zburzyła tamę powstrzymującą uczucia i emocje.

Pocałunek na początku był nieskończenie delikatny, szybko jednak stał się mocny, zaborczy, namiętny. Jego usta miażdżyły jej wargi, jego język szukał jej języka. Tyler zachowywał się tak, jakby był równie wygłodzony jak znaleziony przez nich żreback i chciał ją pożreć. W najśmielszych marzeniach nie przypuszczała, że może w mężczyźnie wywołać taki głód. Jej ciało się wyprężyło, ręce wypuściły koc, który upadł na ziemię, a ona przylgnęła do Tylera, reagując na pocałunek całą sobą.

Uniosła ją fala tak gorącego pożądania, że wszelkie wcześniejsze doznania wydały się mierną imitacją namiętności. Pocałunek Tylera przyprawił ją o zawrót głowy, spowodował, że ugięły się pod nią kolana, a serce zabiło gwałtownie. Nic, nic, co wcześniej przeżyła, nie przygotowało jej na tę chwilę. Malutka część umysłu, która jeszcze była zdolna myśleć, zdała sobie sprawę, że tak właśnie powinno być, kiedy mężczyzna i kobieta zblizali się do siebie. Nie z wahaniem, ale z absolutną pewnością. Później przyjdzie czas na delikatność. Teraz najważniejsza była potrzeba i jej zaspokojenie.

„O Boże - pomyślała, tonąc w ramionach Tylera. - O Boże”.

Pocałunek zdawał się trwać wieczność. Kiedy Tyler w końcu oderwał usta, ujął twarz Zoey w dłonie i spojrzał na nią, jakby widział ją pierwszy raz. Kiedy uwolnił jej ciało, westchnęła i przeszedł ją dreszcz. Powoli podniosła powieki i spojrzała mu w oczy.

Nieważne, czy poddanie się emocjom było mądre, czy głupie, właściwe czy nie. Wiedziała, że to jedyny sposób, by się przekonać, czy potrafi dotrzeć do jego serca i dowiedzieć się, czy to, co do niego czuje, jest tylko potężnym, ale przemijającym pożądaniem czy miłością.

Szybko ją rozebrał, pozwalając palcom jedynie na krótkie, elektryzujące muśnięcia każdego nowo odkrytego obszaru jej ciała. Szlafrok spłynął na ziemię, po chwili spadła na

niego koszulka. Tyler zaprowadził Zoey na mały kopiec siana w rogu stajni. Przykrył go kocem. Kiedy się rozbierał, Zoey położyła się na kocu i czekała.

Gdy znalazł się obok niej, jego palce zaczęły pieścić skręcone mocno loki nad karkiem. Druga dłoń powędrowała do gładkiego zagłębienia jej talii i delikatnego wzniesienia bioder. W końcu spoczęła na krzywiźnie uda.

- Och, Tyler - szepnęła Zoey ochryplym z pożądania głosem.

Jego spoczywająca na udzie dłoń przesunęła się w górę i zatrzymała na nagim brzuchu. Jej ciało, bardzo wrażliwe na dotyk, przeszedł dreszcz. Tłumiony załóżek pożądania, który tkwił w niej, odkąd zobaczyła go nagiego przy gorących źródłach, zaczął kiełkować.

Patrzył na nią z zachwytem i zdziwieniem.

- Jesteś taka delikatna i krucha, taka mała i bezradna. Boję się, że się złamiesz.

Uśmiechnęła się uwodzicielsko.

- Nie martw się, kochanie. Daję ci słowo, że jestem niełamliwa.

- Już pierwszej nocy po twoim przyjeździe chciałem cię tak dotykać.

Świadomość, że pragnął jej tak samo jak ona jego, przyprawiła ją o zawrót głowy.

Obsypał pocałunkami jej szyję i piersi. Te delikatne muśnięcia rozpały ją całą.

Jej ciało wyprężyło się zachęcająco. Zoey nie była już w stanie kontrolować swych reakcji. Mogła jedynie instynktownie odpowiadać na każdy jego dotyk, każdy ruch.

- Proszę - szepnęła.

Potem całował jej oczy, usta, szyję. Przyciągnął ją blisko do siebie, tak że jej piersi przylgnęły do jego twardego torsu, brzuch do jego brzucha, a ich nogi się splotły.

Od razu przyszło jej do głowy, że ich ciała idealnie do siebie pasują. Potem pomyślała, jak twardy i silny jest Tyler. W końcu - jak bardzo jego skóra różni się w dotyku od jej skóry.

Czuła każdy nerw ciała, drżący w oczekiwaniu na dotyk.

Tak dużo czasu upłynęło od chwili, w której Tyler czuł to co teraz. Te przeżycia przechodziły najśmielsze wyobrażenia. To była... Jego umysł szukał słów, które opisałyby, co czuje, ale wzdrygał się przed jednym - miłość...

Chciał pojąć Zoey ciałem i duszą, nazwać jej serce swoim.

- Zoey, moja Zoey - szepnął, muskając ustami jej włosy.

- Twoja, Tyler. Tylko twoja.

Jego ciało domagało się wyładowania tego bolesnego napięcia napiętności, którą do niej czuł. Potrzebował całej siły woli, żeby nie posiąść jej natychmiast. Ze względu na nią powstrzymał swoje pragnienie. Ze względu na nią zmusił się do niesamowitej cierpliwości, ponieważ własna satysfakcja by mu nie wystarczyła. Chciał, żeby Zoey przeżyła to samo, co on miał przeżyć.

- Tyler? - W jej ochrypłym głosie zabrzmiała pytająca nuta.

Spojrzał jej w oczy i wyczytał w nich trudną do zniesienia napiętność. Jej pełne wargi drżały, a szare oczy błyszczały z pożądania.

- Jesteś taka piękna - szepnął.

Na tych cudownych, różanych ustach niemal niezauważalnie zakwitł uśmiech szczęścia.

- Tyler, powiedz, że mnie pragniesz.

- Pragnę cię bardziej, niż można to wyrazić słowami - odpowiedział niemal wbrew własnej woli.

Nagle jej oczy otworzyły się szeroko, gdy jego palce zaczęły badać drżące wnętrza ud. W odpowiedzi na ten magnetyczny dotyk jej nogi rozchyliły się jak kwiat. Ciało zdawało się topnieć pod jego dłonią, stawało się lżejsze od powietrza.

Lekko przebiegła palcami po plecach Tylera, chcąc poczuć ich każdy twardy cal. Następnie przyciągnęła go do siebie. Jego ciało znalazło się dokładnie nad jej ciałem, a jej ramiona powędrowały w dół, by objąć go w pasie. Zaczęła go całować - najpierw delikatnie, a potem z rosnącym pożądaniem.

Nie mógł dłużej czekać. Jego twardość zetknęła się z jej wyczekującą miękkością i wtopiła się w nią. Ich ciała poruszały się razem w cudownym rytmie. Tak dużo czasu upłynęło od dnia, kiedy Tyler czuł jedność z inną osobą. Jego straszna izolacja dobiegła kresu.

Usłyszał, jak Zoey raz po raz wykrzykuje jego imię. Następnie poczuł zaciskającą się głąbię, która zdawała się niszczyć wszelkie dzielące ich bariery, przekraczać wszelkie

granice. Przyłgnęli do siebie, a świadomość utonęła pod ciemną powierzchnią pożądania i spełnienia.

Minęła dłuższa chwila, zanim Zoey znowu była w stanie normalnie myśleć. Nie miała wątpliwości: znalazła odpowiedź na pytanie, które zadała sobie, kiedy on wszedł w jej ramiona.

To nie tylko pożądanie. To miłość.

Wbrew wszelkim oczekiwaniom zakochała się w Tylerze Rossie. I jeśli się bardzo nie myliła, on również się w niej zakochał.

Czuła przy sobie jego ciepłe, wilgotne ciało. Jego oddech na policzku, jego ramię na piersiach. W pełni kobiecy uśmiech zadowolenia pojawił się na jej ustach i rozjaśnił oczy.

„Więc to tak wygląda miłość - pomyślała zauroczona. - Jak mogłam kiedykolwiek brać za nią coś innego?”

Nagle jej twarz przesłonił cień niepewności. Czy Tyler jest tak samo poruszony ich zbliżeniem? Nie tylko fizycznie, ale i emocjonalnie? Z pewnością on też musi to czuć. A jeśli nie? Jeśli jest dla niego po prostu „wygodna”, tak jak inne kobiety, o których mówiła Laurie?

W tej chwili oddałaby wszystko za umiejętność czytania w cudzych myślach. Gdyby chociaż powiedział jej, co myśli i czuje.

Podzieliła się z nim najgłębszą częścią siebie i sądziła, że on zrobił to samo. Otworzyły się między nimi drzwi, pojawiło się jakieś połączenie, nawet jeśli istniało tylko przez ulotną chwilę.

Uczucie to było silniejsze niż wszystko, czego do tej pory doświadczyła. Jej granice roztopiły się i Zoey stała się zupełnie bezbronna, całkowicie odsłonięta. Na pewno Tyler przeżył to samo. Ich dusze się dotknęły. To musi być miłość.

Odwróciła się do niego i ich oczy się spotkały. Wstrzymała oddech w oczekiwaniu na jego pierwsze słowa. Były ważniejsze niż wszystko, co mógłby powiedzieć później, kiedy już zbierze myśli.

Czy te pierwsze słowa będą wyrazem miłości, czy też zwykłego zadowolenia z wzajemnej wymiany przyjemności?

- Dziękuję - szepnął. - Dzięki tobie znowu zacząłem odczuwać.

Chciało jej się płakać ze szczęścia.

Nagle z jego twarzy znikło ciepło, ustępując miejsca czemuś, czego nie potrafiła zidentyfikować. Odsunął się od niej i zaczął się ubierać.

- Nie rób tego - poprosiła. - Nie zrywaj tego połączenia, które stworzyliśmy.

Odwrócił się do niej i teraz wiedziała już, że ten wyraz twarzy oznacza poczucie winy.

- Nie chodzi o ciebie, Zoey. Kiedy pomyślę, jak cię tu sprowadziłem pod pozorem szukania żony, choć tak naprawdę nie chciałem mieć z tobą nic wspólnego, czuję się strasznie. - Pokręcił głową, zły na siebie. - Wykorzystałem cię, żeby mieć spokój z Laurie. Ależ byłem palantem.

- W porządku - rzuciła bez zastanowienia - ja robiłam to samo. Wykorzystywałam cię, żeby wzbudzić zazdrość w moim facecie...

Urwała, kiedy zobaczyła zdumienie na jego twarzy, i poniewczasie się zorientowała, że nie jest to odpowiedni sposób wyznania mu tej twardej, nieoczekiwanej prawdy.

- Jak to? - Jego głos, jeszcze przed sekundą tak pełen ciepła, był zimny.

Dałaby wszystko, by odwołać to pochopne, niezręczne wyznanie, ale było już za późno. Nie pozostało jej nic innego, jak powiedzieć mu o wszystkim i mieć nadzieję, że zrozumie. I wybaczy. Tak jak ona chciała mu wybaczyć początkową nieuczciwość.

- Ja... jestem z kimś od... jakiegoś czasu. Nasz związek był dość poważny, ale on nie chciał podjąć trwalszych zobowiązań. Pokłóciliśmy się o to i... i odpowiedziałam na twoje ogłoszenie.

Z każdym jej słowem jego twarz robiła się coraz bardziej surowa. Zoey czuła, że sama kopie sobie grób, ale nie miała pojęcia, jak wyjść cało z tej sytuacji. Nawet gdyby udało jej się wymyślić jakieś wiarygodne kłamstwo, nie mogłaby już z niego skorzystać. Musieli być wobec siebie uczciwi. Jeśli nie było między nimi prawdy, nic między nimi nie było.

- Nie znałam cię wtedy - szepnęła łamiącym się głosem.

- I dlatego doszłaś do wniosku, że masz prawo mnie wykorzystać? - Wydawało się, że nie zostało nawet krzty uczucia, którym darzył ją jeszcze przed chwilą.

- Nie, wcale tak nie myślałam! Kiedy tylko się poznaliśmy, czułam się strasznie. Chciałam stąd natychmiast wyjechać. Później, kiedy zostałam, pragnęłam powiedzieć ci prawdę, ale nie wiedziałam jak.

- To ten, który dzwonił do ciebie, prawda? - Nagle zaczął do niego docierać pełen obraz sytuacji. - I co, jak zadziałał twój sprytny plan? Brian jest zazdrosny?

- Nie wiem! On mnie nie obchodzi!

- No, no, jesteś dosyć niestała, prawda?

- Nie! - Teraz również Zoey wpadła w złość. - Właściwie to jakie masz prawo mnie oskarżać? Też mnie wykorzystywałeś. Ja przynajmniej jestem gotowa ci wybaczyć.

- Co za wspaniałomyślność - rzucił gniewnie.

Ubrał się już i teraz wkładał buty. Zoey poczuła się bardzo niezręcznie, więc narzuciła szlafrok. Otuliła się ramionami, by uspokoić drżenie ciała. Stała twarzą w twarz z Tylerem.

- Niech pani mi coś powie, pani Donovan. - Jego oczy były lodowate, a głos jeszcze bardziej surowy niż w czasie kłótni z Jamisonem i Goodwinem. - Czy pieprzenie się ze mną było częścią planu? Miała pani zamiar opowiedzieć chłopakowi o tej chwileczce zapomnienia?

Uderzyła go w policzek. Nigdy wcześniej nikogo nie spoliczkowała. Jej dłoń po prostu sama poszybowała ku jego twarzy, zostawiając brzydki czerwony ślad, który jednak był niczym w porównaniu z ohydą jego okrutnego oskarżenia.

Ten gwałtowny, odruchowy czyn zaskoczył ich oboje. Nagle, gdy tak stali wpatrując się w siebie, Zoey wszystko zrozumiała.

- Tutaj nie chodzi o Briana - powiedziała powoli - ani o moją uczciwość czy jej brak. Chodzi o Sarę.

Na twarzy Tylera pojawił się większy ból niż wtedy, gdy go uderzyła.

- Przestań - szepnął.

- Wiem, że to boli - powiedziała bardzo delikatnie - ale musimy o tym porozmawiać. Musimy porozmawiać o Sarze.

- Sara nigdy by mnie nie okłamała - odrzekł stanowczo Tyler.

Nie mówiąc nic więcej, odwrócił się na pięcie i wyszedł ze stajni.

Zoey patrzyła, jak odchodzi, świadoma tego, że nie może zrobić nic, by go zatrzymać. Czuła, że ma złamane serce, i wiedziała, że bez Tylera ta rana nigdy się nie zablizni.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Zoey spała niespokojnie. Wstała, kiedy jeszcze było ciemno. Ubrała się i patrzyła przez okno sypialni na najwspanialszy wschód słońca, jaki kiedykolwiek widziała. Wiotkie chmury zabarwione na złoto i pomarańczowo szybowały po intensywnie lawendowym niebie. Słońce wzeszło. Czas ruszyć za mustangami. I stanąć twarzą w twarz z Tylerem.

W ciągu długich, niespokojnych godzin ciemnej, ponurej nocy desperacko próbowała wymyślić jakiś sposób, aby do niego dotrzeć. Chciała przedrzeć się przez gniew i rozczarowanie, przekonać, że nie chciała go zranić, że go pokochała.

Zastanawiała się, kiedy to się stało. Wczoraj w stajni? Nie, wcześniej. Nie pozwoliłaby, by Tyler ją posiadał, gdyby nie była w nim zakochana. Czy wtedy, gdy zobaczyła go przy gorących źródłach i poczuła do niego taki pociąg, że nie mogła złapać tchu? Nie, jeszcze wcześniej.

Wreszcie przypomniała sobie dokładnie chwilę, kiedy pojęła, że kocha tego mężczyznę, chociaż wtedy nie przyznawała się do tego przed sobą. Stali w kaplicy i on opowiadał o dramatycznej walce córki o życie i swoim niemożliwym do spełnienia pragnieniu oddania jej własnej siły.

W domu modlitwy dotknęły się ich dusze. Trwało to tylko chwilę. Przerażeni tym, że tak bardzo się odsłonili, szybko nałożyli z powrotem swoje maski i odsunęli się od siebie. Ten krótki moment, kiedy Tyler na tyle jej zaufał, by się zwierzyć, wystarczył, żeby pokochała go mocno i nieodwołalnie.

On też się w niej zakochał, ale nie pozwalał sobie na tę miłość, ponieważ uważa ją za zdradę pamięci Sary. Zoey wiedziała, że prawdopodobnie sam nie zdaje sobie z tego

sprawy. Wmawiał sobie, że stanęła między nimi jej nieuczciwość. Ona jednak była pewna, że jest inaczej. Był to tylko wygodny pretekst, żeby tkwić emocjami w przeszłości.

Patrząc w rozjaśniające się niebo, zorientowała się, że zatoczyła błędne koło. Wróciła do punktu, z którego wyruszyła na początku tej długiej i bezsennej nocy. Dręczyło ją ciągle to samo pytanie: jak sprawić, by Tyler jej przebaczył? I co ważniejsze: co zrobić, żeby nie trzymał się tak kurczowo przeszłości i pomyślał o przyszłości? Przyszłości, w której Zoey miała wielką nadzieję się znaleźć.

Wypowiedziała życzenie przy błękitnej pełni i ku swemu zaskoczeniu znalazła miłość, ale znalezienie jej i utrzymanie to dwie zupełnie różne sprawy.

Zeszła na dół, zbierając siły na pierwszą konfrontację z Tylerem. Nawet przed nocną kłótnią nie chciał, żeby z nimi jechała. Teraz jeszcze bardziej będzie temu niechętny. Ale jak zauważył Jesse, Zoey była równie uparta jak on. Pojedzie z nimi. Nawet jeśli będzie musiała trzymać się od nich z daleka.

Kuchnia była pusta, ale na piecu grzał się jak zwykle dzbanek kawy, więc Zoey wiedziała, że Laurie jest już na nogach. Zapięła dzinsową kurtkę, by ochronić się przed chłodem wczesnego poranka, zarzuciła na ramię torbę z aparatem, po czym ruszyła w stronę stajni. W środku zastała, zgodnie z przewidywaniami, Laurie, Tylera i Jessego. Laurie ogrzewała dłonie ciepłym kubkiem z kawą i z wyraźną dezaprobatą patrzyła na mężczyzn, którzy siodłali konie.

- Przed południem będziemy z powrotem - obiecał jej Tyler.

Nic nie odpowiedziała.

Kiedy Zoey weszła do stajni, Tyler spojrzął na nią, po czym zaskoczony i zirytowany zmarszczył brwi. Najwidoczniej nie spodziewał się ani nie chciał, żeby Zoey pojawiała się tutaj po tym, co między nimi zaszło poprzedniej nocy.

Zoey miała mu tak wiele do powiedzenia. Że rozumie, dlaczego mustangi tak wiele dla niego znaczą. Że wie, iż są mu bliskie, ponieważ on też jest nieujarzmionym duchem. I co najważniejsze: że ta determinacja, by je ocalić, wyrasta po części z niemożności ocalenia żony i córki. Nie mogła mu jednak tego powiedzieć.

- Ja też jadę - oznajmiła stanowczo, zanim mógł jej kazać się wynosić.

Tyler odwrócił się do swego konia.

- Nie - rzucił przez ramię łudząco spokojnym tonem.

- Nie powstrzymasz mnie. - Na poparcie swoich słów Zoey podeszła do konia, którego dosiadała poprzedniego dnia, i zaczęła go siodłać.

Laurie patrzyła na nią z uwagą, świadoma, że między nimi coś się zmieniło, i to wcale nie na lepsze.

- Powiedziałam, że nie będę wam zawadzać, i dotrzymam słowa - mówiła Zoey, mocując popręg. - Ale pojedę. Sfotografuję mustangi. I pomogę tobie i Jessemu, jak tylko będę mogła.

- Nie będziesz mogła - zareplikował Tyler tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Jesse nic nie powiedział, pokiwał tylko potakująco głową.

- Zoey, jesteś pewna? - spytała Laurie z wyczuwalną w spojrzeniu i głosie troską. Koń Zoey był już osiodłany.

- Jadę - powtórzyła z uporem, siadając na jego grzbiecie.

Laurie i Jesse spojrzeli na Tylera w oczekiwaniu na jakąś reakcję. Ku ich zaskoczeniu nie powiedział ani słowa. Dosiadł konia.

- Jedźmy - rzucił krótko do Jessego.

Nie oglądając się na Zoey, wyjechał ze stajni. Tuż za nim ruszył Jesse, a kilka metrów dalej podążała Zoey. Laurie patrzyła na ich odjazd, w każdy rys jej twarzy wpisany był niepokój.

Jechali w tym samym kierunku co wczoraj. Tym razem jednak dokładnie wiedzieli, gdzie znajdą stado, i kierowali się prosto do tego miejsca. Zanim świt zamienił się w dzień znaleźli mustangi pasące się przy strumyku niedaleko wodopoju. Zatrzymali się w odpowiedniej odległości, żeby konie ich nie usłyszały, a wiatr nie poniosł ich zapachu.

Tyler ani razu nie spojrzął na Zoey. Od czasu do czasu rzucał jakąś krótką uwagę Jessemu, ale zachowywał się tak, jakby Zoey nie istniała. Jesse pojął, o co mu chodzi, i też nie odzywał się do Zoey. Oglądał się jednak czasami, żeby się upewnić, czy dziewczyna nie wlecze się gdzieś daleko za nimi, bo w takim wypadku mogłaby stracić ich z oczu.

Mężczyźni naradzali się nad najlepszym sposobem sprowadzenia stada na ziemię Tylera. Gdy tak rozmawiali szeptem. Zoey wyjęła aparat i fotografowała konie. Kiedy znowu zobaczyła, jakie są wspaniałe, bardzo zapragnęła, żeby zostały uratowane.

Wiedziała, że jeśli komuś może się to udać, to tylko Tylerowi. Mimo wszystko wciąż szanowała jego siłę i determinację.

W końcu, po raz pierwszy od opuszczenia rancza, Tyler obrócił się i spojrzął na Zoey.

- Przegonimy je z powrotem właśnie tędy - powiedział szeptem. - Wjedź na tamto wzniesienie i zostań na nim, aż stado cię minie. Cokolwiek by się działo, nie zbliżaj się do niego. Rozumiesz?

Zoey skinęła głową. Nie miała mu za złe ostrego tonu, wiedziała bowiem, że chodzi tylko o jej bezpieczeństwo.

Odjechała we wskazanym kierunku, a Tyler i Jesse, rozdzielili się, okrążając stado z przeciwnych stron. Wymachując w powietrzu arkanami i pokrzykując, ściągnęli na siebie uwagę mustangów. Zanim ogier zdążył zebrać i poprowadzić stado, wystraszone konie pobiegly w stronę rancza.

Zoey robiła zdjęcia mijającym ją koniom. Kiedy były już daleko, schowała aparat i ruszyła za nimi, trzymając się w bezpiecznej odległości od stada. Naprawdę nie zamierzała zawadzać Tylerowi i Jessemu. Wiedziała, że i tak Tyler ma dużo na głowie.

Wszyscy posuwali się wolnym galopem - stado, Tyler, Jesse i Zoey. Trudna jazda po nieznanym terenie absorbowwała całą jej uwagę, więc trochę się denerwowała. Wszystko jednak szło dobrze. Stado szybko zbliżało się do ziemi Tylera. W tym tempie za kilka minut powinno się znaleźć na bezpiecznym gruncie.

I wtedy to się stało. W tętent kopyt mustangów biegnących po twardej ziemi, wdarł się dochodzący z oddali złowieszczy głośny warkot, który nasilał się i zbliżał do nich. Przestraszona i zbita z tropu Zoey ściągnęła wodze. Ujrzała śmigłowiec z napisem: „Biuro Zarządzania Ziemią”. Niczym drapieżny ptak zszedł niżej nad stado i zawrócił przerażone zwierzęta, które wzbijając tumany kurzu, ruszyły galopem, w innym kierunku.

Zoey widziała, jak Tyler i Jesse desperacko próbują zawrócić stado. Na próżno. Konie pędziły na łeb, na szyję w stronę wąskiego kanionu.

Gdy podjechali bliżej wąwozu, Zoey zobaczyła, że zbudowano w nim ogrodzenie. Chwilę później konie wpadły w pułapkę i musiały się zatrzymać. Zaczęły stawać dęba,

rzeń, stąpać w miejscu i uderzać się łbami - słowem, w kanionie wrzało niczym w celi pod gołym niebem, w której zamknięto nagle gromadę przestępców.

Śmigłowiec wylądował w pobliżu. Wysiadł z niego dyrektor BZZ, Greg Goodwin, i ruszył w stronę pułapki.

Zoey zobaczyła w oddali olbrzymią ciężarówkę do przewozu zwierząt, jadącą po nierównej polnej drodze w kierunku ogrodzenia. Po chwili stała już przy nim. Zoey wcale nie była zdziwiona, kiedy wysiadł z niej Hank Jamison i podszedł do Goodwina.

Jej spojrzenie natychmiast powędrowało w stronę Tylera. Razem z Jessem stał na skraju pułapki, najwyraźniej nie mając pojęcia, co robić. Zoey poczuła bolesne ściskanie w dołku. Wszystko skończone. Przegrali. Konie nie zostały uratowane. I Tyler nigdy sobie tego nie daruje.

Nagle pochylił się i powiedział coś do Jessego, po czym zsiadł z konia. Dał wodze pomocnikowi i szybko podszedł do ogiera, niosąc lasso i linę z uździenicą. Zoey patrzyła, jak chwycił ogiera na linę i zarzuca mu uździenicę przez łeb. Chwilę później wskoczył na mustanga. Rozwścieczone i przerażone zwierzę stawało dęba i podskakiwało, ale Tyler wciąż na nim siedział, trzymając się kurczowo nogami jego boków.

Wtedy Zoey zrozumiała. Tyler wiedział, że jest tylko jeden sposób wyciągnięcia przestraszonego i zagubionego stada z pułapki. Mustangi pójną wszędzie za swoim przywódcą.

Ogier miotał się gwałtownie około minuty, zanim się zmęczył. Gdy się uspokoił, Tyler wyprowadził go z pułapki w kierunku swojego rancza. Stado posłusznie ruszyło za nimi. Jesse, prowadząc konia swego pracodawcy, zamykał pochód.

Goodwin zaklął soczyście i pobiegł z powrotem do śmigłowca. Jamison tylko patrzył w bezsilnej furii na znikające w oddali stado.

Zanim zdążył wrócić do ciężarówki, Zoey podjechała do niego i zsiadła z konia.

- Niech pan poczeka! - krzyknęła, gdy otwierał drzwiczki.

Jamison odwrócił się i spojrzał na nią tak, jakby była szalona. Pomyślała, że może i jest. Wyczuwała jednak, że to on ma klucz do szczęścia Tylera. Laurie powiedziała kiedyś, że według niej Tyler nie przestanie się obwiniać o śmierć

Sary, póki Jamison będzie go o to winił. Musiała spróbować przemówić mu do rozsądku.

- Musi pan przestać karać Tylera za śmierć Sary - wypaliła bez wstępu.

Jamison był mocno zaskoczony.

- Kim, u licha, pani jest? - spytał ostro.

Onieśmiał ją swą opryskliwością, mimo to Zoey nie miała zamiaru się wycofać.

- Jestem... znajomą Tylera.

Gdy tylko przedstawiła się tak ogólnikowo, w zamyśleniu zmrużył oczy i była pewna, że przypomniał ja sobie. Nachmurzył się jeszcze bardziej. Nie chciał znać żadnego przyjaciela Tylera. Odwrócił się do Zoey plecami i zaczął wsiadać do ciężarówki.

- Do licha, niechże mnie pan posłucha! - krzyknęła Zoey. - Tyler nie wiedział, że jej astma jest tak daleko posunięta! Nie wiedział, że ciąża może ją zabić!

Jamison znów się do niej odwrócił. Tym razem miał jeszcze bardziej wściekłą minę. Gdyby Zoey nie była zdecydowana pomóc Tylerowi, zatrzęsłaby się ze strachu w obliczu takiej furii.

- Nie wiem, kim pani jest, i mam to gdzieś! Ale ostrzegam panią: ani słowa więcej o mojej córce!

Walcząca ze strachem Zoey zaczerpnęła głęboko powietrza, by uspokoić głos.

- Sara zignorowała ostrzeżenia lekarza i zaszła w ciążę, bo bardziej niż czegokolwiek na świecie pragnęła dziecka. Dla siebie i dla Tylera.

- Nie zależało mu na Sarze! - ryknął Jamison. - Zmusił ją do czegoś niebezpiecznego i doskonale o tym wiedział!

Zoey powoli pokręciła głową.

- Nie. Tyler nigdy by jej świadomie nie naraził na niebezpieczeństwo. Za bardzo ją kochał. I ona kochała go tak bardzo, że chciała dać mu to, czego pragnął najbardziej.

- Zawahała się, po czym spytała łagodnym tonem: - Czy pan nigdy nikogo nie kochał tak bardzo? - Jamison nie odpowiedział, więc Zoey ciągnęła: - Myślę, że kochał pan. Kochał pan tak córkę. I dlatego obwinia pan Tylera i karmi się swoją wściekłością. Bo mniej boli gniew niż akceptacja nieznośnego poczucia straty.

Oczy Jamisona zaszkliły się łzami.

- Co pani może o tym wiedzieć - powiedział ochryple.

- Wiem, jak bardzo kochała Tylera, bo sama go tak Kocham - odpowiedziała Zoey bezradnym szeptem. - I wiem, że on też mógłby mnie pokochać, gdyby mógł wybaczyć sobie jej śmierć. Ale nie może, dopóki pan go obwinia. Proszę, proszę, niech pan przestanie go nienawidzić. On na to nie zasługuje.

Wiedziała, że to nie ma sensu. Nie można było przekonać tego zgorzkniałego człowieka. Mimo to wstrzymała oddech w oczekiwaniu na odpowiedź, mając wbrew wszystkiemu nadzieję, że Jamison zajrzy w swoje serce i znajdzie przebaczenie, a nie oskarżenia.

Ale on nic nie powiedział. Po prostu odwrócił się od Zoey i wsiadł do ciężarówki. Usłyszała przez otwarte okno, jak każe kierowcy ruszać.

Wiedziała, że nie może tam tkwić i rozklejać się. Zwalczyła napływające do oczu łzy, dosiadła konia i ruszyła w kierunku, w którym odszedł ze stadem Tyler.

Zmuszając konia do galopu, w końcu zrównała się z mustangami. Jechała po niewielkim występie i widziała ich pod sobą - Tylera wciąż na ogierze, za nim stado i zamykającego orszak Jessego.

Pojawił się nad nimi helikopter. Próbował zawrócić mustangi. Tyler jednak, wykazując się świetnymi umiejętnościami jeździeckimi, uciekał przed każdym manewrem śmigłowca. Przeskakiwał przez wyżłobienia, przecinał płytkie strumienie, posyłając w powietrze rozbryzgi wody, gnał przez gęstą kępę drzew, a za nim toczyła się rudo-czarnobrazowo-biała plama koni. Tyler, uderzany przez gałęzie, ledwo zdołał utrzymać się na mustangu.

A potem dotarli do krawędzi niemal pionowego zbocza. Niewiarygodnym, bardzo ryzykownym skokiem Tyler i ogier wybili się w powietrze. Człowiek i koń znaleźli się na dole, a w ich ślad poszły bez wahania pozostałe mustangi.

Śmigłowiec nie dawał im chwili spokoju. Gdy wyglądało na to, że może mu się udać zawrócić stado, dotarli do wąskiego kanionu na ziemi Tylera, gdzie Zoey pierwszy raz ujrziała mustangi. Helikopter musiał się nagle zatrzymać, by nie rozbić się o skalną ścianę.

Krażył jeszcze przez chwilę i Zoey wyczuła, że Goodwin jest wściekły. W końcu, uznając, że przegrał, zawrócił i odleciał.

Zoey miała ochotę krzyknąć z radości, jednak dreszcz zwycięstwa zamarł w niej, gdy zobaczyła, jak ogier potyka się i pada. Koń i jeździec leżeli na ziemi. Stado rozdzieliło się przy przewodniku i dalej biegło w głąb kanionu.

Czując straszne ściskanie w dołku, Zoey zjechała szybko ze wzgórza w stronę Tylera, który podnosił się powoli. Ogier również próbował wstać. Bezskutecznie. Część przedniej nogi zwisała bezwładnie i zwierzę ryczało z bólu.

Pierwszy dotarł do niego Jesse. Zoey widziała, jak się waha, a potem wyjmując z pokrowca strzelbę. Wyciągnął ją w stronę Tylera. Ten popatrzył na niego przez chwilę, po czym bardzo niechętnie przyjął broń.

Zoey wiedziała, że do końca życia nie zapomni wyrazu twarzy Tylera, który przez jeden straszliwy moment rozpaczał nad tym, co musiał zrobić. W końcu, wiedząc, że nie ma wyboru, dokładnie wycelował i nacisnął spust.

Wystarczył jeden strzał. Ucichły jęki agonii ogiera. Jego ciało legło w śmiertelnym bezruchu.

Kiedy nadjechała Zoey, Tyler stał, wpatrując się we wspaniałe zwierzę, które tak wielbił.

Zeskoczyła z konia i podbiegła do niego. Gdy zobaczyła, że jest zdruzgotany, serce jej się ścisnęło.

- O Boże, tak mi przykro - powiedziała, wyciągając do niego rękę.

Odskoczył, jakby jej dotyk go parzył. Dla Zoey było to gorsze niż policzek.

- Proszę - szepnęła - nie odtrącaj mnie. Nie zamykaj przede mną drzwi.

- Wracaj na ranczo! - rozkazał jej chrapliwie.

- Tyler...

- Nie chcę cię tutaj! Odejdź!

Zoey odwróciła się, podeszła wolno do konia, dosiadła go i odjechała, jak mogła najszybciej.

Nie pamiętała półgodzinnej jazdy na ranczo. Jej koń sam znał drogę - nagle byli już na miejscu. Odzyskała przytomność, jakby obudziła się ze snu, i nie wiedziała, jak się tu

znalazła. Zrobiła to, co musiała - rozsiadła konia, pospacerowała z nim przez parę minut, żeby mógł ostygnąć, i wpuściła go do corralu.

Potem, wciąż kierując się impulsem, ruszyła w stronę domu. Dopiero wtedy zauważyła na podjeździe samochód. Z tablicami agencji wynajmu. Nie zainteresowana, nie zastanawiała się nad tym. Otworzyła drzwi i weszła do domu.

I nagle stanęła jak wryta.

W salonie siedzieli Laurie... i Brian. Oboje wstali, kiedy weszła do pokoju.

- Cześć, Zoey - powiedział uprzejmie Brian. W jego głosie nie było zwykłej pewności siebie.

Laurie nerwowo odchrząknęła.

- Twój, hm, przyjaciel właśnie przyjechał. Powiedziałam mu, że niedługo wrócisz, i poprosiłam, żeby zaczekał. Czy... czy wszystko dobrze poszło?

Zoey skinęła głową. Przez chwilę nie była w stanie wykrztusić słowa.

- Gdzie Tyler? - spytała Laurie. Te dwa słowa zawierały w sobie mnóstwo różnych pytań.

- Jest razem z Jessem przy stadzie - odparła Zoey jakby nie swoim głosem. - Wyprzedziłam ich.

- Może zrobię kawę? - powiedziała Laurie, bezskutecznie usiłując nadać swojemu głosowi normalne brzmienie, jakby uczestniczyła w najzwyczajszym spotkaniu towarzyskim.

Wyszła szybko z pokoju. Zoey wiedziała, że kawa to tylko pretekst, by dać im obojgu trochę czasu na wyjaśnienie niezręcznej sytuacji.

- Wiem, że nie mam prawa tu być - powiedział szybko Brian, zanim zdążyła się odezwać. Brzmiało to jak dobrze przećwiczona mowa. - Nie mam żadnych praw w stosunku do ciebie. Zrezygnowałem z nich, o ile w ogóle je miałem, kiedy postanowiłem nie zatrzymywać cię w Nowym Jorku.

- Brian... - zaczęła zmęczonym głosem Zoey, chcąc przerwać te przeprosiny.

- Nie, daj mi skończyć - nalegał. - Proszę. - Podeszedł do niej, położył dłonie na jej ramionach i spojrzał na nią. - Dużo myślałem w ciągu ostatnich kilku dni. Na początku nie

wierzyłem, że naprawdę wyjedziesz. Kiedy to się stało, byłem pewien, że zaraz wrócisz. Widzisz, myślałem, że po prostu chcesz wzbudzić we mnie zazdrość.

„Bo chciałam - pomyślała w ośpieniu Zoey. - Ale to teraz nie ma znaczenia. Nic już nie ma znaczenia." Brian zmarszczył czoło i powoli pokręcił głową.

- Byłem strasznym głupcem, Zoey. Myślałem, że udajesz. Potrzebowałem dużo czasu, by zrozumieć, że jesteś całkowicie poważna, że mogę cię stracić. Może nie ten facet, ale ktoś kiedyś mógłby mi cię zabrać. i

Nie była w stanie spojrzeć mu w oczy. Odsunęła się i opadła na sofę, wyczerpana fizycznie i emocjonalnie jak nigdy w życiu.

Brian usiadł obok niej.

- Kocham cię, Zoey. - W jego głosie brzmiała szczerość. - Bardzo za tobą tęskniłem. Chcę zrobić wszystko, żeby zatrzymać cię przy sobie na zawsze.

Wtedy spojrzała na niego, niepewna, czy dobrze go zrozumiała.

Na jego twarzy pojawił się promienny, oszłamiający uśmiech, który pięć lat temu podbił jej serce.

- Proszę cię o rękę - powiedział. Przez chwilę milczała.

- A co z dziećmi? - spytała w końcu.

- Chciałbym mieć jedno, jeśli to ci odpowiada. Naprawdę nie sędzę, żeby nasz szalony rozkład zajęć mógł iść w parze z większą rodziną. A ty?

„Tak - pomyślała. - To raczej niemożliwe".

- No i co ty na to? - spytał niepewnie, gdy nie odpowiadała.

- Wyjedziesz za mnie?

Czekała na te słowa pięć długich lat. O niczym tak nie marzyła jak o tym, żeby je usłyszeć. Nie tylko chciał się z nią ożenić, ale chciał też mieć dzieci. Jedno dziecko, poprawiła. „Cóż, lepiej jedno niż wcale" - pomyślała.

Patrząc na Briana, zaskoczona zauważyła, że jest bardzo zdenerwowany. Zwykle chłodny i pewny siebie, teraz naprawdę obawiał się, że nie przyjmie jego spóźnionych oświadczeń. Jego bezradność czyniła go o wiele bardziej atrakcyjnym niż wcześniejsze zadufanie w sobie.

- Kocham cię - powtórzył. - Nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak bardzo cię kocham, póki nie wyjechałaś. Moje życie jest puste bez ciebie. Proszę, powiedz, że za mnie wyjdiesz.

„Co się dzieje, kiedy masz wszystko, czego kiedykolwiek chciałaś? Żyjesz długo i szczęśliwie”.

W zmieszanym, nieszczęśliwym umyśle Zoey zabrzmiał jak echo ten stary refren. Powiedziała sobie, że właśnie tego pragnie - wyjść za Briana, mieć z nim rodzinę.

A poza tym, szeptał jakiś złośliwy głosik, Tyler cię nie chce.

Po śmierci ukochanego ogiera zwróciłby się do Sary w poszukiwaniu pocieszenia. Ale Zoey odtrącił. Sara była częścią jego świata. Zoey nie.

Spojrzała na Briana.

- Wyjdę za ciebie - oznajmiła.

Na jego rasowej twarzy pojawiła się ulga i radość. Kiedy wziął ją w ramiona i mocno objął, powiedziała sobie, że będą żyli długo i szczęśliwie.

Kilka minut później Brian zaniósł do samochodu skromny bagaż Zoey. Następnie usiadł za kierownicą i czekał, podczas gdy ona żegnała się na ganku z Laurie. Było jej trudniej, niż się spodziewała. W ciągu zaledwie tygodnia stały się dobrymi przyjaciółkami.

- Jesteś pewna, że postępujesz właściwie? - spytała zasmucona Laurie.

„Nie” - pomyślała Zoey.

- Tak - powiedziała głośno. - Brian mnie kocha - dodała, próbując przekonać nie tylko Laurie, ale i siebie. - Taka jest prawda. Wszystko inne to fantazja, która nigdy nie może się spełnić. Wiesz o tym, prawda?

Laurie pewnie wiedziała, ale nie chciała się z tym pogodzić.

- Myślałam tylko, że może ty i Tyler...

- Nie - odrzekła Zoey ostrzej, niż zamierzała. Laurie westchnęła ciężko.

- Naprawdę chcę, żebyś była szczęśliwa, Zoey. Zoey uśmiechnęła się ciepło.

- Wiem. Myślę, że będę. Znam Briana od dawna, mamy wiele wspólnych upodobań.

Pasujemy do siebie tak, jak Tyler i ja nigdy nie moglibyśmy pasować.

Laurie nie sprzeczała się. Nie wyglądała jednak na całkowicie przekonaną.

- Posłuchaj, wszystko, co mówiłam o twoim pobycie w Nowym Jorku, jest aktualne
- powiedziała szybko Zoey. - Proszę cię, przyjeźdź. Najszybciej, jak będziesz mogła.
Oprowadzę cię po mieście i będziemy się świetnie bawić.

- Może... kiedyś - odrzekła z wahaniem Laurie. - W każdym razie dzięki za zaproszenie.

Zoey wiedziała, że Laurie nie przyjedzie.

- Wcale nie jest za późno. Uwierz mi - ostatni raz spróbowała ją przekonać.

Laurie tylko bezradnie pokręciła głową. Zoey uściskała ją.

- Dziękuję za wspaniałą gościnę - szepnęła.

- Będę za tobą tęsknić - odpowiedziała Laurie zdławionym z emocji głosem.

Wiedząc, że sama wybuchnie płaczem, jeśli szybko stąd nie odjedzie, Zoey odwróciła się i pobiegła do samochodu. Gdy odjeżdżali, pomachała stojącej na ganku Laurie.

Zwróciła wzrok w stronę, z której miał nadjechać Tyler, ale nie zobaczyła nic prócz pustego pastwiska i gór w oddali. Nie pojawił się żaden jeździec. Wykręciła szyję, żeby po raz ostatni smutno rzucić okiem na dom, a potem samochód skręcił i nic już nie było widać.

Od odjazdu Zoey minęło zaledwie kilka minut, gdy wrócili Tyler i Jesse. Tyler był przybity i milczący. W drodze powrotnej nie odezwał się do towarzysza ani słowem. Gdy dotarli do stajni i zsiadli z koni, Jesse automatycznie wziął je za wodze i wprowadził do środka.

Gdy Tyler ruszył przez podwórze do domu, podbiegła do niego Laurie, która czekała na ganku. Jak tylko zobaczyła przygnębioną minę brata, wiedziała, że wydarzyło się coś strasznego.

- O co chodzi? Co się stało? - spytała tak jak wiele razy wcześniej, kiedy Tyler dorastał i przytrafiały mu się różne nieszczęścia, duże i małe.

Patrzył na nią przez chwilę, jakby nie był pewien, jak odpowiedzieć na pytanie.

- Wprowadziliśmy stado na naszą ziemię - wymamrotał w końcu wyczerpanym głosem. - Ale ogier nie żyje. Złamał nogę. Musiałem go zastrzelić.

- Och, Tyler, tak mi przykro - szepnęła Laurie. Wiedziała, co to dla niego znaczy, jak druzgocąca musi być ta strata. Chciała go pocieszyć, tak jak to robiła, kiedy był małym chłopcem. Teraz jednak był dorosłym mężczyzną, który z uporem zachowywał się tak, jakby nie potrzebował pocieszenia.

Zamiast więc go objąć, wyciągnęła rękę i dotknęła lekko jego ramienia, mając nadzieję, że krótki kontakt fizyczny zmniejszy poczucie osamotnienia w nieszczęściu.

- Wróciłem po jakieś narzędzia, żeby go pochować - dodał tępo Tyler.

Laurie rozumiała: nie chciał, żeby sępy i inni padlinożercy dobrali się do konia. Jednak mimo całego smutku sytuacji wiedziała, że musi go o czymś jak najszybciej poinformować.

- Zoey wyjechała - oznajmiła pośpiesznie.

Tyler rozejrzał się szybko i zauważył, że oba pick-upy stoją na podjeździe. Odwrócił się do siostry i spojrzał na nią pytająco.

- Jak to? Jak się stąd wydostała?

To było najtrudniejsze. Laurie nerwowo przełknęła ślinę.

- Jej chłopak po nią przyjechał - odpowiedziała, nie owijając w bawełnę. Zanim Tyler zdążył wybuchnąć, dodała szybko: - Ale odjechali zaledwie parę minut temu. Jeśli się pośpieszysz, możesz ich jeszcze złapać na lotnisku.

- Nie.

- Ale, Tyler, ona nie chciała wyjeżdżać, wiem, że nie chciała, i gdybyś za nią pojechał i powiedział, co do niej czujesz...

Pierwszy raz w życiu Tyler ostro się odezwał do Laurie:

- Cholera jasna, nie pojedę za nią! I nic do niej nie czuję! Rozumiesz?!

Laurie była oszołomiona. Nawet po śmierci Sary i dziecka, kiedy Tyler był zdruzgotany, nie wyładowywał się na niej. To oznaczało, że jego uczucia do Zoey są dużo głębsze, niż przypuszczała.

- Ona cię kocha, Tyler - powiedziała spokojnie. - I ty ją kochasz. Każdy głupi to widzi.

- Wykorzystywała mnie tylko, Laurie! - warknął. - Chciała wzbudzić w swoim facecie zazdrość i najwyraźniej jej się udało!

- Może tak było na początku - przyznała Laurie. - Ale wszystko się zmieniło, kiedy cię poznała. Tak samo, jak zmieniło się dla ciebie. Ty też tylko ją wykorzystywałeś, pamiętasz? Ale wiem, że teraz czujesz do niej co innego.

- Jeśli odjechała z tym facetem, to najwyraźniej właśnie jego chce. Ze mną się tylko bawiła.

- Do licha, Tyler! - krzyknęła Laurie, rozwścieczona jego uporem. - Wiesz, że nie jest taka! Jest inna. Dobra i mądra.

- Nie pasuje do naszego świata - przerwał jej. - Nigdy by nie pasowała.

- Dopasowałyby się, gdybyś dał jej szansę - ciągnęła Laurie. - Zoey bardzo się tu podobało. Nie chciała wyjeżdżać. Założę się, że źle ją potraktowałeś. To jedyny powód, dla którego mogłaby wyjechać z tą żalną namiastką faceta. Zoey jest kobietą, której trzeba pokazywać, jak bardzo się ją kocha. Co ja mówię, wszystkie takie jesteśmy! Tylko że faceci tacy jak ty i Pete jakoś tego nie rozumieją!

- Chwileczkę, nie jestem taki jak Pete! Zaangażowałem się w moje małżeństwo tak, jak on nigdy nie potrafił!

- W małżeństwo z Sarą - powiedziała łagodnie, już bez złości Laurie. - Ale Sara odeszła, Tyler. Zoey żyje i kocha cię. Potrzebuje cię tak samo, jak ty potrzebujesz jej, chyba że bardzo się mylę.

Z uporem pokręcił głową.

- Mylisz się, Laurie. Nie potrzebuję jej. I z całą cholerną pewnością jej nie Kocham. Laurie musiała pogodzić się z porażką. Nie na darmo Tyler uchodził za jednego z najbardziej upartych ludzi w okręgu. Z wielkim smutkiem spojrzała na młodszego brata.

- Ciągle miałam nadzieję, że któregoś dnia zrozumiesz, że nie umarłeś razem z Sarą i dzieckiem. Ale myliłam się. Umarłeś razem z nimi.

Odwróciła się i ze zwieszonymi ramionami i pochyloną głową weszła powoli do domu.

Patrząc na nią, Tyler powiedział sobie, że Laurie zachowuje się jak strasznie głupia kobieta. W takim razie dlaczego, pomyślał, to on czuje się tak głupio?

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Na miejsce przyjęcia zaręczynowego Brian wybrał Hudson River Club. Zoey wolałaby własną wygodną kawalerkę albo nawet bardziej stylowe, ale mniej wygodne mieszkanie Briana przy Park Avenue - każde miejsce, w którym mogliby się odprężyć, śmiać tak głośno, jak będą mieli ochotę, i w ogóle poszaleć, nie dbając za bardzo o formy. Brian jednak upierał się, żeby zrobić wszystko jak należy. W końcu po raz pierwszy i ostatni z kimś się zaręczał. Zaprosił swoich szefów, wspólników z firmy prawniczej, w której pracował. Musiał zrobić na nich wrażenie.

Klub z pewnością się do tego nadawał. Znajdował się w World Trade Center, a z jego okien roztaczał się wspaniały widok na nowojorski port, co tworzyło odpowiednią atmosferę - władzy i prestiżu. Podejmując decyzję, Brian nie sugerował się tym, że klub oferuje bardzo dobre amerykańskie potrawy.

W małej prywatnej sali bankietowej z trudem zmieściło się trzydzieści osób, głównie współpracowników i krewnych Briana. Przyjęcie urządzono tak szybko, że rodzina Zoey nie zdążyła przyjechać ze stanu Nowy Jork. Matka zaproponowała, aby za kilka tygodni zorganizować drugie przyjęcie zaręczynowe, tym razem w rodzinnym mieście, i Zoey z chęcią się zgodziła. Na pewno nie stanie się takie formalne jak to - odbędzie się w ich domu, a gotowaniem zajmą się matka i bratowe.

Zoey nie chciała się do tego przyznać, ale cieszyła się, że nie ma tu jej rodziny. Źle by się czuli w tak wytwornym towarzystwie - nie mieliby o czym rozmawiać z wysoko postawionymi znajomymi Briana i jego rodziną z wyższych sfer. Była bardzo dumna z matki, która pracowała jako pielęgniarka, i braci, którzy razem prowadzili firmę hydrauliczną. Wyczuła jednak, że Brian woli utrzymywać w tajemnicy jej robotnicze pochodzenie, chociaż nigdy się do tego nie przyznał.

Mimo że Brian i Zoey byli ze sobą tak długo, ich rodziny nigdy się nie spotkały. Było to wynikiem świadomej decyzji ze strony Briana i mniej świadomej, a bardziej tchórzliwej, ze strony Zoey. Bardzo onieśmielali ją bogaci, światowi rodzice Briana, jego ambitny brat i dobrze wydana za mąż siostra. Wiedziała też, że jej bezpretensjonalna

rodzina byłaby jeszcze bardziej onieśmielona. Zastanawiała się, jak to będzie, kiedy się w końcu spotkają.

Gdy kelnerzy krążyli z tacami pełnymi przystawek i kieliszków szampana, Zoey stała obok Briana, przyjmując od gości gratulacje i życzenia. Czowała się nieswojo w koktajlowej sukni znanego domu mody, perłach i wybranych przez Briana butach na wysokich obcasach. Nalegał jednak, żeby tego jednego wieczoru zrobiła na wszystkich dobre wrażenie - chciał, by zrozumieli, jakim jest szczęściarzem. Potem, powiedział jej, będzie mogła wrócić do swego mniej konwencjonalnego wizerunku.

Podejrzewała jednak, że jej transformacja na tym się nie skończy. Oczekiwał po niej, że będzie przyjmować gości - jego kolegów z pracy - i z pewnością nie chciał, by robiła to w dzinsach i koszulce. A odwiedzając jego rodzinę w Connecticut, na pewno będzie musiała się ubierać tak jak oni.

Nagle zobaczyła siebie w tweedowej spódnicy i swetrze z wełnianą kamizelką, z niesfornymi włosami wyprostowanymi i związanymi aksamitną wstążką. Była to przerażająca wizja. Otrząsnęła się z nieprzyjemnego zamyślenia, gdy podeszła do nich matka Briana, Elisabeth. Była niezmiernie piękną kobietą zbliżającą się do sześćdziesiątki, tak nieskazitelnie ubraną, uczesaną i umalowaną, jak gdyby chciała dać Zoey do zrozumienia, że wygląda niechlujnie. Zawsze traktowała ją z doskonałą uprzejmością, a mimo to Zoey nigdy nie czuła się swobodnie w jej obecności.

- Co za czarujące przyjęcie - powiedziała Elisabeth z uśmiechem zadowolenia. - Świetnie się spisłaś, Zoey.

- To Brian zasługuje na pochwałę - odrzekła bardziej szczerze niż skromnie. - On się wszystkim zajmował. Ja musiałam tylko przyjść. Może zresztą dobrze się złożyło, bo nie mam doświadczenia w przygotowywaniu przyjęć.

- Cóż, jestem pewna, że po ślubie nauczysz się być wspaniałą panią domu. Niewątpliwie będziesz miała wiele okazji do przyjmowania gości. Towarzyska strona spraw zawodowych jest dużo bardziej rozbudowana, niż można by sobie wyobrazić. Kiedy ojciec Briana i ja pobraliśmy się, wiedziałam, że jako żona mogę być albo pomocą w jego karierze, albo ciężarem. Byłam zdecydowana mu pomagać i mam nadzieję, że mi się udało.

- Z pewnością - bąknęła potakująco Zoey. Nie mogła jednak nie dodać: - Ale wiesz, Elisabeth, moja kariera też zajmuje mi dużo czasu.

- Ach, oczywiście, moja droga. Uwielbiam twoje obrazeczki.

- Dziękuję - odpowiedziała spiętym głosem Zoey. Obrazeczki!

- Jestem w pełni świadoma tego, że obecnie bardzo popularne są związki, w których oboje małżonkowie pracują. Myślę, że pod wieloma względami jest to zmiana na lepsze w porównaniu z moimi czasami, kiedy od kobiety oczekiwano wypełniania tylko jednej roli. Dla większości z nas to rozwiązanie się sprawdzało, jednak było wiele kobiet, których małżeństwa nie były tak udane.

Przez chwilę Zoey wyobraziła sobie grupę rówieśnic Elisabeth: szczęśliwe kobiety, które dobrze wyszły za mąż i których mężowie nie umarli młodo, nie zbankrutowali ani nie zostawili ich dla młodszych i bardziej ekscytujących, i te nieszczęśliwe, które utraciły zabezpieczenie finansowe i status społeczny nadany im przez męża.

Po raz pierwszy Zoey poczuła jakiś emocjonalny związek z kobietą, która miała wkrótce zostać jej teściową. Ta chwila zrozumienia nie trwała jednak długo.

- Ale nawet obecnie wiadomo, że tak naprawdę ważna jest kariera mężczyzny - powiedziała pogodnie Elisabeth. - Przecież to on jest głównym żywicielem rodziny.

Zoey ugryzła się w język i nie odrzekła, że często tę rolę spełniają kobiety, czy to z wyboru, czy z konieczności. Przypomniała sobie jednak, że wychodzi przecież za mężczyznę zarabiającego dużo więcej niż ona, pochodzącego z rodziny, w której po kobietach nie spodziewano się pracy zawodowej.

W ciągu całej tej wymiany zdań Brian stał, nic nie mówiąc. Teraz, wyczuwając, że cierpliwość Zoey się wyczerpuje, wkroczył do akcji.

- Mamo, Zoey jest świetnym fotografikiem, wielokrotnie nagradzanym. Jestem bardzo dumny z jej sukcesu i nie chcę, by porzucała to, co robi tak dobrze.

Zoey uśmiechnęła się do Briana z wdzięcznością. Te dwa zdania znaczyły dla niej bardzo dużo.

- Oczywiście, kochanie - odpowiedziała Elisabeth swoim najlepszym tonem w stylu „wprawdzie się z tobą nie zgadzam, ale nie mam zamiaru się kłócić”. - Wszystkim mówię, jak ci się poszczęściło, że masz tak uzdolnioną narzeczoną. Chciałam tylko zauważyć, że

kiedy będziecie mieli dzieci, Zoey niewątpliwie zechce poświęcić mniej czasu pracy, a więcej rodzime.

Zoey w duchu przyznała jej rację. Jasne, że nie mogła się doczekać, kiedy zostanie matką. Chociaż po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, czemu Brian nie chce mieć dzieci, jeśli jego życie rodzinne było tak doskonałe, jak na to wyglądało. Nie miała złudzeń co do niechętniej zgody na jedno dziecko. Było to tylko ustępstwo, a nie pragnienie.

Spojrzała na Elisabeth - piękną i pewną siebie kobietę, ozdobę i podporę męża. A jednak zaciśnięcie ust sugerowało, że tłumi swoje uczucia. Edward, ojciec Briana - wcielenie człowieka sukcesu, ale czy nie pije już czwartego drinka tego wieczoru? Młodszy brat Briana, Blaine, jest jeszcze przystojniejszy niż jej narzeczony, a jednak cały czas sprawia wrażenie spiętego, a starsza siostra, Margaret, wydaje się zbyt chuda i krucha emocjonalnie, by wyglądać na szczęśliwą kobietę, za jaką stara się uchodzić.

Zoey zastanawiała się, czemu wcześniej tego nie zauważała. Może dlatego, pomyślała smutno, że nigdy nie rozmawiali z Brianem o intymnych stronach swojego życia. A teraz mieli się pobrać.

Zoey czuła, że w tydzień poznała Tylera lepiej, niż Briana przez pięć lat.

Wspomnienie o Tylerze było jednak zbyt przygnębiające. W ciągu dwóch tygodni od powrotu do Nowego Jorku udało jej się wyrzucić go ze swoich myśli. Skończyła się krótka sielanka w Jackson Hole. Była jedynie przerwą w normalnym biegu życia i nigdy nie mogłaby się przerodzić w coś więcej. Tyler przeszedł do historii. Brian był terażniejszością i przyszłością.

Zoey ścisnęła czule jego ramię.

- Znajdę coś do picia z mniejszą ilością bąbelków - szepnęła. Skinieniem głowy pożegnała Elisabeth, która uśmiechnęła się do niej uprzejmie.

Zoey starała się dojść do małego baru ustawionego po drugiej stronie sali, ale zanim do niego dotarła, ktoś zastąpił jej drogę. Stanęły przed nią murem Denise, Carla i Karen.

- No dobra - powiedziała Carla konspiracyjnym szeptem - zmieniamy lokal.

Zanim Zoey zdążyła zaprotestować, wyciągnęły ją z prywatnej sali i zaprowadziły do głównego baru restauracji. Opadły na krzesła przy zacienionym stoliku w rogu.

- To zgraja największych sztywniaków, jakich widziałam poza zakładem pogrzebowym - rzuciła Carla.

- Carla! - krzyknęła Zoey. - To przyjaciele, współpracownicy i rodzina Briana.

- Carla ma rację - powiedziała Karen z udawaną powagą.

- Przemyśl to jeszcze, Zoey, chcesz z nimi spędzić resztę życia?

- Chcę spędzić resztę życia z Brianem - odrzekła z naciskiem Zoey. - Niestety, to transakcja wiązana. Poza tym on będzie musiał znosić moich przyjaciół i rodzinę. -
Odplaciła im pięknym za nadobne.

- Ale my jesteśmy zabawne - zauważyła Denise.

- Nieustanna beczka śmiechu w porównaniu z nimi - dodała Carla.

- A twoja rodzina jest bardzo miła - stwierdziła Karen.

- W odróżnieniu od rodziny Briana. Spojrzenie jego matki mogłoby zamienić wodę w lód.

- Nie jest taka zła - oponowała Zoey, chociaż raczej bez przekonania.

Podszedł do nich kelner. Spytał, co chcą zamówić. Kiedy Denise poprosiła o szklankę mleka, spojrzał na nią zdziwiony.

- Jestem w ciąży.

Nie wiedząc, jak ma zareagować na to stwierdzenie, kelner po prostu zapisał zamówienie i odszedł.

- Pokaż nam pierścioneek - poprosiła Karen.

Zoey wyciągnęła lewą dłoń, na której w przytłumionym świetle baru zaiskrzył się dwukaratowy okrągły szafir. Naprawdę robił wrażenie, więc natychmiast rozległy się ochy i achy przyjaciółek, zaprawione odpowiednią dawką zazdrości.

- Ty go wybrałaś? - spytała Karen.

Zoey pokręciła głową.

- Nie. Brian sam go kupił. Pamiętał, że lubię szafiry i wolę pojedyncze klejnoty.

- Trzeba mu przyznać - powiedziała niechętnie Carla - że ma bardzo dobry gust.

- I pieniądze, żeby mu folgować - dodała Denise. Uśmiechnęła się do Zoey. -

Nieważne, co wygaduje Carla. Myślę, że Brian to świetna partia. Jestem pewna, że będziecie ze sobą bardzo szczęśliwi.

- Mam nadzieję - powiedziała cicho Zoey.

- Jak ci się oświadczył? Zdradź nam każde słodkie słowo - dopytywała się Karen.

Zoey zawahała się. W ciągu dwóch tygodni od powrotu rzadko widywała się z przyjaciółkami. Spędzała bardzo dużo czasu z Brianem - byli zajęci planowaniem ślubu. Pracowała również nad przygotowaniem fotografii na swoją wystawę, która miała być otwarta już za miesiąc. Jednocześnie wywoływała zdjęcia z wesela Cheryl. Chciała je jak najszybciej wysłać. Wiedziała, że młodzi małżonkowie z niecierpliwością na nie czekają.

Nie opowiadała przyjaciółkom o swoim pobycie w Jackson Hole, a one się nie dopytywały, chociaż na pewno umierały z ciekawości. Teraz jednak nie mogła opowiedzieć im o oświadczeniach Briana, nie wspominając o Jackson Hole. I Tylerze.

- Cóż, widzicie - zaczęła z wahaniem - przyleciał do Jackson Hole i oświadczył mi się, a potem razem wróciliśmy...

- Chwileczkę - przerwała jej Karen. - Oświadczył ci się w Jackson Hole?

Zoey kiwnęła głową.

- Kiedy byłeś u tego kowboja?

- U Tylera Rossa - wyjaśniła Carla, patrząc jednak nie na Karen, tylko na Zoey. - Który, o ile wiem, jest bardzo przystojny.

Karen i Denise wpatrywały się w Zoey z zaciekawieniem.

- Zapomnijmy na razie o oświadczeniach - powiedziała Denise, uśmiechając się przebiegle. - Opowiedz nam o tym Tylerze.

- Nie ma nic do opowiadania - oświadczyła Zoey.

- Tak, jasne - odparła Carla, sugestywnie unosząc brwi.

- Czemu wobec tego tak długo tam siedziałaś? Pamiętacie S.S. „Minnow” i trzygodzinną wycieczkę na Wyspę Gilligana? To podobna sytuacja. Miałaś wrócić po dwóch dniach. Byłaś tam cały tydzień.

- Mówiłam ci, Carla, fotografowałam dzikie konie.

- Aha. I jakie jeszcze dzikie bestie fotografowałaś?

- A tak na poważnie - spytała Denise - jaki jest ten Tyler Ross?

- Cóż - zaczęła niepewnie Zoey - jest wdowcem. Jego żona zmarła kilka lat temu. Mieszka z siostrą, Laurie, i jeszcze do niedawna była z nimi jej córka, Cheryl. W czasie mojego pobytu Cheryl wyszła za mąż. Robiłam zdjęcia na ślubie.

- Żartujesz! - krzyknęła Karen. - Myślałam, że nie zajmujesz się fotografowaniem ślubów.

- Normalnie nie. Ale potrzebowali fotografa, a poza tym są bardzo miłą rodziną.

- Chyba miłszą niż rodzina Briana - zauważyła Carla. Zoey tylko rzuciła jej spojrzenie.

- No a... czy jest atrakcyjny? - spytała Denise.

- T-tak, chyba tak - przyznała Zoey.

- Tak atrakcyjny jak Brian? - naciskała Denise.

- Są zupełnie inni - odpowiedziała dyplomatycznie Zoey. - Tyler ma raczej szorstką aparycję. Ale nie jest głupi - dodała pospiesznie, nie chcąc, żeby przyjaciółki źle go sobie wyobrażały. Tak jak ona, zanim go poznała.

- Hm. Może i ja powinnam odpowiedzieć na jedno z tych ogłoszeń - powiedziała, drażniąc się z nią, Denise. - Myślicie, że znajdzie się jakiś kowboj, który zechce samotnego agenta literackiego w ciąży, z dwoma kotami i rozczarowaniami po poprzednich związkach?

- Właśnie, jak tam twoja ciąża? - spytała Zoey w rozpaczliwej próbie zmiany tematu.

- Dwudziestoczworogodzinne poranne nudności - odpowiedziała ponuro Denise. - Ale lekarz mówi, że powinny się skończyć za parę tygodni, kiedy zaczniesz się drugi trymestr.

Zoey myślała, że dyskusja o Tylerze już się skończyła. Nie wzięła jednak pod uwagę uporcu Carli. Od czasu jej powrotu przyjaciółka próbowała wyciągnąć z niej prawdę i teraz nie miała zamiaru się poddać.

- Co ty i ten Tyler robiliście, kiedy byłeś w Jackson Hole? - spytała. - Urządzaliście sobie długie przejażdżki w świetle księżyca? Może kapaliście się nago w górskim strumieniu?

Ostatnia uwaga była tak bliska prawdy, że Zoey poczuła się niezręcznie. Ku swemu zawstydzeniu zarumieniła się.

- Wiedziałam! - krzyknęła triumfalnie Carla, strasząc jednocześnie kelnera, który właśnie wrócił z drinkami. Kiedy postawił je na stole i odszedł, mówiła dalej: - Zaszło tam dużo więcej, niż masz ochotę przyznać. Spodobał ci się, prawda?

Zoey zdała sobie sprawę, że to na nic się nie zda. To jej najlepsze przyjaciółki - zbyt dobrze ją znały. Zwłaszcza Carla, która nie da spokoju, póki nie pozna całej prawdy.

Westchnęła ciężko.

- Tak, spodobał mi się - szepnęła. Przerwała, po czym dodała: - A, co tam. Zakochałam się w nim.

Pierwszy raz w życiu przyjaciółki zaniemówiły. Wpatrywały się w nią zdumione. Nawet Carla nie była w stanie nic powiedzieć.

Denise uspokajająco ścisnęła jej dłoń.

- W porządku, Zoey. Jesteśmy z tobą.

Wdzięczna Zoey posłała jej uśmiech. Zastanawiała się, co by zrobiła bez tych tak oddanych i wiernych przyjaciółek.

Miała nadzieję, że nigdy nie będzie musiała się o tym przekonać.

Nagle poczuła, że musi im o wszystkim opowiedzieć. Dusila to w sobie i miała wrażenie, że wybuchnie od intensywnych uczuć, jakimi darzyła Tylera. Myślała, że mówienie o nim byłoby zbyt bolesne. Teraz wiedziała, że albo o nim opowie, albo stanie się z nią coś złego.

- Jest zupełnie inny niż mężczyźni, których wcześniej znałam - powiedziała Zoey z rozjaśnioną zachwytem twarzą. - Jest silny fizycznie i emocjonalnie. A jednocześnie niewiarygodnie czuły i delikatny. Nigdy nie przypuszczałam, że mężczyzna może być tak delikatny. Kocha konie i poezję, ma bardzo jasne i niezachwiane zasady. - Przerwała, szukając słów, które opisałyby to, czego nie da się opisać. - To ktoś, kogo naprawdę mogłabym szanować i na kim mogłabym polegać. Jest taki, jakim kiedyś wyobrażałam sobie ojca.

Przerwała zawstydzona. Zmusiła się, by spojrzeć przyjaciółkom w oczy, i zaskoczona zauważyła, że nie mają sceptycznych min. Wręcz przeciwnie, najwyraźniej były poruszone. Nawet Carla.

Denise miała łzy w oczach.

- To brzmi wspaniale - szepnęła drżącym głosem. - Jak mogłaś go zostawić?

- Od śmierci żony i dziecka on w nic nie wierzy. W miłość też nie. W każdym razie nie ze mną - odrzekła powoli Zoey, pamiętając o tym, co usłyszała od Laurie.

- Musi przeszłość zostawić za sobą - powiedziała Karen, ujawniając zaskakujące zaangażowanie. - Póki tego nie zrobi, nie będzie mógł nikogo pokochać. To tragedia dla was obojga, ale szczególnie dla niego. Ty dalej możesz kochać Briana i znaleźć z nim szczęście. Ale Tyler Ross zawsze będzie samotny, bo kurczowo trzyma się czegoś, co dawno utracił.

Przekonanie brzmiące w głosie Karen zdradziło Zoey, że przyjaciółka mówi o czymś, czego z pewnością nie wyczytała w książkach.

- Wiesz, jak on się czuje, prawda? - spytała powoli.

Karen, zwykle słodka i pogodna, wcielenie stereotypu wesołej osoby z nadwagą, poważnie spojrzała jej w oczy. Skinęła głową.

- O tak, wiem. Zanim wyszłam za Alana, kochałam kogoś innego. Bardzo mocno. - Widząc zaskoczone miny przyjaciółek, oznajmiła tonem, którego wcześniej z jej ust nie słyszały:

- Cóż, wcale nie trzeba być pięknym, żeby przeżyć wielką namiętność. - Zanim zdążyły coś odpowiedzieć, dodała:

- W każdym razie on potem został wziętym aktorem. Na tyle znanym, że nie mogę wam zdradzić jego nazwiska. - Carla otworzyła usta. - Zapomnij, i tak wam nie powiem - powiedziała stanowczo Karen. - Rzecz w tym, że dla niego byłam po prostu kolejną panienką do zaliczenia. A on był miłością mojego życia. Kiedy mnie rzucił, pragnęłam umrzeć. Chciałam stracić dwadzieścia, co tam, czterdzieści funtów, być chuda i oszałamiająco piękna, żeby jęczał z żalu, że mnie zostawił. Miałam na jego punkcie obsesję. Mogłam myśleć tylko o nim.

- Ale Alan... - zaczęła Denise.

- Tak, Alan - przerwała Karen. - Cały rok zapraszał mnie na randki, zanim w końcu z nim wyszłam, dla świętego spokoju. Chodziliśmy ze sobą sześć miesięcy, a ja cały czas myślałam o swojej pierwszej miłości i zastanawiałam się, jak go odzyskać. Kiedy Alan poprosił mnie o rękę, odmówiłam. Wiecie, co mi wtedy powiedział?

Pokręciły głowami. Ta historia w ogóle nie odpowiadała ich wizerunkowi związku Karen i Alana. Poznały ją, kiedy już była mężatką, i nie mogły jej sobie wyobrazić w opisywanej sytuacji.

Karen oparła plecy o krzesło i zamknęła oczy.

- Powiedział mi, że wie o tym facecie - kontynuowała głosem nabrzmiałym odczuwanym niegdyś bólem. - Na początku mu to nie przeszkadzało. Ja też nie byłam przecież jego pierwszą miłością. Ale chciał, żebym została ostatnią. On również chciał być moją ostatnią miłością. Powiedział jednak, że jeśli nie potrafię zapomnieć o przeszłości, nie może być dla nas wspólnej przyszłości. Odszedł. Zostawił mnie. Nie widziałam go ani nie słyszałam przez miesiąc. A im więcej czasu upływało, tym lepiej rozumiałam, jaką jestem idiotką. Straciłam najwspanialszego mężczyznę na świecie i szansę na prawdziwe szczęście, bo nie chciałam odpuścić sobie czegoś, czego i tak nigdy nie mogłabym mieć.

- Ale jak w końcu znowu zesłaś się z Alanem? - spytała Carla.

Karen uśmiechnęła się, znowu była sobą.

- Poszłam do niego. Wiedziałałam, że on do mnie nie przyjdzie. Byłam gotowa się przed nim kajać, ale nie pozwolił mi na to. Powiedział, że wystarczy mu, jeśli uczciwie powiem, że go kocham. Wtedy mogłam to już powiedzieć z pełnym przekonaniem. Sześć tygodni później pobraliśmy się. Każdego dnia dziękuję Bogu, że byłam na tyle silna, by uznać, że moje marzenie umarło. No i żeby wiedzieć, że jeśli tylko zechcę, mogę je zastąpić zupełnie nowym marzeniem.

Zoey była głęboko wzruszona szczerym wyznaniem Karen.

- Chyba wiem, czemu nam o tym opowiedziałaś. Karen pochyliła się i spojrzała jej w oczy.

- Chciałabym, żeby ten Tyler Ross przekreślił przeszłość i pozwolił sobie na miłość do ciebie. Byłby wówczas prawdziwym szczęściarzem. Ale jeśli tego nie potrafi, musisz o

nim zapomnieć, bo nie będziesz mogła go mieć. Ułóż sobie życie z Brianem. O ile go kochasz.

- Oczywiście, że go kocham - odparła Zoey. Patrzyły na nią w milczeniu, więc powtórzyła: - Oczywiście, że go kocham. Inaczej bym za niego nie wychodziła.

Nie była jednak pewna, czy próbuje przekonać przyjaciółki, czy siebie.

Tego samego wieczoru siedziała na sofie w mieszkaniu Briana, robiąc notatki dotyczące ich ślubu. Jego apartament był przeciwieństwem kolorowej, wesołej kawalerki Zoey. Przytłumione odcienie szarości i beżu oraz japońskie ryciny na ścianach tworzyły atmosferę czystej perfekcji. Nie sposób tu było położyć nogi na stoliku do kawy czy rozrzucić niedzielną gazetę po podłodze.

Gdy rozglądała się wokół, przyszło jej do głowy, że Brian pewnie zechce, by się do niego wprowadziła. Na pewno nie przeniesie się do niej. Może, pomyślała, będzie mogła zatrzymać kawalerkę i urządzić w niej studio. Tam przecież była ciemnia, na którą brakowało miejsca w małym, trzypokojowym mieszkaniu Briana.

Może, myślała dalej, Brian pozwoli jej trochę zmienić wystrój. Kilka poduszek w kolorowych poszewkach i parę bijących w oczy obrazów Carli na ścianach dużo by dało. Postanowiła, że go zapyta.

- Jeśli pobierzemy się w połowie grudnia - mówił Brian - nie powinno to kolidować z moim rozkładem urlopów. Na Boże Narodzenie i tak dostanę dwa tygodnie wolnego. W ten sposób nie będę musiał brać dodatkowego urlopu. To by nie wyglądało dobrze w chwili, kiedy się zastanawiają, czy przyjąć mnie na współnika.

- Brian - przerwała Zoey - miałbyś coś przeciwko temu, żebym trochę zmieniła wystrój mieszkania?

Przez chwilę milczał.

- O czym konkretnie myślisz? - spytał w końcu ostrożnie. - Chyba nie o gwiazdach na suficie, jak u ciebie?

- Nie - zaśmiała się - jasne, że nie. Wiem, że to by ci się nie spodobało. Chciałabym tylko trochę ożywić atmosferę.

- Przecież zapłaciłem majątek dekoratorowi, żeby wszystko było jak trzeba - upierał się. - Powiedział, że to wnętrze nadaje się do „Przeglądu Architektonicznego”.

- W tym problem - powiedziała szczerze Zoey. - Wygląda jak zdjęcie z czasopisma, a nie jak prawdziwy dom.

Brian przechadzał się dotąd po pokoju, rozmyślając głośno o ślubnych planach. Teraz usiadł obok Zoey i pocałował ją lekko w czoło.

- No dobrze. Małżeństwo oznacza chyba kompromisy. Jeśli chcesz, ożywiaj sobie wnętrze. Tylko nie wieszaj żadnych obrazów Carli. Nie trawię ich.

- Ale to moja najlepsza przyjaciółka. Będzie jej przykro, jeśli nie powieszę jednego czy dwóch jej obrazów.

- Za bardzo przejmujesz się uprzejmościami - zauważył Brian. - Chociaż, szczerze mówiąc - dodał, wtulając się w jej kark - muszę przyznać, że to jedna z rzeczy, które tak mi się w tobie podobają.

- Nie chodzi o uprzejmość - wyjaśniła Zoey, odsuwając się nieco. - Uwielbiam jej obrazy. Myślę, że jest bardzo dobra i któregoś dnia odniesie wielki sukces.

- Prędeż mi kaktus na dłoni wyrośnie - powiedział Brian z ironicznym śmiechem.

- Brian!

- No dobrze - ustąpił. - Możesz zawiesić jeden czy dwa, ale nie więcej. Tylko nie wieszaj ich tam, gdzie musiałbym ciągle na nie patrzeć.

- To małe mieszkanie. Tylko jeden salon i sypialnia - zauważyła Zoey.

- Zawieś je w pokoju gościnnym. Rzadko kiedy ktoś w nim jest. - Zanim mogła dalej się z nim spierać, zmienił temat. - A teraz porozmawiajmy o naprawdę poważnych sprawach.

„O pieniądzach” - pomyślała Zoey.

- O pieniądzach - powtórzył jak echo Brian. - Oboje mamy spore dochody, chociaż moje są trochę większe od twoich. - Na jego twarzy pojawił się uśmiech zadowolenia z siebie. - Dlatego też myślę, że przydałaby się nam intercyza.

Oboje powinniśmy chronić nasz majątek. - Jakby spodziewając się sprzeciwu ze strony Zoey, dodał szybko: - To właśnie radzę wszystkim klientom, którzy wychodzą za mąż czy się żenią. Nie mógłbym chyba nie doradzić tego samemu sobie.

- Jeśli chodzi o mnie, nie ma problemu - zapewniła go Zoey. Tak naprawdę nie dbała o pieniądze Briana. Nigdy. Zastanawiała się, czy uwierzyłby jej, gdyby mu o tym powiedziała.

- To dobrze - powiedział z ulgą. - Każę przygotować intercyzę w ciągu paru tygodni, a ty możesz poprosić jakiegoś prawnika, żeby ją przejrzał.

- Nie potrzebuję prawnika, Brian - powiedziała zmęczonym głosem, nagle wyczerpana tym tematem.

- Cóż, oczywiście możesz zrobić, co uznasz za stosowne. Uważam jednak, że powinnaś się z kimś skonsultować. Poza tym możemy nadal mieć oddzielne konta bankowe na osobiste wydatki i wspólny rachunek na wydatki związane z utrzymaniem domu. W porządku?

- Jasne. - Głos Zoey był przytłumiony.

- I chcę, żebyś wiedziała, że nie oczekuję od ciebie zmiany nazwiska.

To przykuło jej uwagę. Wyprostowała się.

- Co? - spytała.

- Chyba że sama zechcesz przyjąć moje, oczywiście. Wiem, że osiągnęłaś pozycję zawodową pod panińskim nazwiskiem i możesz chcieć przy nim pozostać.

Nie myślała o tym. Zawsze było dla niej jasne, że kiedy wyjdzie za mąż, przyjmie nazwisko męża. Wiedziała, że to dość tradycyjne podejście do sprawy, ale przecież w głębi duszy sama była raczej tradycyjna.

- Myślałam, że przyjmę twoje nazwisko - powiedziała wolno, zastanawiając się, czy on pragnie, żeby to zrobiła.

- To dobrze - odpowiedział z uśmiechem. - Nie chciałem tylko, żebyś myślała, że oczekuję tego od ciebie.

Zoey wiedziała, że czasami niebezpiecznie jest mieć zbyt wysokie oczekiwania, teraz jednak zaczęła się zastanawiać, czy to możliwe, żeby czyjeś oczekiwania były tak niskie.

- I wreszcie - ciągnął Brian - sprawa prezentów ślubnych.

- Prezentów ślubnych? O co ci chodzi?

- Myślę, że jedynym uczciwym rozwiązaniem będzie postanowić, że w przypadku rozwodu każde z nas zatrzyma prezenty od swojej rodziny i przyjaciół. W ten sposób unikniemy sporów o chińską wazę od wujka Toma czy kryształowy świecznik od kuzynki Clary.

- Nie mamy żadnego wujka Toma ani kuzynki Clary - zauważyła Zoey lekko zbita z tropu.

- Och, wiesz, o co mi chodzi. Zgoda? Zoey westchnęła.

- Zgoda.

- To by chyba było wszystko - stwierdził Brian, powstrzymując ziewnięcie. - Jutro przy kolacji możemy zacząć robić listę przygotowań do ślubu. - Nagle coś sobie przypomniał. - Och, przepraszam, jutro wieczorem mam spotkanie. Cóż, może pojutrze. W każdym razie jestem wykończony. Może się położymy?

- Połóż się sam - powiedziała Zoey. - Chcę jeszcze chwilę posiedzieć.

Pocałował ją lekko w usta.

- Dobrze. Tylko nie siedź za długo, bo zasnę. - Mrugnął do niej wymownie.

Kiedy zniknął w sypialni, w głowie Zoey zaczęły szaleć myśli, z którymi od jakiegoś czasu walczyła. Stawało się dla niej jasne, jakie życie czeka ją z Brianem. Życie pod różnymi nazwiskami i z oddzielnymi kontami. Będą spędzać osobno przynajmniej sześćdziesiąt cztery godziny tygodniowo, jako że każde z nich poświęci się karierze. Będą małżeństwem nie bardziej niż dwoje wolnych ludzi z kluczami do tego samego mieszkania.

Zoey łudziła się, że kiedy pojawi się dziecko - jedyne dziecko, jakie będą mieli - coś się w ich życiu zmieni. Brian będzie dbał o utrzymanie potomka, ale czy stanie się serdecznym ojcem?

Zoey wstała, podeszła do okna i spojrzała na ciemne, nocne niebo. Z trudem udało jej się dojrzeć księżyc, przesłonięty warstwami smogu. Przypomniała sobie niebo nad Wyoming - bezkresne i czyste, pokryte niezliczonymi gwiazdami. Nigdy nie podejrzewała, że może ich być aż tyle. Zadała sobie pytanie, czy Tyler też w tej chwili patrzy na księżyc i czy myśli o niej.

Otrząsnęła się i powiedziała sobie, że to bez znaczenia. Karen miała rację. Nie powinno się pragnąć czegoś, czego nie można mieć.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Tyler zabrał źrebackowi pustą butelkę i odstawił ją na bok. W ciągu dwóch tygodni źrebię znacznie przybrało na wadze i stało się silniejsze. Teraz, zamiast upaść po karmieniu na ziemię, szturchnęło opiekuna nosem, chcąc się bawić. Tyler zaśmiał się i pogłaskał aksamitny pysk.

- Zrobił się z ciebie mały twardziel - szepnął.

- A z ciebie straszny głupiec, skoro mówisz do konia.

Tyler spojrzał w górę i zobaczył nad wejściem do boksu głowę Jessego.

- Słyszałem parę razy, jak sam mówiłeś do koni - odpowiedział łagodnie.

- Tylko je przeklinałem - odrzekł Jesse. - Uparte bestie.

- Ale musisz przyznać, że są wspaniałe - upierał się Tyler.

- Wcale nie muszą. Konie są pożyteczne, póki nie sprawiają ci kłopotów. I tyle.

Tyler uśmiechnął się do siebie. Wiedział, że Jesse znacznie bardziej lubi zwierzęta, niż chce przyznać.

- Co zrobimy z tym tutaj, kiedy urośnie? - ciągnął pomocnik. - Nie potrzeba nam więcej koni do jazdy.

- Cheryl i Chuck mają mały kawałek ziemi, na którym w przyszłym roku będą stawiać dom. Chuck zawsze chciał mieć konia. Pomyślałem, że im go damy.

- Ten chłopak nie będzie wiedział, co z nim zrobić - zachnął się Jesse. - Tatuś nigdy mu nie mówił o koniach.

- W takim razie ty go wszystkiego nauczysz - zaproponował Tyler.

- Jakbym nie miał nic innego do roboty - nachmurzył się Jesse.

- Kiedyś będzie z niego dobry koń dla ich dzieci, jeśli się go dobrze wyszkoli - powiedział z naciskiem Tyler. Wiedział, że Jesse chlubi się tym, iż jest najlepszym w okręgu treserem koni.

- No, nie wiem - odparł ten niechętnym tonem.

Tyler jednak wiedział, że Jesse będzie szkolił konia Chucka i Cheryl, czy będą tego chcieli, czy nie.

- A jak go nazwiemy? - spytał Jesse.

- Rudy.

- Rudy? Skąd wzięłeś to imię? Nadaje się w sam raz dla psa.

- Pani Donovan tak go nazwała - wyjaśnił Tyler. - Jeszcze przed wyjazdem.

- Aha. - Jesse skwitował to oświadczenie dwiema wymownymi sylabami. Zapadła cisza. W końcu zapytał: - Wyjechała na dobre?

Tyler skinął głową, próbując nie zwracać uwagi na dziwną suchość w gardle, która pojawiała się za każdym razem, kiedy myślał o Zoey.

- Na początku nie bardzo mi się podobała - mówił Jesse, unikając spojrzenia Tylera.

- Miejska dziewczyna. Zupełnie głupia, jeśli chodzi o tego byka. Ale muszę przyznać, że dobrze sobie radziła, kiedy goniliśmy mustangi. Nie spadła z konia ani nic z tych rzeczy.

- Zgadza się - przytaknął Tyler. - Nie spadła z konia.

- Trzeba jej to przyznać - ciągnął równym głosem Jesse.

- I ładna, jeśli się lubi rude - dodał, rzucając spojrzenie na Tylera.

- Lubisz rude, Jesse? - przekomarzał się Tyler, próbując rozluźnić atmosferę.

- Muszę przyznać, że raczej tak. Chodzi o to, że nigdy nie są nudne. Wiesz, o co mi chodzi?

- Tak - odpowiedział Tyler. - Wiem.

Jesse westchnął.

- Szkoda, że nie wróci. - Zanim Tyler zdążył coś powiedzieć, odwrócił się i odszedł.

- Rudy. Cholernie głupie imię - mruknął do siebie.

Tyler zadał sobie pytanie, co to, u licha, miało znaczyć. Koniec świata - Jesse tęskni za Zoey!

„Czemu nie” - odezwał się jakiś głos. - Przecież ty też za nią tęsknisz”.

Jednak nie miał zamiaru więcej o tym myśleć. Wszedł z boksu i mocno zamknął za sobą drzwi, po czym opuścił stajnie. Zatrzymał się, żeby spojrzeć na nocne niebo. Jak zwykle było pokryte miliardem gwiazd i zdawało się ciągnąć w nieskończoność. Znalazł

konstelację Plejad, siedmiu małych dziewczynek, o których opowiedział Zoey. Wciąż miał przed oczami jej obraz - słuchała legendy jak zauroczona, jej złotorude włosy lśniły w świetle ogniska, szare oczy, tak łagodne i szczerze, patrzyły na niego z ciekawością i oniesmieleniem.

Ta historia pozwalała mu wierzyć, że jego mała córeczka nadal żyje. W jakiś sposób wyczuł, że Zoey to rozumiała.

Zoey... Na początku to imię wydawało mu się dziwaczne. Później, kiedy ją poznał, uznał, że doskonale do niej pasuje. Niezwykłe imię niezwykłej kobiety.

Była tu tylko tydzień, ale wywarła na nich niezatarte wrażenie. Nawet na Jessem. W końcu wróciła do Nowego Jorku, do swojego chłopaka. Tam było jej miejsce - mówił sobie Tyler.

Nie mógł myśleć o Zoey, nie wspominając tego, co czuł, kiedy się z nią kochał. Boże, to było tak niewiarygodnie słodkie! Chciał, żeby to poczucie głębokiego zjednoczenia trwało wiecznie. Z całej duszy pragnął na zawsze pozostać jej częścią.

Kiedy myślał o brutalnych słowach, które potem wypowiedział, i o tym, jak okrutnie ją potraktował następnego dnia, miał ogromne wyrzuty sumienia. Wiedział, że nie powinien był zarzucać jej nieuczciwości, skoro sam zrobił mniej więcej to samo co ona. Kiedy zginął ogier i podeszła do niego, nie miał prawa okazać jej takiej wściekłości. Przecież próbowała go tylko pocieszyć.

Ale on nie chciał pocieszenia. I nigdy nie potrafiłby jej tego wytłumaczyć. Nie chciał też tego, co mogła mu dać - miłości, namiętności i nowej szansy na życie pełną pierśią. Trzymał się kurczowo bolesnej miłości do Sary, jakby w ten sposób mógł zachować ją przy życiu.

Sam na siebie wydał wyrok dożywotniego nieszczęścia, jakby w ten sposób chciał zapłacić za to, co uważał za krzywdę wyrządzoną Sarze. Samotne życie, naznaczone piętnem winy, było jego pokutą. Nie mógł teraz z niej zrezygnować. Nawet gdyby chciał.

Zoey była w ciemni. Wywoływała dwa tuziny negatywów, które wybrała z prawie setki zdjęć zrobionych na ślubie Chucka i Cheryl. Oglądając je, odbywała podróż w czasie. Znowu poczuła przyprawiającą o zawrót głowy eskalację emocji, które ją wtedy

zalewały: podniecenie przed ceremonią, kiedy Cheryl, drużny i Laurie przygotowywały się do ślubu; Cheryl prowadzona pod ramię przez ojca główną nawą, trochę zdenerwowana i bardzo przejęta; Chuck i Cheryl, już jako mąż i żona, idący z powrotem nawą ramię w ramię, promieniejący szczęściem.

Jednak najbardziej przemawiały do Zoey zdjęcia robione po ceremonii, z zaskoczenia, zwłaszcza fotografia Tylera, stojącego samotnie, patrzącego gdzieś w dal z nieodgadnioną jak zwykle miną. Teraz Zoey wiedziała, o czym musiał wtedy myśleć - o swoim ślubie z Sarą i jej przedwczesnym pogrzebie w tej samej kaplicy.

Gdy patrzyła na zdjęcia Tylera, serce jej się ścisnęło. Zastanawiała się, czy będzie mogła kiedyś na nie spojrzeć, nie tracąc przy tym tchu.

Nagle zapragnęła oderwać się od tego wszystkiego. Była zaręczona i powinna myśleć o Brianie, a nie o Tylerze. Powiesiła odbitki, żeby wyschły, po czym wróciła do salonu i zadzwoniła do narzeczonego. Była siódma, pewnie już wrócił do domu. Może mogliby wyjść razem na kolację. Albo też wzięłyby jakieś gotowe jedzenie i pojechała do niego. Było jej wszystko jedno, chciała tylko się z nim zobaczyć, przypomnieć sobie, że go kocha i nie może się doczekać ślubu.

Briana jednak nie było w domu, odezwała się tylko automatyczna sekretarka. Zoey zostawiła krótką wiadomość, w ostatniej chwili dodając: „Kocham cię”.

Wstała i zaczęła chodzić po mieszkaniu niczym zamknięte w klatce zwierzę. Nie mogła usiedzieć w miejscu. Kiedy dziesięć minut później zadzwonił telefon, po prostu rzuciła się na słuchawkę.

- Brian!

- Nie. Przykro mi. - To była Denise.

Rozczarowana Zoey westchnęła, ale starała się, żeby jej głos wyrażał radość z telefonu przyjaciółki.

- Cześć, Denise. Co słychać?

- Jestem w FAO Schwartz, szukam prezentu dla Megan.

Zoey zupełnie zapomniała o zbliżających się czwartych urodzinach Megan, najmłodszej córki Karen.

- O Boże, zupełnie wyleciało mi z głowy - jęknęła. - Jutro urządzą urodziny?

- Tak. Nie mogę się na nic zdecydować. Pomyślałam, że się dowiem, co ty jej kupiłaś.

- Nic. Na śmierć zapomniałam.

- Cóż, przynajmniej będę się czuła mniej winna, że odkładałam to na ostatnią chwilę. Może tu do mnie przyjedziesz, a potem pójdziemy razem na kolację?

Zoey chciała czekać na telefon od Briana. Wiedziała jednak z gorzkiego doświadczenia, że być może narzeczony zadzwoni dopiero w nocy, kiedy już będzie za późno na spotkanie. Nie mogła przy tym znieść myśli o samotnym wieczorze we własnym mieszkaniu.

- Dobrze - zgodziła się. - Wezmę taksówkę i będę za piętnaście minut. Gdzie cię znajdę?

- Gdzieś na parterze.

- W porządku. Na razie. - Odłożyła słuchawkę.

Pół godziny później Zoey i Denise chodziły po FAO Schwartz, słynnym nowojorskim sklepie z zabawkami, który był spełnieniem dziecięcych marzeń. Miały szukać prezentów dla czterolatki, ale Denise ciągle oglądała się za zabawkami dla niemowląt.

- Ojej, spójrz na to - powiedziała, podnosząc przywiązane do żyłek kółko ozdobione kolorowymi zwierzątkami: ślicznymi tygrysami, żyrafami, zebami i słoniami. - Świetnie by wyglądało nad łóżeczkiem, prawda?

- Masz łóżeczko? - spytała Zoey.

- Jeszcze nie. Ale jestem już oficjalnie w drugim trymestrze i zbliżam się do dnia, kiedy poczuję się wystarczająco pewnie, żeby zacząć urządzać pokój dzieciny.

- Masz już coś oprócz tego niebieskiego osiołka? Denise uśmiechnęła się nieśmiało.

- Nie. Głupio zrobiłam, że go kupiłam, ale nie wiedzieć czemu, bardzo chciałam go mieć.

Nagle uwagę ich przykuł mały chłopczyk w wieku około dwóch lat. Przebiegł obok nich, ścigany przez młodą zdenerwowaną mamę.

- Carlisle, w tej chwili wracaj! - krzyczała.

Kiedy zniknęła w tłumie, Zoey i Denise spojrzały na siebie i uśmiechnęły się ironicznie.

- Carlisle? - powiedziały jednocześnie, po czym wybuchnęły śmiechem.

- To brzmi jak nazwa hotelu. Czemu rodzice tak krzywdzą własne dzieci? - spytała Zoey, kręcąc w zdumieniu głową.

- Nie mam pojęcia - odrzekła Denise - ale założę się, że ten mały będzie musiał często chodzić do psychoanalityka, jak dorośnie.

- Nie cierpiałam swojego imienia, kiedy byłam mała - wyznała Zoey.

- Przecież jest ładne - odparła Denise. - Oryginalne.

- Oryginalne, to prawda - powiedziała ponuro Zoey.

- Inne dzieci się ze mnie wyśmiewały. Dałabym wtedy wszystko za jakieś zwykłe imię, na przykład Jane albo Jennifer. A ty wybrałaś już jakieś imię? Na przykład Marriott albo Sheraton?

Denise uśmiechnęła się.

- Nic tak niezwykłego. Zawsze podobało mi się imię Christopher. Kiedy dorastałam, bardzo chciałam mieć młodszego braciszka i zawsze wyobrażałam sobie, że ma na imię Christopher. Tak go nazwę, jeśli to będzie chłopiec.

- A jeśli to dziewczynka? Denise zmarszczyła brwi.

- Nie wiem. Nie przyszło mi do głowy żadne imię dla dziewczynki, które by mi się spodobало.

Zoey spojrzała na nią uważnie.

- Myślisz, że to będzie chłopiec, prawda?

- To nie tak... - zaczęła zaprzeczać Denise, ale przerwała i spojrzała na Zoey przepraszająco. - Tak, myślę, że to będzie chłopiec. Ciekawe, czy mam rację.

- Cóż, jeśli masz, zacznę wierzyć w macierzyńską intuicję.

- Wiesz co - zaczęła Denise - Karen mi mówiła...

Nagle zamilkła i twarz wykrzywiła jej się z bólu.

- Co się stało? - spytała zaniepokojona Zoey.

W jednej chwili krew odpłynęła z twarzy Denise. Dotknęła rękami brzucha.

- Skurcz. Naprawdę mocny. Ale przecież...

Nie zdążyła dokończyć zdania. Zgięła się z bólu i zagryzła wargi.

- Denise! - krzyknęła Zoey.

- O Boże - jęknęła Denise - zabierz mnie do szpitala. Natychmiast!

Trzy przyjaciółki siedziały w poczekalni pogotowia w Szpitalu Miejskim na Manhattanie. Carla nerwowo chodziła po pomieszczeniu, Karen bezskutecznie próbowała skupić się na czytaniu jakiegoś czasopisma, a Zoey zwinęła się w rogu twardej sofy, wpatrując się gdzieś w próżnię. Kiedy z sali pogotowia wyszedł lekarz, wszystkie trzy z nadzieją wbiły w niego wzrok, ale minął je i podszedł do starszej kobiety, siedzącej po drugiej stronie poczekalni. Powiedział coś do niej cicho, a ona wybuchnęła płaczem.

Po chwili uspokoiła się i lekarz zaprowadził ją do sali pogotowia. Przez otwarte drzwi dobiegało jej smutne łkanie.

Carla wyrzuciła ręce do góry.

- Kiedy w końcu się czegoś dowiemy?! Minęły już dwie godziny!

Zmęczona Karen westchnęła.

- Jestem pewna, że poinformują nas, kiedy tylko będą coś wiedzieli.

- Posłuchajcie - zaczęła Zoey - zrobiło się późno i obie musicie jutro iść do pracy.

Wracajcie do domu, zadzwonię do was.

Obie pokręciły głowami.

- Nie ma mowy - powiedziała stanowczo Carla.

- Nie zostawimy cię tutaj samej - dodała Karen. - A poza tym chcemy być przy Denise, kiedy... no, kiedy już będzie po wszystkim.

- Myślisz, że poroniła, prawda? - spytała Zoey, po raz pierwszy mówiąc otwarcie o nękających je wszystkie obawach.

- Nie wiem - odpowiedziała zbyt szybko Karen. - To, że mam dzieci, nie znaczy, że jestem ekspertem od spraw ciąży.

Jednak Zoey i Carla uporczywie się w nią wpatrywały, nie mając zamiaru dać jej się wywinąć. Karen odwróciła wzrok - nie była w stanie wytrzymać ich spojrzeń.

- Tak - szepnęła. - Obawiam się, że na to wygląda.

- Bała się, że to się może zdarzyć - powiedziała powoli Zoey, starając się nie rozplakać. - Pierwsza ciąża w jej wieku... - Głos jej się załamał.

- Nawet jeśli to się stało, to nie znaczy, że Denise nie będzie mogła spróbować jeszcze raz - powiedziała Karen z wymuszonym optymizmem.

Carla nachmurzyła się.

- Nie wiem, czemu tak bardzo chce mieć dziecko. Nigdy tego nie zrozumiałem. Czuję się strasznie, gdybym zaszła w ciążę. Ale ona niczego bardziej nie pragnęła. - Westchnęła ciężko. - To ją zupełnie załamało. - Nagle uderzyła dłonią w ścianę. - Cholera, to takie niesprawiedliwe! Tyle kobiet zachodzi w ciążę, kobiet, które nie chcą dzieci i nie mogą się nimi zajmować! Co tam, zachodzą w ciążę nastolatki, którym ciąża w ogóle nie jest do niczego potrzebna! Denise byłaby najlepszą matką na świecie, a tu proszę, co się jej przytrafia!

Zoey podeszła do Carli i uścisnęła ją mocno.

- Już dobrze - szepnęła. - Bez względu na to, jak źle jest z Denise, wszystko będzie dobrze.

Carla starła łzy z oczu.

- Nie wiem, czemu tak się tym przejmuję. Nawet nie lubię dzieci.

Zoey uśmiechnęła się do niej przez łzy.

- Przejmujesz się z tego samego powodu co my. Dlatego że ją kochamy i nie chcemy, żeby cierpiała. A teraz będzie bardzo cierpieć.

Wróciła na sofę. Dalej czekały w milczeniu. Minał jakiś czas. W przylegającym do małej poczekalni korytarzu panował normalny ruch. Policjant przyprowadził zakrwawioną ofiarę jakiejś burdy, pielęgniarka przywiozła siedzącego w wózku inwalidzkim starszego mężczyznę. Przeszło jeszcze parę osób.

Było po północy, kiedy lekarz pogotowia wszedł do poczekalni.

- Pani przyjaciółka wyjdzie z tego - powiedział zmęczonym głosem do Zoey. - Przeniesiono ją na górę do izolatki.

- Możemy się z nią zobaczyć? - spytała od razu Zoey. Lekarz pokręcił głową.

- Obawiam się, że nie. Dostała mocne środki uspokajające. Ale jeśli wszystko pójdzie dobrze, jutro będzie mogła wrócić do domu. Odbierze ją pani?

- Tak.

- To dobrze. Ktoś powinien przy niej być. Proszę rano zadzwonić, to powiedzą pani, o której zostanie wypisana.

- A co z dzieckiem? - Dopiero teraz, kiedy już wiedziały, że z Denise wszystko w porządku, Carla odważyła się zapytać o to, co je najbardziej nękało.

Brazowe oczy lekarza były pełne życzliwości, ale i smutku. Pokręcił głową.

- Przykro mi.

Zoey poczuła się strasznie. Biedna Denise. Rozpadło się jej kruche marzenie.

- Czy ona wie? - spytała Karen.

- Tak - odpowiedział lekarz. Zawahał się, po czym dodał z zakłopotaniem: - Zauważyłem, że nie ma obrączki. Czy jest z paniami ojciec dziecka?

- Nie ma żadnego ojca - odrzekła bez namysłu Zoey. - To było sztuczne zapłodnienie - wyjaśniła, widząc zdziwienie lekarza. Czując potrzebę usprawiedliwienia przyjaciółki, dodała: - Bardzo chciała mieć dziecko i sądziła, że to jedyne rozwiązanie.

- Poronienie zawsze jest ciężkim przeżyciem, szczególnie gdy dziecko jest tak upragnione jak w przypadku pani przyjaciółki - powiedział po prostu lekarz. - Dobrze chociaż, że nie musi przez to przechodzić sama - dodał głosem, w którym brzmiało prawdziwe ciepło. - Najwyraźniej ma bardzo dobre przyjaciółki.

Zoey uśmiechnęła się lekko w podziękowaniu. To prawda, Denise miała dobre przyjaciółki. I świetną pracę, i piękne mieszkanie. Wygodne życie i urodę, której wiele kobiet mogłoby jej pozazdrościć. Żadna jednak z tych rzeczy nie miała teraz znaczenia, bo właśnie straciła to, co było dla niej najważniejsze.

Lekarz przeprosił je i poszedł zająć się innym pacjentem. Trzy przyjaciółki opuściły poczekalnię. Gdy stały przed szpitalem, czekając na zamówioną taksówkę, Carla i Karen obiecały, że odwiedzą Denise jutro od razu po pracy. Po kilku minutach podjechała taksówka. Jadąc do domu milczały, pogrążone w żalu.

Po przybyciu do domu Zoey przesłuchała automatyczną sekretarkę. Brian zostawił jej wiadomość. Powiedział, żeby do niego zadzwoniła, jeśli wróci przed północą; jeśli nie,

niech nie zadaje sobie trudu, bo i tak będzie już spał. Musiał wcześniej wstać, bo miał rano ważne spotkanie.

Bardzo chciała z nim porozmawiać, opowiedzieć o tym, co się stało, znaleźć pocieszenie w jego ramionach, podzielić się troską o Denise. Wiedziała jednak, że Brian nie zrozumie. Powie, że to tylko poronienie. Co innego, gdyby Denise urodziła dziecko, a ono by potem umarło...

Zoey wiedziała jednak, że dla Denise poronienie oznacza śmierć. I to szczególnie tragiczną, bo przedwcześnie kończącą życie, które jeszcze nie miało szansy na dobre się zacząć.

Ale Brian nie widziałby tego w ten sposób. Zdenerwowałby się, że przerwano mu sen, kiedy potrzebował wypoczynku przed porannym spotkaniem.

Myśl, że nie może zwrócić się do Briana, kiedy go najbardziej potrzebuje, przyprawiła Zoey o mdłości. Ale jak zwykle, kiedy łapała się na poważnej krytyce Briana i podawaniu w wątpliwość wartości ich związku, natychmiast się wycofała. Powiedziała sobie, że jest wobec niego niesprawiedliwa. Był mężczyzną - nie mogła się po nim spodziewać zrozumienia uczuć Denise i smutku jej przyjaciółek.

„Tyler by zrozumiał” - powiedział jakiś cichy głosik. Tyler wiedział, co to strata.

Ten tok rozumowania donikąd jednak nie prowadził. Zoey wyrzuciła z myśli Tylera, zrobiła sobie szklanekę ciepłego mleka i poszła spać, ale mimo mleka, późnej godziny oraz fizycznego i emocjonalnego wyczerpania długo nie mogła zasnąć.

Następnego dnia po południu Zoey przywiozła Denise do domu. Zawsze uważała, że mieszczące się w starej kamienicy mieszkanie przyjaciółki jest wspaniałe - miało bladożółte ściany, biały gzyms wokół sufitu i meble o niebiesko-żółtym obiciu. Wyglądało jak kawałek Anglii na Manhattanie i zazwyczaj było słoneczne, wesołe i wygodne. Teraz jednak, kiedy do niego weszły, wydawało się puste i opuszczone.

- Może zrobię herbatę? - zaproponowała Zoey.

Denise, nienaturalnie spokojna, tylko skinęła głową. Nie wypowiedziała nawet dziesięciu słów, odkąd Zoey odebrała ją ze szpitala. Ani nie płakała. Po prostu zachowywała ponure milczenie i sztywną samokontrolę.

Mimo to bardzo serdecznie podziękowała doktorowi Kenneally'emu, lekarzowi pogotowia, który się nią zajmował.

Zoey była zaskoczona, zastając doktora w izolatce Denise. Zdziwiła się jeszcze bardziej, kiedy ten się uparł, że sam odwiezie pacjentkę na wózku do oczekującej taksówki. Wiedziała, że zwykle takie drobne zadania wykonują pielęgniarki. Zerknęła odruchowo na jego lewą dłoń i zauważyła, że nie ma na niej obrączki. Nie mogła się powstrzymać od różnych spekulacji, wiedziała jednak, że nie powinna nic o tym mówić Denise.

Teraz przyjaciółka osunęła się ciężko na kanapę i oparła stopy o puf. Zoey poszła do kuchni i w ciągu kilku minut przygotowała tacę z herbatą i małym talerzykiem angielskich herbatników cynamonowych. Nie była pewna, czy Denise zechce ich spróbować, ale zamierzała zmusić ją do jedzenia. Wyglądała blado i słabo. Musiała zacząć odzyskiwać siły.

Kiedy jednak wróciła do salonu, nie zastała Denise na kanapie. Postawiła tacę na stoliku z wiśniowego drewna i poszła jej szukać. Wiedziała, gdzie ją znajdzie - Denise siedziała na podłodze pustej sypialni, która miała być pokojem dziecięcym. Przed nią stał niebieski osiołek, pierwsza i jedyna zabawka, jaką kupiła dla dziecka. Denise podniosła go i pokręciła ukrytą korbką, po czym odstawiła osiołka na podłogę. Zaczął kiwać głową w rytm granej przez pozytywkę „Ośleń serenady”.

Zoey podeszła do przyjaciółki i usiadła obok niej. Denise spojrzała na nią zaszklonymi od łez oczami.

- To był chłopczyk - szepnęła przerywanym głosem. - Christopher...

W końcu zapłakała. Zoey ją objęła i płakała razem z nią.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Po kilku dniach Denise zaczęła odzyskiwać siły i była w stanie przynajmniej udawać, że pogodziła się z utratą dziecka. Wróciła do pracy i zapewniała przyjaciółki, że nic jej nie jest. Zoey nie do końca w to wierzyła, ale wiedziała, że nie może bezustannie nad nią czuwać i bez końca pocieszać. Denise powinna zająć się własnym życiem. Zoey rozumiała, że i jej dobrze by to zrobiło.

Pewnego gorącego sierpniowego dnia zaplanowała więc romantyczną kolację z Brianem. Cały ranek chodziła po ekskluzywnych sklepach w poszukiwaniu najświeższych owoców i warzyw, najwspanialszych kawałków mięsa i najwyśmienitszego wina. Kupiła bukiet białych róż na stół i nowe białe świece do cynowego lichtarza, który dostała od Briana na ostatnie Boże Narodzenie.

Popołudnie spędziła u manikiurzystki, pedikiurzystki, kosmetyczki i fryzjera. Zwłaszcza to ostatnie powinno zrobić wrażenie na Brianie - często narzekał na jej „nieujarzmione” włosy. Kupiła seksowny śnieżnobiały sarafan z delikatnej tkaniny przetykanej srebrną nitką i pasujące do niego srebrne sandały. Pod spód włożyła bieliznę z białej koronki, kupioną na Victoria Street - chowała ją na specjalny wieczór z Brianem.

Mieli różne gusta muzyczne - ona uwielbiała jazz, on wolał muzykę poważną - kupiła więc płytę kompaktową z najbardziej znanymi utworami Mozarta. Miała nadzieję, że zadowoli nią Briana.

Przed siódmą wszystko było gotowe do nastrojowej kolacji dla dwojga: stół zastawiony porcelaną i kryształami, wino otwarte, świece zapalone. Mieszkanie wypełniały cudowne tony najpiękniejszych utworów Mozarta. Wołowina a la Wellington grzała się w piekarniku, angielski biszkopt z kremem, ulubiony deser Briana, czekał w lodówce, a Zoey kończyła się szykować.

Właśnie spryskała nadgarstki i szyję perfumami, które Brian bardzo lubił, kiedy zadzwonił telefon. Serce jej zamarło. Wyczuła, że to on, i wiedziała, co może oznaczać telefon o tej porze - albo miał się spóźnić, albo w ogóle nie przyjdzie. Z wahaniem podniosła słuchawkę.

- Słucham?

- Cześć, kotku - zaczął Brian lekkim tonem. - Obawiam się, że będę musiał do późna pracować - dodał rzeczowo, zanim Zoey zdążyła odpowiedzieć. - Kryzys ze sprawą Forbesa. Jutro musimy przedstawić wniosek o oddalenie zarzutów. Nie czekaj na mnie z kolacją.

Biorąc pod uwagę historię ich związku, nie był to nieoczekiwany obrót sprawy. Mimo to tym razem Zoey była rozczarowana bardziej niż zwykle. Poświęciła przygotowaniu tej kolacji tyle czasu i starań, tak bardzo czekała na intymny, romantyczny wieczór z Brianem, pierwszy po bardzo długiej przerwie. Odkąd wróciła z Wyoming, był między nimi pewien dystans, którego nie zdołały przezwyciężyć nawet zaręczyny. Chciała znów poczuć z nim bliskość - bliskość z mężczyzną, którego za parę miesięcy miała poślubić. Ten wieczór mógł tego dokonać.

Teraz, zamiast automatycznie się zgodzić, jak to zwykle robiła, zaprotestowała.

- Ale przygotowałam specjalną kolację, twoje ulubione dania: wołowinę a la Wellington, biszkopt, wino tak drogie, że nawet nie potrafię wymówić jego nazwy.

- Mmm, brzmi pysznie. Zostaw dla mnie kolację w piekarniku. Zjem, kiedy przyjadę.

- To znaczy kiedy? - spytała spiętym głosem Zoey,

- Nie jestem pewien, ale zapewniam cię, że zjawię się najszybciej, jak będę mógł. Muszę kończyć.

- Brian - powiedziała szybko Zoey, zanim zdążył odłożyć słuchawkę - ten wieczór jest bardzo ważny. Nie mógłbyś chociaż raz zapomnieć o pracy?

- Zapomnieć? Zoey, to sprawa Forbesa. Wiesz, jak jest dla nas ważna.

- Wygląda na to, że wszystkie są bardzo ważne. Na pewno ważniejsze niż ja - odrzekła z westchnieniem.

- Co z tobą, masz okres, czy jak? - Nawet przez telefon wyczuła, że jest zniecierpliwiony.

- Czemu sądzisz, że coś ze mną musi być nie tak, kiedy proszę cię, byś dla odmiany pomyślał o mnie, a nie o pracy?

- No tak - powiedział chłodno. - Widzę, że masz ochotę na jedną z tych rozmów. Cóż, obawiam się, że dzisiaj nie mogę zadowolić twojej zachcianki. Mam bardzo dużo pracy. Może lepiej będzie, jeśli w ogóle do ciebie nie przyjadę.

- Może i tak - zgodziła się Zoey, czując, jak ogarnia ją złość. Zadowolić jej zachcianki!

- Zadzwoń do ciebie jutro, kiedy wrócę z sądu - zakończył Brian, nie czekając nawet na odpowiedź.

Zoey stała przez chwilę ze słuchawką w rękę, ściskając ją tak mocno, że aż zbieleły kostki. W końcu rzuciła nią w telefon i zaklęła siarczyście. Podeszła do stołu i zdmuchnęła świeczki. Następnie wyłączyła Mozarta. W kuchni wyjęła wołowinę z piekarnika. Zastanawiała się poważnie nad wyrzuceniem jej do śmieci.

Nagle przyszedł jej do głowy pomysł. Korzystając z wiszącego w kuchni telefonu, zadzwoniła do Karen.

- Cześć, to ja. Zrobiłaś już kolację?

- Żartujesz? - zaśmiała się Karen. - Jestem pracującą kobietą z trójką dzieci i mężem, który nie potrafi zgotować wody na herbatę. Właśnie się zastanawiam, czy dzisiaj będzie wieczór z pizzą, czy z chińskim żarciem.

W tle rozległy się głośne pomruki niezadowolenia.

- Och, mam, mamy już dosyć pizzy - powiedziała jedna z córek Karen.

- Co byś powiedziała na wołowinę a la Wellington, kaczany sałaty palmowej i biszkopt z kremem?

- Czy to podchwytliwe pytanie?

- Nie, to kolacja dla narzeczonego, który nie przyjdzie.

- Aha - odrzekła Karen, powoli cedząc te dwie sylaby. - Cóż, przykro mi, że Brian to palant, ale moja rodzina będzie wdzięczna za wszystko, czego nie wyjmuję się z kartonu albo mikrofalówki.

- Podrzucę ci to za jakieś pół godziny.

- Z dostawą do domu? Niezła z ciebie firma.

- I tak wyjeżdżam z miasta - wyjaśniła Zoey.

- Dokąd się wybierasz?

- Do domu - odpowiedziała, zawierając w tych dwóch prostych słowach wszystkie uczucia świata.

Dochodziła północ, kiedy Zoey przybyła do piętrowego, obitego białym drewnem domu z niebieskimi okiennicami, który stał pośrodku miasteczka Chesterton, leżącego na skraju parku Adirondack. Nora Donovan czekała na córkę, ale z powodu późnej pory pozwoliła jej iść spać, nie wypytując o powód tej nagłej wizyty w domu.

Zoey opadła na łóżko w swoim starym pokoju, obitym lawendową tapetą. Zbierając siły na rozpakowanie się, przebranie w koszulę nocną i umycie twarzy, pomyślała, jak dobrze znowu być w domu.

Kiedy następnego dnia matka wróciła z pracy po ósmej wieczorem, Zoey czekała na nią z kolacją. Była bardzo prosta - składała się z zupy z soczewicy i placków kukurydzianych - jednak matka zareagowała na nią jak na prawdziwą ucztę.

- Nie masz pojęcia, jak miło jest wrócić do domu po ciężkim dniu pracy i nie musieć się martwić o to, co zrobić na kolację - powiedziała z uśmiechem wdzięczności.

- To bardzo niewiele z mojej strony, mamo, po tych wszystkich posiłkach, które dla mnie ugotowałaś - odpowiedziała również z uśmiechem Zoey.

Nora usiadła przy białym stoliku kuchennym, porysowanym przez trójkę dzieci, i zaczęła jeść pyszną gorącą zupę.

- To strasznie miłe uczucie, kiedy dzieci stają się na tyle dojrzałe, żeby robić takie rzeczy, zanim ktoś je o to poprosi. Kiedy byłaś nastolatką, myślałam, że ta chwila nigdy nie nadejdzie.

- Kiedy byłam nastolatką, byłam całkowicie zajęta sobą. Nie przyszło mi do głowy zrobić coś dla kogoś innego, bo nie bardzo zdawałam sobie sprawę z istnienia innych ludzi.

Nora zaśmiała się.

- No nie, nie było z tobą tak źle. Za to twoi bracia... - Pokręciła głową. - To dopiero były urwisy.

- Małe bestie - dodała Zoey z ciepłym uśmiechem, który zaprzeczał jej słowom.

- Byłaś dla nich bardzo dobra - powiedziała poważnie Nora. - Wzięłaś na siebie obowiązki, których nie powinnaś była przyjmować. Nie wiem, jak bym sobie bez ciebie poradziła.

Zoey opuściła wzrok, zawstydzona rzadkim, szczerym komplementem. Przyzwyczajona była do tego, że matka dawała jej płynące z dobrego serca, chociaż raczej nie znoszące sprzeciwu rady, więc teraz nie wiedziała, jak ma zareagować.

- Nie robiłam tak dużo - odparła niezręcznie. Potem, póki nie opuściła jej odwaga, powiedziała coś, co chciała powiedzieć, odkąd poznała Laurie i zdała sobie sprawę, jak trudno być samotną matką. - Naprawdę cię podziwiam, mamó, za to, że sama nas wychowałaś. Musiało ci być bardzo ciężko i pewnie czasami bałaś się o przyszłość. Ale zawsze wydawałaś się taka... taka odważna.

Te słowa najwyraźniej ucieszyły i zawstydziły Norę.

- Nie było to nic więcej niż odwaga, jaką się znajduje w skrajnej sytuacji. Człowiek robi wtedy to, co musi zrobić.

- Nie każdy potrafi stanąć na wysokości zadania - stwierdziła Zoey. - Ty potrafiłaś. Nie doceniałam tego wcześniej, ale niedawno poznałam kobietę, która też musiała praktycznie sama wychować dziecko.

- Gdzie ją poznałaś? - spytała Nora.

Zoey nie chciała jednak wdawać się w dyskusję o Wyoming i Tylerze. Odpowiedziała wymijająco i zmieniła temat.

Reszta posiłku upłynęła im na niewinnej rozmowie, ale kiedy skończyły kolację, umyły naczynia i usiadły z herbatą w wygodnym salonie, Nora zadała Zoey pytanie, które już wczoraj chciała jej zadać.

- Coś jest nie tak między tobą a Brianem, prawda?

Zoey nigdy nie potrafiła matce skłamać, czy chodziło o godzinę powrotu z randki, czy o odrobienie pracy domowej. Spojrzała jej w oczy.

- Chyba nie będziemy razem szczęśliwi - powiedziała. - Teraz nie jestem szczęśliwa i nic się nie zmieni na lepsze, kiedy się pobierzemy.

- Po co więc za niego wychodzisz? - spytała Nora z nieubłaganą logiką.

- Bo potrzebuję jego miłości - odpowiedziała powoli Zoey. - Gdybym jej nie miała, nie wiem, co by się ze mną stało.

- Och, Zoey, jesteś śliczną, mądrą, utalentowaną dziewczyną. Ktoś inny cię pokocha, ktoś, kto będzie umiał dać ci szczęście.

Zoey pokręciła głową.

- Nie jestem pewna. Nie czuję się godna miłości.

- No wiesz, jesteś najbardziej godną miłości dziewczyną na świecie! - powiedziała z przejęciem Nora.

- Mój ojciec tak nie myślał. - Po raz pierwszy Zoey odważyła się wyjawić matce swe najciemniejsze wątpliwości. Po wypowiedzeniu bolesnych słów nie zdobyła się na to, by spojrzeć jej w oczy. Nie słysząc odpowiedzi, zerknęła na matkę i ze zdumieniem zobaczyła, że ta jest zdruzgotana.

- Przez cały czas nawet mi to do głowy nie przyszło - szepnęła ledwo słyszalnie Nora.

Zdając sobie sprawę, że zadała matce ból, Zoey szybko zapragnęła go uśmierzyć.

- Wszystko w porządku, mamo. To było tak dawno, że nie ma już żadnego znaczenia.

- Właśnie, że ma - odpowiedziała drżącym głosem Nora.

- Ciągle mam nadzieję, że nadejdzie czas, kiedy to przestanie mieć znaczenie, ale coś się na to nie zanosí.

- W każdym razie to nie twoja wina, więc nie martw się tak bardzo, dobrze? - poprosiła Zoey, czując się znów jak mała dziewczynka, która widzi, że matka jest nieszczęśliwa, i chce to jakoś naprawić.

Nora jednak pokręciła głową.

- W pewnym sensie to moja wina - powiedziała. - Nie załatwiłam tego ucziwie. Myślałam, że podjęłam słuszną decyzję, teraz jednak widzę, że tylko nie pozwoliłam zabić się ranie. - Spojrzała na Zoey przez łzy. - Nie chciałam po prostu jeszcze bardziej was ranić, skoro i tak cierpieliście. A prawda była taka brzydka.

Zapadło pełne napięcia milczenie i Zoey wyczuła, że za chwilę jakiś duch będzie mógł w końcu spoczywać w spokoju.

- To znaczy? - spytała ostrożnie, niepewna, czy chce usłyszeć odpowiedź.

Nora pochyliła się, jakby chcąc zmniejszyć dystans między sobą a córką.

- Och, Zoey, nie chodziło o to, że nie byłaś godna miłości. Problem w tym, że twój ojciec nie był w stanie kochać. Był alkoholikiem i nie potrafił kochać nikogo ani niczego poza butelką.

Zoey osłupiała. Chociaż nagle wszystko zaczęło mieć sens: niechęć matki do podawania alkoholu w domu, pamiętane jak przez mgłę uwagi ciotek i wujków na temat „problemu” ojca, niemal patologiczny strach Nory, czy synowie aby nie czują pociągu do kieliszka, kiedy byli jeszcze nastolatkami.

Spojrzała na matkę, jakby pierwszy raz widziała ją wyraźnie. Tak długo ukrywała ten straszny sekret!

- I co się stało? - spytała, chcąc wiedzieć o wszystkim i nie licząc się z ewentualnym bólem.

Matka westchnęła ciężko i oparła plecy o krzesło.

- Twój ojciec był alkoholikiem, jeszcze zanim za niego wyszłam, tylko że nie zdawałam sobie z tego sprawy - powiedziała z zamkniętymi oczami, jakby recytując opowiadaną tysiącny raz historię. - W tamtych czasach niewiele się mówiło o alkoholizmie. Wiedziałam tylko, że lubił pić, a kiedy czasami wypił za dużo, nie zachowywał się najlepiej. - Otworzyła oczy, spojrzała na Zoey i mówiła dalej smutnym głosem: - Był bardzo nieszczęśliwy i zwykle wyładowywał to swoje nieszczęście na innych ludziach. Nawymyślał szefowi i został zwolniony. Zarzucał mi, że mu nie pomagam, kiedy się martwiłam, jak dotrwamy do końca miesiąca. Nie wiem, czemu był tak bardzo nieszczęśliwy, dziecko, po prostu był. I coraz częściej próbował o tym zapomnieć, sięgając po butelkę, co jeszcze pogarszało sytuację.

- Dlaczego odszedł? - Zoey wypowiedziała w końcu dręczące ją od dwudziestu siedmiu lat pytanie.

- Kiedy zostałam pielęgniarką i zaczęłam pracować w szpitalu, dowiedziałam się więcej o alkoholizmie - wyjaśniała Nora. - Jeden z lekarzy, którego żona miała ten sam problem, namówił mnie, żebym poszła na spotkanie grupy anonimowych alkoholików. Bardzo dużo się tam nauczyłam. Wystarczająco dużo, by wiedzieć, że nie mogę pozwolić

na ten stan rzeczy. Powiedziałam twojemu ojcu, że musi dać sobie pomóc - albo odejść. Zaprzeczył, jakoby miał jakiś problem, i odszedł.

- Czemu nam nie powiedziałaś? - spytała Zoey, myśląc o braciach, którzy tak jak ona nigdy nie wiedzieli, czemu ojciec ich opuścił.

Na twarzy matki malowało się ogromne poczucie winy.

- Teraz wiem, że źle załatwiłam sprawę, ale wtedy byłam bardzo nieszczęśliwa i przerażona. Bałam się, że ty i chłopcy będziecie mnie winić za odejście ojca. Nawet po tym wszystkim nie chciałam, żebyście źle o nim myśleli. Nadal go kochałam i miałam nadzieję, że się wyleczy i wróci do domu. Minęły lata, zanim przyjął do wiadomości, że to się nigdy nie stanie.

W duszy Zoey szalała straszna burza emocji: wstydu, że jej ojciec jest alkoholikiem, żalu do matki, która nie znalazła lepszego wyjścia z sytuacji, a jednocześnie uznania za to, że poradziła sobie najlepiej, jak wtedy umiała.

Zmusiła się do zadania jeszcze jednego trudnego pytania.

- Wiesz, co się potem z nim działo? Czy jeszcze żyje? Matka bezradnie pokręciła głową.

- Nie wiem. Jego rodzina od lat nie otrzymywała od niego wiadomości. Ostatnie, co o nim wiadomo, to że mieszkał w przytułku dla ubogich w Bostonie. Ale to było dziesięć lat temu.

- W takim razie może nie żyje i nikt o tym nie wie - powiedziała ze smutkiem Zoey. Nora skinęła głową, nie będąc w stanie wykrztusić z siebie ani słowa więcej.

Patrząc na matkę, Zoey zrozumiała, ile kosztowało ją ujawnienie tego wszystkiego. Przypomniała sobie, że postąpiła tak jedynie w trosce o nią. Nie chciała, żeby córkę nadal dręczyła wątpliwość, czy jest warta miłości.

Matka położyła dłoń na jej rękę.

- Posłuchaj mnie, Zoey - powiedziała z desperacją. - Jeśli tak naprawdę nie kochasz Briana, jeśli nie jesteś z nim szczęśliwa, nie wychodź za niego. Zaslugujesz na kogoś, kto potrafi sprawić, że poczujesz się kochana.

W końcu Zoey spojrzała prawdzie w oczy. Nigdy tak naprawdę nie kochała Briana. Uczepiła się go, sądząc, że jeśli uda jej się rozkochać w sobie tego mężczyznę, sprawić, że się z nią ożeni - wynagrodzi sobie w ten sposób odejście ojca.

Po chwili niczym meteor spadło na nią inne objawienie. Zanim poznała Tylera, nigdy nie była naprawdę zakochana. Nie mogła sobie pozwolić na prawdziwą miłość, skoro tak bardzo zawiódł ją ktoś, kogo tak mocno kochała, będąc dzieckiem. Dorastając w poczuciu straty i porzucenia, stworzyła w sobie mechanizmy ochronne. Kiedy już dorosła, niełatwo było zrzucić skorupę, która pozwalała przetrwać utratę ojca.

Zrzuciła ją jednak przy Tylerze. Zaufała mu, czuła się z nim bezpieczna i po niecałym tygodniu znajomości potrafiła się przed nim otworzyć tak, jak nigdy nie uczyniła tego przed Brianem.

- Tak mi przykro, dziecinko - szepnęła zafrasowana Nora. Zoey uśmiechnęła się do niej łagodnie.

- W porządku, mamó. Cieszę się, że powiedziałaś mi prawdę. Będziesz też musiała powiedzieć ją chłopcom.

- Wiem - zgodziła się matka, najwyraźniej nie bardzo ucieszona tą perspektywą.

- Lepiej być uczciwym, bez względu na ból - przekonywała ją Zoey. - Myślę, że teraz przynajmniej będę w stanie uczciwie załatwić parę spraw w moim życiu.

- Chodzi ci o Briana, prawda?

- Tak. O Briana.

„I Tylera” - dodała już w myślach.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Zdumiony Brian wpatrywał się w Zoey.

- Jak to: nie chcesz za mnie wyjść?!

Rozumiała jego złość i dezorientację. Od lat dawała mu jasno do zrozumienia, że właśnie tego chce. Teraz, kiedy w końcu się jej oświadczył, mówiła: „Nie, dziękuję”.

Stali twarzą w twarz w jego mieszkaniu. Pomyślała, że właśnie tam najlepiej to załatwi - będzie mogła wyjść jak najszybciej, gdy już powie, co miała do powiedzenia. Kiedy wczorajszej nocy wróciła do miasta, na jej automatycznej sekretarce było już kilka wiadomości od Briana, który pytał, gdzie, u licha, się podziewa. Od razu do niego zadzwoniła i nie wyjaśniając, gdzie była przez ostatnie dwa dni, spytała, czy może się z nim spotkać w jego mieszkaniu, jak tylko wróci z pracy.

Natychmiast wyczuł, że coś jest nie tak, a kiedy domagał się wyjaśnień, powiedziała, że najlepiej będzie, jak porozmawiają osobiście. Czowała, że jest mu to winna.

Teraz starała się wytłumaczyć swoje uczucia w taki sposób, żeby za bardzo go nie zranić.

- Pojechałam do domu, żeby sobie wszystko przemyśleć - zaczęła ostrożnie - i im dłużej myślałam, tym lepiej zdawałam sobie sprawę, że tak naprawdę nie pasujemy do siebie.

- Do licha. Zoey, już o tym mówiliśmy - powiedział surowo, najwyraźniej dochodząc do wniosku, że najlepiej będzie przejść do ofensywy.

- Nie, nie mówiliśmy, Brian - przerwała mu delikatnie, ale stanowczo. - Niezupełnie. Jest wiele spraw, którymi nie mogłam się z tobą dzielić, ponieważ sama ich do niedawna nie rozumiałam. Byłam wobec ciebie nieuczciwa.

To przykuło jego uwagę.

- Jak to? Miałaś romans z tym kowbojem w Wyoming?

Pokręciła głową.

- To nie ma z nim nic wspólnego. Byłam nieuczciwa, ponieważ chciałam, żebyś mnie kochał, kiedy sama nie byłam w stanie pokochać ciebie. W każdym razie nie taką

miłością, na jaką zasługujesz. Wykorzystywałam cię dla emocjonalnego bezpieczeństwa i udawałam, że jestem z tobą szczęśliwa, chociaż było inaczej.

Przyjrzała mu się w zamyśleniu. Był niezłym opakowaniem - przystojny człowiek sukcesu, świetna partia. Dla takiego faceta większość kobiet gotowa była zabić. Dla niej jednak to opakowanie było puste.

Wyglądał na zaniepokojonego, ale nie zdruzgotanego. Wiedziała, że nie uważa jej słów za ostateczne.

- Posłuchaj, Zoey, możemy wszystko omówić. Jeśli są jakieś problemy, spróbujmy je razem rozwiązać. Mógłbym zredukować godziny pracy, przynajmniej trochę.

- Nie proszę cię, żebyś się zmienił, Brian. Nie sądzę, żebyś potrafił, a nawet gdybyś się starał, byłoby to niesprawiedliwe. Oboje powinniśmy być tacy, jacy naprawdę jesteśmy, a nie jakimi chce nas widzieć druga strona.

- To w ogóle nie ma sensu - powiedział, po czym ponuro zacisnął usta.

- Gdybyś miał okazję to przemyśleć, pojąłbyś, że to ma dużo sensu. - Nie mogła się powstrzymać, by nie dodać:

- Myślę, że gdybyś naprawdę mnie kochał, już dawno chciałbyś się ze mną ożenić. Widocznie miałeś wątpliwości.

- Przecież poprosiłem cię o rękę - bronił się Brian. Uśmiechnęła się lekko.

- Tak. I czuję się zaszczycona. Ale musisz przyznać, że zrobiłeś to dopiero wtedy, kiedy zdałeś sobie sprawę, że mógłbyś mnie stracić. Powiedz szczerze, Brian: tak naprawdę nie chciałeś się żenić. Przynajmniej nie ze mną. Bałeś się tylko, że zostaniesz sam. Tak jak ja.

Trzeba mu przyznać, że nie zaprzeczał. Po raz pierwszy w czasie tej trudnej rozmowy pogodził się z tym, że w żaden sposób nie może jej odwieść od podjętej decyzji. Zobaczyła, że Brian ma zaciśnięte pięści, i zrozumiała, że potrzebuje niesamowitego opanowania, by nie poddać się złości i nie zacząć robić jej wyrzutów.

- I tak naprawdę nie chciałeś mieć dzieci - dodała szczerze.

- Czemu ktoś chciałby sprowadzać dziecko na taki świat? - powiedział powoli.

Patrząc na Briana - przystojnego, zamożnego, wysoko postawionego - Zoey znów zaczęła się zastanawiać, czy wizerunek jego z pozoru idealnej i szczęśliwej rodziny jest prawdziwy.

Zdjęła pierścionek z szafirem, który dostała od niego zaledwie parę tygodni wcześniej, i wyciągnęła w jego stronę. Zawahał się przez chwilę, po czym go przyjął.

- Jesteś pewna, że tutaj nie chodzi o Tylera Rossa? - spytał, kiedy już ruszyła do drzwi.

Znów spojrzała na niego. Nie mogła dać mu bezpośredniej odpowiedzi.

- Nie mam zamiaru nigdy więcej się z nim zobaczyć - powiedziała szczerze.

- Jego strata - odrzekł niespodziewanie czułym głosem Brian.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Dziękuję. I wyszła.

Zoey poszukała zapomnienia w tym, co zawsze nadawało jej życiu sens, nawet gdy wszystko inne się waliło - w pracy. Zrobiła odbitki zdjęć ze ślubu Cheryl i wysłała je pocztą. Teraz spędzała całe godziny w ciemni, wywołując fotografie mustangów. Na zdjęciach wydawały się jej jeszcze wspanialsze, niż pamiętała. Poza tym, chociaż miała wtedy bardzo mało czasu, udało jej się zrobić parę spektakularnych ujęć.

Im dłużej im się przyglądała, tym mniej była zadowolona z fotografii, które wybrała na zbliżającą się wystawę w galerii Emile'a. W odróżnieniu od monottonnych ujęć drapaczy chmur zdjęcia mustangów wydawały jej się pozytywne i podnoszące na duchu - wywoływały więcej emocji i były mniej pretensjonalne.

Patrząc na nie, przypomniała sobie, co Tyler mówił o utworzeniu na ranczu schronienia dla dzikich koni i o wysokich kosztach tego przedsięwzięcia - musiałyby kupić im karmę na zimę i zmniejszyć pogłowie bydła, gdyż część pastwisk wykorzystywałyby wtedy mustangi.

Nagle przyszedł jej do głowy pomysł. Był dość szalony, Emile pewnie nie zareaguje na niego entuzjastycznie, ale nie dbała o to. Powiesiła negatywy, żeby wyschły, wyszła z ciemni i zadzwoniła do niego. Połączyła ją sekretarka.

- Nie kłóć się, tylko posłuchaj - zaczęła ożywiona Zoey.

Chwilę później, po gorącej dyskusji, Emile poddał się temu co nieuniknione. Przy ostrych spięciach jego francuska arogancja kapitulowała przed jej irlandzkim uporem. Stało na tym, że tematem wystawy będą mustangi, a przypadająca Zoey część zysków zostanie przekazana Tylerowi. Wiedziała, że nigdy nie przyjmie tych pieniędzy, jeśli dostanie je bezpośrednio od niej, ale była pewna, że z pomocą Laurie jakoś uda go przekonać.

Kiedy odłożyła słuchawkę i dała wreszcie spokój wykończonemu Emile'owi, stwierdziła, że od tygodni nie czuła się tak dobrze. Jeśli wystawa odniesie co najmniej taki sukces jak poprzednia, to pieniądze dla mustangów popłyną strumieniem.

Laurie i Cheryl siedziały przy kuchennym stole, pijąc herbatę i oglądając zdjęcia ślubne, przysłane przez Zoey.

- Och, mammo, są cudowne! - zachwyciła się Cheryl.

- To prawda - przytaknęła promieniejąca szczęściem Laurie. Czuła wielką ulgę, widząc, że sprawa, która przysporzyła Cheryl tylu zmartwień, dzięki Zoey została tak pomyślnie rozwiązana.

- Nie mogę się doczekać, kiedy Chuck wróci z pracy. Muszę mu je jak najszybciej pokazać.

- Będziesz musiała wysłać Zoey podziękowanie - powiedziała Laurie.

Cheryl posłała Laurie spojrzenie, które doskonaliła, odkąd stała się nastolatką.

- Mammo, wiem, co mam robić.

- W porządku - ustąpiła Laurie. - Chciałam ci tylko przypomnieć.

- Jestem teraz dorosłą, zameżną kobietą i mam bardzo dobre maniery. Dzięki tobie - dodała z wymuszonym uśmiechem.

Laurie zaśmiała się.

- I nigdy o tym nie zapominaj.

- Myślisz, że Zoey odwiedzi nas kiedyś? - spytała Cheryl. Uśmiech zniknął z twarzy Laurie.

- Nie, obawiam się, że to mało prawdopodobne.

- Nawet gdyby zaprosił ją wujek Tyler? - zapytała wymownie Cheryl.

Laurie wpatrywała się w córkę ze zdziwieniem.

- Do czego, u licha, zmierzasz? - spytała, chociaż doskonale знаła odpowiedź. Nie miała tylko pojęcia, że Cheryl jest tak spostrzegawcza.

Ta uśmiechnęła się porozumiewawczo.

- No wiesz. Nie muszę ci chyba mówić. - Laurie nie odpowiedziała, więc Cheryl mówiła dalej: - Widziałam, jak na siebie patrzyli na obchodach Czwartego Lipca. Według mnie z wielkim pożądaniem.

- Cheryl! - krzyknęła Laurie, bezskutecznie próbując wyrazić dezaprobatę.

- Chuck się ze mną zgodził - ciągnęła Cheryl, nie zważając na reakcję matki. - Rozmawialiśmy o nich, kiedy wracaliśmy z tańców. Powiedział, że byłoby wspaniale, gdyby zostali parą. Oboje uważamy, że wujek Tyler za długo był sam. A Zoey jest cudowna.

- Jest też zaręczona z kimś innym. - Laurie przekazała w końcu córce tę wiadomość.

Romantyczne fantazje Cheryl pękły nagle niczym przekłuty igłą balon.

- Jak to? Co to za facet?

- Zna go już od dłuższego czasu. Mieszka w Nowym Jorku.

- Po co więc przyjechała aż tutaj, żeby poznać wujka Tylera? - dopytywała się Cheryl.

Laurie westchnęła.

- To długa historia. - Zerknęła na zegarek. - Już czas na obiad. Może zadzwonisz do Chucka i spytasz go, czy chciałby zjeść tutaj? Robię lasagne.

- Dzięki, ale zanim wyszłam z domu, zostawiłam na kuchence gulasz, żeby się dusił. Zdumiona Laurie spojrzała na córkę.

- Gotujesz?

- No jasne - odrzekła pewna siebie Cheryl. - Chuck mówi, że im mniej wydamy na jedzenie na mieście, tym więcej będziemy mogli wydać na dom, więc uczę się gotować.

A przy okazji, czy mogłabyś mi dać swój przepis na kurczaka z kluskami? Chuck za nim przepada. Laurie pokręciła głową.

- Nigdy nie podejrzewałam, że dożyję dnia, w którym zobaczę, jak coś robisz w kuchni.

- Och, mam, nie jestem taka zła. Cheryl zebrała zdjęcia.

- Pokażę je Chuckowi, a potem zaczniemy je rozdzielać między krewnych. Ty będziesz pierwsza.

Laurie uśmiechnęła się.

- Dzięki.

Wstała i podeszła do szuflady, w której trzymała swój podniszczony zeszyt z przepisami. Wyjęła go, wróciła do stołu i zaczęła przeglądać.

- Zaraz, zaraz, kurczak z kluskami...

Ku jej zaskoczeniu Cheryl wyciągnęła rękę i zamknęła zeszyt.

- To nie takie pilne. Wezmę przepis innym razem. Zanim wyjdę, chciałabym z tobą o czymś pomówić.

Laurie zaniepokoiła się nagle. Czy Cheryl i Chuck już mają jakieś problemy? Miała nadzieję, że nie. Chciała, żeby małżeństwo córki było dużo bardziej udane niż jej własne. Zanim zdążyła coś powiedzieć, Cheryl uśmiechnęła się do niej uspokajająco.

- Między mną i Chuckiem wszystko w porządku. Już nie musisz się o mnie martwić. Chuck mówi, że teraz to jego zadanie.

- W takim razie... - zaczęła Laurie.

- Chcę porozmawiać o tobie - przerwała jej Cheryl.

- O mnie? - Laurie była zupełnie zbita z tropu. Przez te wszystkie lata rozmawiała z córką tylko o niej samej. Nigdy o sobie.

- Od dawna się nad czymś zastanawiam i myślę, że nadszedł czas, bym ci o tym powiedziała.

- Tak? - odrzekła powoli Laurie, zastanawiając się, o co, u licha, może chodzić.

- Kiedy ostatnio rozmawiałaś z tatą? Tego Laurie zupełnie się nie spodziewała.

- Chyba parę tygodni temu - odpowiedziała po zastanowieniu.

- I nie pojawił się w domu od mojego ślubu, prawda? - naciskała Cheryl.

- Zgadza się - przyznała Laurie, czując tępy ból, który pojawiał się zawsze, gdy pozwoliła sobie pomyśleć o Pecie.

- Mamo, wiem, jaka jesteś nieszczęśliwa - oznajmiła łagodnie Cheryl. - Zawsze wiedziałam.

Jak zwykle Laurie starała się zbagatelizować problem.

- To prawda, że twój ojciec często wyjeżdża, ale dobrze się nam układa, kiedy jest w domu. Nie kłóćmy się.

- Właśnie, że się kłócicie - zaprotestowała Cheryl. - Tylko robicie to późno w nocy, kiedy myślicie, że nie słyszę.

Laurie była zdumiona. Nie miała pojęcia, że Cheryl była świadoma tych bolesnych starć. Od razu poczuła, że ją zawiodła. Powinna była lepiej ukrywać swoje nieszczęście.

- Wiem, jak bardzo się starałaś ze względu na mnie, żeby wszystko wyglądało normalnie - dodała Cheryl, zanim matka zdążyła coś odpowiedzieć. - Ale dzieci nie są głupie. Zawsze wiedzą więcej, niż wydaje się rodzicom.

- Tak mi przykro - szepnęła przybita Laurie. - Chciałam, żebyś miała cudowne dzieciństwo.

- I prawie cały czas takie było - odpowiedziała Cheryl.

- Jesteś wspaniałą mamą. Zawsze wiedziałam, że bardzo mnie kochasz. I kiedy tato wracał do domu, był dla mnie dobry. Tylko że nie był tak samo dobry dla ciebie.

Laurie nie wiedziała, co powiedzieć. Bez względu na to, jakim Pete był mężem, ciągle pozostawał ojcem Cheryl, więc nie chciała go krytykować. Wydawało się jednak oczywiste, że udawanie na nic się nie zda. Jej bystra, spostrzegawcza córka wszystko przejrzała. Laurie miała wrażenie, że ją zawiodła, a jednocześnie czuła ogromną ulgę na myśl, że już nie musi udawać. Zachowywanie pozorów szczęścia było bardzo wyczerpujące.

- Wiesz, to jeden z powodów, dla których wyszłam za mąż - ciągnęła Cheryl. - Moim największym marzeniem było takie życie rodzinne, jakie chciałaś mi dać, chociaż nie mogłaś. Stworzymy taki dom razem z Chuckiem. Chcemy tego samego: mieć gromadkę dzieci i razem się zestarzeć. Jesteśmy naprawdę szczęśliwi i mamy zamiar tacy pozostać. Może nie w każdej chwili, ale przez większość czasu, na zawsze.

Laurie spojrzała na córkę i poczuła przyływ dumy.

- Coś ty taka mądra? - spytała przekornie.

- Chyba mam to po tobie. Na pewno nie po tacie - rzuciła bez namysłu Cheryl.

Laurie zaśmiała się wbrew sobie. Wierzchem dłoni otarła łzy z oczu.

- Możesz więc przestać się martwić o mnie i zacząć myśleć o sobie - mówiła dalej Cheryl. - Nie musisz już dla mnie żyć w kłamstwie. Możesz odejść i spróbować znaleźć własne szczęście. Zaslugujesz na nie.

Laurie poczuła się tak, jakby jakiś ogromny ciężar, który ją przygniatał, nagle zniknął. Zrozumiała, że Zoey ma rację - po raz pierwszy w życiu nie musiała myśleć o nikim innym. Była wolna i mogła robić to, co chciała. Tylko czy znajdzie odwagę, by zrealizować marzenia?

Później, kiedy Cheryl wyszła, a Laurie, Tyler i Jesse zjedli kolację, Laurie spytała brata, czy może z nim porozmawiać.

- Jasne - odpowiedział z roztargnieniem, zaprzątnięty sprawami związanymi z prowadzeniem rancza.

Wyszli na frontowy ganek i usiedli w starych wiklinowych fotelach, które od zawsze tu stały. Był ciepły wieczór i miło było poczuć lekki wietrzyk kołyszący rosnącymi po obu stronach domu sosnami. Patrząc na znajomy widok - stajnię na pierwszym planie i góry w oddali - Laurie zadała sobie pytanie, ile to już razy siedziała tutaj z Tylerem, rozmawiając o mniej i bardziej ważnych sprawach: jego poprawce z algebry, istnieniu Boga, o tym, czy powinien przekonać Sarę, żeby poszła z nim na studia, czy też zaakceptować jej decyzję pozostania z ojcem.

Przypominając sobie rozmowę z Cheryl, Laurie pomyślała, ile było spraw, o których nie rozmawiała z Tylerem. Teraz żałowała, że nie byli wobec siebie bardziej otwarci. Ona jednak zawsze chciała go chronić, tak jak chroniła Cheryl. A Tyler - cóż, od ojca nauczył się ukrywania bólu.

Teraz spojrziała na siedzącego obok brata zapatrzonego w coś nie widzącym wzrokiem, najwyraźniej oddalonego myślami o miliony mil.

- Tyler, obawiam się, że muszę odejść - powiedziała łagodnie.

Jego przerażone spojrzenie rozdarło jej serce. Wiedziała, że to będzie dla niego trudne - kolejna strata, a przecież wycierpiał już i tak za wiele. Musiała jednak to zrobić. Jeśli teraz nie weźmie życia w swoje ręce, nigdy tego nie zrobi.

Wpatrywał się w nią zdeorientowanym wzrokiem.

- Jak to? Kiedy? Dokąd chcesz odejść? Uśmiechnęła się uspokajająco.

- Nie wyjadę na zawsze. Będę przyjeżdżać tak często, jak to będzie możliwe. Ale nie mogę dłużej tutaj mieszkać. Wybieram się do college'u w Nowym Jorku.

Kiedy wypowiedziała te słowa, pojęła, jak dumnie brzmią. A może głupio. Gdyby miała teraz osiemnaście lat, wszystko byłoby w porządku. Ale w wieku czterdziestu jeden? Nagle jednak przypomniała sobie słowa Zoey: „Nigdy nie jest za późno zostać tym, kim mogło się być”. „Mam nadzieję, że miałaś rację” - pomyślała. Bo inaczej zrobi z siebie straszną idiotkę.

Ku jej uldze Tyler nie powiedział, że to głupi pomysł.

- Kiedy wyjeżdżasz? - spytał.

- Jutro zadzwonię do pracodawcy i złożę dwutygodniowe wypowiedzenie, a potem napiszę do Pete'a, że chcę rozwodu.

Tyler wypuścił wstrzymywany oddech.

- Cóż, to najmądrzejsza rzecz, jaką od dłuższego czasu zrobiłaś.

Uśmiechnęła się przez napływające do oczu łzy.

- Ty też? Czy wszyscy sądzą, że dawno powinnam go była zostawić?

- Tak - odpowiedział krótko Tyler. Laurie udało się lekko zaśmiać.

- Gdzie będziesz mieszkać w Nowym Jorku? - spytał z prawdziwą troską.

Nie chciała poruszać tego delikatnego tematu, ale nie miała wyboru.

- Zoey zaprosiła mnie do siebie. Będę mogła się u niej zatrzymać, przynajmniej na początku. Myślę, że mówiła szczerze. W każdym razie mam taką nadzieję. Znajdę jakąś pracę - dodała raczej z nadzieją niż przekonaniem - i złożę podania do kilku college'ów. Jeśli mnie przyjmą, będę się starać o kredyt studencki. Zoey mówiła, że są specjalne programy pomocy.

Tyler uśmiechnął się uspokajająco.

- Dasz sobie radę, siostrzyczko. Dasz sobie radę ze wszystkim, co ci tylko przyjdzie do głowy.

- Tak myślisz? Jestem cholernie przerażona - przyznała drżącym głosem.

- Ja to wiem - powiedział z przekonaniem. - Jesteś moją starszą siostrą. Całe życie wiedziałem, że ze wszystkim dasz sobie radę.

Chociaż wiedziała, że brat nie znosi demonstracji uczuć, objęła go mocno. Ku jej zaskoczeniu oddał uścisk.

- Będę za tobą tęsknił - szepnął. - Ale nic mi nie będzie. Nie martw się o mnie. Czas, żebyś zaczęła własne życie.

Spojrzała na niego i zadała sobie pytanie, jakim cudem chłopczyk, którego często miała ochotę udusić, zamienił się w tego cudownego mężczyznę. Może, pomyślała z dumą, powinna część zasługi przypisać sobie.

Później zadzwoniła do Zoey. Kiedy ta odebrała przy pierwszym dzwonku, Laurie była zaskoczona. Miała nadzieję, że odezwie się automatyczna sekretarka. W ten sposób mogłaby zostawić wiadomość i dać Zoey czas na obmyślenie uprzejmej odmowy, gdyby tak naprawdę nie chciała jej odwiedzin.

- Och, Laurie, jak to dobrze cię słyszeć! - powiedziała z autentyczną radością Zoey, kiedy dotarło do niej, kto dzwoni. - Wszystko w porządku? Dostaliście zdjęcia?

- Tak, są cudowne. Bardzo miło z twojej strony, że je dla nas zrobiłaś.

- Hej, to była sama przyjemność. Podobały się Cheryl?

- Żartujesz?! Była wniebowzięta. Dostaniesz od niej list z podziękowaniem.

W rozmowie nastąpiła przerwa. Laurie zbierała się na odwagę, żeby poprosić o tę ogromną przysługę. Przywykła do robienia różnych rzeczy dla innych, a nie do proszenia, żeby zrobili coś dla niej.

Zoey postanowiła zapełnić lukę.

- Wszyscy mają się dobrze? - spytała, siląc się na normalny ton.

Laurie dobrze wiedziała, kto to jest „wszyscy”.

- Tak - odpowiedziała. - U wszystkich wszystko w porządku. Ale wszyscy za tobą tęsknią - dodała.

- Aha, dziękuję - odrzekła niezręcznie Zoey.

- A jak się ma twój, hm, narzeczony, Brian? - spytała uprzejmie Laurie, chwytając się każdego pretekstu, by odwlec przejście do najtrudniejszego tematu.

Zapadła znacząca cisza.

- Chyba dobrze - odpowiedziała w końcu spokojnie Zoey. - Nie widuję się z nim. Nie jesteśmy już zaręczeni.

- Nie?! - krzyknęła Laurie, starając się nie okazać zbytnej radości. W końcu ta sprawa musiała być dla Zoey bolesna.

- Nie. Doszliśmy do wniosku, że nie pasujemy do siebie.

Laurie musiała przyznać, że Zoey nie sprawia wrażenia załamanej. Ogromnie się cieszyła. Rozmawiała z Brianem zaledwie kilka minut, ale się jej nie spodobał. Nawet gdyby nie chciała, żeby Zoey była z Tylerem, nie życzyła jej życia z kimś takim jak Brian, kimś tak nudnym.

Nastąpiła kolejna przerwa. Laurie zrozumiała, że nie może dłużej przeciągać rozmowy. Zebrała się na odwagę.

- Czy twoje zaproszenie jest jeszcze aktualne? - spytała w pośpiechu, zakłopotana.

- Oczywiście! - odrzekła bez wahania Zoey. - Bardzo bym chciała, żebyś mnie odwiedziła. Oprowadzę cię po mieście. Będziemy się świetnie bawić.

- Chodzi o to - wyjaśniała powoli Laurie - że to nie będą odwiedziny.

Przeprawdzam się do Nowego Jorku. I idę do college'u. - Zoey nie odpowiedziała, więc Laurie mówiła dalej: - Ale nie martw się, zatrzymam się u ciebie tylko na parę dni, póki nie znajdę pracy i mieszkania. Nie chcę się narzucać.

- Możesz zostać, jak długo zechcesz - przerwała jej Zoey. - Tygodnie! Miesiące! - Zaśmiała się. - Och, Laurie, tak się cieszę, że się nie poddałaś.

- Ja też - odpowiedziała Laurie dławionym łzami głosem.

Dwa tygodnie później Laurie czekała na lotnisku w Jackson na samolot do Nowego Jorku. Obok siedzieli Tyler i Cheryl, udając, że przeglądają czasopisma, które kupiła dla zabicia czasu w trakcie długiego lotu. Wiedziała, że tak naprawdę nie zwracają uwagi na artykuły. Byli tak samo poruszeni jak ona, nie mieli jednak zamiaru tego okazać, żeby nie czuła się winna.

Te dwa tygodnie były szalone. Zawiadomiła swego pracodawcę, zatrudniła adwokata, który otworzył sprawę rozwodową przeciwko Pete'owi, sprzedała pick-upa i oddała większość ubrań organizacji charytatywnej. Wybierała się do Nowego Jorku z jedną walizką, listem polecającym od byłego szefa i sercem pełnym nadziei.

W pewnym sensie czuła się niemal tak, jakby znowu miała osiemnaście lat i tym razem, zamiast wychodzić za Pete'a, postanowiła zrealizować marzenia o studiach w dużym mieście. Strasznie ją to przerażało, ale jednocześnie było bardzo podniecające.

Tylko raz rozmawiała z Pete'em. Nie zmartwił go rozwód - chciał się jedynie upewnić, czy nie będzie się domagała alimentów. Słyszając to, musiała się roześmiać. Biorąc pod uwagę ich dochody byłoby bardziej prawdopodobne, że on dostanie alimenty od niej. Kiedy mu powiedziała, że nic od niego nie chce, odrzekł: „W takim razie rób, co chcesz” - i odłożył słuchawkę.

Znając wszystkie jego wady, Laurie miała jednak nadzieję, że Pete pozostanie w kontakcie z Cheryl. Ona potrzebowała ojca, nawet mało zaangażowanego, a Pete któregoś dnia zrozumie, że potrzebuje rodziny, którą potraktował tak lekceważąco. Sama Laurie nie chciała go już więcej widzieć.

Gdy ogłoszono jej lot, wstała i wzięła do ręki torebkę i czasopisma. Spojrzała na córkę i brata.

- Tak wiele chciałabym powiedzieć. - Głos jej drżał.

- Wiemy, mamo - odrzekła Cheryl z uśmiechem, jednak jej głos także brzmiał niepewnie. Objęła mocno matkę, szepnęła: - Pokaż im, co potrafisz - i cofnęła się o krok.

Tyler krótko uściskał Laurie.

- Daj mi znać, jakbyś czegoś potrzebowała - poprosił.

Od dłuższego czasu zastanawiała się, jak mu powiedzieć o zerwaniu Zoey z Brianem. Chwila nigdy nie wydawała się odpowiednia, no i tyle było do zrobienia. Teraz, zanim Tyler zdążył się od niej odsunąć, szepnęła mu do ucha:

- Zoey powiedziała mi, że nie wychodzi za tego faceta.

Miał zaskoczoną minę, ale nic nie odrzekł.

- Pospiesz się, mamo, samolot nie będzie na ciebie czekał - ponagliła ją Cheryl.

Laurie ruszyła szybko do wyjścia, zatrzymała się jednak na chwilę i obejrzała na rodzinę. „Kocham was” - powiedziała bezgłośnie. Następnie odwróciła się i poszła w kierunku samolotu, który miał ją zabrać do Nowego Jorku - i nowego życia.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Zoey i Denise stały przy wyjściu dla pasażerów.

- Jesteś pewna, że jej rzeczy zmieszczą się w moim małym samochodzie? - spytała po raz trzeci Denise.

- Tak. Mówiłam ci, że ma ze sobą tylko jedną walizkę. Możemy ją włożyć do bagażnika, a Laurie wciśnie się jakoś na to małe tylne pseudosiedzenie. Będzie jej niewygodnie, ale nie czeka nas długa jazda.

- Czemu nie wzięła ze sobą więcej rzeczy? - spytała zaciekawiona Denise.

- Bo zaczyna zupełnie nowe życie i całą przeszłość chce zostawić za sobą. Powiedziałam jej, że zabiorę ją na zakupy i pomogę skompletować nową garderobę. Potem pójdziemy na uniwersytet. Mam pomysł, jeśli chodzi o pracę... - Zoey przerwała, widząc rozbawioną minę Denise. - No co? Co cię tak śmieszy?

- Ty. Jak się raz było starszą siostrą; zawsze się nią będzie.

- Myślisz, że za bardzo się rządzę, kiedy tak próbuję zorganizować jej życie? - spytała z niepokojem Zoey.

Denise zaśmiała się.

- Nie. Myślę, że jesteś dobrą przyjaciółką, a ta Laurie ma szczęście, że cię zna. Ale na pewno nie takie jak ja - dodała szczerze. - Dziękowałam ci ostatnio?

- Za co? - Zoey starała się zbagatelizować sprawę, Denise nie miała jednak zamiaru jej odpuścić.

- Za to, że byłeś przy mnie.

- Nie ma o czym mówić - odpowiedziała lekko Zoey.

- Jak się czujesz? - dodała już poważniejszym tonem.

- Staram się jakoś przetrwać każdy kolejny dzień - wyznała Denise. - Raz czuję się lepiej, raz gorzej. Ale i tak nie jest tak źle jak na początku.

- Wiesz, że możesz do mnie przyjść, jeśli będziesz chciała się komuś wypłakać, nawet w środku nocy.

Denise uśmiechnęła się.

- A nie mówiłam? Starsza siostra.

- A propos, zabieram dzisiaj Laurie na kolację, żeby uczcić jej pierwszy wieczór w Nowym Jorku - powiedziała Zoey.

- Może pójdziesz z nami?

- Bardzo bym chciała, ale nie mogę. Mam inne plany.

Denise wyglądała na zakłopotaną i Zoey zadała sobie pytanie, cóż to za tajemnicze plany. Przechyliła głowę i przyjrzała się uważnie przyjaciółce.

- No dobra, mów. Co się dzieje?

- Nic.

- Denise, lepiej sama się przyznaj. Wiesz, że wcześniej czy później wszystkiego się dowiem.

Denise westchnęła z udawaną rezygnacją.

- Masz rację. Jesteś gorsza niż gestapo. No dobrze, powiem. Idę na kolację z Larrym.

- Larrym?

- Larrym Kenneallym. Pamiętasz, to ten lekarz, który się mną zajmował w pogotowiu.

- Ach, tak, doktor Kenneally. Przystojny, nieżonaty doktor Kenneally.

- Zoey! - rzuciła ostrzegawczo Denise.

Zoey zrobiła niewinną minę.

- No co? Niczego nie sugeruję. Jestem pewna, że po prostu się przyjaźnicie.

- Tak.

- Przyjaźń nie musi prowadzić do czegoś więcej.

- Właśnie.

- To wasza pierwsza randka? - spytała Zoey. Denise nie bardzo mogła spojrzeć jej w oczy.

- No cóż, niezupełnie.

- Ile razy się widzieliście?

- Hm, jakieś osiem czy dziewięć. Albo dziesięć. Zoey uśmiechnęła się szeroko.

- Wygląda na to, że wasza przyjaźń ładnie się rozwija. Czemu, u licha, trzymałaś ją w tajemnicy?

- Bo byłam pewna, że ta znajomość skończy się jak wszystkie inne: albo on rzuci mnie, bo nie zechce się wiązać, albo ja rzucę jego, bo odkryję, jakim jest palantem. - Denise przestała udawać, że cała sprawa nie bardzo ją interesuje. - Ale tak się nie stało - powiedziała z uczuciem. - On jest miły, Zoey. Nie nudno miły, tylko interesująco miły. I inteligentny, dowcipny. No i ma poważne podejście do życia. Wiesz, co mi powiedział na pierwszej randce?

- Nie - odrzekła Zoey - bo trzymałaś wszystko w tajemnicy.

Denise zignorowała tę drobną złośliwość, wiedząc, że Zoey tak naprawdę nie chce jej dokuczyć.

- Powiedział, że nie szuka przelotnego romansu. Interesuje go poważny związek, a jeśli wszystko pójdzie dobrze - małżeństwo.

Zoey pisnęła z radości, zwracając na siebie uwagę stojących w pobliżu ludzi.

- Nie piszcz! - rzuciła ostro Denise.

- Przepraszam, nic na to nie poradzę. Są sprawy, na które kobieta musi zareagować piskiem, a to bez wątpienia jest jedna z nich. Denise, to wspaniała wiadomość!

- Tylko nie spodziewaj się za wiele. W każdym razie ja się nie spodziewam.

- Nadal sądzę, że nie powinnaś była trzymać tego w tajemnicy - powiedziała Zoey.

- To bardziej skomplikowane.

- Aha, nie mów. Jest żonaty.

- Rozwiedziony.

Zoey westchnęła z ulgą.

- Więc gdzie te komplikacje?

- Ma dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę w wieku sześciu i ośmiu lat. Przyznano mu pełne prawa rodzicielskie. Matka uciekła z jakimś narciarzem, którego poznała w Vail. Dzieci nie pasowały do jej nowego stylu życia z chłopakiem, który lubi podróżować po kurortach.

Zoey obrzuciła Denise długim, pełnym namysłu spojrzeniem.

- Jak by ci się podobało dostać nagle w prezencie całą rodzinę? - spytała w końcu.

- Nie wiem. Jeszcze nie poznałam tych dzieci. Właśnie dzisiaj mam się z nimi spotkać. Idę na kolację do domu Larry'ego. To będzie wieczór pod hasłem: „Przedstawiam dziewczynę dzieciom”.

Zoey wiedziała, że przyjaciółka jest bardzo zdenerwowana przed tym spotkaniem.

- Polubią cię, Denise - powiedziała z przekonaniem. - Może nie od razu. Może czują żal do matki, że je opuściła, i ten żal przerzucają na ciebie. Ale im lepiej cię poznają, tym bardziej będą lubić. W końcu cię zaakceptują.

- Och, Zoey, nie możesz być tego taka pewna.

- Właśnie, że mogę. Idealnie do siebie pasujecie. Ty potrzebujesz kogoś, kogo mogłabyś kochać, a one potrzebują miłości. Nie mówię, że będzie łatwo, ale uważam, że się uda.

- Mam nadzieję, że masz rację. Tylko że ciągle wyobrażam sobie, że znienawidzą mnie od pierwszego wejrzenia.

Zoey już chciała odpowiedzieć, ale w tłumie nadchodzących pasażerów dostrzegła Laurie. Zapomniała na chwilę o obawach Denise i podbiegła do drugiej przyjaciółki, również pełnej niepokoju.

- Witaj w Nowym Jorku - powiedziała radośnie. - Witaj w nowym życiu.

Zoey i Laurie poszły na kolację do uroczej restauracji w Ogrodzie Zimowym parku Battery. Wysoki na trzydzieści sześć metrów szklany dach zrobił na Laurie wielkie wrażenie. Jeszcze większe wywarła na niej kolorowa różnorodność ludzi i nigdy nie ustający rytm życia w mieście.

- Nowy Jork różni się od Jackson Hole jak noc od dnia - powiedziała ze zdumieniem.

- Żałujesz, że przyjechałaś? - spytała Zoey, świadoma tego, jak wiele zmian w swoim życiu musi dokonać Laurie. Sama przeszła ciężki okres adaptacyjny, kiedy przeprowadziła się z Chesterton na Manhattan.

Laurie przez chwilę poważnie się zastanawiała nad odpowiedzią.

- Skłamałabym, gdybym powiedziała, że się nie boję. Wszystko tutaj bardzo różni się od tego, do czego jestem przyzwyczajona. Poczucie bezpieczeństwa dają rzeczy znajome, a tu nic nie jest znajome. O tym jednak marzyłam, odkąd sięgnę pamięcią.

- Czasami, kiedy marzenie się spełnia, odkrywasz, że niezupełnie o tym marzyłaś - powiedziała Zoey, myśląc o swoim związku z Brianem.

Laurie potakująco skinęła głową.

- To prawda. Kiedyś marzyłam, żeby poślubić Pete'a, i sama widzisz, co z tego wyszło. Chcę jednak dać szansę temu marzeniu. Jak na razie nie jestem rozczarowana. Martwię się tylko, czy znajdę pracę, dostanę się na studia i jak za nie zapłacę.

- Mam już parę pomysłów, jak to załatwić - uspokajała ją Zoey. - Jutro wszystko ci wyjaśnię. A teraz posłuchaj. Znam świetny klub jazzowy w Greenwich Village.

Chciałabyś go odwiedzić?

Laurie uśmiechnęła się szeroko.

- Czemu nie? Mam ochotę wszystkiego spróbować.

- Podoba mi się twoje nastawienie, dziewczyno - powiedziała Zoey. - W takim razie bawmy się.

Wróciły do mieszkania Zoey o drugiej nad ranem. Mimo że Laurie miała za sobą ciężką podróż, wydawało się, że tkwią w niej magazynowane przez całe życie pokłady energii. Była w dobrej formie, kiedy Zoey już padała na nos.

Na automatycznej sekretarce mrugało światelko informujące o nagranej wiadomości. Kiedy Zoey włączyła odtwarzanie, usłyszała głos Denise. Brzmiał ekstatycznie.

- Zoey, zadzwoń do mnie, jak tylko wrócisz, nawet w środku nocy! Muszę ci powiedzieć, co się stało!

Zoey poprosiła Laurie, żeby zaparzyła jakąś ziołową herbatę, a sama przeszła do sypialni, by oddzwonić do Denise. Przyjaciółka od razu odebrała telefon, więc Zoey zorientowała się, że jeszcze nie zasnęła.

- Denise, to ja, ale jest późno i pewnie będziesz chciała przełożyć rozmowę na jutro
- zaczęła Zoey. Szczerze mówiąc, sama wolałaby porozmawiać następnego dnia. Teraz marzyła tylko o filiżance herbaty i wygodnej pościeli.

Jednak Denise, podobnie jak Laurie, zdawała się tryskać energią.

- O nie, nie mogę się doczekać, żeby ci powiedzieć, jak było. Ciągle jestem tak poruszona, że nie mogę zasnąć. Dzięki Bogu, jutro sobota, będę się mogła wyspać.

Zoey powstrzymała się od poinformowania przyjaciółki, że ona za to nie będzie mogła się wyspać. Miała rano spotkanie związane z ewentualną pracą dla Laurie.

- No i jak było z Larrym i dziećmiakami? - spytała, tłumiąc ziewnięcie.

- Na początku byłam bardzo zdenerwowana. Czulałam się, jakbym szła na wywiad w sprawie posady. Ale one są takie urocze i mają niewiarygodnie dobre maniere jak na tak małe dzieci. Larry świetnie je wychowuje. Bałam się, że będą na mnie patrzeć jak na jeszcze jedną kobietę, która pojawi się na chwilę w życiu ojca. Ale wiesz co? Jestem pierwszą kobietą, którą przyprowadził do domu i przedstawił dzieciom. Dasz wiarę? I to one się denerwowały przed spotkaniem ze mną.

Zoey naprawdę interesowała opowieść Denise, ale była taka zmęczona.

- To świetnie - powiedziała, tłumiąc kolejne ziewnięcie. Euforyczny ton Denise stracił nieco na sile.

- Wiesz co, Zoey? Kiedy patrzyłam na te słodkie twarzyczki i widziałam, jak bardzo pragną akceptacji, nie potrafiłam w żaden sposób zrozumieć, jak matka mogła je zostawić. Larry mówił mi, że bardzo rzadko je widuje, a nawet dzwoni. Kiedy wychodziłam od nich, uścisnęły mnie na do widzenia. Jak można je porzucić, kiedy się zna uścisk ich małych ramion?

- Naprawdę nie wiem - odrzekła smutno Zoey, myśląc o ojcu i o tym, jak padała mu w ramiona każdego wieczoru, kiedy wracał z pracy. A jednak odszedł. - Nigdy tak naprawdę nie wierzyłam w cuda - powiedziała powoli. - Jestem typowym niedowiarkiem, cynikiem, który nie uwierzy, póki nie zobaczy. Ale, Denise, naprawdę wierzę, że to cud. Właśnie teraz na twojej drodze pojawił się Larry i jego dzieci. Tak wiele możesz dać, a oni potrzebują wszystkiego, co masz do zaoferowania.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza.

- Pamiętasz, jak kazałaś mi wypowiedzieć życzenie przy błękitnej pełni? - odezwała się w końcu Denise.

Zoey zachichotała.

- O tak! Myślałaś, że babcia Eileen była stuknięta, a ja jeszcze bardziej.

- Cóż, już tak nie myślę. Twoja babcia była mądrą kobietą, Zoey. Życzyłam sobie miłości i chyba właśnie ją znalazłam. Nie w takiej formie, jakiej się spodziewałam, ale może nawet w lepszej. Ty też tamtej nocy życzyłaś sobie miłości - dodała miękko. - Mam nadzieję, że twoje życzenie również się spełni.

- Może jest jakiś limit liczby spełnianych życzeń - odrzekła Zoey ze zdławionym gardłem.

- Mam nadzieję, że nie. Trzymam za ciebie kciuki.

Kiedy jednak Zoey ostatkiem sił pożegnała się z Denise, była pewna, że jej życzenie zostało wypowiedziane na próżno.

O dziewiątej rano zmęczona Zoey i zdenerwowana Laurie spotkały się z Emile'em w jego galerii. Kiedy Laurie zadzwoniła i powiedziała, że przyjeżdża do Nowego Jorku, Zoey kazała jej wziąć ze sobą obraz przedstawiający burzę nad górami Teton. Teraz obie siedziały przy biurku naprzeciwko Emile'a, który dokładnie oglądał obraz. Jego powściągliwa reakcja nie zwiodła Zoey - zorientowała się, że jest pod wrażeniem, ale nie chce dać tego po sobie poznać. Twarz pokerzysty była niezbędna w handlu sztuką.

- Niezły - mruknął. - Widywałem gorsze. Ale i lepsze. Dużo lepsze.

- Nieprawda - odrzekła bez ogródek Zoey. - Jest cholernie dobry i świetnie o tym wiesz. Według mnie jest wart przynajmniej dwadzieścia tysięcy.

Laurie niemal się zakrztusiła.

- C-co? - wyjąkała.

Zoey posłała jej piorunujące spojrzenie, dając do zrozumienia, że nie powinna się wtrącać.

- Phi! - parsknął Emile. - Nie bądź śmieszna. To nieznany malarz.

- Nie w Jackson Hole.

- A co to jest Jackson Hole? - zareplikował Emile i lekceważąco machnął ręką.

- Ostatnio bardzo modne miejsce - zauważyła Zoey. - Przenoszą się tam ludzie z Kalifornii i Nowego Jorku. Wiesz, co to znaczy. Odkryją najlepszych miejscowych artystów, a wtedy ich ceny mocno podskoczą.

- W każdym razie - odrzekł Emile, nie chcąc przyznać racji Zoey - ten obraz nie jest wart więcej niż pięć tysięcy.

- Dziesięć. - Zoey nie dawała za wygraną. - A jeśli dalej będziesz się targował, zaniosę go do Franca.

- Do tego kretyna?!

- Może i jest kretynem, ale wie, co się dobrze sprzedaje. Zrozumie, że będzie mógł za niego dostać przynajmniej dwadzieścia tysięcy. - Emile nie odpowiadał, więc Zoey zwróciła się do Laurie: - Chodźmy. Szkoda naszego czasu.

Kiedy chciała wstać, Emile wyciągnął rękę, żeby ją zatrzymać.

- Nie bądź taka w gorącej wodzie kąpana. Daj mi chwilę. Wiesz, spodziewałem się większej lojalności po osobie, której pracę wspieram.

- To raczej moja praca wspiera ciebie, biorąc pod uwagę zyski, jakie ci daje - odrzekła ironicznie Zoey.

- No dobrze - poddał się niechętnie Emile. - Dziesięć tysięcy. Twarda z ciebie sztuka, Zoey.

- W tych okolicznościach uznam to za komplement - odpowiedziała z uśmiechem.

Zoey zerknęła na Laurie i zauważyła, że ta z trudem panuje nad emocjami. Ale to jeszcze nie koniec problemów. Zastrzyk gotówki, która pozwoli przyjaciółce zacząć studia, był ważny, ale dziesięć tysięcy dolarów nie wystarczy na długo. Jeszcze ważniejsza była praca.

- Wiesz, Emile, sztuka z Zachodu Stanów jest teraz bardzo popularna - powiedziała z zastanowieniem. - Dziwię się, że wystawiasz tak mało zachodnich obrazów. Podobno jest na nie duży popyt.

- Tak, to prawda - przyznał bez entuzjazmu. - Bardzo łatwo sprzedam ten obraz.

- W takim razie czemu nie kupisz ich więcej?

- Bo żeby je kupić, trzeba by pojechać tam, gdzie mieszkają zachodni artyści - na Zachód. Nie mam na to czasu.

- Laurie ma. Wie, którzy z tamtejszych artystów są naprawdę utalentowani i mają przed sobą karierę. No i ma świetne oko. Kupiła ten obraz, kiedy jeszcze nikt nie słyszał o jego twórcy.

Emile przyjrzał się Laurie krytycznie, jakby trudno mu było uwierzyć, że ta nie rzucająca się w oczy kobieta jest znawcą sztuki.

- Hm, no nie wiem.

- Mógłbyś ją zatrudnić za minimalną pensję i prowizję. Byłaby twoim ekspertem od sztuki zachodniej. Jeśli nic z tego nie wyjdzie, masz do stracenia tylko drobne wydatki na skąpą wypłatę i koszty podróży. A jeśli znajdzie więcej takich obrazów, zarobi dla ciebie majątek.

Zoey nie uprzedziła Laurie o swych zamiarach. Bała się, że przyjaciółka za bardzo by się denerwowała, gdyby przyszła na spotkanie, wiedząc, że gra idzie o jej pracę. Teraz Laurie patrzyła na nią zdumiona.

Emile zmarszczył brwi.

- Co pani wie o sztuce? - spytał Laurie.

- Studiowała historię sztuki i w Wyoming jest uznanym ekspertem - odpowiedziała za nią Zoey, mocno upiększając jej referencje.

- To prawda? - spytał Emile.

Laurie spojrzała wyczekująco na Zoey, która niemal niedostrzegalnie skinęła głową, i wzięła się w garść.

- Oczywiście - udało jej się odpowiedzieć zaskakująco pewnym głosem.

Zoey wiedziała, że Emile nigdy się nie waha, kiedy widzi okazję zarobienia pieniędzy.

- Dobrze - powiedział. - Zaryzykuję. Może pani zacząć od poniedziałku. Przyjmę panią na miesiąc próbny. Zobaczymy, co pani potrafi.

Pięć minut później Zoey i Laurie stały na ulicy przed galerią. Laurie miała czek na dziesięć tysięcy dolarów - i pracę.

- Nie mogę w to uwierzyć! - krzyknęła. - A jeśli nie dam sobie rady? Zoey, nie jestem przecież żadnym ekspertem.

- Właśnie, że jesteś. Powiedziałam ci tego dnia, kiedy się poznałyśmy, że masz dobre oko, a to do tej pracy wystarczy. A teraz może byśmy się wybrały na zakupy i wydały trochę tych pieniędzy? Jeśli masz być przedstawicielem ekskluzywnej galerii, musisz się odpowiednio ubierać. A w poniedziałek rano pójdziemy na uniwersytet i zapiszemy cię na studia.

Idąc ulicą, Laurie wyglądała jak Kopciuszek w chwili, gdy wróżka machnęła czarodziejską różdżką i zamieniła ją w zupełnie nową osobę.

Tyler skończył zmywać naczynia, po czym wyszedł z filiżanką kawy na ganek. Jesse był w mieście - grał w bilard z kolegami - i po raz pierwszy w życiu Tyler został na ranchu zupełnie sam. Dziwna wydawała się świadomość, że Laurie nie siedzi w swoim biurze, a Cheryl nie szykuje się na randkę z Chuckiem. Zwykle wiejska cisza uspokajała Tylera. Dzisiaj jednak zaczął czuć się osamotniony.

Pomyślał, że nie powinien się nad sobą użalać. Będzie musiał się po prostu do tego przyzwyczaić. Może, przyznał niechętnie, powinien znaleźć sobie kogoś, z kim mógłby gdzieś wyjść, tak niezobowiązująco. Nie chciał przecież zamienić się w pustelnika - tkwić tu na ranchu, nie jeździć do miasta i nikogo nie widywać. Zaczęliby o nim plotkować. „Wiesz co, Tyler Ross zrobił się strasznie dziwny. Nie spotyka się z ludźmi. Podobno od lat nie rozmawiał z nikim oprócz tego starego pomocnika”.

Uśmiechnął się smutno na tę przerysowaną wizję, wiedział jednak, że sprawy mogą przyjąć podobny obrót. Łatwo jest się pogрузić w samotności. Doszedł do wniosku, że powinien znaleźć sobie jakąś dziewczynę. Ale kogo?

Natychmiast przyszła mu do głowy Amy Fleming. Pracowała jako recepcjonistka w Snow King Lodge, gdzie bezskutecznie próbował wynająć pokój dla Zoey, kiedy przyjechała do Jackson Hole. Zauważył wówczas niezbyt skrywaną zazdrość Amy o nie znaną jej kobietę. Już wcześniej wyczuł, że darzy go zainteresowaniem, którego jednak nie odwzajemniał. Teraz powiedział sobie, że Amy jest atrakcyjną kobietą o miłej osobowości. Świetnie się nada do luźnego związku.

Tyler wszedł do domu, zadzwonił do informacji i poprosił o numer Amy.

Następnego wieczoru, w sobotę, Tyler i Amy jedli kolację w miejscowej restauracji. W czasie posiłku dziewczyna opowiadała o wszystkim, począwszy od ciekawych ludzi, których poznała dzięki swojej pracy, skończywszy na rodzinie, która od pokoleń mieszka w Jackson. Tyler z ulgą stwierdził, że Amy lubi mówić. Zdejmovalo to z niego obowiązek prowadzenia banalnej konwersacji, w czym nie był dobry.

Kiedy wypowiadał jakąś uwagę, Amy od razu się z nią zgadzała - inaczej niż Zoey, pomyślał wbrew sobie, która z zasady by się z nim spierała, cholernie pewna swoich racji. Amy chyba w ogóle nie miała zdania na żaden temat.

Po kolacji poszli do klubu z muzyką country. Dziewczyna wspaniale tańczyła i Tyler pomyślał, że ma wielkie szczęście, iż jest jej partnerem.

„W takim razie dlaczego - spytał jakiś irytujący głos - nie pasuje do twoich ramion tak dobrze jak Zoey?”

W końcu wylądowali w mieszkaniu Amy na skraju miasta. Zgodnie z przewidywaniami Tylera zaprosiła go na kawę. Oboje wiedzieli jednak, że nie na nią mają ochotę. Siedząc na sofie w małym salonie, Amy nadstawiła twarz do pocałunku. Posłusznie się pochylił. Miała miękkie, słodkie usta i była bardzo chętna.

Kiedy jednak się odsunął i na nią spojrzał, wiedział, że na tym się skończy, ponieważ nie czuł zupełnie nic, kiedy ich usta się dotknęły. Z żalem pokręcił głową.

- Przykro mi, Amy - szepnął. - Muszę już iść.

- W porządku - powiedziała, kładąc dłoń na jego ramieniu, by go zatrzymać. - To nie musi trwać wiecznie. Nie musi nawet trwać całą noc.

Proponowała mu dokładnie to, czego chciał, a przynajmniej myślał, że chce. Związek bez żadnych zobowiązań, żadnych konsekwencji. Bez zaangażowania i prawdziwej bliskości.

Bez miłości.

Co jednak wyglądało nieźle w wyobraźni, w rzeczywistości było dużo mniej atrakcyjne. Wszelkie krótkotrwałe przyjemności, jakie dałaby mu Amy, roztopiłyby się później w nieuniknionym powrocie do samotności. Po tym, jak kochał się z Zoey, nie mógł wrócić do pustego, bezsensownego seksu.

Kiedy spojrział na Amy, która patrzyła nań wyczekująco, wiedział już, co musi zrobić.

- Przepraszam - szepnął. - Jesteś śliczną kobietą i masz bardzo dużo do zaoferowania. Zaslugujesz na więcej, niż mogę ci dać.

- Ale ja nie chcę nic więcej - upierała się Amy głosem, w którym pobrzmiwała nuta desperacji.

- Może ja chcę - odpowiedział powoli Tyler, zaskoczony nieoczekiwanym odkryciem. - Przepraszam - powtórzył, po czym wyszedł.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

W poniedziałek przed południem Zoey i Laurie wyszły z biura zapisów Uniwersytetu Nowojorskiego. Laurie niosła cały plik formularzy dotyczących wszystkiego: od przyjęcia na studia po pożyczkę dla studentów. Oprócz tego miała głowę pełną nadziei i marzeń, w których realizację powoli zaczynała wierzyć. W drodze do ulubionego lokalu, w którym miały zjeść lunch, Zoey pomyślała, że zrobiła wszystko co w jej mocy, by pomóc Laurie wkroczyć w trudne, ale ekscytujące nowe życie.

Miały za sobą pracowity weekend - w sobotę kupowały ubrania, a w niedzielę zwiedzały Central Park. W nowojorskich ciuchach i z włosami uczesanyymi przez dobrego fryzjera Laurie wyglądała na młodszą o dziesięć lat - i nieskończenie bardziej szczęśliwą.

Po lunchu Zoey zdecydowała, że czas nieco zwolnić tempo i pozwolić Laurie na trochę relaksu. Zabrała ją w jedno ze swych ulubionych miejsc - do cichego ogródka z rzeźbami Muzeum Sztuki Współczesnej. Tego gorącego sierpniowego popołudnia wyglądał on zarazem niedbale i oszałamiająco: Z fontannami, oplątanymi bluszczem tarasami i drzewami, wypełniony rzeźbami takich twórców, jak Pablo Picasso czy Auguste Rodin.

Kiedy Zoey tu przychodziła, zawsze ogarniał ją spokój, a teraz, kiedy usiadła na zacienionej ławce, ujrzała go również na twarzy Laurie. Przez dłuższą chwilę siedziały w milczeniu, aż w końcu Laurie spojrzała na przyjaciółkę z pełnym wdzięczności uśmiechem.

- Dziękuję. Chyba ciągle to powtarzam, ale mówię to szczerze. Odmieniłaś moje życie.

- Sama odmieniłaś swoje życie - poprawiła ją łagodnie Zoey. - Ja tylko trochę ci pomogłam. To ty musiałaś puścić trapez i wzlecieć w powietrze.

Laurie zaśmiała się.

- To cudowne uczucie. Ciągle nie jestem pewna, czy nie spadnę z hukiem. Mam tylko nadzieję, że wisi pode mną siatka zabezpieczająca.

- Jasne - zapewniła ją Zoey. - Masz przyjaciół i rodzinę.

- Wiesz, kiedy jechałyśmy z lotniska i po raz pierwszy zobaczyłam Manhattan, poczułam się jednocześnie zauroczona i przerażona - wyznała z melancholią Laurie. - Oto ja, czterdziestoparoletnia kobieta z Jackson Hole, przybyłam do miejsca, o którym zawsze marzyłam. To było jak... Czułam się, jakbym wkraczała do krainy Oz.

- Wiem. - Zoey ze zrozumieniem skinęła głową. - Czułam się tak samo, kiedy tu przyjechałam z Chesterton. To miasto było symbolem wszystkiego, czego pragnęłam, dorastając w małym miasteczku: życia w szybkim tempie, sukcesu, sławy i dużych pieniędzy. Długo było mi ciężko. Musiałam walczyć z przeciwnościami i często nachodziły mnie wątpliwości. W końcu jednak mój upór został nagrodzony i dostałam wszystko, czego zawsze chciałam.

- A teraz? - spytała Laurie, przyglądając się uważnie Zoey.

- Teraz, cóż, na pewno bardzo miło jest być człowiekiem sukcesu. Nie mogę się doczekać pokazania moich zdjęć mustangów jak największej liczbie ludzi.

- Ale... - odpowiedziała Laurie.

- Ale... - Zoey z rozczarowaniem pokręciła głową. - To nie wystarczy. Brakuje mi paru ważnych rzeczy.

- Rzeczy, które znalazłaś w Jackson Hole? - spytała wymownie Laurie.

Do tej pory unikały rozmowy o Jackson Hole. Laurie nie wspominała o Tylerze, a Zoey nie pytała o niego. Ten temat czaił się jednak tuż pod powierzchnią każdej ich dyskusji. W końcu wypłynął i chociaż był bolesny, Zoey wiedziała, że powinna stawić mu czoło. Przekonała się ostatecznie, że lepiej się wychodzi na otwartym podejściu do bolesnych prawd niż na trzymaniu ich w ukryciu.

- Zakochałam się w Tylerze - wyznała, patrząc w zatroskane oczy Laurie. - Nie ma sensu temu zaprzeczać. I myślę, że on też się we mnie zakochał.

- Jasne, że się zakochał - zapewniła ją Laurie. - Znam mojego braciszka i wiem, że tylko dwa razy był zakochany. Ty jesteś druga i, jak sądzę, ostatnia. Chyba już się więcej nie zakocha.

- Ja chyba też nie - szepnęła przygnębiona Zoey.

- Och, Zoey, tyle dla mnie zrobiłaś, szkoda, że ja nie mogę nic zrobić dla ciebie - powiedziała bezradnie Laurie. - Chciałabym potrząsnąć Tylerem i sprawić, żeby zrozumiał, jakim jest głupcem.

- Gdybym wiedziała, że to coś da, kupiłabym ci bilet na samolot do Jackson Hole, byś mogła to zrobić - odrzekła Zoey, siląc się na uśmiech. Nie bardzo jej się jednak udało.

- To nie ma sensu, Laurie. Wszystko skończone. Tyler kurczowo trzyma się przeszłości. Nie chce przyszłości. W każdym razie nie ze mną.

Laurie objęła Zoey i lekko ją uścisnęła.

- Kto wie, może kiedyś...

Zoey jednak nie podzielała jej nadziei.

- Obawiam się, że niektóre marzenia nigdy się nie spełniają - powiedziała z ogromnym żalem.

Leżący w pobliżu Jackson cmentarz był bardzo mały. Był również stary - napisy na nagrobkach pochodziły z dziewiętnastego wieku, kiedy zjeżdżali tu biali osadnicy. Tyler nie mógł się zmusić do częstego odwiedzania cmentarza, ale raz do roku, w rocznicę śmierci Sary i córki, kładł kwiaty na ich grobach. Żółte róże. Ulubione kwiaty Sary.

Wiedział, że w ten gorący dzień, typowy dla początku września, róże nie wytrzymają długo w żarze słońca nad Wyoming. Nie miało to jednak znaczenia. Najważniejsze było rozmyślanie o Sarze, utrwalanie wspomnień, tak żeby nigdy nie zapomniał, jaka była i jak bardzo ją kochał.

W milczeniu klęknął przy leżących obok siebie grobach - nie był kimś, kto głośno wyrażałby swój smutek czy przemawiał do zmarłej żony. Nie miał złudzeń, wiedział, że go nie usłyszy. Odeszła i nie mógł nic na to poradzić. Mógł tylko cierpieć do końca życia.

W końcu wstał i odwrócił się w stronę wyjścia. Z niechęcią zauważył stojącego w pobliżu z bukietem żółtych róż Hanka Jamisona, który patrzył na niego z ponurą miną. W ciągu czterech lat od śmierci Sary udawało im się unikać przypadkowych spotkań w tym miejscu. Teraz, pamiętając o konflikcie w sprawie mustangów i śmierci ogiera, Tyler ze złością zazgrzytał zębami. Jego dłonie zacisnęły się w pięści. Nie miał jednak zamiaru atakować Jamisona słowem ani czynem. Nie tutaj.

Chciał w milczeniu minąć byłego teścia, kiedy ten nagle przemówił.

- Tyler.

Zaskoczony spojrzał na niego, zastanawiając się, czy Hank rzeczywiście ma zamiar spierać się z nim tutaj, na cmentarzu, gdzie leży jego jedyne dziecko. Jednak Jamison powiedział coś, czego Tyler nigdy nie spodziewał się usłyszeć.

- Zastanawiałem się nad tym i doszedłem do wniosku, że chyba jestem ci winien przeprosiny.

Tylera zamurowało.

- Słucham?

- Obwinałem cię o śmierć Sary, bo musiałem kogoś obwinać. Możliwe, że się myliłem. To nie była twoja wina. - Westchnął. - To nie była niczyja wina. Po prostu się stało.

Nie dodając ani słowa więcej, minął go i podszedł do grobu Sary.

Tyler stał przez chwilę nieruchomo, pełen mieszanych uczuć: zdziwienia wywołanego nagłą zmianą zachowania byłego teścia, złości na niego za powiększanie jego poczucia winy i kruchej, świtającej dopiero świadomości, że Jamison chyba ma rację. Może to nie była niczyja wina. Po prostu się stało, tak jak zdarzają się tragedie - z okrutną przypadkowością, rujnującą życie jednym, a oszczędzającą innych.

Niezbyt świadomy tego, co robi, Tyler wsiadł do pick-upa i wrócił na ranczo. Był bardzo niespokojny - chodził po domu, nie mogąc usiedzieć w miejscu ani niczym się zająć. Ciągle brzmiały mu w uszach słowa Jamisona: „To nie była twoja wina”. Tyler nigdy się nie spodziewał wybaczenia ze strony Hanka. Czemu to uczynił? I dlaczego właśnie teraz?

Było coś, co Tyler musiał zrobić, coś, do czego nie mógł się zmusić od czterech lat. Poszedł do sypialni i otworzył górną szufladę kredensu. Wyjął album ze zdjęciami, usiadł na łóżku i wbił w niego wzrok. Album był pokryty cienką warstwą kurzu, a plastikowe strony posklejały się trochę.

Tyler powoli przewracał karty i ku swemu zaskoczeniu zaczął się uśmiechać na widok Sary, która próbuje zabrać mu aparat... ich obojga w odświętnych strojach przed szkolnym bale... na koniach... Gardło mu się ścisnęło, kiedy spojrzął na ich zdjęcie ze ślubu. Wyglądała tego dnia tak pięknie. Świetnie pamiętał, jak się czuł, kiedy robiono im tę fotografię. Jak największy szczęściarz na świecie.

W końcu przyszło najgorsze - ostatnie zdjęcie w albumie. Sara w siódmym miesiącu ciąży, na kilka dni przed śmiercią. Stała na ganku i promieniała szczęściem.

Nagle przypomniał sobie coś, co do tej pory chował w najgłębszych zakątkach umysłu. Kiedy zrobił jej to zdjęcie, spytała go, czy teraz, kiedy staje się coraz grubsza, uważa ją za nieatrakcyjną. Odpowiedział szczerze, że jest dla niego piękniejsza niż kiedykolwiek.

Trzy dni później umarła. Umarło też dziecko, którego tak bardzo pragnęli. I skończyło się życie Tylera.

W końcu spłynęły mu po policzkach łzy, które nie pojawiły się w jego oczach, kiedy umarła. Osiągnął perfekcję w nieodczuwaniu, w otepianiu się, żeby przetrwać jakoś stratę żony i córki. Zmuszał się do stawiania nogi za nogą i wkraczania w każdy kolejny dzień. Ale zabijając zdolność odczuwania bólu, smutku i żalu, zabił również umiejętność przeżywania radości i miłości.

Żył w stanie ukrywanej desperacji, z sercem przepelnionym zamrożonymi uczuciami, do których nie chciał się przyznać.

Aż pojawiła się Zoey.

Dotknęła go jak nikt inny poza Sarą, a on zareagował na ten dotyk. Połączył się z nią na jedną ulotną chwilę, czuł z nią to wszystko, czego nie pozwalał sobie czuć od tak dawna.

Potrzeba było jednak dużo więcej, by roztopić jego zamrożone serce. Musiał wypłakać wszystkie zebrane w nim łzy i uwolnić się od dręczącego go dotąd poczucia winy. Musiał wybaczyć sobie śmierć Sary. I pozwolić jej odejść.

Siedział w sypialni bardzo długo, patrząc na ostatnie zdjęcie żony, przypominając sobie przyszłość, jaką razem planowali. W końcu zamknął powoli album - i pogodził się z myślą, że nigdy nie stanie się to, co mogło się stać.

Wziął album oraz stojące przy łóżku ślubne zdjęcie i poszedł na strych. Słabo oświetlone, zakurzone pomieszczenie wypełnione było wszystkim, czego pokolenia Rossów nie potrafiły się pozbyć. Otworzył stary kufer, włożył do niego zdjęcie i album, po czym powoli opuścił wieko.

Nigdy nie zapomni o Sarze. Zawsze będzie miała szczególne miejsce w jego sercu. Wiedział jednak, że w tym sercu jest także miejsce na inną miłość - jeśli tylko będzie miał odwagę po nią sięgnąć.

Parę minut później, wrzuciwszy parę ubrań do walizki, wyszedł z domu i przymocował do pick-upa przyczepę do przewozu koni. Następnie wypuścił z corralu żrebaka, którego znaleźli z Zoey, i wprowadził go do przyczepy.

Jesse wyszedł ze stajni i spojrzał na niego z zaciekawieniem.

- Co robisz? - spytał.

- Zabieram żrebaka do Nowego Jorku. Wrócę za kilka dni.

Jesse patrzył na niego jak na wariata.

- Zajmij się wszystkim, dobrze? - poprosił Tyler, wrzucając walizkę na siedzenie samochodu.

- Dobrze, ale... - zaczął Jesse.

Tyler jednak już włączył silnik i odjeżdżał. Jesse patrzył za nim w zdumieniu, po czym nagle ze zrozumieniem pokiwał głową.

- No jasne - mruknął do siebie. - Zapłata za pannę młodą.

Na pokrytej szarą szczecinaą twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

Tak jak dwa miesiące wcześniej Zoey szła przez Washington Square Park. Był ciepły, pogodny wieczór. Tym razem kierowała się w stronę galerii Emile'a. Dzisiaj

otwierano jej wernisaż, była więc zdenerwowana i jednocześnie pełna nadziei, jak zawsze przed takimi wydarzeniami. Chciała, żeby inni zareagowali na zdjęcia mustangów tak samo jak ona. Wszystko wskazywało na to, że tak będzie. Nawet na Emile'u, który tak się wściekał, kiedy powiedziała mu o zmianie planów, zdjęcia zrobiły ogromne wrażenie.

Oczywiście, miał kupieckie podejście do sprawy - był pewien, że sprzeda fotografie za ogromne pieniądze. Próbował wybić Zoey z głowy przekazanie jej części zysków na ratowanie mustangów. Czy nie zdawała sobie sprawy, że oddaje całkiem niezły majątek? Przecież zyski z samych plakatów i pocztówek pójdą w tysiące, a może nawet setki tysięcy dolarów.

- Mam nadzieję - odpowiedziała z irytującym spokojem Zoey i zakończyła dyskusję.

Teraz, idąc spiesznie przez park, spojrzała na niebo i zobaczyła pełnię. Przypomniała sobie inną pełnię - błękitną.

„Myliliś się, babciu Eileen - pomyślała ze smutkiem.

- Błękitna pełnia nie dała mi miłości”.

Nie było jednak sensu dłużej się nad tym zastanawiać. Czekał ją wieczór triumfu, którym będzie mogła się podzielić z przyjaciółkami. Denise miała przyprowadzić Larry'ego, poza tym przyjdą też Carla, Karen i Laurie. „Będzie cudownie” - mówiła sobie. A nawet jeśli nie, niczego nie da po sobie poznać. Może, jeśli bardzo się postara, w końcu sama w to uwierzy.

Weszła do galerii na chwilę przed oficjalnym otwarciem wystawy. Pomieszczenie szybko wypełniło się klientami Emile'a, krytykami i kolegami Zoey po fachu. Bohaterka wieczoru stała w głębi galerii, przyjmując przesadzone komplementy, a Emile wmieszał się w tłum. Odniosła pełny sukces, dokładnie taki, jak sobie wymarzyła. Świadomość, że będzie mogła pomóc w zapewnieniu bezpiecznej przyszłości przynajmniej części mustangów, sprawiała jej prawdziwą przyjemność.

Przybyli Denise i Larry, a tuż po nich Carla i Karen. Zoey wiedziała, że wkrótce zjawi się też Laurie. Pójdą potem razem na kolację, by uczcić jej sukces. Zmusi się do robienia radosnych min i nie da im poznać, jak pusty jest ten triumf.

Kilka przecznic od galerii szedł chodnikiem wysoki, szczupły mężczyzna w rzucającym się w oczy zachodnim ubraniu. Prowadził za sobą małego, rudobrazowego źrebaka. Nie zwracał uwagi na zaciekawione spojrzenia innych przechodniów. Gdy dotarł na Manhattan, udało mu się dodzwonić do wniebowziętej Laurie, zanim wyszła z mieszkania Zoey, i dostał od niej adres galerii. Strasznie trudno było znaleźć miejsce do zaparkowania pick-upa i przyczepy, on jednak wiedział, gdzie ma się udać, i chciał się tam dostać jak najszybciej.

W galerii Zoey gawędziła z Denise i Larrym. Tworzyli idealną parę. Widać było, że są w sobie zakochani - Zoey była pewna, że niedługo dostanie zaproszenie na ślub. Cieszyła się razem z przyjaciółką. Denise zasługiwała na szczęście, którego tak długo szukała.

- Zgłosimy się do poradni rodzinnej - powiedziała Denise. - Chcemy być szczęśliwą, zdrową rodziną, a mamy sporo problemów do rozwiązania.

Zoey słuchała jednym uchem. Zauważyła, że Karen rozmawia z Emile'em, a Carla flirtuje bezczelnie z jakimś przystojnym młodym fotografikiem. Najwyraźniej wpadła mu w oko. „Kolejny podbój” - pomyślała Zoey ponuro, zastanawiając się, jak długo potrwa ten romans.

Musiała ciężko pracować, przygotowując wystawę w tak szybkim tempie, i teraz czuła się coraz bardziej zmęczona. Postanowiła, że jak tylko przyjdzie Laurie i obejrzy zdjęcia, zaproponuje, żeby wyszły. Chciała iść na kolację, a potem do domu i do łóżka.

Poczuła wielką ulgę, kiedy zobaczyła wchodzącą do galerii Laurie.

- Przyszedeł? - rzuciła zdyszana przyjaciółka, zanim Zoey zdążyła się z nią przywitać.

- Kto? - spytała Zoey, zastanawiając się, dlaczego Laurie jest taka ożywiona.

W tym momencie uwagę Zoey przykuło poruszenie w otaczającym ją tłumie. Zdawał się rozstępować niczym Morze Czerwone. Zaskoczeni ludzie szukali wzrokiem osoby, dla której robili przejście.

Zoey nagle zamarła. W jej stronę szedł pewnym krokiem Tyler, prowadząc źrebaka. Patrzyła w osłupieniu, jak pokonuje dzielącą ich odległość i zatrzymuje się przed nią.

- Czy to odpowiednia zapłata za pannę młodą? - spytał z tym swoim niepokojącym uśmiechem, wskazując na żrebaka, po czym wyciągnął ku niej wodze.

Wiedziała, że oferuje jej więcej, niż mogły to wyrazić słowa, była jednak pełna wątpliwości. Czy naprawdę zostawił przeszłość za sobą? Czy znowu potrafi kochać? Bardzo chciała w to wierzyć, ale ciągle się bała.

Wtedy popatrzyła mu w oczy i - tak jak to było z babcią Eileen, kiedy zairzała w oczy Michaela Donovana - to, co zobaczyła, zaparło jej dech w piersi. Zobaczyła całą miłość świata.

Ze łzami radości przyjęła wodze - i Tylera. Ten, ignorując gapiący się tłum i porozumiewawcze uśmiechy przyjaciółek Zoey, pocałował ją mocno i namiętnie.

„Co się dzieje, kiedy masz wszystko, czego kiedykolwiek chciałaś? - pomyślała Zoey, tonąc w jego objęciach. - Żyjesz długo i szczęśliwie”.

